P. 9786 Chr. Arch
Nr 7-12

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/538-8/539 1992

• « La Culture » • Revue mensuelle •

ANKIETA „KULTURY": **JAK WYJŚĆ Z IMPASU?**

K. WOLICKI: **HISTORIA W BIEGU**

Wł. ODOJEWSKI: **GRZECH**

L. UNGER: **MIĘDZY UBU A RASPUTINEM**

Wł. BOLECKI: **PISARZE NIEDOCENIENI — PISARZE PRZECENIENI**

SPIS RZECZY

Redakcja „Kultury":	*Jak wyjść z impasu? (ankieta nt. sytuacji w Polsce. Odpowiadają: A. Friszke, R. Kaczmarek, E. Łętowska, K. Modzelewski, M. Poleski, K. Pomian, A. Pospieszalski)*	3
Krzysztof Wolicki:	*Historia w biegu — ruch prawostronny*	24
Gustaw Herling-Grudziński:	*Dziennik pisany nocą*	31
Włodzimierz Odojewski:	*Grzech*	43
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Janusz Mondry:	*Program „Japonia"*	100
Robert Kaczmarek:	*Jaka złotówka?*	103
	KRAJ	
Leopold Unger:	*Widziane z Brukseli i z Warszawy (między Ubu a Rasputinem)*	115
Smecz:	*Z ukosa*	127
	SĄSIEDZI	
Bohdan Osadczuk:	*Od Belwederu do Kamieńca Podolskiego*	138
Adam Kruczek:	*Notatki z Rosji*	142
Andrzej Stach:	*Kronika niemiecka*	148
	KRONIKA KULTURALNA	
Włodzimierz Bolecki (wstęp i komentarz):	*Pisarze niedocenieni — pisarze przecenieni (ankieta „Kultury")*	153
Jagoda Hernik-Spalińska, Jacek Borkowicz:	*Powrót „Śród Literackich"*	185
Maria de Hernandez-Paluch:	*Festiwal Europy Środkowej w Paryżu* ..	188
	CI, CO ODESZLI	
Andrzej Biernacki:	*Juliana Krzyżanowskiego żywot i sprawy*	192
	POLEMIKI	
Andrzej Biernacki:	*Niegodziwość*	203
Antoni Pospieszalski:	*Odpowiedź na listy*	205
	•	
—	*Wydarzenia miesiąca oraz Kronika australijska i nowozelandzka*	208
—	*Komunikaty*	216
	Z OSTATNIEJ CHWILI	
(A):	*Teczki...*	218
	•	
J. Boniecki, R. Dzierżykraj Morawski i R.W. Matusiak, J. Horzelski, J. Sieradzki, J. Szwede:	*Listy do Redakcji*	219
—	*Odpowiedzi Redakcji*	223

Varsovie W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec/Sierpień - Juillet/Août 1992

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Edda Werfel, nasza droga, nieodżałowana Przyjaciółka, zmarła w maju 1992 r. w Wiedniu. Dla uczczenia Jej pamięci, zamiast kwiatów na grób — L.N. Stauberowie (Niemcy) — DM 100,00	F.	330,00
Roman Lewandowski, Evry (Paryż)	F.	100,00
Rodzina Laskich, Wiedeń — zamiast kwiatów na grób Eddy Werfel, zmarłej we Wiedniu 23 maja 1992	F.	500,00
Kazimierz Mamak, Knutange (Francja), po raz 5-y	F.	100,00
Edward Możejko, Edmonton, AB (Kanada)	F.	780,00
Kazimierz Przyłubski, Bazylea (Szwajcaria) — Fr S. 100,00	F.	370,00
Maria Rasiej, Bogota, NJ (USA), po raz 9-ty — dol. 19,00 i po raz 10-ty dol. 24,00 = dol. 43,00	F.	240,00
Edward L. Salamoński, St. Petersburg, FL (USA), po raz 28-y — dol. 20,00	F.	105,00
Zamiast kwiatów na grób Zbigniewa Kiejstuta Januszkiewicza, żołnierza A.K., długoletniego Prezesa Zrzeszenia Studentów Polskich w Szwecji i ich gorliwego opiekuna — Przyjaciel z Los Angeles, CA (USA)	F.	330,00

●

M.A. Perth, W.A. (Australia) — dla uczczenia pamięci Tadeusza Andrzejaczka, w 5-tą rocznicę Jego zgonu przekazuje na:

— Fundusz Pomocy Żołnierzom Armii Krajowej im. gen. L. Okulickiego dol. aus. 200,00	F.	806,00
— Pomoc Polakom w Rosji dol. aus. 200,00	F.	806,00
— Fundusz *Kultury* dol. aus. 200,00	F.	806,00

DZIĘKUJEMY!

BIBLIOTEKA BN NARODOWA
P. 9786 Chm. Arch

Jak wyjść z impasu?

W związku z dramatyczną sytuacją, w jakiej znalazła się Polska, redakcja Kultury *rozpisała ankietę, zwracając się do szeregu osób, z których opinią się liczy. Punktem wyjścia ankiety był artykuł Krzysztofa Wolickiego pt. „Spadanie", który ukazał się w czerwcowym nrze* Kultury *z br.*

ANDRZEJ FRISZKE

Sprawą — w moim przekonaniu — nadrzędną jest przywrócenie w najszerszych kręgach społeczeństwa mocno zachwianego już przekonania, że to państwo jest jednak *nasze, własne*, a sprawowanie władzy nie polega na niejasnych rozgrywkach w gronie pięciuset ludzi. Podejmowane przez rząd Olszewskiego próby dowodzenia, że państwo jest nasze, bo gromi się „czerwonych" i „różowych" są dowodem niezrozumienia oczekiwań i potrzeb przeciętnego obywatela. Demagogia rozliczeniowa może mobilizować pewne kręgi szczególnie na nią podatne, ale nie służy ani budowaniu podstaw społeczeństwa obywatelskiego, ani nie zawiera odpowiedzi na podstawowe pytanie: w jaki sposób zestroić reformy z oczekiwaniami obywateli. Od wczoraj mamy nowego premiera i wkrótce powstanie nowy rząd. Jego zadaniem będzie przekonanie społeczeństwa, że dokonywane reformy, zwłaszcza ekonomiczne, służą państwu i obywatelom, zmniejszeniu frustracji społecznej przez bardziej otwarty kontakt władzy ze społeczeństwem (mniej arogancji!) i sprawiedliwsze rozłożenie ciężaru dokonywanych zmian.

Jako lekturę obowiązkową dla każdego, kto chce się parać polityką, poleciłbym niewielką książeczkę „Szanse i zagrożenia polskich przemian" (PAN, Warszawa 1992), gdzie w przystępnej

i syntetycznej formie najwybitniejsi polscy socjologowie przedstawiają fizyczny i psychiczny stan pacjenta poddawanego operacji. Nie jest to apel bezpodstawny, gdyż jak mówi sekretarz naukowy PAN, prof. Leszek Kuźnicki: „Władza komunistyczna — zapewne z racji ideologicznych — przynajmniej udawała, że bierze pod uwagę zalecenia nauki. (...) Od jesieni 1990 roku PAN — jej placówki i komitety — dosłownie zarzucają panów prezydentów, premierów, ministrów i parlamentarzystów ekspertyzami dotyczącymi recesji i sposobów jej przezwyciężania, przewidywaniami ewolucji sytuacji politycznej na obszarach byłego ZSSR, następstw zjednoczenia Niemiec i sytuacji po wojnie w Zatoce Perskiej. Z uwagi na zupełny brak reakcji dochodzę do wniosku, że adresaci ekspertyz tych nie czytają. Nieobecność czynnych polityków na tej konferencji świadczy o całkowitym braku zainteresowania" (str. 95 tegoż tomiku).

Odpowiadając na zaproszenie Pana Redaktora, jako *outsider* polskiego życia politycznego ograniczę się do wskazania kilku możliwych posunięć, które służyłyby — jak sądzę — zmniejszeniu społecznych napięć i odzyskaniu przez ludzi jakiejś perspektywy:

1. Należałoby uściślić kompetencje poszczególnych władz, aby nie było sporów kompetencyjnych o obsadę stanowisk, czy różnorodności polityki zagranicznej MSZ, MON, Prezydenta.

Ważne jest opracowanie takiej ordynacji wyborczej, która przeciwdziałałaby rozdrobnieniu parlamentu, a sprzyjała tworzeniu się silnych, opartych o wyraziste programy stronnictw. Jednocześnie jednak społeczeństwo musi wiedzieć, że zgłaszane w kampanii wyborczej programy będą w jakiś sposób realizowane. Oznacza to postulat odpowiedzialności w trakcie kampanii i wyklucza apel, który wygłosił jeden z polityków w studio wyborczym telewizji w listopadzie ub.r.: kampania wyborcza się skończyła, porozmawiajmy więc teraz poważnie!

Zniesienie cenzury nie może oznaczać całkowitego braku odpowiedzialności za słowo. System karania oszczerstw prasowych faktycznie w Polsce nie istnieje, co pozwala zupełnie bezkarnie rzucać dowolne oskarżenia. Szkody w zakresie kultury politycznej, jej brutalizacja, często nikczemność, niszczenie dobrego imienia ludzi, są poważnym schorzeniem utrudniającym kształtowanie obyczajów demokratycznych.

2. Społeczeństwo powinno odczuć bardziej bezpośrednio swój wpływ wyrażany w demokratycznych procedurach. Należałoby więc stosunkowo często rozpisywać referenda ogólnonarodowe lub lokalne w różnych ważnych i budzących emocje sprawach. Referenda takie niekoniecznie musiałyby dotyczyć strategicznych spraw ustrojowych (mogłoby to być nawet niepożądane), ale jest dość interesujących ludzi zagadnień, które mogą być przekazane do decyzji ogółu.

3. Należałoby choć częściowo odbudować wiarę w istnienie państwa prawa, sprawiedliwości oraz zdolności władz do walki z przestępczością. Przynajmniej niektórzy aferzyści powinni stanąć przed sądem, a wyroki nie powinny być symboliczne. W przeciwnym wypadku utrwali się przekonanie o bezkarności korupcji i łapówkarstwa, co ma fatalne konsekwencje dla stanu moralności społecznej.

Państwo powinno z większą niż dotąd energią zająć się walką z mafiami i przestępczością pospolitą, a w związku z tym policja winna otrzymać szersze uprawnienia. Policjant nie może się bać użycia siły, a nawet broni wobec stawiającego opór, uciekającego, złapanego na gorącym uczynku przestępcy. Wydaje się, że zasadnicza wrogość do policji została już przezwyciężona, natomiast grozi uznanie jej za bezsilną, niezdolną do obrony obywatela. Wskazane byłoby wzmocnienie policji przez czasowe oddelegowanie do niej pewnych formacji wojskowych (komandosów, żandarmerii, która mogłaby patrolować ulice i miałaby prawo interwencji także wobec cywili). Niezwykle groźne jest usypianie się wybiegami, że na Zachodzie przestępczość jest i tak większa, a ulice bardziej niebezpieczne (moje własne doświadczenie z Wiednia i Londynu niezupełnie to potwierdza).

4. Państwo powinno opracować perspektywiczny plan rozwoju kultury i oświaty. Należałoby określić pewien minimalny plan oświatowy, którego realizacja byłaby obowiązkowa we wszystkich typach szkół (państwowych i prywatnych). Należałoby przyjąć takie korekty systemu finansowego, by zysk z popularnej książki był w części przeznaczany na dopłatę do wydawnictw ambitnych, o wysokich walorach intelektualnych czy wychowawczych (mówiąc żartobliwie, niech zyski z pornografii zasilą naukę). Należałoby utrzymać w rękach państwa choćby niewielką sieć księgarń i punktów sprzedaży prasy, które pracowałyby na korzystniejszych warunkach kredytowych i mogłyby utrzymywać na swych półkach wydawnictwa, które rozchodzą się wolniej, na które zapotrzebowanie utrzymuje się przez czas długi, choć na niewielkim poziomie.

5. Niezbędne wydaje się przedyskutowanie i przygotowanie perspektywicznego planu reform strukturalnych i rozwoju gospodarczego kraju. Pozwoliłoby to pokazać społeczeństwu konkretniejsze perspektywy i racjonalniej kształtować politykę naukową, rozwinąć pewne kierunki w naukach politechnicznych, itp.

A może wskazana byłaby umowa społeczna, do której zachęca Tadeusz Kowalik (*Przegląd społeczny*, 1/1992)?

6. Ważne wydaje się również uaktywnienie polskiej polityki wschodniej. Odwracanie się do Wschodu plecami i dostrzeganie szans jedynie na Zachodzie jest zapewne psychologicznie zrozumiałe, ale jałowe. Eksport na rynki wschodnie będzie zasadniczym czynnikiem powodzenie ekonomicznego Polski. Szereg towarów mało konkurencyjnych na rynkach zachodnich mogłoby znaleźć nabywcę na Wschodzie, który z kolei dysponuje wielkimi zasobami surowców. Bogate firmy zachodnie już dziś starają się ulokować się na Wschodzie, Polska jest zbyt biedna, by w wielkim stopniu kredytować eksport, ale należałoby rozważyć możliwość wymiany towarów na surowce, np. gazu, drewna itp. W każdym razie utrzymanie się na rynku wschodnim jest tak ważne, że wymaga poszukiwania rozwiązań niekonwencjonalnych.

Pożądana byłaby aktywniejsza polityka zbliżenia z sąsiadami wschodnimi. Na podstawie mego rozeznania mogę powiedzieć, że idziemy dobrą drogą w stosunkach z Ukrainą i Białorusią, choć chciałoby się widzieć intensyfikację kontaktów (także regionalnych) w sferze gospodarczej, kulturalnej, naukowej. Źle wyglądają nasze stosunki z Litwą, przy czym polityka Warszawy do złagodzenia tamtejszych napięć bynajmniej się nie przyczynia. Nie wiem dlaczego prezydent RP nie znalazł czasu na rozmowę z prezydentem Litwy, gdy był w Warszawie. Mnożenie przeszkód formalnych w tak zasadniczych sprawach jest pretensjonalne i pogłębia trwający impas. Nie da się doprowadzić do normalizacji stosunków z Litwą, jeśli nie przyjmie się zasady nadrzędnej, że Polacy wileńscy są obywatelami Litwy i jej winni są lojalność. Prawdę tę — jak widzę — uznaje MSZ, ale nie mniejszość polska na Litwie, wspierana często w swym uporze przez grupy nacjonalistyczne znad Wisły. Wstępem do normalizacji byłoby więc mianowanie odpowiedniego ambasadora, zdolnego pełnić rolę mediatora w trójkącie Wilno — wileńscy Polacy — Warszawa.

Andrzej FRISZKE

ROBERT KACZMAREK

Że nasi politycy są często nieporadni, skłóceni i fałszywi, nie jest rzeczą przypadku i w zasadzie nie powinno budzić

emocji. Miernota dominuje wszystkie dziedziny życia i trudno, żeby było inaczej po pół wieku naukowego ustroju.

Politycy są do niczego, lecz na czym mogą się oprzeć ich działania: na nieprzekupnych i fachowych ogniwach władzy terenowej? rzeczowej i rzetelnej prasie? świadomych związkach zawodowych? dalekosiężnych planach kapitalistów? dociekliwości wyborców? A komu mają ustąpić sceny: rzeszom młodych, namiętnie pragnących zrobić coś pożytecznego dla kraju?

Na razie działają, jak wszyscy, w pustce, pozbawieni wydrążonych torów sprawdzonego mechanizmu władzy, jakim cieszą się ich — wątpić należy czy „lepsi" — koledzy zachodni. Nasi odkryli i wolność, i władzę, więc robią z tego użytek, do rozsądku zaś i skuteczności nie doprowadzi ich ani duch święty, ani dobroczynność zachodnich obwodów politycznych i finansowych, tylko reakcja skołowanego społeczeństwa, kiedy wreszcie powstaną świadome swych celów grupy nacisku i wytworzy się obyczaj wychwytywania i wymuszania korekty ich błędów. Wiele oczekiwać tu należy po środkach przekazu.

Na zmianę potrzeba czasu, ale szybkość ustępowania kryzysu zależy nie tylko od bezradnej i aroganckiej władzy, lecz także od woli przezwyciężenia go w społeczeństwie, które nie jest wolne od winy za ruinę kraju i uwiąd zaradności. Tymczasem powszechnym obyczajem jest zajęcie się własnymi kłopotami i pozostawienie politykom spraw publicznych — od przekształceń gospodarki do czystości na własnym osiedlu.

Odbudowa kraju dokona się w procesie złożonego współdziałania między społeczeństwem i jego przedstawicielami, a tempo tych zmian będzie wolne, ponieważ chodzi o zmiany trwałe, to znaczy dotyczące raczej kultury niż polityki. Nowej kultury nie dekretuje się aktem politycznym — i chwała Bogu, bo naród ze swą odrodzoną kulturą zostanie, a politycy odejdą.

O ile więc upadek gospodarki i życia publicznego ma charakter przejściowy, choć nie doraźny, to znacznie głębszy kryzys rozwija się w łonie polskiego Kościoła. Jego błąd polega na tym, że uczynił z samego siebie przedmiot adoracji. Historia Kościoła powszechnego zna takie sytuacje: przejawem szczytowego samouwielbienia był średniowieczny konflikt z cesarzami niemieckimi, a później inkwizycja. W pierwszym przypadku mieliśmy do czynienia z zarzuceniem ewangelicznego posłania o odrębności tego co cesarskie i tego, co boskie. Drugi wywołany był reakcją na atak ze strony Reformacji. Były to dwie formy odwiecznego zagrożenia Kościoła, mającego z jednej strony pretensję do świeckiej władzy o zwierzchnictwo, a z drugiej pokusy przejęcia tej władzy przez sam Kościół.

Dzisiejsza sytuacja Kościoła w Polsce wynika po trosze z obu tych impulsów. Długotrwały stan oblężenia gospodarczego

prowadzonego przez komunę doprowadził do wzmocnienia struktur religijnych w kraju. Kardynał Wyszyński zbudował Kościół mocny i okopany, lecz przy tym rozwijający obyczaj paternalizmu w stosunku do wiernych oraz poddający się konieczności pełnienia roli politycznej w odniesieniu do rządów mafii. Syndrom ten uległ silnemu wzmocnieniu w okresie stanu wojennego. Wkrótce potem upadek komuny i jałowość byłej opozycji wydobyły na światło dzienne ruinę wszystkich struktur po obu stronach barykady. Kościół wypłynął wówczas na scenę jako polityczna siła sprawcza w obliczu atrofii wszelkich innych sił. Umocnił się również jako moralny inkwizytor wobec pojęciowej pustki w społeczeństwie, nagle pozbawionym wszelkich innych kryteriów odniesienia. Tym sposobem Kościół katolicki w Polsce osiągnął punkt, w którym trudno o rozróżnienie pomiędzy eschatologią i doraźnymi celami polityki.

Sprzyja temu również zespół przemian kulturalnych na Zachodzie, do których Kościół powszechny nie bardzo potrafi się ustosunkować. Człowiek epoki konsumpcyjnej, zafascynowany sukcesem materializmu, powoli zaczyna odczuwać egzystencjalny niepokój. Jego źródłem jest bezradność wobec konfliktu między konkretem, który wciska się we wszystkie szczeliny życia i Tajemnicą, bez której istnienie staje się zjawiskiem przypadkowym, więc niekoniecznym. Pierwszym odruchem jest niechęć do wszystkiego, co można uznać jako Złudę — więc także odrzucenie cudowności. Siła tego sceptycyzmu jest taka, że Kościół jakby wahał się przed forsowaniem swego posłania — i dzisiejsze chrześcijaństwo zdaje się łatwo rezygnować z dwóch filarów wiary: cierpienia i cudowności. W tej sytuacji Kościół polski nabrał przekonania, że jest depozytariuszem wartości ponadczasowych, czemu Zachód zaprzecza — cierpienia, jako Kościół do niedawna prześladowany, i cudu, ześrodkowanego w kulcie maryjnym. I znowu, będąc ostatnią redutą, musi on dbać o doraźną siłę, obejmowanie swym wpływem wszystkich obszarów, budowanie fortecy.

Forteca może powstać — kamienna, a kodeks może nasycić się nakazami religii — na papierze. Wątpię, by na średnią metę posłużyło to związkom Kościoła z jego narodem, który posiadając do niedawna dwa oparcia: religię i wolne związki zawodowe, już utracił wiarę w jedno z nich.

Ostatecznie jednak kaskadowy upadek złudzeń może wyjść wszystkim na dobre. Społeczeństwu, gdzie stopniowo uświadomiona zostanie rola indywidualnej odpowiedzialności — i polskiemu Kościołowi, którego długa lekcja pokory oczyści z ciężaru kilku lat politycznego triumfu. Lat, których dramatyzm sprzyja rozdziałowi ról nie podług możliwości, lecz potrzeb:

indywidualistom moralnego oporu — rolę władców, księżom — rolę polityków, komunistycznej mafii — rolę menadżerów gospodarczych.

Paryż, 5.06.92

Robert KACZMAREK

EWA ŁĘTOWSKA

Czytałam kiedyś opowiadanie *science fiction* o tym jak to na ziemi wylądowali goście z kosmosu. Mieli — obok innych cech — pewną szczególną umiejętność. Na co spojrzeli, mogli reprodukować do woli i w nieskończoność. Zobaczyli telewizor, bardzo im się spodobał, postanowili zrobić takie samo urządzenie, i to dużo. Zarządzili zatem sobie tylko właściwym czarodziejskim sposobem stosowne działania i od razu mieli mnóstwo zgrabnych, kolorowych skrzyneczek. Bieda była w tym, że ani to-to grało, ani obraz się ruszał. Pozaziemscy goście mogli odtworzyć to tylko, co widzieli. Nie widzieli (bo i jak) że telewizor ma w środku skomplikowaną maszynerię. Stworzyli zatem tylko i wyłącznie rząd kolorowych pudełek. W środku nie było nic. Te pudełka wyglądały jak telewizory, ale nimi nie były.

Przypominam sobie owo opowiadanie gdy przyglądam się polskiej scenie politycznej. Widzę gromadę różnych panów, którzy nieustannie biegają i krzątają się, chcąc znaleźć to jedno, jedyne zaklęcie, które raz wypowiedziane — uszczęśliwi wszystko i wszystkich, a dla nich będzie źródłem wiekuistej chwały. Dla jednych tym szamańskim zaklęciem jest prywatyzacja, dla innych dekomunizacja, inni zbawienie upatrują w europeizacji, a jeszcze inni chcą wszystko załatwić przy pomocy powszechnej chrystianizacji. Żeby nie było wątpliwości: nie chodzi mi o krytykę którejkolwiek z wymienionych idei, lecz jedynie o postawy tych ich wyznawców, którzy uważają po pierwsze, że samo opowiedzenie się za bliską im tezą zastąpi normalną pracę nad jej wdrożeniem. Po drugie uważają, że akurat „ich" idea jest swoistą strategią globalną, co zwalnia od refleksji nad innymi ideami i nad trudnymi problemami ich współistnienia i współrealizacji w drodze kompromisów. W miejsce wiedzy o mechanizmach lansuje się poszukiwania czarodziejskiego słówka. To właśnie mając na myśli, powiedziałam kiedyś, że nasze życie polityczne wydaje mi się niemądre i nieefektywne. Tak samo jak dzia-

łania owych stworków, które chciały „sposobem" zaopatrzyć się w telewizory. Oberwałem wtedy od kolegi-profesora, mocno zaangażowanego w obecne życie publiczne, który to kolega pouczył mnie życzliwie napominając tonem wyższości, abym takich sądów nie głosiła wobec cudzoziemców, bo tym sposobem przynoszę szkodę obrazowi Polski w świecie. Myślę, że większą szkodę temu obrazowi przynosi raczej postawa „byczo jest". Bo oznacza ona albo brak krytycyzmu, albo brak możliwości dostrzeżenia co jest źle, a w obu wypadkach skutek taki sam: trwanie przy starych błędach.

Skoro mam powiedzieć, co jest najgorsze dla Polski w chwili obecnej, to z mego przyziemnie-babskiego punktu widzenia, sprawą numer jeden jest lenistwo. Nie wymieniam tu nawet głupoty, bo o niej podobno chce pisać Stanisław Lem, a to lepsze pióro niż moje, analityczny, komputerowy umysł i z pewnością napisze przenikliwie i przekonująco.

Rzeczywiście, najpoważniej w świecie uważam, że lenistwo jest najdotkliwszą plagą polskich administratorów i polityków. Oni w większości są zresztą bardzo zajęci, tyle, że puszczają chętnie fajerwerki bądź dym, ale pracować im się nie chce. Przecież najtrudniejsze jest dla każdego zorientowanie się, czego sam nie umie lub nie wykonuje dobrze i następnie systematyczne nauczenie się tego czegoś. Praca polityków i administratorów polega na odróżnieniu strategii od taktyki, na prawidłowym sformułowaniu zadań w każdym zakresie, rozpisaniu zagadnień bardziej złożonych na poszczególne etapy, ustalenie metod, środków i terminów ich realizacji, określenie osób odpowiedzialnych za wykonanie poszczególnych fragmentów pracy, nieustanne przypominanie o terminach wykonywania konkretnych zadań, koordynacja „na bieżąco" całości, korygowanie zamierzeń w miarę pojawiających się nieprzewidzianych okoliczności i — co uważam za niesłychanie istotne — codzienne przekonywanie pracowników-podwładnych, że pełnią bardzo ważne funkcje, że od nich zależy sukces całej „firmy", że kierownik całości (np. minister) istnieje także po to, aby pomagać współpracownikom i usuwać im przeszkody sprzed nosa. Polityk, minister może liczyć na sukces, gdy doprowadzi do tego, że właśni ludzie będą mu wierzyli i będą chcieli pracować na chwałę jego partii lub resortu. I to nie poprzez puszczanie werbalnych fajerwerków. No i oczywiste, że każdy ma działać w granicach kompetencji i starać się ewentualne konflikty rozstrzygać drogą kompromisu, a nie walki o prestiż dla prestiżu.

To brzmi jak banały z podręcznika nauki zarządzania czy administracji, ale co poradzę, gdy nieustannie oglądam osoby, których działanie można określić: „jak mały Kazio wyobraża sobie rządzenie, administrowanie i politykowanie". Wiele zewnętrznej, hałaśliwej i nawet męczącej krzątaniny, niewiele treści. Weźmy pracę nad projektami ustaw, dyskutowanie tych projektów. Mówi się byle co, aby powiedzieć. Ale zapytać znawców, starać się zrozumieć, o co im idzie, „zinternalizować" otrzymane informacje — toż to ciężka, żmudna praca. Łatwiej powiedzieć co ślina na język przyniesie, najlepiej coś politycznego, byle z ogniem i przejęciem, coś tak ogólnego, że będzie dobre na każdą okazję. No więc słuchamy domorosłych znawców decydowania o stosunkach z Niemcami i Rosją, amatorów pouczania innych, nie proszących o nasze uwagi, o tym, co jest dla nich dobre (śmieją się z nas albo wzruszają ramionami), zadufanych zwolenników demokracji populistycznej, przekonanych, że arytmetyczna większość daje im patent na aksjologię, którą mogą narzucić mniejszości itd. itp.

Tu znów historyjka. Jeździłam przez wiele lat do Białegostoku z wykładami. Wagon, zawsze ten sam, był okropnie brudny. Raz, przyszedłszy wcześniej, natknęłam się na sprzątaczkę. Bez złości zapytałam ją, czy nie dostrzega brudu. Odpowiedziała, szczerze i bez agresji, że przecież w wagonie czyściutko, bo nie ma śmieci na podłodze. „Proszę — powiedziała — wszystko pozamiatałam". W tym samym czasie kurz wzniecony jej kostropatą ścierką osiadał na ławkach. I wtedy zorientowałam się, że ona po prostu nie dostrzega ani lepiących się ścian, ani zarośniętych błotem okien, ani kurzu na pluszu ławek. Jej nikt nie nauczył, jaki jest standard sprzątania.

Boję, że to samo jest z politykami i administratorami. Oni swoje politykierstwo, partyjniactwo, naiwność, brak znajomości mechanizmów funkcjonowania państwa, żałosną niewiedzę o prawie jako instrumencie układania stosunków w społeczeństwie uważają za standard, za normalność. No i zamiast telewizorów mają kolorowe pudełka. Dlatego wyżywają się w tych gabinetowych gierkach, jakichś podchodach, sojuszach na pięć minut. Natomiast swoje urzędy najchętniej powierzyliby komu innemu. „Wiecie, róbcie tak, żeby było dobrze, bo ja tymczasem mam spotkanie z premierem" (albo wojewodą, to zależy od szczebla). Każdy z nich chce być Napoleonem, poluje tylko na łatwy, efektowny sukces. Może to być nawet nowa ustawa, obojętnie jaka, byle nowa, byle szybko, byle pokazać ten sukces w telewizji. Ciężko pracować od rana do wieczora, bez efektu, rozgłosu, możliwości popisywania się przed publicznością nie chce się nikomu. Widać to powszechnie. Skutki też są widoczne. W Polsce właściwie nie ma administratorów, resztkę się właśnie przepędza, bo nauczyli się fachu w niewłaściwych czasach. Jeszcze stary Gomułka jęczał: „Nie mam ludzi do rządzenia, skąd ich brać!" Teraz by się dopiero uśmiał.

Skuteczne rządzenie państwem to po pierwsze pracowitość,

po drugie porządek (a więc państwo prawa — kto poza garstką naukowców rozumie to pojęcie i nie chce go politykiersko nadużywać?), po trzecie stałe uczenie się. Krajem rządzi się na co dzień trochę tak jak własnym domem. Są rzeczy, które trzeba robić codziennie i powtarzać aż do śmierci, mimo, że są nudne, uciążliwe i nikt ich nie zauważa ani nie pochwali. Co dzień trzeba posprzątać, ugotować obiad i pozmywać. Nie ma ani czarodziejskiego zaklęcia, ani natchnionego wizjonera, który te obowiązki zdejmuje z ludzkiej (przepraszam: babskiej) głowy. Nie będzie też nigdy takiego ministra od policji, który doprowadzi do tego, by np. na dworcach ustały kradzieże. Może jedynie w istniejącej sytuacji starać się usilnie, by tych kradzieży było jak najmniej. Może to osiągnąć tylko przez stałą, codzienną pracę policjantów (w mundurach i tajnych) na dworcach i w okolicach, rozpoznanie aktywnych złodziei, wyeliminowanie ich o tyle, o ile to możliwe (i legalnymi środkami) i niedopuszczenie do tworzenia się złodziejskich band. A kiedy już to osiągnie, nikt mu nie podziękuje. Publiczność wrzaśnie: „Co tu po tych dworcach łazi tylu tajniaków i glin!" I będzie niezadowolona. To też ważny element współczesnego administrowania: rośnie liczba niezadowolonych ze wszystkiego. Współczesny administrator mało ma szans na wyraźny sukces, nigdy nie będzie podobał się wszystkim. Po cóż więc ciężko się trudzić? Lepiej puścić kilka rad w telewizji, udzielić paru wywiadów, pojechać na jakiś kongres, odwiedzić parę przyjęć. No i jeszcze jedno ważne: znaleźć tych, którzy są przyczyną tego, że nie mogliśmy niczego zrobić, chociaż bardzo chcieliśmy. A kiedy już znajdziemy, spokojnie zajmiemy się sami sobą. I tak nas szybko wyleją (ile czasu trwa rząd w Polsce?) trzeba więc mieć maksimum satysfakcji przy minimum wysiłku. Ten drugi element jest ważniejszy. Sądzę, że oczekuje nas paskudny okres bezładu, nieporządków i wszystko będzie się mamlać, rozłazić w kłótniach, sporach, oskarżeniach. To cena braku znajomości mechanizmów państwowych, wiedzy o tym czym jest państwo prawa, na czym polega współczesne administrowanie. I nie tylko minione czterdziestolecie tu winne. Ono oczywiście też, ale i brak zakorzenionego poczucia wartości prawa, instytucji państwowych, mający swe źródło w historii. Gdy w XIX wieku społeczeństwa pracowicie uczyły się tego, co to wybory, jaki ich sens, jakie zalety ma stabilne prawo, jak musi być tworzone i aplikowane, dlaczego warto (podkreślam ten wartościujący przyimek) szanować instytucje i urządzenia państwowe, my mieliśmy obce, wrogie i państwo, i prawo. Nie nauczyliśmy się szanować tego, co warte było szacunku nawet w zaborczym państwie i prawie. Dwudziestolecie międzywojenne to też nie całe pokolenie... A potem wiadomo. I znów — zgubna skłonność do łatwych,

biało-czarnych sądów, aksjologiczna zaborczość, połączona z moralnym szantażem wobec nie-swoich poglądów czy upodobań. Co więc robić? Uczyć, popularyzować, oświecać, wyśmiewać. Bez nadziei na efektowny sukces czy uznanie, uporczywie bez końca. Jakieś piętnaście lat. Społeczeństwo powoli nauczy się oddzielać plewy od ziarna (no, przynajmniej trochę) przy wyborach, kandydaci na polityków obetrą się, czegoś nauczą. Nieefektowne? Trudne? A pyta nas kto o zdanie? Czy mamy położyć się na ziemi i kopać nogami jak niegrzeczne dzieci? Nie mamy innej rady: zacisnąć zęby i robić swoje. I nie dać się zatupać.

Ale dyktatury też się nie boję. Napoleon, Franciszek Józef czy nawet *horribile dictu* Lenin byli przecież bardzo pracowici. Napoleon zaprowadził w kraju żelazny porządek, stary Franz Joseph miał mnóstwo wiernych i pracowitych urzędników. A Lenin? No nie, w Rosji nigdy się dotąd nie dało (czy da?) zaprowadzić żadnego porządku ani dyscypliny. Dlatego też jeżeli ksiądz Tischner mówi o polskim *homo sovieticus*, to przyznaję mu rację. Tyle, że pewnie inaczej go sobie wyobrażamy...

Ewa ŁĘTOWSKA

KAROL MODZELEWSKI

Polska scena polityczna przedstawia obraz żałosny. Nie tłumaczy się to samo przez się. Nasi czołowi politycy wywodzą się przecież z najbardziej masowego i spontanicznego ruchu społecznego XX-wiecznej Europy. Można podziwiać tempo, w jakim zniszczony został olbrzymi autorytet „S" po przejęciu władzy. Dziś nowa klasa polityczna wydaje się pochłonięta bez reszty walką o stanowiska i wpływy, społeczeństwo zaś obserwuje te zmagania z rosnącą niechęcią, gdyż nie mają one związku z dramatycznymi problemami życia codziennego. Zainteresowania stron rozmijają się. Zerwana została więź, a nawet komunikacja między wczorajszymi związkowcami, którzy zasiedli w gmachach państwowych, a ich społecznym zapleczem. Jest to najistotniejsza przyczyna patologii, w jakiej grzęźnie polityka polska. Trudno myśleć o powstrzymaniu tej degrengolady, dopóki polityka, dziś zajęta sama sobą, nie odzyska wiarygodnego związku z życiem codziennym, czyli z gospodarką.

Praojcem polskich reform gospodarczych był gen. Jaruzelski.

W stanie wojennym rozpędził on aktywne tłumy skupione w „S" i w ten sposób utorował drogę Balcerowiczowi. Dawna „S", pozostająca pod stałą presją swojej bazy, z pewnością nie pozwoliłaby na taki program stabilizacyjny. Program ten mogła przyjąć dopiero kadrowa „S" z 1989 r., nie skrępowana już naciskiem tłumów, ale posiadająca jeszcze autorytet niezbędny do zapewnienia Balcerowiczowi politycznej osłony. Opcja liberalno-monetarystyczna musiała ugodzić najdotkliwiej w środowiska pracownicze, będące ostoją „S" i złamać zasady ochrony słabszych. Miało to być bolesną, ale nieuniknioną ceną za sukces gospodarczy. Kiedy jednak bezwzględny w sprawach społecznych program okazał się drogą do gospodarczej klęski i krachu finansów państwa, „S" jako siła polityczna musiała zapłacić za swoją opcję. Wyroiły się z niej wprawdzie różne partie, wszystkie one jednak w oczach większości Polaków sprowadzają się do wspólnego mianownika i ponoszą współodpowiedzialność za wybór strategii gospodarczej, która doprowadziła nas do obecnego stanu. Wyniki wyborów prezydenckich i parlamentarnych okazały, że wielka i szybko rosnąca część społeczeństwa odrzuca zarówno siły wywodzące się z komunistycznego, jak i z solidarnościowego pnia, nie znajdując dla siebie wiarygodnego wyraziciela. W rezultacie tworzy się polityczna próżnia, groźna dla stosunków między obywatelami a państwem.

Kontynuacja dotychczasowej strategii grozi nieodwracalną ruiną polskiego potencjału gospodarczego, degradacją społeczeństwa i cywilizacyjnym regresem. Spadniemy wówczas do poziomu trzeciego świata. Z tej drogi trzeba zejść. Chodzi przy tym o zmianę strategii, a nie o korektę, gdyż fiasko poniósł nie tylko monetaryzm, ale i liberalna filozofia reform. Z socjalizmu do gospodarki rynkowej nie da się przejść jednym skokiem. Okres przejściowy będzie raczej długi, a hasła przyspieszonej prywatyzacji bez kapitału są w najlepszym razie ucieczką od rzeczywistości w propagandowy frazes.

Jeżeli chcemy ocalić przed zniszczeniem, zmodernizować i przystosować do wymogów światowej konkurencji istotną część majątku narodowego, to zakres ingerencji państwa w gospodarkę okresu przejściowego musi być znaczny. Niestety wzorce interwencjonizmu państwowego wypracowane na Zachodzie niezbyt nadają się do przeniesienia na nasz grunt, gdyż obliczone są, podobnie jak polityka liberalna, na sprawnie funkcjonujące mechanizmy rynkowe. W krajach wywodzących się z komunizmu państwo musiałoby niedostatek owych mechanizmów zastępować dodatkowymi instrumentami kontrolno-regulacyjnymi, jak podatek antyinflacyjny ograniczający wzrost cen oraz decyzjami podejmowanymi „na wyczucie". Jeżeli tego nie zrobimy, skończymy jako druga Boliwia. Jeżeli regulując gospodarkę

popadniemy w rządzenie przez nakazy i rozdzielniki, to przekształcimy się w drugą Albanię. Przejście pomiędzy tymi założeniami i opracowanie odpowiednich instrumentów interwencji państwa w gospodarkę postsocjalistyczną jest kwestią rządowej praktyki.

Za taką opcją musiałaby jednak stać poważna siła polityczna. Próby dokonania korekty przez rząd Jana Olszewskiego ograniczyły się do deklarowanej intencji. Rzecz nie tylko w naciskach MFW i administracji amerykańskiej, którym być może brak wyobraźni i wiedzy o różnorodności świata, ale nie pragmatyzmu i zdolności do kompromisów. Rzecz w tym, że w łonie centroprawicowej koalicji, a także poza nią nie widać siły politycznej, na której mogłaby oprzeć się rewizja strategii gospodarczej dwóch poprzednich ekip.

Nie twierdzę, że musi to być siła lewicowa. Myślę jednak, że bez istotnego udziału lewicowej orientacji owa zmiana strategii gospodarczej nie będzie możliwa. Niestety obecny kształt polskiej sceny parlamentarnej określony został przez wizję dwóch obozów, wyrastających z dwóch tradycji: kto rozczarował się do rządów sprawowanych pod emblematem „S", ten głosował na SLD lub pozostał w domu. W rezultacie lewica parlamentarna utożsamiana jest z ugrupowaniem, które z powodu swego komunistycznego rodowodu skazane jest na margines i nie wywrze konstruktywnego wpływu na politykę rządu.

Niezbędnym warunkiem zmiany strategii gospodarczej wydaje mi się zatem powstanie na lewicy nowej, poważnej siły politycznej, która musiałaby wznieść się ponad schemat oparty na rodowodach. Nie jest to dziś w Polsce łatwe, a nawet nie wygląda na prawdopodobne. Bez tego jednak kraj będzie nadal spadać w ruinę gospodarczą i regres cywilizacyjny, rządzący zaś będą nadal toczyć swoje wojny o stanowiska, a rządzonym zamiast ocalenia przed zagrożeniami w życiu doczesnym zapewnią w trybie administracyjnego przymusu zbawienie w życiu wiecznym.

Karol MODZELEWSKI

MACIEJ POLESKI

Zawsze przestrzegałem przed dyrygowaniem morzem i tupaniem na ciasto, że za wolno rośnie. To były czasy opozycji, podziemia. Teraz, gdy dawna opozycja objęła władzę, zapomina, że zakładając ogród demokracji, przyjęła obowiązki ogrodnika.

Strzyc, wydzielać pola upraw, usuwać chwasty, wyrównywać kretowiska — to rola władzy. Co innego kierować ruchem społecznym czy wpływać nań, a co innego sterować nawą państwową lub być w opozycji do rządu.

Proponuję zakończyć tę grę bez piłki, grę polityczną bez programu. Widzi to najlepiej młodzież i ta część polskiej emigracji, która poznała świat i umie organizować sobie pracę. W rewolucji ostatnich lat te zasoby ludzkie nie zostały wykorzystane.

Proponuję kilka kroków naprzód. Jest to program-minimum i już widać, że bez szybkiego wprowadzenia go w życie Polska nie zmodernizuje się. Potrzebne są ruchy proste i zdecydowane, jak wymienialność złotówki, aby obywatele zaczęli poruszać się we własnym państwie legalnie i zgodnie ze standardami zachodniej cywilizacji. Standardami prawa i zdrowego rozsądku. Fakt, że wiarą, symboliką, kulturą byliśmy w Europie, to za mało. Duch potrzebuje ciała, aby móc wyrazić to, co chce. Dziś wystarczy parę kroków, aby sama materia faktów pozwoliła wrócić Polsce do rodziny nowoczesnych, demokratycznie rządzonych krajów gospodarki rynkowej. To władza musi je jednak zrobić, nie pochlebiając sobie ani społeczeństwu.

Sejm musi jak najszybciej przyjąć kartę praw i wolności obywatelskich, która wraz a podziałem kompetencji między parlamentem, prezydentem a rządem stworzy małą konstytucję. Rząd ma rządzić, czyli szybko podejmować decyzje w ramach prawa; Sejm stanowi i nadzoruje wykonywanie ustaw, prezydent sprawuje władzę przez zwierzchnictwo, a nie ręczne sterowanie, ponosi odpowiedzialność za rozstrzygnięcia zasadnicze: mianowanie premiera, zatwierdzanie ustaw, rozwiązanie Sejmu. W szczególności w kwestii obrony narodowej i bezpieczeństwa państwa zwierzchnictwo jest czymś różnym od kierownictwa politycznego ministra obrony, a kierownictwo ekonomiczno-kadrowe od operacyjnego, leżącego w kompetencjach szefa sztabu.

Ordynacja wyborcza większościowo-proporcjonalna musi być zrozumiała dla wyborców i zawierać 5-cioprocentowy próg, który wymusi jednoczenie elit politycznych. Mała konstytucja przetnie wreszcie pętlę legalizmu. Komunistyczne ramy prawne delegalizowały rzeczywistość. Legaliści — lojaliści postkomunistycznej Polski — niechętnie przyjmują to do wiadomości.

Rozstrzygnięcia małej konstytucji nie wystarczą, aby nadrobić opóźnienia ostatnich trzech lat. Niezbędne jest powołanie przez prezydenta spośród parlamentarnych reprezentacji wszystkich partii Rady Stanu, która pchnie zaległe ustawy na szybką ścieżkę legislacyjną.

Rządowi musi być przyznane prawo deregulacji sfer, które Sejm już na nowo uregulował. Bez uchylenia przepisów ograniczających działania obywateli w imię omnipotencji państwa — trwać będzie tylko ćwiczenie legislatorów.

Rząd musi dokonać jak najszybciej jednorazowej abolicji dla szarej strefy i wypranych pieniędzy spółek nomenklaturowych. Ci, którzy się nie ujawnią, narażeni będą na konsekwencje karne. Specjalny podatek na rzecz Skarbu Państwa zalegalizuje kapitał szarej strefy. Od tego momentu można liberalizmowi nadać praktyczny sens: poza przykładami objętymi specjalną reglamentacją obywatel nie będzie musiał prosić o zgodę na działalność. Wystarczy, że zgłosi fakt jej podjęcia, a władza nie wniesie sprzeciwu. Omnipotencję administracji należy też ograniczyć przez obowiązkowy termin ostatecznego rozpatrzenia decyzji przez wszystkie instancje i osobistą odpowiedzialność za jego przekroczenie.

Warunki gry ekonomicznej muszą być stabilne, a ich zmiany przewidywalne i obliczalne. Nie kapitalizm polski czy obcy jest dziś zagrożeniem dla kraju, lecz monopolizacja rynku przez państwo lub korupcyjno-mafijne związki władzy z businessem.

Ustawodawstwo gospodarcze — o przedsiębiorstwach, własności, obrocie nieruchomościami, spółkach z udziałem kapitału zagranicznego itp. — musi cechować europejski poziom swobód dla indywidualnej inicjatywy. Dopiero rozpoczęcie funkcjonowania instytucji Skarbu Państwa i oddzielenie zarządu tego majątku od administracji rządowej może uzdrowić sytuację.

Każdy z tych postulatów dotyka reformy administracji publicznej. Do przedstawionego prezydentowi przed rokiem projektu *silnego państwa-minimum* mogę tylko dodać jeden praktyczny wniosek: reformy tej dokonać może tylko agenda położona pomiędzy Sejmem, prezydentem a rządem. Jest to wielkie menadżerskie przedsięwzięcie i jak pokazuje najbliższy mi brytyjski program, zastępowanie urzędów przez agencje *Next Steps* musi być wprowadzone w życie poza naciskami bieżącej polityki.

Przecięcie pętli legalizmu i błędnego koła biurokratycznej pragmatyki pozwoli na szybkie decyzje gospodarcze. Wreszcie będzie wiadomo, jaka administracja i w jakich ramach wykonywać będzie dekrety rządowe o mocy ustaw.

Polska jest dziś 38-milionowym krajem, który nie ma ani jednego nawet produktu wyróżniającego go w świecie. A mamy przecież dobry przemysł cementowy, stoczniowy, dobre kadry w przemyśle lotniczym. Jeśli mamy wygrać walkę o obecność na rynku wschodnim, to rząd musi prowadzić politykę ukierunkowaną na cały przemysł rolny i bardziej ustrukturalizowane pośrednictwo między Wschodem a Zachodem. Bez odważnej odpowiedzi na pytanie, czym Polska ma być i jak wykorzystać jej rolę pomostu na kontynencie, nie można prowadzić aktywnej

polityki przemysłowej, rolnej, infrastrukturalnej. Obowiązkiem rządu jest przeprowadzenie, po trzech latach zwłoki, reformy: bankowości, podatków, systemu kontroli celnej oraz wdrożenie programów budowy i odbudowy infrastruktury technicznej kraju.

Polska jest nadal krajem Europy Środkowej, z którego stolicy można dojechać w jeden dzień do odległych rejonów kraju. Krajem, gdzie siła robocza już nie jest bardzo tania, ale nadal dobrze wykształcona, choć pozbawiona umiejętności dostosowanych do współczesnych wymogów. Wciąż jednak poruszamy się jak w smole.

Młodzież polska jest ostatnią nadzieją po tych trzech latach posuwania się do przodu tak wolno, że inni zaczęli nas wyprzedzać. Trzeba dać jej i nam szansę przez otwarte konkursy na wszystkie stanowiska funkcjonariuszy publicznych i szefów przedsiębiorstw publicznych.

Młodzież z natury jest szybsza, chłonniejsza i to ona ma jako punkt startu, a nie metę, tę niedoskonałą dzisiejszą III Rzeczpospolitą, którą szczycą się elity postsolidarnościowe. To ona może dokonać autokolonizacji Polski. Kraj nasz musi przyjąć dyscyplinę pracy w wolności. Inaczej liczne kłótnie spowodują, że ją utracimy.

Maciej POLESKI

KRZYSZTOF POMIAN

Rząd premiera Olszewskiego należy już do przeszłości. I do historii, gdzie zajmie należne mu miejsce rządu, który — jako jedyny polski rząd niekomunistyczny — postawił własny interes partyjny całkowicie i bez reszty ponad interes narodowy. Gdzie nie spojrzeć, obraz jest taki sam. Premier dał popis lekceważenia prawa, z mocy którego zajmował urząd, Sejmu, który go powołał, i prezydenta, który uosabia autorytet państwa. Jego rząd połączył w stopniu rzadko spotykanym niekompetencję i arogancję. Wojsko upokorzono, stawiając na jego czele chłystków, edukację narodową, zachowując jej oświeceniową nazwę, powierzono figurze godnej zarządzać oświatą tylko w czasach saskich, gdyby tym się wtedy zajmowano; opiekę społeczną oddano rwaczom, a sprawy wewnętrzne — pospolitemu szantażyście*.

* Por. wypowiedź posła Adama Słomki (KPN), *Gazeta Wyborcza*, 5 czerwca 1992.

Zresztą ministrowie, każdy w swym resorcie, zajmowali się głównie przekształcaniem podległego im aparatu w przybudówkę ZChN. Całością zawiadywał szef zespołu doradców, stosując metody godne mafii; najlepszym tego przykładem było pozostawienie bez odpowiedzi — czyli zaaprobowanie — publicznego zniesławienia ministra spraw zagranicznych, którego ukarano tak za to, że pojechał z prezydentem do Moskwy. To, że przy okazji zniszczono resztki prestiżu Polski w świecie, nie wydaje się być dla autorów tego wyczynu powodem do zmartwienia.

Choć rząd premiera Olszewskiego należy do przeszłości, skutki jego polityki ciążyć będą przez lata. Dotyczy to zwłaszcza rzekomego ujawnienia agentów SB obecnych w życiu publicznym. Rzekomego, gdyż dokonało się to tak, że nikt nie jest i zapewne nigdy już nie będzie w stanie poznać prawdy, i że wszystko stało się możliwe, nawet to, że prawdziwi agenci oskarżają niewinnych. Odpowiedzialność za to spada również na poprzednie rządy, które prowadziły w tej sprawie politykę strusią. O teczkach mówi się przecież od trzech lat. Było dość czasu, by powołać komisję z udziałem przedstawicieli wszystkich partii i autorytetów moralnych, która zbadałaby istniejące dokumenty i przedstawiła wyniki Sejmowi w sposób nie budzący wątpliwości. Liczyć na to, że uniknie się tego rozliczenia z przeszłością można było tylko wierząc w cuda. Teraz stało się to, co musiało się stać. Ale stało się to w sposób najgorszy, gdyż rząd ZChN posłużył się ujawnieniem agentów w ramach walki partyjnej, by zapewnić sobie w przyszłości monopol władzy. Również w tej sprawie interes wąskiej grupy wziął górę nad interesem narodu.

Czterdzieści pięć lat rządów PZPR pozostawiło w Polsce zrujnowaną gospodarkę i zrujnowane państwo. W teorii — odbudowa gospodarki jest łatwiejsza. Trzeba po temu przedsiębiorców, kapitałów, siły roboczej oraz odpowiednich ram instytucjonalnych. Pierwsze trzy były w Polsce obecne już w roku 1989 w stopniu większym niż się potocznie przypuszcza. Ale ramy instytucjonalne musiały dopiero zostać stworzone. Otóż w tej dziedzinie zrobiono bardzo mało. Tak mało, że można zadać sobie pytanie, czy kolejne rządy naprawdę dążyły do zbudowania w Polsce gospodarki kapitalistycznej czy też monetarystyczna polityka, zgodna ze wskazaniami Funduszu Walutowego, służyła im za alibi, by nie robić nic, co by istotnie temu sprzyjało. Bowiem budowanie kapitalizmu to nie tylko, a nawet nie przede wszystkim, przyciąganie kapitałów zagranicznych przy pomocy ulg i przywilejów. To przede wszystkim tworzenie warunków dla rodzimych przedsiębiorców. Wymaga to sprawnego państwa, przejrzystości decyzji w sprawach gospodarczych, właściwej poli-

tyki podatkowej, celnej, kredytowej. Ale Sejm i kolejne rządy zajęte były bardziej walką partyjną niż odbudową państwa i gospodarki. Toteż urzędników i polityków pospołu opinia publiczna posądza o korupcję, a dowodów ich niesprawności pełno w gazetach. W efekcie zniechęcono i kapitał zagraniczny, który chętniej kieruje się do innych krajów, i kapitał rodzimy. Kryzys gospodarczy Polski jest w zasadniczej mierze kryzysem politycznym. Kryzysem państwa, który nie tylko nie maleje, ale wręcz ulega zaostrzeniu.

Odbudowa państwa jest więc dziś sprawą najważniejszą. Tworzenie warunków dla rozwoju polskiego kapitalizmu winno być tego nieodłącznym składnikiem. Wszystko to łatwo napisać. Robienie tego jest i będzie niezmiernie trudne. Nie tylko z uwagi na historyczne dziedzictwo zacofania i na spadek po PRL. Również dlatego, że politycy i inteligenci często mają wyobrażenie o kapitalizmie z amerykańskich seriali telewizyjnych, bo, choć dużo bywali na Zachodzie, mało interesowali się realiami gospodarczymi innymi niż budżet domowy. Dlatego też, że wielu z nich więcej myśli o moralnej odnowie społeczeństwa polskiego niż o materialnych podstawach jego istnienia, przy czym odnowa moralna utożsamiana jest z wprowadzeniem represyjnej ustawy o aborcji. I dlatego przede wszystkim, że myślenie kategoriami państwa zdaje się być dziś w Polsce w stanie zupełnego zaniku. Bowiem myśleć kategoriami państwa — to uznać, wybiórczo rzecz jasna i krytycznie, ciągłość instytucji, jak to zrobiła druga Rzeczpospolita, gdy brała na służbę carskich generałów i austriackich urzędników. Myśleć kategoriami państwa — to również stawiać nie na rozdmuchiwanie czy zgoła kreowanie konfliktu wewnętrznego, ale na jednoczenie narodu wokół wspólnych wartości.

Rząd Olszewskiego przyczynił się w stopniu wybitnym do dalszego niszczenia państwa polskiego. A teraz, gdy został obalony przez Sejm, jego byli członkowie wołają o zamachu stanu, obwieszczają się ofiarami komunistycznego spisku i przystępują do zakładania organizacji poczętych z ducha wojny domowej i powołanych do tego, by jutro stać się bojówkami. Towarzyszy temu nieprzytomna nagonka na Lecha Wałęsę, której autorów w każdym praworządnym państwie należałoby ukarać z całą surowością prawa.

Spadkobiercy zabójców Narutowicza szukają nowego Niewiadomskiego.

9 czerwca 1992

Krzysztof POMIAN

ANTONI POSPIESZALSKI

Nie lubię globalnych ocen, bo z natury rzeczy jest w nich tyleż fałszu co prawdy. Toteż nie będę się bardzo upierał przy słuszności globalnego wrażenia, jakie odniosłem z miesięcznej podróży po Polsce, że butelka wcale nie jest do połowy pusta. Wprost przeciwnie, jest do połowy pełna. Oczywiście jest kryzys, ale nie pamiętam, kiedy w Polsce nie było kryzysu. Takiego czy innego. Przed obecnym kryzysem był kryzys Okrągłego Stołu, a przedtem kryzys stanu wojennego, a przedtem... Trwa gorączkowe poszukiwanie dróg wyjścia z kryzysu, ale kryzys polega właśnie na tym, że proponowanych dróg wyjścia jest tyle ilu partnerów. Istotnie, to co się dzieje w trójkącie prezydent-parlament-rząd i co oglądamy w telewizji budzi litość i trwogę i rozpacz. O tyle butelka jest pusta. Ale gdy tylko oderwiemy wzrok od pudła czy od gazety i rozejrzymy się dokoła, okazuje się, że jednak w butelce coś jest. Bardzo dużo jest. Okazuje się, że to co się dzieje na górze wcale nie jest aż tak bardzo ważne. Politycy i dziennikarze przeceniają swoją rolę. Bo nie tylko w Polsce można dobrze zjeść i to nie bardzo drogo (jak to odkrył niedawno nałogowy śledziennik Smecz), ale sklepy w ogóle pełne są wszelkiego dobra (jak to wszyscy od dawna wiemy). Pociągi i autobusy kursują punktualnie (te ostatnie bardziej punktualnie niż w Londynie). Ulice są czyste i kosze na śmiecie są regularnie opróżniane. W Poznaniu przypada jeden samochód na czterech mieszkańców. Ruch jest duży i jeździ to wszystko chyba w jakimś interesie, własnym czy publicznym. Oczywiście ludzie narzekają; mają prawo, bo butelka jest zaledwie do połowy pełna, a politycy i dzienniki dostarczają stałej pożywki do narzekań. Ale już nie psioczą na siebie wzajemnie, jak to kiedyś było w ogonkach. Zdumiewającym zjawiskiem jest wyrozumiałość, nawet życzliwość, dla „Ruskich", zalegających ze swymi towarami targowiska w każdym mieście i miasteczku. (A „Ruski" to także Białorusini, Ukraińcy, Rumuni i Cyganie.) Wielu z nich pracuje na czarno na budowlach; widać nie każdy Polak jest gotów pracować za marne półtora miliona miesięcznie. Żadnej ksenofobii, przeciwieństwo zdawkowych oskarżeń Polaków o nacjonalizm czy sobkostwo. Nie wszystko tu jest legalne. Paraliż „z góry" powoduje mgławicowość, jeśli nie pustkę prawną na dole. Ale to nie znaczy, że Polska nierządem stoi. Mimo braku sprawnych rządów i konstytucyjnej mgły Polska funkcjonuje. Podobnie jak Włochy, które miesiącami obywają się bez rządów. W warunkach wolności, jak widać, jest to możliwe.

U samej góry prócz prezydenta, parlamentu i rządu jest jeszcze jeden element władzy, który nazywa się potocznie „Kościół". Oczywiście nie jest to cały Kościół — podobnie jak naczelne organy władzy państwowej nie są jeszcze państwem — lecz tylko szczyt jego struktury organizacyjnej: prymas i biskupi. Organ władzy taki sam jak tamte — z tą różnicą, że o ile tamte są słabe i wewnętrznie skłócone, władza kościelna jest mocna, zwarta i zdyscyplinowana. Toteż organy władzy państwowej muszą się z nią liczyć. Było to bardzo pożyteczne za czasów komunistycznych. Jednej władzy autorytarnej przeciwstawiała się inna, równie autorytarna, i rezultatem było wydatne poszerzenie marginesu wolności. W państwie demokratycznym istnienie tak silnego autorytarnego organu, niezależnego od państwa i wpływającego na decyzje organów państwowych, jest mniej pożądane. Bo rezultatem jest ograniczenie wolności. Społeczeństwo — katolickie niemniej jak nie-katolickie — instynktownie wyczuwa to niebezpieczeństwo i to właśnie — i tylko to — jest przyczyną wyraźnego spadku autorytetu władz kościelnych w ciągu ostatnich trzech lat. Innymi słowy, społeczeństwo na nazbyt silną władzę kościelną reaguje tak samo jak na nazbyt słabą władzę świecką: ignoruje ją i robi swoje jak potrafi najlepiej. Nie jest to żaden bunt, lecz tylko — jak w stosunku do władz państwowych — postawa pewnej rezerwy, zaprawiona sporą dozą krytycyzmu. Chodzi ludziom o to, by państwo było takie, by je można było respektować, a Kościół taki, by go można było kochać.

Spotykałem się z tą postawą na każdym kroku, w rozmowach prywatnych i na łamach poważnej prasy. Dotyczy to nie tylko walki o ustawę anty-aborcyjną czy obowiązkowej nauki religii wzg. etyki w szkołach; na te sprawy ludzie już reagują znudzeniem lub zniecierpliwieniem. Dotyczy to również apeli na budowę kościołów, kolendowania po domach, wypadków nadmiernej pewności siebie czy arogancji księży. W sferze publicznej prawdziwym powiewem świeżego powietrza były niezwykle szczere i niezwykle mądre wypowiedzi Tadeusza Żychiewicza w przeprowadzonym z nim przez Adama Michnika wywiadzie w wielkanocnej *Gazecie Wyborczej*. Nikt nie mógł oskarżyć popularnego „Ojca Malachiasza" o to, że jest heretykiem czy wrogiem Kościoła (choć były i takie próby). Trudno też o to oskarżyć katolickiego redaktora stałego działu religijnego tejże *Gazety* Jana Turnaua, którego jedynym grzechem jest chyba, że zbyt gorliwie walczy o ekumeniczną współpracę z chrześcijanami innych wyznań. Obawiam się, że Janek nie mógł być bardzo zadowolony z względnego tylko sukcesu „Marszu dla Jezusa" przez ulice Warszawy 23 maja: w porównaniu do mas ludzkich wypełniających kościoły w każdą niedzielę udział katolickiej

Warszawy w tej ekumenicznej manifestacji był dość skromny. To samo, niestety, należy powiedzieć o obchodzie rocznicy powstania w getcie, w końcu kwietnia; obecność chrześcijan została zaznaczona publicznym odmówieniem „Ojcze nasz" przez ks. Czaykowskiego, ale to już było prawie wszystko. Przeważały delegacje żydowskie zza granicy, głównie z Izraela. Warszawa jakby się odwróciła tyłem do tej uroczystości. A przecież mieliśmy tak niedawno znakomity list pasterski Episkopatu na temat więzów łączących Kościół chrześcijański ze starszym bratem w Izraelu. Gotowość oficjalnego Kościoła do szerszego dialogu jest wciąż jeszcze ograniczona. W *Tygodniku Powszechnym* z 3 maja 1992 ks. biskup Józef Życiński z pewną nostalgią wspomina, również niedawną, „Wędrówkę wspólnego szlaku" z przedstawicielami odległej od religii lewicowej inteligencji; z całego artykułu wynika jednak, że wznowienie tej wspólnej wędrówki jest uzależnione od przyjęcia przez rozmówców katolickiego punktu widzenia.

Może więc łudzę się, jeśli widzę w tych dwuznacznych i połowicznych gestach ślad, że istnieje wśród hierarchii jako całości (bo nie wątpię, że istnieje u jednostek) świadomość potrzeby nowego otwarcia Kościoła na wymagania duchowe nie tylko tych co stoją mniej lub bardziej z dala od niego czy obok, ale i na wymagania duchowe swoich własnych wiernych, tych którym nie wystarcza zwyczajowa przynależność i formalne wypełnianie przykazań kościelnych. Ale wiem, że do takiego otwarcia prędzej czy później będzie musiało dojść, jeśli Kościół ma spełnić swoje misyjne zadanie w dojrzałym, demokratycznym i myślącym społeczeństwie polskim XXI wieku. Oczywiście takie samo czy podobne zadanie ma cały powszechny Kościół chrześcijański w różnych krajach Zachodu i Wschodu. Nie tylko polski Kościół jest w tym zapóźniony. I nie tylko papieski Rzym broni się rękami i nogami przed wejściem w XXI wiek. Ale Rzym też. Przeprowadzona w maju tego roku beatyfikacja ambitnego *guru* zelotów z *Opus Dei*, mocno przyśpieszona i mocno nieformalna, była jeszcze mniej potrzebna niż 123 beatyfikacje i 23 kanonizacje, które ją poprzedziły w ciągu obecnego pontyfikatu. Już do tej pory Jan Paweł II ustanowił historyczny rekord w tym względzie. Ale, zaprawdę, nie takich rekordów Kościołowi potrzeba. I nie tego oczekuje od Kościoła spragniony Boga świat. Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami.

Antoni POSPIESZALSKI

Historia w biegu — ruch prawostronny

1. Kryzys państwa, o którym pisałem poprzednio (*Kultura* 6/1992), zaowocował już, jak wiadomo, kryzysem rządowym. W dniach, kiedy piszę niniejsze, nie wiadomo jeszcze, czy w ogóle okaże się możliwe stworzenie nowego gabinetu, czy też kryzys pochłonie najpierw jeszcze inne naczelne instytucje, parlament i nawet prezydenturę, a skutkiem wymuszonych w ten sposób przedterminowych wyborów może być dosłownie wszystko, z zamieszkami, stanami wyjątkowymi i zamachem stanu włącznie. Z drugiej strony, w razie mniej dramatycznego rozwoju sytuacji, trwałość nowego gabinetu będzie wątpliwa, niezależnie od tego, który jego wariant się ziści: Pawlaka z PSL i małą koalicją na fotelach oraz KPN* i SLD w roli taktycznego wsparcia czy też Halla, z ugrupowań postsolidarnościowych, choć na pewno nie wszystkich. Nietrwałość wynikać będzie, paradoksalnie, z tego, że obecny kryzys, choć tak głęboki, jest za mało instruktywny: w dziesięć dni po upadku Olszewskiego klasa polityczna, w swej większości, nadal zdaje się nie przyjmować do wiadomości sensu wydarzeń. Jakoż niewiele i niewielu potrafi się nauczyć z kryzysu o tak zafałszowanym sztafażu, na który złożyła się m.in. owa sprawa agentów. Nic może nie świadczy równie dobitnie o niedorozwoju polskiej demokracji, jak ta przemożna skłonność do przedstawiania autentycznych dylematów politycznych i konfliktów prawdziwych interesów jako sporu moralnych racji. Nie dziwota, że każdy bałwan drapuje się z miejsca na Katona, a każdy bój o stołki, koncesje i pieniądze toczy się, jakże by inaczej, w imię dobra ojczyzny. Wypada więc przypomnieć, co już niejednokrotnie pisałem na tych łamach, że prawdziwym źródłem polskiego kryzysu jest szczególnie niszczycielska strategia przebudowy systemu: każdy kolejny nietrwały rząd przejmuje przy tym w schedzie po poprzedniku sytuacje, które wydają się zrazu nieodwracalne, procesy, których prędko zatrzymać nie podobna, toteż wbrew wszelkim zapewnieniom wyborczym i programowym polemikom, strategia nie ulega istotnym zmianom pozytywnym, natomiast blokują się tylko coraz to nowe mechanizmy

* KPN uchodzi za partię, która dąży do jak najszybszych wyborów i rzeczywiście jej ranking w sondażach rośnie. Ale afera lustracyjna mogła być czynnikiem, który nieco pohamuje dążenie KPN do konfrontacji wyborczej przynajmniej dopóki sprawa lustracji nie zostanie rozstrzygnięta, a oskarżenie przeciw Moczulskiemu wycofane.

wykonawcze, aż po szczyty władzy, i pada kolejny gabinet. Za rządów Olszewskiego zatarło się tak wiele, że można było mówić o kryzysie państwa. Jednakże bezradność władz i ich skłócenie są tylko jednym z aspektów kryzysu. Innym jest narastająca nieprzejrzystość sfery politycznej dla znakomitej większości ludzi. Wiele najważniejszych grup społecznych, zawodowych i pokoleniowych nie znajduje żadnej reprezentacji politycznej swoich interesów, ponieważ strategiczna destrukcja w gospodarce ciągle jeszcze dominuje nad twórczością, a żadna z partii nie potrafi zaoferować swym wyborcom w miarę jasnej i konkretnej perspektywy przyszłych osiągnięć, poza ogólnikami w rodzaju „gospodarki rynkowej" czy „przynależności do Europy". Ofiarom i wyrzeczeniom nie widać więc końca i w tym kontekście tradycyjne motywacje ideologiczne w swej umiarkowanej czy też cywilizowanej wersji przestają wystarczać. Rodzi się więc, po stronie polityków, zapotrzebowanie na uskrajnianie, podnoszenie głosu, demagogię i przemoc (tymczasem słowną). Jedynie wieś zdaje się być terenem relatywnie dobrze wyposażonym w reprezentację polityczną, przy czym szczególnym fenomenem jest PSL, najsilniejsza i najaktywniejsza partia chłopska; trzeba rzeczywiście ogromnej dozy złej woli, żeby nie dostrzegać, że 33-letni Waldemar Pawlak zawdzięcza swą tekę premiera niewątpliwemu sukcesowi własnemu i własnej formacji, nie zaś genezie ZSL. Był to z pewnością najlepszy wybór, jakiego mógł dokonać Wałęsa wśród polityków parlamentarnych, nawet jeśliby mu się w końcu miało nie udać sformowanie gabinetu.

2. Główną figurą retoryczną aktualnej fali demagogii i wprost kłamstwa politycznego w Polsce jest domniemana groźba „lewicowej recydywy totalitarnej", „rekomunizacji", „ofensywy komuchów" itd. Warto zwrócić uwagę, że w krótkich trzech latach po 4 czerwca 1989 jest to już kolejna fala tak skierowanej kampanii, ale zarazem oczywista jest eskalacja: od oskarżeń, że stara nomenklatura przerobiona na kapitalistyczną modłę okrada kraj, oskarżeń najzupełniej zresztą zasadnych, z tą tylko poprawką, że dokładnie to samo robi nomenklatura całkiem nowa, kombatancka — aż do tezy, iż szykuje się nawrót do realnego socjalizmu, jest taki mniej więcej dystans, jak pomiędzy atakami na nepmaństwo w Sowietach (1924) a stalinowską formułą o zaostrzaniu się walki klasowej w miarę rozwoju socjalizmu (1934). Świadomie przywołuję to drastyczne porównanie, ponieważ w zachowaniach narodowochrześcijańskiej koalicji mecenasa Olszewskiego jest zdumiewająco wiele podobieństw do takich rewolucyjnych wzorców. Warszawscy dowcipnisie bezbłędnie to wyczuli nazywając „olszewikami" obóz eks-premiera.

Racjonalna polemika z ludźmi, którzy by na serio i w

dobrej wierze dopatrywali się groźby „totalitarnej, lewicowej recydywy" w warunkach rozpadu sowieckiego mocarstwa i całkowitej kompromitacji realnego socjalizmu jest bezprzedmiotowa. Inaczej natomiast mają się sprawy, jeśli sięgnąć do rzeczywistych motywacji. Wbrew łatwym dziennikarskim wyjaśnieniom, chęć ratowania za wszelką cenę padającego gabinetu była mniej ważnym wśród motywów kampanii, zainicjowanej sprawą Parysa a uwieńczonej (jak dotąd) sprawą czarnych teczek. Chodziło o coś znacznie istotniejszego i głębszego, mianowicie o utrwalenie, uzasadnienie i legitymizację podziału Polaków na dwie kategorie, prawdziwszych i mniej prawdziwych, lepszych i gorszych, obywateli i półobywateli.

„...W grze jest pewien obraz Polski, jaka ona ma być. Może inaczej — czyja ona ma być. Jest Polska, była Polska przez czterdzieści parę lat — bo to jednak była Polska — własnością pewnej grupy. Własnością z dzierżawy, może nawet przez kogoś nadanej. Po tym myśmy w imię racji, własnych racji politycznych, zgodzili się na pewien stan przejściowy, na kompromis, na to, że ta Polska jeszcze przez jakiś czas będzie i nasza, i nie całkiem nasza. I zdawało się, że ten czas się skończył. Skończył się wtedy, powinien się skończyć, kiedy uzyskaliśmy władzę pochodzącą z demokratycznego wyboru. A dzisiaj widzę, że nie wszystko się skończyło, że jednak wiele jeszcze trwa i że to, czyja będzie Polska, to się dopiero musi rozstrzygnąć. To się będzie rozstrzygało także w jakiejś mierze, w jakiejś cząstce dziś, tutaj, na tej sali...". — Tak mówił w Sejmie w nocy z 4 na 5 czerwca jeszcze-premier Olszewski. Zdawał się nie pojmować, że jego retoryka go oskarża. „Czyja Polska", właśnie „czyja", nie „jaka" (jak kiedyś pytał wrzeszczących w pochodzie kombatantów Bóg z ognistego krzaka...): czy więc po właścicielach Polski Ludowej mamy dziś się dorobić właścicieli Trzeciej Rzeczypospolitej? Przyznam, że nie dostrzegam wśród „przeklętych analogii", jakie nasuwają się w takich okolicznościach, lepiej przystającej, niż kampania prawicy polskiej po wyborze Gabriela Narutowicza głosami lewicy i „metojków" z mniejszości narodowych...

3. Jest znamienne, że klin rozszczepiający klasę polityczną został wbity w „agentów", w „tajnych współpracowników". Oszczędzono nie tylko miliony eks-partyjniaków, z aktywistami, nomenklaturą i generalicją, ale nawet samych UB-eków i SB-eków. Czytelników przekonanych o słuszności poczynań posła Korwina-Mikke i eks-ministra Macierewicza, prosiłbym o chwilę refleksji nad takim chociażby faktem, że kiedy ekipa tropicieli agentów sporządzała swoje listy, to w gabinecie obok nadal urzędował płk Adam Dębiec, wsławiony brutalnością w stanie

wojennym i potem łowca opozycji, fachowiec, którego nie chciał się pozbyć z UOP żaden z ministrów solidarnościowych, z Macierewiczem włącznie... Istotnie, byłoby na pewno „niepolitycznie" atakować frontalnie te miliony polskich rodzin, z których rekrutowało się w przeddzień powstania „Solidarności" 3,2 miliona członków PZPR, a w 10 lat potem jeszcze 2,1 miliona, o „kolaborantach" już nie wspominając. I rzeczywiście, nie podobna obłożyć politycznym ostracyzmem całej tej kadry fachowej i administracyjnej, która z różnych względów i motywów zapewniała sobie lub zabezpieczała karierę przynależnością partyjną. Cokolwiek się mówi publicznie, trzeba po prostu przymknąć tę księgę rozliczeń, choć tylko Mazowiecki był dość uczciwy i naiwny, żeby się przyznać do grubej kreski. Wystarczy zatem przymknąć; diablego ogona niech wystaje tyle, żeby zainteresowani pamiętali o możliwości odemknięcia i otwarcia każdego *dossier*.

Całkiem inna sprawa z „tajnymi współpracownikami", którzy wzbudzają nie zwyczajną polityczną wrogość, lecz moralne obrzydzenie, a co najważniejsze, wcale nie są od nich, od komuchów, lecz od nas: dopiero ich sprawa będzie ostrzeżeniem dla stada. Nawet z wcale nie subtelnego *clair-obscur*, jakie stwarza ubecka kartoteka, z jej fałszerstwami, zafałszowaniami i przemilczeniami można skorzystać: właśnie to rozmazanie konturów prawdy pozwala nowej ekipie na wolny i dowolny „wybór". Potem wystarcza już rozdać 560 parlamentarzystom teczki z ubecką wiedzą, zastrzegłszy się dla porządku, że adresatów obowiązuje tajemnica, a zawartość teczek nie jest równoznaczna z pozytywnym orzeczeniem o winie. W trzy godziny potem tajemnica jest oczywiście złamana, a minister twierdzi, że dyspozycji z uchwały sejmowej z 28 maja (podać do wiadomości publicznej spisy agentów) nie wykonał, bo były niewykonalne. Zrobił co mógł. Ale 28 maja w dolnej palarni za salą sejmową tenże minister sam nanosił poprawki do tekstu proponowanego przez posła Korwina-Mikke: przyspieszał termin wykonania na 6 czerwca i rozszerzał zasięg badań aż do poziomu gmin. Korwin-Mikke twierdzi również, że minister zalecał, by objąć „upublicznieniem" także „świadomych kandydatów na tajnych współpracowników", ale na to projektodawca już się ponoć nie zgodził.

Dalszy ciąg jest znany. Komentatorzy, którzy żywią żelazną wiarę w logikę działań politycznych, utrzymują, że dobór agentów miał zapewnić nie tylko przetrwanie rządu, ale w ogóle przejęcie pełni władzy: prezydent podałby się do dymisji, *interrex*, czyli marszałek Sejmu również, a wówczas zdyscyplinowana większość wybrałaby nowego marszałka, czyli... prezydenta *ad interim*.

4. Upadek rządu Olszewskiego oznacza nie więcej jak tylko koniec pierwszego aktu. Nawet najbardziej optymistyczny ze znanych mi komentarzy, Adama Szostkiewicza w *Tygodniku Powszechnym*, nosi tytuł „Chwila oddechu". Jest najzupełniej pewne, że sprawa lustracji oraz, co istotniejsze, tkwiąca u jej podłoża sprawa, czyja jest Polska i ile jest kategorii Polaków, będą współorganizowały polską scenę polityczną aż do następnej serii wyborczej, zwłaszcza jeśli wybory zostaną rozpisane przed terminem.

Jest prawdą, że doraźnie inicjatorzy kampanii ponieśli porażkę. Nie tylko dlatego, że upadł gabinet Olszewskiego. Bezpośredni, brutalny atak zgalwanizował i małą koalicję UD-Liberałowie-PPG (polski program gospodarczy, dawne „duże piwo"), i prezydenta Wałęsę, który z miejsca wyrwał z rąk ustępujących ministrów kluczowe resorty MON, MSW i URM. Co więcej, pewien *Katzenjammer* zapanował też w dawnym obozie rządowym.

Wobec kryzysu, który przeciwstawił wiceprzewodniczącego partii, Macierewicza, przewodniczącemu Chrzanowskiemu — a już kilka dni wcześniej w klubie parlamentarnym ZChN atmosfera przy wyborach prezesa klubu była bardzo ciężka, Stefan Niesiołowski utrzymał się tylko 28 głosami przeciw 26 dla Marka Jurka — Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe jest w stanie szoku. Tym głębszego, że po wizycie nuncjusza Kowalczyka u Wałęsy, prymasa Glempa w Watykanie, obaj ci najwyżsi rzecznicy Kościoła uznali za wskazane zdystansować się od operacji z agentami: nuncjusz wyraził ubolewanie z powodu destruowania najwyższych autorytetów a prymas wskazywał, że prawdziwa dekomunizacja musi być sprawą pokoleń.

ZChN zachowa, być może, jedność organizacyjną, ale utracił dynamikę. To już nie jest ów niedawny ZChN z warszawskiego dowcipu*. Dynamika przeniosła się raczej do nowo wykreowanych formacji: Parysa Komitetów Obrony Rzeczypospolitej oraz Forum Chrześcijańsko-Ludowego Olszewskiego. Pierwsza z tych formacji zanosi się na jeszcze jedno zgrupowanie nawiedzonych, od Anny Walentynowicz do Krzysztofa Wyszkowskiego. W drugiej dominują wychodźcy z Porozumienia Centrum, ambitni, młodzi ludzie z ostatniego miotu NZS, którzy zaczynali u Jacka Kuronia, przeszli do Kaczyńskich i w

* Igrzyska w Rzymie. Na znak Nerona unosi się krata i na arenę wpadają lwy. Ryk, łomot, kłęby kurzu. Nic nie widać. Wreszcie robi się cisza, kurz opada. Lwy leżą pokotem, pourywane ogony, rozbite szczęki. Neron odwraca się z niesmakiem do swojego prefekta:

— Tygellinie, ty durniu, tyle razy ci mówiłem, chrześcijan wpuszczaj, chrześcijan, nie zetchaenowców...

końcu pod wodzą Hniedziewicza, w latach siedemdziesiątych młodzieżowca PAXu, przyłączyli się do Olszewskiego, który ma niedwuznaczne ambicje przewodzenia całej prawicy i ubiegania się o prezydenturę. Nie byłby to pierwszy wypadek, kiedy niepowodzenie na jakimś stanowisku staje się tytułem do kandydowania na wyższe.

Jarosław Kaczyński, polski mistrz intrygi (jak sam twierdzi, *ex aequo* z Bronisławem Geremkiem) uwikłał się samochcąc w supeł, na który może mu nie starczyć mistrzostwa. Rozgrywał wszystkich przeciw wszystkim, to zaś pod pozorem montowania koalicji wszystkich ze wszystkimi, teraz próbuje „powrotu do źródeł", do ideologicznej czystości solidarnościowca, ale brak mu wiarygodności. PC jest ostatnimi czasy partią, z francuska mówiąc, notabli, bardzo umiejętnie obsadzała stołki w terenie i w Warszawie, ale gdzie notable, tam też afery... Tygodnik *Wprost* oskarżył niedawno posła Z. z Porozumienia Centrum — po szczegółach nietrudno było rozpoznać Macieja Zalewskiego — o współdziałanie z Bagsikiem i Gąsiorowskim, i uprzedzenie ich o zamierzonym aresztowaniu... „Modliszki z PC" brzmiał tytuł artykułu; nic nie słychać o sprawie o zniesławienie.

Pominę charakterystykę mniejszych partyjek prawicy, ograniczając się do uwagi, że zachowanie ludowców z PL i PSL „S" zależeć będzie ostatecznie od sukcesu Pawlaka. Jeśli Pawlak ostoi się jako premier, a PSL jako trzon koalicji gabinetowej, to ludowcy solidarnościowi przyjdą do tego rządu jak opiłki do magnesu.

Istota przyszłej strategii prawicy i losy oczekiwanej kontrofensywy zależeć będą nie tyle od ewolucji w sztabach poszczególnych stronnictw, ile od terenowej bazy ruchu, to znaczy partii, rad gminnych i organizacji związkowych „Solidarności". Nowe elementy w tej dziedzinie pojawiły się zwłaszcza w Związku: jego struktura regionalna zdaje się raczej wspierać ekspremiera. Sieć natomiast, czyli koalicja wielkich zakładów przemysłowych, raczej prezydenta. To jednak tylko pierwsze przybliżenie, a dodatkowe komplikacje wnoszą wpływy KPN i gdzieniegdzie nowopowstałej Unii Pracy (dawna Solidarność Pracy z sojusznikami). W każdym bądź razie jest zupełnie wyraźne, że aktyw związkowy „S" jest do ostateczności rozgoryczony i że miota się pomiędzy rozmaitymi oferowanymi mu przez polityków demagogiami. Dopóki Związek nie dopracuje się jakichś zaczątków choćby nowej strategii gospodarczej, jego działalność będzie się dzielić na rozpaczliwą szarpaninę rewindykacyjną i wybieranie wariantu demagogii politycznej; sądzę, że preferencje znacznej większości aktywu zyska oferta Jana Olszewskiego, o której tu była mowa, legitymizująca „prawa własności" NSZZ „Solidarność" do Polski. Prawa, oczywiście,

na gębę. Ale nie wiadomo, z kolei, ilu związkowców przyzna się w godzinie próby do swego związku. Wałęsa przypominał swym krytykom na ostatnim zjeździe „S", że w 1988 roku z wieńcem pod gdański pomnik chodził z garstką dwustu, trzystu ludzi. Tylu was wtedy było, pyskaczy, a dzisiaj, to po coś Wałęso tyle odstępował przy okrągłym stole...

5. Jest pewien aspekt ostatnich wydarzeń politycznych w Polsce, o których mówi się zbyt mało: zmiana pokoleń. Niebywale przyspieszone zużycie pokolenia „Solidarności" sprawia, że rośnie znaczenie politycznych wyborców z najmłodszej generacji dorosłych Polaków. W kwietniowym badaniu na ogólnopolskiej próbie uczniów ostatnich klas dziennych szkół średnich i zasadniczych zawodowych CBOS ustalił, że cztery piąte młodych uważa własne cele życiowe za nieosiągalne (w kwietniu 1991 — dwie trzecie) przy czym 22% sądzi, że za pięć lat ich szanse na zrealizowanie planów życiowych jeszcze zmaleją (w kwietniu 1991 — 11%), 40%, że nie ulegną zmianie (32%) i 35%, że wzrosną (56% przed rokiem), 75% młodych opiniowało, że polityka rządu Olszewskiego nie stwarza szans wyjścia z kryzysu (22% było przeciwnego zdania). Jest przy tym znamienne, że tylko 39% badanych opowiada się za zdążaniem do kapitalizmu; 28% preferuje formy pośrednie pomiędzy kapitalizmem a socjalizmem, 30% nie ma zdania, socjalizm popiera zaledwie 3%. Nie jest to więc na pewno rezerwa dla „totalitarnej lewicowej recydywy", ale nie jest to także pokolenie wyznawców liberalizmu gospodarczego (64% młodych odrzuca tezę o bezrobociu jako koniecznym warunku przemian, a jedynie 28% ją przyjmuje). Lektura wyników ankiety tłumaczy znakomicie, dlaczego rapowiec, Kazik Staszewski, jest idolem młodzieży w Polsce, a jego bluźniercza piosenka „Jeszcze Polska..." z refrenem „Coście, skurwysyny, uczynili z tą krainą, pomieszanie katolika z mafią postkomunistyczną..." — największym przebojem.

Aktualni studenci to w Polsce roczniki spacyfikowane: kiedy zaczynali studia, główne problemy polityczne kraju były właśnie rozwiązywane, a potem uwagę absorbowały gwałtowne zmiany zainicjowane powstaniem wolnego rynku, otwarciem granic itd. A teraz znów przychodzi czas znaków zapytania i szukania drogi. Jest to w istocie dla życia politycznego w Polsce nowa szansa. Pozostaje mieć nadzieję, że będzie wykorzystana uczciwiej i w sposób mniej obrzydliwy niż wykorzystano 17 młokosów zaangażowanych w UOP przy sporządzaniu czarnych teczek. Hartowania stali było dosyć.

Warszawa, 14 czerwca 1992

Krzysztof WOLICKI

Dziennik pisany nocą

Neapol, 10 kwietnia 1992

Castel Nouvo, Nowy Zamek, potocznie zwany *Maschio Angioino*, Chłopiec Andegaweński, w związku z płaskorzeźbą w górnej partii frontonu, nad bramą wjazdową, położony jest w pobliżu głównego portu. W ciągu dnia i zwłaszcza wieczorem, nie mówiąc o północy i „małych godzinach" po północy, między zamkiem i portem szumi ludzki wrzątek marynarzy (przeważnie cudzoziemskich), prostytutek, waluciarzy, ulicznych złodziejaszków, sprzedawców torebek z „białym proszkiem". Od czasu do czasu okrzyki wściekłości lub bólu zwiastują bijatykę, na ogół nożowniczą, niekiedy jednak znaczoną strzałami rewolwerowymi. Tłum cofa się wówczas na chwilę, z daleka widać w świetle lamp neonowych, na chodniku czy na jezdni, krwawy owoc starcia. Pobojowisko znika szybko, wchłonięte przez nieustanny potok przechodniów. Rzadko wdziera się tu przy dźwięku syren wezwany przez kogoś samochód policyjny.

Nowy Zamek, zbudowany w trzynastym stuleciu, odbudowany w piętnastym, wielokrotnie potem rujnowany i restaurowany, konstrukcyjnie oparty na cylindrycznych wieżach z wewnętrznymi arkadami, portalami i krużgankami, ma prawo szczycić się zachowanymi do dziś dziełami rzeźby i malarstwa, lecz stracił naturalnie splendor posiadany w dawnych epokach; przestał być groźnym, nadmorskim zamkiem warownym, stał się nędznym cieniem swej minionej świetności, o którym lud nie wyraża się już inaczej jak „ten nasz chłopiec andegaweński".

W niedziele i święta, gdy poczynając od marca dopisuje pogoda, a w każdym razie w kwietniu, maju i czerwcu, na dużym skwerze przed zamkiem i po jego bokach, od wczesnego rana do zmierzchu, władzę obejmuje „ludność podzamcza", tłum rodziców z dziećmi, młode pary, emeryci. Wzruszał mnie i

radował zawsze ten widok, ilekroć przechodziłem obok zamku. Szczególnym urozmaiceniem jest tu (i w parku miejskim), na początku marca, karnawał dziecięcy. Maleńkie dzieci, poruszające się z powagą, niekiedy z lękiem w załzawionych oczach, prowadzone przez wniebowziętych rodziców, dla których ten karnawał jest konkursem miniaturowych kostiumów, jak dla ich dzieci jest zajrzeniem do świata wyobraźni dorosłych. Potem, wiosną i latem, miejsce krótkotrwałej feerii dziecięcej zajmuje miłość młodych na trawniku, dreptanie starych ludzi na żwirowanych ścieżkach, pławienie się w Słońcu Południa. I to Słońce Południa właśnie każe mi pamiętać, za każdym razem gdy mijam zamek, przeważnie w drodze do portu, że tu powstał *Gród Słońca*: w więziennych lochach zamku, w ciemnicy do której rzadko i na ułamek sekundy tylko docierał promień światła dziennego, w bezgranicznej samotności uwięzienia, w ciszy przerywanej łoskotem fal morskich, które obmywały skałę warowni. Napisał go w roku 1602 dominikanin Fra Tommaso Campanella, wtrącony do więzienia inspirator i przywódca „spisku kalabryjskiego". *La Città del Sole*, dziełko napisane najpierw po włosku, w roku 1623 wydane po łacinie jako *Civitas Solis*.

Nie może w moim zapisie zabraknąć bardzo pobieżnej biografii Brata Tomasza. Urodził się w biednej rodzinie chłopskiej, w kalabryjskiej wsi Stilo. Nad wiek rozwinięty, już w piętnastym roku życia był klerykiem. Zaraz potem wstąpił do zakonu dominikanów, który początkowo przynajmniej traktował jako jedyne dostępne dla siebie miejsce nauki. Zaczął od arystotelesowskiej logiki i fizyki. Pierwsze własne próby pióra trąciły herezją, toteż osadzono go w klasztorze zamkniętym. Uciekł z niego i odtąd wybrał los włóczęgi, płodny w traktaty filozoficzne, które nie dochowały się do naszych czasów. Neapol, Florencja, Padwa. W piątym roku włóczęgi aresztowała go Inkwizycja i poddała torturom. Święte Uficjum kazało go przewieźć do Rzymu, gdzie jego towarzyszem za kratami był Giordano Bruno. Między torturami nie przestawał pisać, broniąc swoich poglądów filozoficznych przed oskarżeniami Kościoła. Gdy wzmogły się podejrzenia o herezję, zmuszono go do publicznego wyparcia się głoszonych myśli, po czym izolowano go w klasztorze na Awentynie. Znowu jednak Święte Uficjum zwęszyło w nim ukrytego heretyka, co tym razem pociągnęło za sobą nakaz powrotu do rodzinnej Kalabrii. Uknuł tam „spisek kalabryjski" przeciw „kleryko-Hiszpanom", zdołał do niego wciągnąć nawet skory do najazdu oddział turecki. Spisek pomogły wykryć donosy, spiskowców wyłapano i rozgromiono. Zapłacili przywódcy, przede wszystkim Campanella. W Neapolu osądzono go za herezję i rokosz, wielokrotnie torturowano i wreszcie wydobyto zeń na mękach przyznanie się do winy. By uniknąć szubienicy, Campanella symulował obłęd; prawo hiszpańskie i kościelne nie karało śmiercią chorych umysłowo. W ciemnicy Nowego Zamku przesiedział dwadzieścia sześć lat, do roku 1626. Prócz *Grodu Słońca*, napisał tam szereg dzieł: trzydziestotomową Teologię, osiemnastotomową Metafizykę, traktat przeciw doktrynom Machiawela, obronę Galileusza. Uwolniono go na krótko dzięki wstawiennictwu papieża Urbana VIII, ale jego ponowna filipika publiczna podczas procesu wytoczonego przez Święte Uficjum Galileuszowi sprowadziła nań łączne gromy Inkwizycji i władz hiszpańskich. Ambasador francuski w Rzymie (Campanella był zwolennikiem królestwa uniwersalnego pod berłem Francji) przeprawił go potajemnie do Paryża, gdzie z oznakami czci i podziwu pokłonili mu się Ludwik XIII i kardynał Richelieu. W kilka lat potem umarł w klasztorze dominikanów na Rue Saint-Honoré.

By uniknąć szubienicy, symulował obłęd. Powtarzają to wszyscy autorzy życiorysów Campanelli, unikając wyjaśnienia jak symulował, w jaki sposób zdołał powstrzymać ręce gotowe już założyć mu pętlę na szyję. Jeden tylko autor pisze zagadkowo: „Czcicielem będąc Natury, codziennie bił pokłony Słońcu, którego oczy jego nie mogły wszak widzieć w podziemiach Nowego Zamku". Czy sędziom i nadzorcom Campanelli wystarczało to, aby wystawić świadectwo obłędu? Było wiadomo, że dominikański heretyk uważał Jezusa Chrystusa za „dobrego człowieka a nie Boga", gdyż „nie ma innego Boga poza Naturą", nie powinno zatem dziwić osobliwe trochę u zakonnika, ale nie szalone, oddawanie czci niewidzialnemu Słońcu. Historycy żachną się może, usłyszawszy moją śmiałą hipotezę, ale dopóki nie wskażą sami jak Campanella symulował obłęd, muszą spokojnie rozważyć to co mam do powiedzenia. Otóż twierdzę, że sędziowie i nadzorcy Campanelli potraktowali jego codzienny obrzęd słoneczny jako symptom tylko, oczekując czegoś więcej. I doczekali się. Zaczął pisać *Gród Słońca*, którego kartki zapełniane nerwowym pismem dzień w dzień zanoszone były do więziennej kancelarii i tam uważnie czytane. Owocem obłędu Campanelli była jego Utopia. Sam gatunek opisu nieistniejącej nigdzie wyspy szczęśliwej, fantazji na temat społeczeństwa doskonałego, nie stanowił naturalnie wynalazku Campanelli. Począwszy od *Republiki* Platona, poprzez *Utopię* Sir Thomasa More'a, aż do *New Atlantis* Francis Bacona, ścigano z zapałem wizję harmonijnego ludzkiego współżycia. Podejrzewam jednak, że wykształceni sędziowie więzienia w Nowym Zamku neapolitańskim uznali *Gród Słońca* za owoc nie umysłu przenikliwego, obdarzonego wyobraźnią, pomysłowością i znajomością człowieka, lecz po prostu ciężko chorego. I podejrzewam, że Campanella chciał celowo taki właśnie efekt osiągnąć; tak symulował

obłęd. Jego dziełko napisane jest w formie dialogu między Genueńczykiem z ekspedycji Kolumba (który opowiada o napotkanej w podróży wyspie) i Szpitalnikiem z Zakonu Jerozolimskiego. Tylko w jednym fragmencie dialogu widać przebłysk rozumu filozofa. Genueńczyk: „Gdy mieszkańcy wyspy pozbywają się miłości własnej, pozostaje komuna". Szpitalnik: „A więc nikt nie zechce pracować, oczekując by pracowali inni, jak Arystoteles powiada w polemice z Platonem". Genueńczyk: „Nie umiem dyskutować, ale upewniam cię o jednym: tak kochają swoją ojczyznę, że zachwyt wprost bierze". Reszta jest obłąkana, łącznie z pożyciem seksualnym mieszkańców i mieszkanek wyspy (do obłędu przyłącza się tu komizm), z rytuałami w Świątyni Słońca, z rządami metafizyka w asyście trzech ministrów i przy pomocy kapłanów.

Realizowane Utopie, „Utopie u władzy", tyle kosztowały żyć i cierpień ludzkich, tyle wytoczyły krwi i przelały łez, że pociechą jest myśl o jednej choćby z nich, która ocaliła jedno przynajmniej ludzkie życie. Przyznaję, że ten aspekt mojej hipotezy wydaje się po doświadczeniach naszego stulecia najbardziej pociągający: Campanella uratowany przez swój *Gród Słońca*.

14 kwietnia

W wieku dziewięćdziesięciu lat Sir Karl Popper należy do najmądrzejszych ludzi na świecie. Należy do nich w tym sensie, że góruje nad mądralami, nad tłumem mędrków, którzy na każdy temat mają coś do powiedzenia według dewizy „najpierw szybko powiedz, a dopiero potem zastanów się". Ilekroć przemawia Popper, pod jego słowami widać czystą, prostą i przejrzystą konstrukcję myślową. *Społeczeństwo otwarte* było kiedyś lekturą dla nielicznych. Dziś, na pogorzelisku „systemów ideologicznych", jest — a raczej winno być — ewangelią życia zrzeszonego.

Papież w rozmowie z dziennikarzem turyńskiej *La Stampa* przypisał Popperowi opinię, że marksistowski totalitaryzm zawalił się z przyczyn przede wszystkim materialnych, gospodarczych. W rozmowie z Barbarą Spinelli, w tymże dzienniku, Popper prostuje to twierdzenie. Nigdy nic takiego nie powiedział, zawsze uważał kryzys komunizmu za śmiertelną chorobę duchową. Natomiast nie nazwałby (za papieżem) *pieriestrojki* „duchową konwersją", od której wszystko się na Wschodzie zaczęło. I nigdy nie byłby skłonny (też za papieżem) tak wysoko stawiać Gorbaczowa i tak wiekopomne przyznawać mu zasługi. *Pieriestrojka* była pustym słowem, nigdy niczego nie „przebudowała". Gorbaczow zapisał się trwale w historii hasłem

głasnosti, a nie mesjanistyczną paplaniną na temat *pieriestrojki*. Zawsze byłem dokładnie tego zdania, jaka to satysfakcja usłyszeć coś podobnego z ust Poppera. Jan Paweł II zakochał się zbyt lekkomyślnie w Gorbaczowie, „od pierwszego wejrzenia", i tę miłość niepotrzebnie zaszczepił swoim ojczystym wychowankom. Zgadzam się również z Popperem, że w społeczeństwach postkomunistycznych radykalne wyrugowanie państwa i radykalna stawka na pełną prywatyzację prowadzą donikąd, i to do dramatycznego donikąd z wieloma groźnymi niewiadomymi. Od początku robili na mnie wrażenie głupców z urodzenia albo świadomych szkodników pyskacze, perorujący o „przyspieszeniu", o „drodze na przełaj czy na skróty". Będziemy (jeżeli będziemy) wracać do zdrowia powoli, stopniowo, bez cudów nad Wisłą. Najistotniejsze dla Poppera, także z gospodarczego punktu widzenia, jest stworzenie solidnych ram prawnych w krajach zdewastowanych przez komunistyczne bezprawie. Przeciętni obywatele wyczuwają to w Polsce doskonale, preferując w sondażach Ewę Łętowską (i nie przywiązując żadnej wagi do jej niskich notowań w opinii Kościoła). Solidne ramy prawne przyczynią się może do wykarczowania tej dżungli, jaka wyrosła w Polsce na dzikich polach komunizmu: dżungli, która jest mieszanką arrywizmu, meskinerii w podchodach i podstępach „politycznych", przepychanki „makiawelicznych" drobnoustrojów zwanych partiami, korupcji, obgryzania bez żenady i bez wstydu chudej kości zostawionej przez komunistów, bombastycznych frazesów w stylu Moczulskiego czy Macierewicza, „wielkiej gry" Kaczyńskiego, prezydenckiego ględzenia po próżnicy. Święty Karolu Popperze, módlmy się z Tobą do rozumnego Społeczeństwa Otwartego.

17 kwietnia

Generał Dubynin, dowódca wojsk b. ZSSR w Polsce, nauczył się widocznie traktować Polaków jak stado baranów. Stalin mawiał o Zachodzie *wsio progłotiat*, wszystko przełkną, Dubynin ma zdaje się podobne wyobrażenie o Polakach. Nie zanadto się myli, skoro jego „rewelacje" w *Gazecie Wyborczej* (miesiąc temu) postawią, według warszawskich korespondentów prasy zachodniej, w „kłopotliwym położeniu" tych posłów na Sejm, którzy na początku roku wystąpili z wnioskiem powołania przed wysoki Trybunał generała Jaruzelskiego i pozostałych architektów stanu wojennego.

„Rewelacje" brzmią tak. „Tylko dzięki wprowadzeniu stanu wojennego, chyba to było 13 grudnia (zawodzi generalska pamięć!), zbrojna interwencja ZSSR w Polsce została wstrzymana.

Uważam, że generał Jaruzelski postąpił słusznie. Jeśli by tego nie zrobił, to 14 grudnia nasze dywizje wkroczyłyby na terytorium Polski. Wszystko było gotowe". Dziennikarze pytają: „Kiedy rozpoczęliście przygotowania?" Generał odpowiada: „Miesiąc czy półtora przed 13 grudnia" (generalska pamięć wciąż zawodzi!). Następuje opis sowieckiej przewagi militarnej i bezsilności Polaków, po czym Dubynin radzi „podziękować Jaruzelskiemu, on bowiem tę sytuację uratował". Jaruzelski wyciągnął natychmiast rękę do pocałowania w wywiadzie-komentarzu radiowym, i nie jestem pewien czy zawiśnie ona w próżni (na dalszą metę).

Sowiecki durak w mundurze generalskim ma i lichą pamięć i lichy pomyślunek. Jeśli przygotowania do inwazji trwały „miesiąc czy półtora" (błaha różnica dla dowódcy dywizji na Białorusi...), to naturalnie wiedział o nich Jaruzelski. Na co więc czekał ze swoim stanem wojennym, który według znawców musiał być przygotowywany od plus minus pół roku? Na dokładną datę rozkazu inwazyjnego. Dowiedział się o niej, powiedzmy, 10 grudnia. Z pewnością nie wcześniej, bo takich brzemiennych rozkazów nie wydaje się za wcześnie. Wytrzymał nerwowo do godziny za pięć dwunasta. Dopiero wtedy puścił w ruch swój mechanizm stanu wojennego. A gdyby się ten mechanizm nagle zaciął? Wojska inwazyjne wkroczyłyby do Polski, według pierwotnego planu, 14 grudnia o świcie. I najeźdźcy, uznawszy, że Jaruzelski „postąpił niesłusznie" i nie potrafił „uratować sytuacji", skróciliby go o generalską głowę.

Za sołdackiego duraka trudno uważać generała Dudnika, który w *Moskowskich Nowostiach* nawiązuje do świadectwa Dubynina. Jego wersja wydarzeń jest subtelniejsza, powinna skłonić Jaruzelskiego do cofnięcia ręki wyciągniętej do pocałowania. Po pierwsze, celem bezustannych manewrów sowieckich było „solidnie zadudnić nad polską granicą". W to chętnie wierzę, owo „dudnienie" miało zagrać na nerwach wszystkim zainteresowanym, Białego Domu (z Brzezińskim) nie wyłączając. I zagrało. Ale (zdaniem generała Dudnika) „generał Dubynin myli się utrzymując, że przygotowania do inwazji na Polskę rozpoczęto na miesięc, półtora przed 13 grudnia; rozpoczęto je nie później niż wiosną; a już w lecie otrzymaliśmy z Moskwy dyspozycje utrzymywania w pełnej gotowości bojowej jednej dywizji, oraz rozpoznania marszruty ku granicy". Jednej dywizji! No, no, nie za wysoko oceniano zdolności Polski do oporu, na „dudnienie" jednak (trochę głośniejsze) wystarczyło. Pod koniec listopada planowanie w Moskwie zostało zakończone. Nocą z 1 na 2 grudnia odbyły się wspólne ćwiczenia sowiecko-polskie. Pewien pułkownik polski, dowódca dywizji pancernej „załkał". „Towarzysze generałowie! Zrobimy wszystko, by nasi żołnierze nie strzelali. Ale jednak lepiej nie wkraczajcie! Poradzimy sobie sami!". Dudnik kwituje „łkanie" pułkownika polskiego: „Dzięki wam, bracia Polacy. Poradzicie sobie. I wybawiliście nas dzięki temu od kolejnego śmiertelnego grzechu internacjonalistycznej pomocy". Podobnie, zwięzłą formułą „Jaruzelski nas wyręczył", i komplementami pod adresem naszego Konrada Wallenroda, załatwił sprawę Mołotow, choć „internacjonalistyczna pomoc" nie była dla niego z pewnością „śmiertelnym grzechem". Szczególnie cenny w wersji generała Dudnika jest fragment: „Wojciech Jaruzelski bynajmniej nie po to 13 grudnia wprowadził do Warszawy sześć dywizji i proklamował stan wojenny, by uprzedzić wkroczenie sojuszniczych wojsk 14 grudnia. Jego celem było przeciwdziałanie przewidzianej na 17 grudnia w Warszawie akcji społecznego protestu. Był to — jak sam później powiedział — trzeźwiący szok, w trakcie którego obie strony (*sic!*) uwolniły się od elementów ekstremistycznych".

Tu zbliżamy się do prawdy. Twierdziłem zawsze, z uporem maniaka, że Jaruzelski podjął 13 grudnia nie próbę ocalenia Polski przed wojskami Paktu, lecz próbę ocalenia władzy komunistycznej przed Solidarnością (przy mylącym akompaniamencie „dudnienia" sowieckiego).

W *Zeszytach Historycznych* Andrzej Albrecht przytacza swoją rozmowę z generałem Juliuszem Hibnerem w sierpniu 1981. Albrecht: „Myśli pan, że Rosjanie tu przyjdą?" Hibner: „Nie sądzę. Żaden odpowiedzialny dowódca sowiecki nie będzie ryzykował czegoś w rodzaju skoku z trampoliny do pustego basenu. To przecież oznaczałoby ugrzęźnięcie w działaniach wojennych na czas nieokreślony. A oni ciągle jeszcze nie mogą się wygrzebać z Afganistanu i zrobią wszystko, aby to zadanie było wykonane polskimi rękami".

Zadanie zostało wykonane polskimi rękami, co tak zachwyciło Mołotowa, niezbyt skorego na wzór Mistrza do pochwał. Rzecz naturalna i zrozumiała. Mniej zrozumiałe, mówiąc delikatnie, jest „oczyszczanie" Jaruzelskiego przez bojowców Solidarności. W Polsce, moim zdaniem, odbywa się systematycznie niszczenie moralnych, psychicznych i politycznych podstaw „bezkrwawej rewolucji". Jeden bojowiec szczyci się braterskim całuskiem z Jaruzelskim, drugi w pogoni za „oryginalnością" publicznie „przeprasza za Solidarność" (na benefis „elitarnych" saloników warszawskich), trzeci wsłuchuje się nabożnie w „głos prawdy" Kiszczaka. W Polsce czyli nigdzie... Straszne jest uczucie poszerzania się, z każdym dniem, tego „nigdzie".

(Dopisane 20 kwietnia. W *Corriere* ukazał się rozdział książki Jaruzelskiego, wydanej w Paryżu. Nicią przewodnią jest stan wojenny jako narzędzie „obrony, ocalenia socjalizmu").

24 kwietnia

Gwiazdą na pustawym angielskim firmamencie literackim jest George Steiner, wykładowca literatury angielskiej i porównawczej w Cambridge i w Genewie, krytyk literacki *New Yorker*'a. Dziesięć lat temu oszołomił londyńską publiczność teatralną przeróbką swej noweli *The Partage to San Cristobal of A. H.* (pisałem o niej w dzienniku). Inicjały w tytule oznaczały starego już Adolfa Hitlera, schwytanego w Południowej Ameryce przez wysłanników wywiadu izraelskiego. Na pustkowiu nad Amazonką izraelscy agenci improwizują próbny proces, w którym podsądny występuje w samozwańczej roli Żyda *honoris causa* i prawdziwego twórcy Izraela; w roli nieomal Mesjasza, chlubiącego się doprowadzeniem resztek ocalałych Żydów do Ziemi Obiecanej przez Morze Czerwone krwi bratniej i przez pustynię usypaną z bratnich popiołów. Co po przeczytaniu tej noweli mogłem powiedzieć o autorze? Że zręcznie posłużył się literackim chwytem prowokacji, przekraczając przy tym dla wzmocnienia efektu wszelkie granice i depcząc wszelkie miary. Dziwiłem się oszołomionej publiczności londyńskiej, która sztuki nie wytupała i nie wygwizdała. I przestałem interesować się Steinerem.

Nie jest dobrą rzeczą uprzedzać się nieodwołalnie. W ciągu tych dziesięciu lat Steiner napisał szereg książek wartych zdobycia i lektury, sądząc z zachwytów krytyki włoskiej. Chwilowo czytam obszerny wywiad z nim, niektóre fragmenty dwukrotnie, chociaż epidemia wywiadów i ankiet obrzydziła mi już tę dziennikarską łatwiznę. Tak, tak, sam powinienem to był wielokrotnie powiedzieć wprost, a mówiłem tylko w odpryskach, okruchach, aluzjach. Jakby Steiner *za mnie* zreasumował istotę rzeczy. „Twierdzi pan — powiada dziennikarz — że powieść, symfonia, obraz nie mogą wznieść się na szczyty formy, jeśli ich autor nie przeżywa problemu istnienia lub nieobecności Boga. Absolutna obojętność metafizyczna doprowadziłaby do śmierci sztuki?". Steiner: „Leopardi jest przykładem wielkiego artysty ateisty, przykładem rzadkim, może jedynym. Nie jest nim Rimbaud, który wznosi okrzyki przeciw Bogu. Od Pasternaka i Brodskiego do Kafki, różne formy religijności dają o sobie wyraźnie znać. Wielka sztuka umarłaby, gdyby zatriumfowała filozofia pragmatyczna, dla której metafizyka jest sprawą zbyteczną, bez wpływu na artystę, obojętną. Prawdziwy ateizm, poczucie nieobecności (Boga), to coś innego: czekać na Godota, wobec Godota który nie nadchodzi... Oczekiwanie jest wielkim obszarem wyobraźni; głupi, kto oczekiwanie nazywa bezużytecznym majaczeniem".

Pamiętam jak Kundera zaperzył się na próby (nieśmiałe zresztą) wskazania religijności Kafki. Dość inteligentnie streścił *Proces*, trzymając się cały czas na przyzwoitą odległość od pokusy interpretacji metafizycznych. Jakież to zubożenie wielkiej książki Kafki! Zgodziłem się ostatnio napisać przedmowę do drugiego tomu opowiadań Kafki po włosku; zawiera on m.in. *Jamę* i *Dochodzenia psa*. Kundera ujrzałby zapewne alegorię społeczno-polityczną w tych dwóch arcydziełkach poszukiwania religijnego.

29 kwietnia

Wojaże sentymentalne, nieomylny znak starzenia się, rosnącej potrzeby spojrzenia po raz ostatni na miejsca, które zostawiły trwały ślad w młodości. Mało w nich ocalało ze starego obrazu, a jednak...

Miałem dziś okazję pojechać do Campobasso przez Venafro. Venafro było bazą bitwy pod Monte Cassino, tam toczyły się przygotowania. Po długim pobycie w angielskim szpitalu pod Salerno skierowano mnie do angielskiego obozu dla rekonwalescentów w Sorrento, gdzie odbywała się zaprawa fizyczna przed odejściem na front. Zdążę jeszcze pod Monte Cassino? Codziennie po ćwiczeniach zanudzałem angielskiego sierżanta-szefa, kiedy mnie zwolni. Odpowiadał niezmiennie, że decyzja należy do lekarza. A lekarz ociągał się, sądząc pewnie że idzie w ten sposób na rękę rekonwalescentom. I pewnie miał rację, ale nie w moim wypadku. Wreszcie wystękał swoje *all right* i podpisał certyfikat. Pędziłem jak szalony autostopem do Venafro, wiedziałem już, że tam trzeba się stawić. Zdążyłem, i to z szerokim marginesem czasu. Tak szerokim, że któregoś dnia wybrałem się do pobliskiego Campobasso, dowiedziawszy się że w miasteczku (było miasteczkiem, dziś już dużym miastem) zakwaterowano część Oddziału Kultury i Prasy. W Campobasso poznałem Czapskiego. Zdaje się, że wczesnym wieczorem poszliśmy na spacer w kierunku Zamku zbudowanego przez Cola di Monforte, hrabiego Campobasso, w XV stuleciu. Stojąc dziś na dziedzińcu między Zamkiem i o wiele późniejszym Sanktuarium, wspomniałem naszą rozmowę na spacerze. Czapski był wtedy przejęty jedną myślą: ratować przynajmniej młodych, trzymać ich z daleka od frontu, skończyć wreszcie z nieustanną daniną krwi. Proponował mi wyreklamowanie z oddziału liniowego do Kultury i Prasy. Jak gdyby nie rozumiał, czym dla nas na linii, młodych i nie młodych, była długo oczekiwana i *upragniona* Bitwa.

1 maja

Sprawa stanu wojennego, oczekiwanej „lada dzień" inwazji wojsk Paktu Warszawskiego, Jaruzelskiego w roli „zbawcy Ojczyzny" staje się orgią łgarstwa. Generał Dubynin zapewniał ostatnio, że zbrojna interwencja ZSSR została w ostatniej chwili wstrzymana „tylko dzięki wprowadzeniu stanu wojennego". Wystawił więc dobre świadectwo Jaruzelskiemu, który chwycił go się oburącz jak pijany płotu. Ale co mówił Dubynin trochę dawniej? Że żadna sowiecka interwencja zbrojna nie wchodziła w ogóle w grę, że minęły czasy „błędów węgierskich i czechosłowackich". Warto zastanowić się chwilę, jakie są kulisy tego turnieju kłamstw. Odbywa się chyba dość skomplikowana operacja (z udziałem niektórych „bohaterów Solidarności") „pełnej rehabilitacji" Jaruzelskiego. Za wcześnie odpisano go na straty! Sądzą tak nie tylko generałowie sowieccy, którym z różnych względów miła jest myśl powrotu Jaruzelskiego na scenę polityczną. Sądzą tak również Mitterrand i Dumas, rozmyślając o królestwie Ubu. Zawiódł elekryk z Gdańska, trzeba postawić (jak zawsze zresztą w wypadku Polaków) na zasłużonego Generała. A któż bardziej godzien jest tego miana od architekta stanu wojennego, ogłoszonego tuż przed wybiciem groźnej północy na zegarze dziejowym? Generał odnosi się życzliwie do owych dalekosiężnych zabiegów, w Paryżu z okazji chrzcin autorskich poprawia swój *image*. Poprawia go z jednej strony wizją nieodłącznego pistoletu samobójczego, który miał położyć kres jego patriotycznym rozterkom czy nawet mękom. A z drugiej strony twierdzeniem, że stan wojenny przyspieszył bieg wypadków historycznych: zamiast ośmiu lat czekalibyśmy osiemdziesiąt na okrągły stół i kto wie kiedy pojawiłby się Gorbaczow ze swoją *pieriestrojką*. Dzielny choć nieco hamletyczny zwycięzca w wojnie jaruzelsko-polskiej, pochłonięty bez reszty poprawianiem swojego *image* we Francji, ociera się tu o zwykły debilizm polityczny. On, zaufany człowiek Moskwy, nie zdawał sobie sprawy na początku lat osiemdziesiątych jak głęboki i *bliski* jest kryzys w ZSSR? Osiemdziesiąt lat! Że też jego solidarnościowy asystent nie skrócił mu tej cyfry w imię rosyjskiego wezwania *wri no mieru znaj*.

8 maja

„Stan wojenny był przecież walką o większą suwerenność. Po stanie wojennym — wyznaje Jaruzelski w tasiemcowej rozmowie z Michnikiem — czułem się znacznie mocniej wobec

szanownego Leonida. Przedtem się tłumaczyłem. Potem mogłem mówić trochę inaczej". Niezwykłe, zaiste, wyznanie. Oto jak Generał rozumiał suwerenność. No pewnie że „czuł się znacznie mocniej", skoro skrupulatnie wykonał rozkaz (jego apologeci twierdzą, że prawidłowo zareagował na nacisk czy szantaż) „szanownego Leonida". To tak, jakby urzędnik w biurze poczuł się mocniej wobec swego szefa po wzorowym wykonaniu wszystkich jego poleceń; „większa suwerenność" urzędnika polega wówczas na tym, że przychodzi nieco później do biura i wraca nieco wcześniej do domu. Michnik replikuje: „Stan wojenny poszerzył tylko pańską suwerenność jako szefa państwa. Natomiast radykalnie zmiażdżył podmiotowość społeczeństwa". Replika Michnika niewiele jest mądrzejsza od wyznania Jaruzelskiego. Obaj mają w gruncie rzeczy prawie identyczne pojęcie o „suwerenności ograniczonej i poszerzonej". Ale tak „poszerzać suwerenność" może byle dureń; wystarczy by wiedział, co to *ruki po szwam*.

Osobliwa ta rozmowa, powiedziałbym że raczej Jaruzelski przeprowadza wywiad z Michnikiem, niż Michnik z Jaruzelskim. Mówi głównie Michnik, Jaruzelski jest w swoich wypowiedziach ostrożny i oszczędny. A co i jak mówi Michnik? Sporządza, jak zwykle, bogaty koktail. Czasem rzeczowe, inteligentne i wnikliwe uwagi; obok nich wysoki diapazon egzaltacji, jeśli nie histerii; skłonność do pouczania i strofowania; wysokie wzloty patriotyzmu i niskie upadki wulgarności; absolutna pewność siebie; rosnący z dnia na dzień egotyzm, nieomal chorobliwy w obecnym stadium. I oczywiście wszystko wie lepiej, nie dopuszcza jakichkolwiek wątpliwości. Drobny, niestety osobisty przykład. Michnik wspomina o moim *Innym Świecie* i natychmiast dodaje „ale tego nikt nie przeczytał". Przerywa mu Jaruzelski: „Był tłumaczony na jedenaście języków". Michnik: „Co z tego? Drukowały to antykomunistyczne oficyny, to się nie liczyło". *Inny Świat* ukazał się najpierw w wielkim londyńskim wydawnictwie William Heinemann, które trudno doprawdy nazwać „antykomunistyczną oficyną". I miał, prócz doskonałych recenzji, dwa wydania w ciągu bardzo krótkiego czasu.

Osobliwość tej rozmowy polega na tym, że lewicowiec Michnik zwaraca się niby do przedstawiciela ustroju totalitarnego, lecz traktuje go jako lewicowca innej obediencji. Jaki ma sens wykłócać się o to, kto jest odpowiedzialny za takie lub inne posunięcie (rząd czy opozycja), jeśli wiadomo co stanowi fundament filozofii komunistycznej? Władzy nie oddamy. Nie zgodzimy się na żadną dwuwładzę. Można ewentualnie pertraktować z opozycją, kiedy siedzi w kryminale, albo ustawia się z punktu w pozycji klęczącej. Usłyszę tu naturalnie o „okrągłym stole". Napisałem już w swoim czasie i powtarzam: „okrągły

stół" był wstępem do nieuchronnej kapitulacji, władza mogła jedynie machać szablą przy odwrocie, Jaruzelski dobrze wiedział, że agonia systemu sowieckiego będzie szybka, potrwa krócej niż osiemdziesiąt lat...

Michnik nazywa tę rozmowę „lekcją dialogu", a nawet „wspólnym zwycięstwem nas obu". Ja sądzę inaczej, i jestem pewien że podobnie jak ja sądzi znakomita większość społeczeństwa: zarówno obranie Jaruzelskiego pierwszym prezydentem R.P., jak gesty w rodzaju rozmowy z Michnikiem, zamazują podstawę psychologiczną i moralną odzyskanej niepodległości, pogłębiają konfuzję i obojętność społeczną. Wielkie przemiany narodowe muszą przez jakiś czas żyć swoją legendą. Zgubne, w każdym razie niebezpieczne, jest jej deptanie i lekceważenie.

Pouczające *post-scriptum*. Sowiecki *Ogoniok* przyniósł pod datą 17-24 sierpnia 1991 (numer podpisano do druku 13 sierpnia, czyli sześć dni przed puczem) wywiad z Jaruzelskim. „W roku 1982 — zapewnia generał — prawie 70% Polaków zgodziło się z koniecznością wprowadzenia stanu wojennego... Obecnie 65% uważa, że trzeba było wprowadzić stan wojenny... Ma się rozumieć, nie uważam stanu wojennego za panaceum, dźwignięcie tego ciężaru było dla mnie wielkim przeżyciem. Ale w końcu doszedłem do wniosku, że mogę i powinienem podjąć taką odpowiedzialność. Niedopuszczalne byłoby narażanie kraju na coś jeszcze gorszego".

Ogoniok dorzuca do wywiadu swoje trzy grosze: „Generał Wojciech Jaruzelski odegra jeszcze rolę w polityce Polski".

Więcej nie powiem. I po raz ostatni poruszam tę sprawę w moim dzienniku.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Grzech

Wiadomość, że umiera mu ojciec dotarła doń jeszcze nad morzem. Napisał mi o tym zaraz w pierwszym liście. Było już po sezonie, hotel świecił pustką; depesza musiała wywołać w recepcji małe poruszenie. Skoro bowiem tylko stanął w wejściu i, jeszcze podtrzymując plecami drzwi, na które z siłą napierał wiatr, zaczął otrzepywać z wody parasol, kierownik przerwał rozmowę z panienką siedzącą przy telefonicznej centralce, prawie jednocześnie obydwoje odwrócili w jego stronę głowy i potem prowadzili go przez hall wzrokiem pełnym natarczywej ciekawości. Pewnie tę depeszę nawet otworzyli, przeczytali, napisał mi w tym samym liście. Wyczuł to, kiedy tamten zawołał, jakby przekrzykiwać musiał tłum: „Proszę pana! Panie Bem, telegram dla pana!" (choć poza nim nie było w hallu żywej duszy, panowała cisza, a ta wątła cząstka wiatru, która wśliznęła się za nim do wnętrza, nim zatrzasnął drzwi, wybrzmiewała szybko coraz cieńszym chichotem, przedrzeźniając: „...nie Bem..., legram dla... na") i w twarzy miał już tę jakąś łatwą, odpychającą gotowość wylewnych pocieszeń, że może jeszcze nie jest tak źle, nie należy tracić nadziei, zarazem zawodowo uroczyste, podniosłe skupienie, jakby od razu chciał złożyć mu wyrazy współczucia w imieniu swoim, dyrekcji i całego personelu nawet.

Więc na ułamek sekundy zawahał się i gardło mu się zacisnęło, jak przy zderzeniu z czymś niewidzialnym, nieznanym i zagrażającym. A przecież tak naprawdę to od pierwszej chwili wiedział, co go czeka. I trzymał kopertę w palcach ostrożnie, jakby kryła wewnątrz ładunek wybuchowy i zaraz miała eksplodować. Choć kiedy ją wreszcie rozerwał i przebiegł oczami treść depeszy, nie zmienił się na twarzy. Wolno złożył ją z powrotem na czworo i, wsuwając do kieszeni, zapytał tylko kierownika hotelu, czy będzie możliwe zamówienie dlań miejsca w najbliższym pociągu pośpiesznym do P., stamtąd przesiadkę do Z. zła-

pie już pewnie bez trudu, i słowa te aż wstrząsnęły nim całym, kiedy ledwo rozpoznał swój cichy, lecz zupełnie zrównoważony głos. Tamten zaś kiwnął wtedy głową, że tak, da się zrobić, choć z wyraźnym zawodem i potępiającą dociekliwością w oczach. Byłem jednak absolutnie spokojny, napisał mi. Nic na to nie poradzę, byłem spokojny, nie czułem nic, napisał mi później.

Potem w swoim pokoju nieśpiesznie pakował walizkę. Jego ręce wykonywały przeróżne konieczne czynności bezwiednie, niemal mechanicznie, ale sprawnie, gdy tymczasem słuch wciąż był na dworze, zajęty tamtym nieustającym poświstem wiatru, tłumionym wprawdzie ścianami i okienną szybą, jednakże słyszalnym dobrze, w którym brzmiało coś, jak mu się zdawało, szyderczego, myśli zaś, jakby uniezależnione od tego, w co się wsłuchiwał i od czynności rąk, dotykały wielu spraw naraz; dotykały i zaraz odskakiwały od nich szybko. Więc myślał o konieczności wysłania do Warszawy wiadomości, że może o kilka dni spóźnić się do pracy, że poza tym należałoby zatelefonować do matki, powiedzieć jej co z ojcem i zapytać, czy przyjedzie do Z., choć przypuszczał, że to zbyteczne, matka wie pewnie wszystko, skądże by, jeżeli nie od matki właśnie, nadawczyni depeszy zdobyła jego urlopowy adres, do Z. zaś matka nie pojedzie, nawet jeśliby chodziło o pogrzeb. Potem myślał o tej samotnej kobiecie tam w Z., czego się po nim spodziewa, czego oczekuje i czy ma on wobec niej jakieś zobowiązania (lecz od tej ostatniej myśli zaraz się odepchnął), a później o sobie, że przez te lata, które minęły, rzadko o niej myślał albo nigdy (choć przecież zapamiętał jej twarz, jakby widział wczoraj). I jeszcze myślał o braku ciepłej bielizny, że w Z. może być już zimno, musi ją więc zaraz kupić po przyjeździe na miejsce, w końcu zaś o tym, czy brat, który przed swym wyjazdem za granicę odwiedzał ojca w więzieniu, mówił coś o stanie jego zdrowia, ale nie mógł sobie przypomnieć. Może nie pytałem go o to wcale, napisał mi. Może bałem się, a może już wtedy wiedziałem wszystko najgorsze.

Zaczęło zmierzchać, gdy odezwał się telefon i ugrzeczniony głos panienki z recepcji zapytał, czy może być pierwsza klasa, bo na drugą miejscówki sprzedano, nic nie da się zrobić, chyba żeby spróbował sam dowiedzieć się u konduktora; odpowiedział, że nie, nie ma ochoty, że zgoda, może być pierwsza i poprosił o przygotowanie rachunku, a potem, miast zejść na kolację, stanął przy oknie i wtedy już w ogóle bez żadnej myśli patrzył przez szybę na zaciągnięte przemieszczanymi szybko z miejsca na miejsce przez wiatr chmurami niebo, które przecinały przelatujące daleko dzikie gęsi, i na prawie czarne pod nim morze.

Później jednak, gdy za ścianą zapłakało dziecko i nagle, rozdrażniony głos mężczyzny, głośno, jakby to nie za ścianą było, ale tuż, u niego w pokoju, powiedział: „Chyba sobie głowę odrąbię, żeby tego nie słuchać", kobieta zaś, wydając różne nieartykułowane dźwięki, bez słów, starała się je ponownie uśpić, to czekał, aż to nastąpi w tak straszliwym, wciąż rosnącym napięciu, jakby z powodu krzyku tamtego obcego dziecka sam też chciał sobie głowę odrąbać, ale gdy umilkło, nie odprężył się wcale. Przez chwilę jedynie wydawało mu się, że wie, co mówił brat o ojcu i raptem zatrząsł się cały, zaraz jednak przypomnienie przepadło, pogrążyło się znowu tak dokładnie w niepamięci, jakby w jego życiu nie tylko ojca nie było, lecz brata też, a przecież, jeżeli nawet wszystko inne mógł zapomnieć, to tego nie powinien był na pewno.

Wciąż patrzył na kłębiące się morze i puste, zmywane pianą, oślizłe molo, nad którym kołysały się na drutach niezapalone jeszcze latarnie, na trzy łodzie uwiązane do pali poniżej mola, przechylające się na boki, szarpane do tyłu i przodu w czarnym kożuchu morszczyny i glonów, i miał wrażenie, że na rozpalonej twarzy czuje chłód niesłabnącego nawet przez chwilę, przesyconego jodem wiatru, choć okno było szczelnie zamknięte. Wreszcie telefon na stoliku nocnym rozdzwonił się powtórnie, lecz tym razem słuchawki już nie podjął, tylko szybko przerzucił przez ramię płaszcz i, ująwszy walizkę, opuścił pokój, a potem zszedł na parter. Jeszcze, regulując w recepcji swe należności, zostawił adres, na który chciał, aby kierowali korespondencję, gdyby jakaś nadeszła (choć nie sądził, żeby miała nadejść), jeszcze krótko słuchał uważnie wyjaśnień ugrzecznionej panienki, jej „dziękuję", i jeszcze poprosił o dodatkowe wyjaśnienie czegoś, co wydawało się mu niezmiernie ważne i zaraz je otrzymał, w taksówce jednak wszystko to uleciało mu doszczętnie z głowy. Ale to nie było tak, żebym się buntował, że muszę tam jechać, napisał mi. Nie myślałem o konieczności, nawet o obowiązku, przyjąłem za naturalne i zrozumiałe, że jadę. Nie opuszczało mnie tylko przeświadczenie, że to bezcelowe, napisał mi. I że po niewczasie, napisał mi jeszcze później.

Czekając na dworcu (bo pociąg z Gdyni był spóźniony o dwadzieścia minut, a wydawały się godziną, albo i więcej) stał w podmuchach zimnego, dżdżystego wiatru, tu tylko szumiącego przytłumionym głosem, wciskającego się jednak natrętnie za kołnierz, szepczącego do ucha, ale już bez szyderstwa, bez groźby. I patrzył w tunel z mgły i szarego nieba tworzący się nad torami, myśląc, nawet przewidując, że wysiądzie o świcie w Z. w nabierającym mocy przenikliwym zimnie i w huraganie spadającym gwałtownie w dolinę, który być może przygna wkrótce także białą zamieć (choć dopiero zaczął się listopad), a w rozrzedzonej ciemności ośnieżone szczyty gór będą bliskie, jak na wyciągnięcie ręki i że potem skulony, przyciskając kolanami

walizkę, pojedzie dorożką (rano była to taksówka, napisał mi) ulicą wspinającą się na zbocze między parterowymi zazwyczaj domkami, o tej porze tak pustą, jakby w czasie, kiedy jego tam nie było, wyludniła się cała miejscowość (czego by sobie w samej rzeczy życzył), lecz przecież tu i ówdzie zapalą się już w oknach pierwsze światła, jakiś mężczyzna, prawdopodobnie jednak kobieta, stać będzie nad kuchenką, stawiając coś lub zestawiając z gorącej płyty i nagle, zwabiona (lub zwabiony) kłapaniem kopyt samotnego konia na zewnątrz, przerwie swe czynności, zbliży się do szyby, przylgnie do niej twarzą i jej (jego) oczy, jeżeli zdołają przeniknąć mrok, rozszerzą się zdumieniem albo nawet pojawi się w nich wzgardliwe odepchnięcie. To miało być tak, jakbym po latach musiał znaleźć się w tym samym miejscu, skąd wyszedłem, napisał mi. Z tymi samymi pytaniami, domagającymi się odpowiedzi, napisał mi jeszcze.

Wciąż stał na odsłoniętym peronie, nie ruszając się, ziębnąc zwolna coraz bardziej i przez cały ten czas nie przyszło mu do głowy, ażeby schronić się pod dach, tak że w końcu, gdy pociąg już się wtoczył, poczuł w całym ciele osłabiające wyczerpanie, jakby nie było z mięśni, ścięgien i kości, ale napełnionym odpadkami gumy albo rozmoczonymi trocinami workiem, który zaraz pęknie z trzaskiem i tę luźną, niespoistą zawartość wysypie na ziemię. Mimo to w czasie drogi do P. nie zasnął. Z odchyloną do tyłu na oparcie głową, z wyciągniętymi przed siebie daleko nogami, pół leżąc, przesiedział w pustym przedziale w odrętwieniu sześć godzin prawie, rozmyślając tylko o widokach za oknem, dopóki coś było widać, później o swym hotelowym pokoju z widokiem na molo, w którym czekał ponad trzy tygodnie na przyjazd kobiety, którą kochał, o tych zwariowanych telefonach do niej, żeby przyjechała, choćby na niedzielę i że za każdym razem miała jakieś pilne sprawy na głowie, wykład, którego nie mogła opuścić, powtórkę egzaminu, którego nie można było przesunąć, albo po prostu czuła się zbyt zmęczona. I o matce myślał, że może po otrzymaniu depeszy należało do niej zatelefonować. Jakkolwiek tak jak wtedy, tak i teraz też był pewny, że nie miałoby to większego sensu, niemal słysząc ją, że i on nie powinien, ma być ostrożny, spotkanie z ojcem może mu zaszkodzić, że się narazi, że zostanie to gdzieś tam do jego akt pewnie wpisane i przy okazji mu przypomniane; nic więcej nie mającej mu do doradzenia. I choć w rzeczywistości zapewne wcale by nie powiedziała tego, bo nie przeszłoby jej przez usta, ten jej lęk, tę panikę wyczuwałby tylko w jej głosie i widziałby w jej oczach, gdy tymczasem mówiłaby o czymś innym, byłoby to przecież tym samym. A potem myślał, że to dobrze, że jedzie sam, bo gdyby jechał z matką, kłóciliby się całą drogę; ona by płakała, on zaś musiałby się usprawiedliwiać, że tak, jak powiedział, nie myślał, lecz myślał inaczej. I poczuł ulgę, że jedzie sam. Ale myśl o tym, że nie wie, że nie może sobie przypomnieć, co mówił brat o ojcu (jak już w tamtej chwili, kiedy rozerwał kopertę z depeszą i ją przeczytał), miała dalej być przy nim jątrząca, kalecząca coś w nim w środku i nie dająca spokoju.

Więc, żeby się od niej oderwać, słuchał szumu wiatru za oknem, którego nasilające się, to słabnące zawodzenie wciskało się wyraźnie między miarowy łoskot kół pociągu i zastanawiał się, czy to wciąż jeszcze tamten wiatr od morza, czy też już wiatr z gór, czując się uwięziony, jak w skorupie, w samym jego rdzeniu. Ale przez cały czas nawet jeden raz nie pomyślał o ojcu w Z. Ani o tamtej kobiecie przy ojcu. O nich razem też nie. W P. złapał połączenie zaraz po dwudziestu minutach i znowu miał miejsce w pustym przedziale, i znowu nie mógł zasnąć. Dopiero wtedy pomyślał.

2

Ostrożnie sięgnął do kieszeni po złożoną w pół kopertę, wydobył z niej kartkę depeszy i przeczytał raz jeszcze, choć każde słowo przekazywane mu przez tamtą kobietę z Z., która miała staroświeckie, cudzoziemsko brzmiące imię Faustyna, a której kiedyś nawet w myśli nie nazwał zrazu inaczej niż właśnie kobietą, zapamiętał tak dokładnie, że mógłby wyrecytować z pamięci. Ale jednak przeczytał raz jeszcze słowo po słowie, jakby każde wymagało osobnego rozważenia i zrozumiał, że wiedział już od dawna, przynajmniej od chwili, kiedy ojca wypuścili z więzienia, że to kwestia kilku miesięcy, pół roku, roku chyba nie, i cały czas czekał na wiadomości, kiedy to nastąpi, tylko że nie chciał o tym myśleć, bo jednocześnie musiałby zacząć dociekać kim dla siebie byli, kiedy i dlaczego stali się sobie obcy.

Bo przecież nie wtedy jeszcze, na samym początku, kiedy dowiedział się, że ojca nazywać ma stryjem, gdyż żył on na papierach swego brata, zabitego w czterdziestym drugim roku w czasie próby wymknięcia się z jakiejś ulicznej łapanki, i te stryja papiery okazały się w kilka lat później w sam raz dla ojca dobre; on sam wprawdzie w latach wojny ledwo zdołał z krótkich spodni wyrosnąć i we wszystkim tym, w czym (chcieli czy nie chcieli) udział brali dorośli, udziału nie brał, to potem, po wojnie już dorosłym był i rozumiał, że ojciec musi się ukrywać.

Więc może nastąpiło to nieco później? Dopiero kiedy odkrył, że kobieta prowadząca ojcu gospodarstwo (choć prowadziła je podobno ojcu już w tej leśniczówce, gdzie zawiadywał party-

zancką wytwórnią amunicji), nie tylko mu je prowadzi, ale i żyje z nim jak żona, i pierwszy raz wtedy zapragnął dowiedzieć się, jak jej naprawdę na imię. Bo ojciec mówił do niej po prostu Fał, a on już zrozumiał, że to żaden z tych wojennych pseudonimów, którymi niekiedy nawzajem się nazywali, toteż kiedyś zapytał: Jak na imię tej kobiecie?, właśnie tak: „kobiecie", gdyż miał siedemnaście lat, ona zaś wprawdzie nie więcej niż dwadzieścia pięć albo sześć, no, może siedem, ale z perspektywy tych jego siedemnastu patrząc, słowo „kobieta" w jego ustach do niej pasowało, nie było wrogie, i choć jednocześnie (był teraz przekonany) nienawidził jej wtedy najbardziej, to wcale nie myślał jej dotknąć. Więc, kiedy zapytał ojca: Jak na imię tej kobiecie, to pewnie tylko ojciec wyczuł to, czego tam w jego słowach wprawdzie nie było, ale co kryło się jak gdyby za nimi, tę niechęć, tę nienawiść tajoną głęboko, mimo to objawiającą się nieraz w spojrzeniu, w jakimś nieopatrznym, nieostrożnym geście, w pojedynczym słowie. Ojciec bowiem uniósł głowę znad książki i zaraz z trzaskiem ją zamknął, podrywając się z fotela z tą niespożytą jeszcze zręcznością, tą gotowością do ataku, wyniesioną jeszcze z wojny, którą reagował, kiedy tylko poczuł się zagrożony, choć z upływem czasu coraz bardziej stawały się te cechy niczym więcej, jak mechanicznie powtarzanym nawykiem; i patrząc jak gdyby na wylot przez niego i poza niego oczami pociemniałymi z gniewu (w tym jednak momencie naprawdę twardymi, znowu młodymi) powiedział: Faustyna jest moją żoną, a że nie mamy ślubu, jest bez znaczenia w sytuacji, kiedy ja także na papierach nie swoich żyję, ale brata, i żeby on nie próbował z nim, ojcem, wojny o jej obecność w tym domu.

Czy też znacznie, ale to znacznie później? Wtedy, kiedy miał już dziewiętnaście lat i kiedy przygotowując się do matury, zapisał się do komunistycznej organizacji młodzieżowej, lecz przyznał się do tego ojcu dopiero po fakcie, ojciec zaś (tym razem rozmowa toczyła się przy stole) przestał nagle jeść, odsunął talerz, sięgnął po karafkę z wodą i zapytał, czy takie są jego przekonania, a on odpowiedział bez namysłu i szybko, że w tym wypadku nie mają nic do rzeczy przekonania, zresztą nie wie, co znaczą te różne nowe przekonania, nie miał czasu ich poznać, zaczepnie, cynicznie, ale że bez legitymacji organizacyjnej nie ma większych szans dostania się na uniwersytet, i na koniec, że nie da sobie życia zniszczyć przez ustrój.

Czy też jeszcze później? Kiedy miał z tego domu odejść. Tego wieczora, kiedy już z Faustyną myśleli, że ojca aresztowano, więc gdy wrócił, powiedział do ojca: Tato, pierwszy raz mówiąc „tato", bo zawsze mówił mu „ojcze", a wtedy „tato" powiedział, co będzie, gdy cię zabiorą, a ojciec zwrócił się do niego twarzą i powiedział tych kilka słów o obowiązku wier-

ności swojej drodze, których sens po latach dopiero udało mu się przeniknąć.

Ich wzajemnym stosunkom towarzyszyło w tamtym czasie wciąż wzrastające napięcie, dające o sobie znać nie tyle w samych słowach, bo słowa były zazwyczaj najzwyklejsze, banalne, co w tonie, w sposobie ich artykułowania albo w jakimś nieopanowanym, znaczącym ruchu, w spojrzeniu. Już zresztą od początku jego pobytu w Z., jak cień, stała między nimi matka, z którą ojciec nie zszedł się po wojnie ponownie. A mimo, że to on sam postanowił od matki się uwolnić i do ojca się przenieść (choć przekonywała, że da sobie radę, lecz może właśnie dlatego: jej zapobiegliwość i zachłanna miłość drażniły go) i ojciec przyjął go z otwartymi ramionami, nie mógł ojcu darować tego zubożonego przez jego odejście dzieciństwa, ojciec zaś o tym wiedział.

Ale między czasem, kiedy miał dopiero siedemnaście lat, a czasem, kiedy skończył dziewiętnaście (niebawem zaś ten tak krótko wspólny dom zamierzał opuścić, by już potem nie zaznać prawdziwego domu, choć niczego bardziej w życiu nie pragnął), zrozumiał, że nie chce być do ojca podobny. Nie chciałem być, jak ojciec, przegrany, napisał mi. Nie chciałem być, jak on, odstawiony przez życie gdzieś na boczny tor. Nie chciałem się wciąż bać. Choć ojciec nie ustawał w próbach przekonania go, że coś wkrótce musi się zdarzyć i wiele się zmieni, że jeszcze istnieje jakaś międzynarodowa sprawiedliwość, a jeżeli nie sprawiedliwość, to wspólny interes. Ja zaś nie miałem ani o jednym, ani o drugim większego pojęcia, napisał mi. Ale wiedziałem jedno jeszcze z czasów wojny, że sprawiedliwość, nawet boska, jest zawodna. Więc choć milczałem, często dochodziło między nami do starć, napisał mi później.

Jak tego dnia, kiedy ojciec miał po południu wizytę tajniaka z powiatowego UB i długo potem nie mógł się uspokoić, powracając wciąż z uporem do tych samych pytań, które postawił zaraz po tamtego wyjściu: Czy to naprawdę domowa wojna rozpętana przez polską prawicę przeciwko chcącym dźwignąć kraj z ruin komunistom? Czy też rozpaczliwa, beznadziejna samoobrona narodu przed zaczynającą się ponowną okupacją?

Siedzieli wtedy wieczorem w pokoju, gdzie stało radio. I gdy ojciec skończył wysłuchiwanie komunikatów „Głosu Ameryki", to on kręcił gałką, przedstawiając je na jazz z Nowego Jorku transmitowany przez Tanger, bo już był ten czas, wpierw był zawsze „Take the train" Duce'a Ellingtona, a potem Billy Counover prezentował audycję „Jazz and Songs"; zwykle nie przeszkadzali sobie z ojcem nawzajem. Ale tego wieczoru stało się inaczej. Ojciec bowiem nie miał zamiaru iść do siebie, powiedział: Przestań, wyłącz, ogłuchnąć od tego można, i zaraz,

jakby to on, jego syn, za tamtą węszącą wizytę tajniaka ponosił winę, zaczął zacinającym się głosem, z gniewem mówić o zaciskającej się pętli inwigilacji i że niemożliwe, aby zło wzięło górę, bo przecież to, co oni, komuniści, robią, doprowadzi kraj do ruiny. A potem z zapamiętałą nieustępliwością człowieka, który straciwszy tak wiele, nie chce jeszcze tracić swych najgłębszych ideałów, odwoływał się do swej drogi życiowej, do swego własnego doświadczenia, przeczącego skaczącym zewsząd z plakatów na murach do gardła hasłom, kiedy zaś już innych argumentów mu zabrakło, do dumy, której pozbywać się nie należy nawet po przegranej. I mówił, że ta duma (a ojciec rozumiał ją też jako wolę, wierność i zdecydowanie) pozwoli przetrwać niesprzyjające okoliczności i stać się może kiedyś w przyszłości zarzewiem zrywu i jeszcze jednego, i następnego, aż suma tych zrywów obali te, zdawałoby się nie do obalenia przeszkody, piętrzące się na drodze do ostatecznego celu, chociażby miał to być cel odległy, jak życie pokolenia albo dwóch, lub nawet trzech.

W słowach ojca mieszał się szum wojskowych sztandarów z brzękiem aresztanckich kajdan. Przywoływały one w jego wyobraźni sceny grottgerowskich sztychów, wiszących niegdyś w jego pokoju dziecięcym, wspomnienie wierszy, jakich uczyła go dawno temu babka, odrażająca woń ziemianek i okopów pierwszej wojny światowej z opowiadań wujów, tętent kawaleryjskich koni, miarowy jazgot taczanek i łoskot artyleryjskiego, posuwającego się drogą eszelonu z wojny bolszewickiej, wspominanych przez ojca; także wycie niemieckich sztukasów nad szosami, które sam słyszał kiedyś i zapamiętał, a nawet mrok leśnych szałasów partyzanckich, których wprawdzie nigdy na własne oczy nie widział, lecz które pojawiały się przecież przez kilka niedawnych lat natrętnie w jego snach, kiedy wieczorem pomyślał o nieobecnym ojcu i potem mu się śniły jeszcze długo, wciąż wywołując jakieś nieokreślone poczucie winy i wyrzut sumienia, choć mieszkał już z ojcem i był dorosły, i snów tych nie mógł się pozbyć.

Mimo to podniósł twarz i wtedy popatrzył na krążącego po pokoju ojca pierwszy raz niemal wrogo. Jednocześnie czując, że to nie on, lecz ojciec ma rację i z tego powodu w sobie tępy, bezmyślny bunt. A potem przekręcił nieco gałkę radiowego aparatu i, gdy wyciszona przed chwilą muzyka znowu zabrzmiała natarczywie głośno, słuchał jej milcząc i krótko zdawało mu się, że ojciec słucha jej też, choć jakby ze zdumieniem. Popatrzył na ojca ze zniecierpliwieniem; na tego chudego, ascetycznego mężczyznę niewiele po pięćdziesiątce, wciąż jeszcze nie chcącego złożyć broni (garbiącego się jednak, kiedy zapominał, że trzymać się ma prosto, a zapominał coraz częściej), i bunt przeciwko

temu, co on mówił, w nim rósł. Był przekonany, że słowa ojca, te wszystkie przypominane przez ojca zasady, cnoty i ideały nie są przydatne na nic, i że nic nie można z nimi począć w sytuacji, w jakiej się znaleźli. Że wprawdzie nie zmarły, nie, wciąż jeszcze żyły, ale leżały już jak gdyby wdeptane w ziemię bezsilne, niepotrzebne, tylko drażniące swą bezsilnością. I wraz z buntem czuł coraz większą złość. Dlatego powiedział do ojca: No dobrze, ale co ty z tej twojej wierności teraz masz? Jeszcze się musisz ukrywać, na co ojciec powiedział ze spokojem nagle zimnym, odpychającym, że są rzeczy, z których nie ma się nic, nie po to są, żeby cokolwiek z nich mieć, są same dla siebie najwyższą wartością i że się ich nie zdradza. On zaś cicho: A może trzeba je odrzucić? Może trzeba się ich pozbyć, żeby żyć?, wciąż z tym nie do przełamania uporem, w tejże samej chwili już zresztą wiedząc, że popełnia najstraszliwsze sprzeniewierzenie się zasadom, które do niedawna były i jego własnymi, teraz zaś mało, że leżały wdeptane w ziemię, ale on je wdeptywał też. Więc kiedy ojciec znowu się odezwał, zadając mu krótkie dwa pytania, których sens nie od razu pojął, to instynkt go zawiódł; ten jakiś drżący w nim stale płomyk resztek wątpliwości zachybotał, jakby dmuchnął weń zbyt nagle zbyt gwałtowny wiatr i go zgasił. Czy nie boisz się tego, co mówisz? zapytał ojciec zduszonym, hamowanym głosem, a potem jeszcze ciszej: Czy nie myślisz, że sam siebie za to kiedyś znienawidzisz? To on na to powiedział twardo, że nie.

Mierzyli się potem wzrokiem badawczo, raptem dalecy, wrodzy, coraz dalsi, aż (gdy już uciążliwego milczenia było zbyt wiele) powiedział, roześmiał się, że czego miałby się w końcu bać, ze złą, napuszoną pewnością siebie. Bo wyposażony w tę niczym jeszcze w tamtym czasie nie zachwianą wiarę w bezkarność młodości, w tę nie zniszczoną jeszcze niczym wiarę w powodzenie młodości, ową prawdziwą przyczynę ślepej odwagi mówienia różnych rzeczy na przekór całemu światu, która zapewne wcale odwagą nie była, lecz brakiem wyobraźni jedynie, tego jednego wtedy jeszcze nie wiedział (nawet nie przeczuwał), że stawia pierwszy krok na drodze, która powiedzie go po równi pochyłej przez kłamstwo, zaprzeczenie samemu sobie do zdrady, a od zdrady do obojętności i wreszcie do oddania w obcy pacht duszy. Powiedział tylko ojcu jeszcze: Nie chcesz dostrzec, że zostałeś sprzedany. Że my wszyscy zostaliśmy sprzedani. I że przegrani nigdy nie mają racji, ale zwycięzcy. Na co ojciec nie powiedział już nic, ale odwrócił się i z pokoju wyszedł.

Więc w ten sposób się rozstali. Choć potem dalej mieszkali obok siebie w tym samym domu prawie rok jeszcze i nieraz rozmawiali, i ich rozmowy nie były ani zdawkowe, ani nieprzy-

jazne, ani ukrywające prawdziwych myśli, nie było też w nich żadnej dwuznaczności, gry ani podejrzliwości, zagłuszały jedynie milczenie serc, które zapadło między nimi na zawsze wtedy wieczorem przy radio z jazzem z Nowego Jorku transmitowanym na falach krótkich przez Tanger, kiedy ojciec nie spojrzał na niego więcej, wychodząc z pokoju bez słowa, jak wychodzi się z miejsca, w którym ktoś umarł, a twarz miał zesztywniałą, zakrzepłą, jakby i w nim coś umarło też, on zaś przekręceniem gałki wyłączył aparat, muzyka ustała zdławiona ogłuszającą ciszą szumiącą w uszach, zagarniającą go i miotającą, jak zagarnia i miota wiatr spadający gwałtownie z gór zerwane gałęzie, kamyki, piasek i wyschnięte liście i, zaciskając kurczowo na poręczach fotela dłonie, siedział w tej ciszy samotnie, nie mogąc się poruszyć.

3

Zapewne wmawiał sobie, że ojca nienawidzi. W rzeczywistości jednak nienawidził wtedy tylko ojca klęski. Ale być może było jeszcze inaczej: nienawidził myśli, że mógłby ojca klęskę powtórzyć. Że mógłby jak on być tropioną zwierzyną. Więc czy to, co zrobił, co chciał zrobić, było wyłącznie egoistyczną chęcią ułatwienia sobie życia, by do czegoś dojść, czy także, a może przede wszystkim, pospolitym strachem? Chyba zawsze w ocenie tamtych lat za mało brał pod uwagę znaczenie strachu. Polakowi nieraz łatwiej przyznać się, że bywał podły niż, że się po prostu bał, myślał wsłuchując się w stukot kół pociągu. I że najczęściej usiłuje się potem szukać usprawiedliwienia poza sobą, w innych ludziach, w różnych niesprzyjających okolicznościach, w wypadkach, na które nie miało się wpływu, myślał. Nie jest się natomiast skłonnym odsłonić chociażby przed sobą samym własny egoizm, który rodzi strach, czy też własny strach, który rodzi egoizm i że było się nieczułym, obojętnym, oschłym, że serce miało się zimne.

Wiedział teraz, co Faustyna powie. Powie, że ojciec nigdy się nie bał. Wprawdzie od dawna już nie myślał o niej, jak w tamtych czasach „kobieta", ale jej imienia Faustyna nigdy nie wypowiedział w myśli tak wyraźnie, tak dobitnie, jak teraz w drodze do Z. dopiero, że było ono, jakby wypowiedział je głośno. I to nie dlatego, że była towarzyszką ojca wówczas, kiedy z nimi razem w tym domu w Z. mieszkał prawie trzy lata, ani dlatego, że kiedy ojca zabrali i uwięzili, to i ona na jakiś czas podzieliła jego los, ani nawet dlatego, że znalazła się przy nim natychmiast, kiedy go wypuścili (choć wypuścili, żeby tylko zachować pozory, żeby umarł na swoim łóżku), ale dlatego, że była towarzyszką ojca przez ten cały czas, kiedy on, jego syn, przestał nim być, bo się go zaparł. I wiedząc, co Faustyna powie, widział ścieżkę od drzwi wejściowych prowadzącą do furtki (drzwi skrzypnęły w jego wyobraźni, odemknęły się, potem zatrzasnęły znowu) i jej postać zstępującą powoli ze schodów widział, już nie tak szczupłą, nie tak wyprostowaną, jak dawniej, już raczej podobną do jego matki z tamtego czasu, kiedy ojciec do niej nie wrócił, zbliżającą się do niego z uniesioną twarzą z wciąż twardo patrzącymi oczami, naznaczoną już jednak zmarszczkami, też tak, jak twarz jego matki niegdyś, a ku której on pójdzie od furtki wyżwirowaną ścieżką, ku której on będzie musiał iść, bo była towarzyszką ojca dłużej i w okolicznościach cięższych, niż jego własna matka, i ponieważ zadepeszowała, że ojciec umiera. I choć wtedy, w hotelowym hallu, kiedy przeczytał depeszę i kiedy to pytanie, czy może chciałby jeszcze ojca zobaczyć doń dotarło, był zupełnie spokojny, mając wrażenie nawet, że nie czuje absolutnie nic, to teraz, jakby zdruzgotany, zadrżał. Przez chwilę potem zdawało mu się, że sobie przypomina, co po ostatnim „widzeniu" u ojca powiedział mu brat. Przypomnienie przybliżyło się doń nagle, musnęło sam wierzch świadomości, tak że już niemal je chwytał, niemal składał w myśl. Zaraz jednak coś takiego się stało, że oddaliło się znowu, umknęło w dudniący kołami mrok, w którym szum wiatru (nie wiedział tylko czy dmącego z kierunku biegu pociągu, czy z przeciwnej strony) narastał wyraźnie drwiącą, pewną siebie nutą.

Faustyna powiedziała mu kiedyś, że ojciec nie traci nadziei. I że nadziei nigdy tracić nie wolno. Było to w połowie jego pobytu w Z. W tym czasie, kiedy już zaniechała usiłowań przełamania jego nienawiści i tych swoich licznych prób zbliżenia go z ojcem (może zdała sobie wreszcie sprawę z tego, napisał mi, że naszego rozejścia jest przyczyną?), choć on przecież z tą nienawiścią, z tą wrogością się nie obnosił, nie demonstrował jej. Była bowiem w nim ta odpychająca, to prawda, ale i przyciągająca ciekawość (im dłużej mieszkałem w tym domu, tym silniejsza, napisał mi), w czym i gdzie kryje się źródło wpływu tej kobiety na ojca, jeżeli zaś nie wpływu dosłownie, ojciec bowiem do mężczyzn wpływom ulegających nie należał, to w każdym razie siły, która go z nią wiąże i trzyma, poza samą jej młodością.

O tej nadziei powiedziała mu kiedyś, kiedy razem robili zakupy na targu. To było pod koniec września, nie musiał iść do szkoły, gdyż zwołano posiedzenie rady i lekcje odpadły, więc kiedy go poprosiła, żeby jej pomógł, nie mógł się wymówić. Ja też nie tracę nadziei, uzupełniła tamto, co powiedziała przedtem, widać dla podkreślenia swej zgodności poglądów z ojcem, co go

jednak rozdrażniło jeszcze bardziej, ale się pohamował. Powiedział tylko, że nie rozumie, na co ojciec liczy. Wszystko, z czym ojciec się wiązał, leży przecież w gruzach, tak powiedział, w gruzach. Jeżeli ojciec liczy na przedwojenną Polskę, tej już nigdy nie będzie. Może by to nawet było dla tych i owych piękne, ale nic z tego. I także coś o tej nadziei powiedział, że jest mrzonką, ułudą, głosu jednak nie podnosząc.

A zbliżało się popołudnie. Wracali przez miasteczko, pomagał Faustynie dźwigać z zakupami siatki i ona mówiła, że ojciec jest rzadkim fachowcem, że gdyby mu tak tylko dali pracować, mógłby nie wiem jak się przydać, ale im nie o to chodzi, chcą posłusznych, bezmyślnych, bezwolnych, roboty im potrzebne nie ludzie, i on z nią się w myśli w pewnym sensie zgadzał, choć nie przyznałby się do tego głośno, bo była już w nim ta zgoda na tę jakąś „dziejową konieczność", o której tyle wtedy wszędzie słyszał i czytał, a która — czy tego chce się czy nie chce — zwyciężyć musi.

Jeszcze wciąż w uliczkach w okolicy targowego placu tłoczyły się furmanki. Przy furmankach krzątali się górale z wiosek położonych w głębi dolin, którzy zwieźli z rana na targ wytwory swych ubogich gospodarstw: sery i mleko, drób, wełnę, skóry, lnianą surówkę, kożuchy i filcowe buty, kapcie i kierpce, a teraz ładowali niesprzedane resztki towarów wraz z zakupionymi do domowego użytku miejskimi wyrobami i zaprzęgali do dyszli krępe, twardo umięśnione konie, które niecierpliwiły się w upale, przebierały gniewnie kopytami w rozgrzebanym na bruku, zmieszanym z nawozem sianie i, opędzając się od much, gryzły się nawzajem i kwiczały dziko.

Górale pozdrawiali przechodzącą Faustynę ostrożnie, lecz jak dobrą znajomą, ona zaś odpowiadała nieznacznym uśmiechem zrozumienia. Bez mała pięć lat żyła pośród nich tak, jak ojciec, pod zmienionym imieniem i nazwiskiem, strzeżona jak oka w głowie (bo gdy wielu z nich, lub ich krewni, kryło się po lasach, zasadzając się stamtąd na niemieckie patrole albo w szybkich akcjach nocnych nękało okoliczne posterunki żandarmskie, to ojciec i jego ludzie reperowali ich zdobyczną broń i produkowali różne śmiercionośne przedmioty, im tak potrzebne). Chociaż więc już nikt z nich do ojca nie zwracał się więcej per „panie kapitanie" ani do niej „pani chorąży", niewiele się między nimi a ojcem i nią od tamtego czasu zmieniło. I z pewnością tamte wspomnienia właśnie musiały kryć się za każdym z tych ostrożnych, dyskretnych i przyjaznych ukłonów. Może dla samej pamięci dni, które były pełne nadziei, napisał mi w liście. Albo dlatego, że nie rozumiejąc zawiłości wielkiej polityki, właśnie oni na pewno nadziei na lepszą przyszłość nigdy nie stracili?

Więc kiedy powiedziała o tej nadziei, on przyhamowując

rozdrażnienie, wciąż jednak słysząc je w swoim głosie, powiedział: Nie wiem na co liczysz także ty. Ojca zostawmy w spokoju, należy do innego pokolenia. Ale na co ty liczysz?! powiedział z naciskiem. Bo co znaczy — nie tracić nadziei? Do czego posłużyło im referendum? W co obrócili wybory? A jak będzie dalej. Jak lawina. Z żelazną konsekwencją. Nic ich nie zatrzyma na drodze, którą sobie wytyczyli i po której wiedzą, jak iść. I albo pójdziesz z nimi, albo zadepczą. Mniej więcej tak mówił, może używając także innych jeszcze argumentów, nie pamiętał później, ale pewnie niewiele od tamtych się różniących. Wtedy ona zatrzymała się przy kamiennej balustradzie mostka nad strumieniem, przecinającym w tym miejscu ulicę, postawiła siatkę z zakupami na balustradzie, jakby się zmęczyła i postanowiła odpocząć, a potem powiedziała: Nie można zdeptać całego narodu. Więc on postawił swą siatkę obok i patrzył na Faustynę z ironiczną bezradnością tylko, nie wiedząc zrazu co powiedzieć, tym bardziej, że twarz miała pełną dezaprobaty i zawodu. A przecież w jego słowach tym razem nie było zaczepki, znał jej i ojca przeszłość. Wiedział, że zarówno ojciec, jak i ona mieli za sobą nie tylko tamte lata wojny, spędzone w ukryciu jakiejś wysokogórskiej leśniczówki czy w innych, równie mało dostępnych dla intruza miejscach, lata w nieustającym napięciu, w wyostrzonej czujności, pod wieczną grozą wydania przez szpicla, najścia niemieckiego patrolu, dostania się w sieć pacyfikacji, w kociół łapanki, w poczuciu tortur i śmierci, ale także później, po wojnie te półtora roku kluczenia po okolicznym terenie, gnieżdżenia się po prymitywnych kwaterach różnych miasteczek i na przedmieściach wojewódzkiego miasta, półtora roku wielokrotnych przeprowadzek, fałszowania meldunków, przekupywania urzędników i milicji, okresu przedłużającego doświadczenia okupacji w kraju już jakby wolnym, kiedy tropieni przez UB wspomagane sowieckimi służbami, rzucili się do organizowania władzy terenowej, formowania programów działania, poszukiwania rozwiązań, w wir pracy stronnictw, dopóki pozostawiono tym stronnictwom resztki autentyczności, i szybko zepchnięci zostali ponownie w podziemie, zanim po wyborach w styczniu (tych wyborach, które nie mogły nie być zafałszowane, bo mimo szafowania przynętą w postaci ziemi dla chłopów, warsztatów i fabryk dla robotników, naród nie zdołał do końca utracić wyostrzonego przez dziesięciolecia samozachowawczego instynktu) nie zaczął im się palić pod nogami grunt i nie musieli zbiec do Z., miejscowości turystycznej, gdzie zawsze kręciło się sporo obcych, a gdzie znający ich mieszkańcy potrafili milczeć, do tego domu na skraju miasteczka, który Faustynie zapisała przed wojną jakaś później zaginiona ciotka, a który ojciec w krótkim czasie doprowadził do porządku po kilkuletnim opuszczeniu, bo

chyba musieli już odczuwać tęsknotę za osiadłym, w miarę ustabilizowanym życiem, za spaniem we własnych łóżkach i nie w dziennej odzieży, za jedzeniem przy własnym stole bez potrzeby przerywania rozmowy, podrywania się z krzeseł na dźwięk dzwonka u drzwi, w każdym razie tęsknotę tę musiała odczuwać ona, nie byłaby prawdziwą kobietą, choć wątpliwe czy przypuszczała, że tamto życie pójdzie za nimi krok w krok aż do Z. (pewnie poszłoby za nimi dokąd by zbiegli i gdzieby na stałe zatrzymać się próbowali) i wkrótce wtargnie w ich nowe życie w postaci nigdy nie zapowiedzianych wcześniej wizyt tych różnych zjaw z ich poprzedniego życia, przychodzących nagle jak gdyby znikąd i przepadających gdzieś równie nagle, i że rozgości się w ich domu szeptami, tajemniczymi gestami, długimi w noc rozmowami przy szczelnie osłoniętych oknach, wonią nie pranej regularnie bielizny, która za tamtymi się wlokła, zatłoczonych pociągów, więzień albo lasu, tanich potraw jadłodajni dworcowych, albo jedzenia warzonego w ziemiance przy skąpym ogniu, wonią ucieczek, bezustannego tropienia, ścigania, zatajania i strachu przede wszystkim. Chociaż fakt, że Faustyna z tym stanem rzeczy się godziła, przekraczał wtedy jego zdolność rozumienia tej kobiety.

Chciałem jedynie zwrócić twoją uwagę na bezwyjściowość tej sytuacji, powiedział wtedy, tym razem gładko, beznamiętnie, jak do spotkanego na drodze nieznajomego człowieka. Nie powiedział tylko „waszej sytuacji", nie mogło mu to przejść przez gardło, choć o to przecież chodziło. I że nie widzi szans na zmianę. Powinniście się z ojcem ujawnić, przejść do legalnego życia, dodał i zaraz umilkł, na jego słowa bowiem przez jej twarz (od kącików oczu po kąciki rozchylonych, jakby w szybkim oddechu, ust) przebiegło krótkie drżenie i ta jej spokojna zazwyczaj, choć surowa twarz, stała się jeszcze surowsza i twardsza. Ona jednak nie patrzyła na niego wcale, powiedziała tylko: Oni naszego powrotu do legalnego życia nie chcą, można ich do tego jedynie zmusić. A on się roześmiał: Jak? Podtrzymując istnienie podziemia? A ona odparowała jego pytanie pytaniem: A ty myślałeś, że jak? Że na kolanach? i dopiero wtedy przelotnie spojrzała na niego, tak że w sekundzie, może dwóch dostrzegł w jej oczach drobne, palące błyski, jakby cała źrenica była martwa, a tam w głębi na samym dnie tlił się żar i zdawało mu się, że serce mu na chwilę przystaje. Choć to, co w jej oczach dostrzegł, było jedynie żarem zdumionego niedowierzania. Zaraz zresztą powiedziała: Na powierzchni wciąż działa PPS. PSL też się jeszcze trzyma. I podziemie nie daje za wygraną. Lecz wyczuł, że jej głos poprzednią siłę stracił. Bo przypuszczał, a nawet wiedział, że ona wie, że wszystko to, o czym mówi, na co liczy, czego z ojcem tak rozpaczliwie się

czepiają, poprzeżerane jest od wewnątrz zdradą, przekupstwem, donosicielstwem, fałszywymi ambicjami małych ludzi, przeszpiclowane na wskroś, skazane na zagładę. Więc powiedział: To tylko kwestia czasu. Że tamtych prędzej czy później dobiją, wykończą. Choć jeszcze wtedy może nie myślał, żeby siebie zabezpieczyć, żeby przy okazji ojca samemu dobitym nie zostać, ale już przecież czuł ten chłód w piersi, ten lęk. A ona powiedziała szybko: Być może, że to tylko kwestia czasu, i wydawało mu się, że wzruszyła ramionami (ani odrobiny lekceważenia, jedynie jakby chciała jego słowa strząsnąć), chociaż wciąż stała nieporuszona. Być może, powiedziała ze znużeniem i jej szupłe ramiona skurczyły się, jej ręce przyciśnięte do bioder znieruchomiały i: Być może, po chwili powtórzyła po raz trzeci uparcie. Ale nie można dobić całego narodu. To już kiedyś było, w dwudziestym roku. A z kolei on: Co ja tam o tym wiem..., powiedział wzruszając ramionami. A ona: Tak, co ty o tym wiesz, powiedziała. A na to on, mimo że powinien był się powściągnąć, że winien był zamilknąć, bo dalej stała tak jakoś sztywno wyprostowana, ściągnięta w sobie, skupiona, że nie mogło to jego uwadze ujść, jej zaś twarz była, jakby odpłynęła z niej cała krew, powiedział drwiąco: Na razie część tego narodu jest zadowolona i patrzy w przyszłość spokojnie. Chłopi dostali ziemię, robotnicy fabryki, wielu innych też skorzystało. I jeszcze chciał coś dodać o spełnieniu się odwiecznych marzeń ludu, choć wiedział, że to zabrzmi jak hasło z ulicznego plakatu, ale ona powiedziała cicho: Daj spokój, zamilcz lepiej, i w ostatniej chwili się pohamował.

Potem ona nie powiedziała nic, ale jeszcze nie sięgnęła do złożonej na balustradzie mostku siatki z zakupami i nie uczyniła jeszcze żadnego gestu, żeby iść. Stała nieruchomo. Już nie w tym napięciu jednak, nie w tym jakimś straszliwym skupieniu, jak gdyby ściągnięciu tego wszystkiego co w niej było do wewnątrz, jedynie z bezgranicznym zmęczeniem w kredowo bladej twarzy i patrzyła ponad strumieniem na góry. On w końcu za jej spojrzeniem też tam powędrował. One zaś pod jego spojrzeniem zdawały się jak gdyby unosić ostro zarysowane, obwiedzione niebieskością bezobłocznego nieba tak jasną, tak rozrzedzoną, że już białą niemal, zakropioną pojedynczą jedynie drobiną ultramaryny, a wszystko poza tym, szczyty, niżej turnie, między nimi skalne rynny napełnione śniegiem, było widoczne plastycznie, jak na makiecie z *papier-mâché*.

Więc wtedy chciał coś powiedzieć, może nawet wycofać się z tego, co powiedział przedtem, o tych marzeniach ludu chociażby, że tak piszą nie tylko w gazetach, ale i w poważnych książkach, już sam nie wie komu tu wierzyć, i to mądrzy ludzie nieraz piszą, Faustyna jednak, zasłuchana w szum strumienia,

wcale by go nie usłyszała. Toteż się nie odezwał, zresztą uznał, że jego tłumaczenie byłoby głupie. Ona tymczasem wciąż jeszcze patrzyła na góry, z których roziskrzony, niemal srebrny opar upału schodził w dół, rozpływał się po reglach i stokach, zapełniając dolinę duszącym gorącem, świerki i jodły graniczące z miasteczkiem również stały nieporuszone, tylko powietrze przy ziemi drgało i jak woda falowało, a gdy się wreszcie odezwała, mówiąc, że ocenia on sytuację nie sercem, lecz mózgiem, to jej głos był martwy, przygaszony, niechętny, odpychający nawet, jej zaś niezwykle regularna, teraz blada twarz była od niego odwrócona, jakby w ogóle z trudem godziła się z jego obecnością. Kiedy po chwili (zrozumiawszy widać opacznie jego milczenie) spojrzała na niego wreszcie, to z przymusem pośpiesznie dodała: Nie chciałam cię urazić. Ja cię przecież lubię. Choć nie możesz mi darować, że zajęłam miejsce twojej matki. Więc wtedy on powiedział, że to nie ma nic do rzeczy i że to jest z jej strony nieuczciwy chwyt, unosząc głos. A ona zrobiła nieznaczny, zrezygnowany, zarazem łagodny, powstrzymujący gest ręką i natychmiast gniew (jeżeli to był gniew) w nim się wypalił, tym bardziej, że powiedziała: Masz rację, to nie ma nic do rzeczy. Następnie mówiła jeszcze: Wiem, chciałeś powiedzieć, że nie widzisz innego wyjścia, jak ujawnienie się. Już jednak z ojcem ujawnialiśmy się dwukrotnie i po kilku dniach w miejsce naszego zameldowania przychodziła milicja. A w pobliżu kręcili się zazwyczaj zaraz tajniacy. I znowu musieliśmy uciekać, znowu się ukrywać. Ja czasem też nie widzę wyjścia. Ale to jeszcze nie powód do poddania się. I unosząc siatkę z zakupami: Wracajmy do domu, powiedziała, natychmiast go wyprzedzając, jakby uciekała, by nic już od niego nie usłyszeć. Więc wtedy on raptem poczuł w sobie przypływ jakiejś przerażającej wiedzy i zdumienia zarazem. Było to coś takiego prawie, jakby rozdzierające ciemność światło otworzyło przed nim widok w przyszłość. Aczkolwiek był wciąż jeszcze pełen niedowierzania, to jednocześnie miał teraz pewność, że istotnie wie więcej o otaczającym ich świecie i jego nowych, wilczych prawach, niż ona i ojciec razem. I ogarnęła go rozpacz. Żadnej dumy z tej wiedzy, napisał mi w liście, tylko rozpacz. Bo wiedza ta była nie do zniesienia. Bo ta wiedza mówiła mi, że ojciec jest nieodwracalnie skazany, napisał mi jeszcze.

3

Więc wieczorem chciał go zapytać, czy zrobi coś, żeby zapobiec najgorszemu. Jeszcze wtedy o to i o tamto go zwykł pytać i nie zawsze taka próba kończyła się między nimi wzajemnym przekrzykiwaniem się, w którym argumenty drugiego przestawały w końcu mieć znaczenie. (Jeszcze po tak długim czasie rozłączenia, niewidywania się, żył wspomnieniami ojca z przedwojennych czasów, kiedy latem szli w niedzielę nad rzekę i kiedy siedząc razem w przesmyku między szuwarami ojciec wiódł niezawodnie jego rękę, zarzucającą wędkę i milczeli, żeby ryb nie płoszyć i porozumiewali się bezbłędnie na migi lub wzrokiem, albo wspomnieniami ojca z tych wędrówek leśnych, kiedy jednego razu ubzdurał sobie trafić na opuszczoną niedźwiedzią gawrę, a ojciec mówił, że widział raz taką, ale po słowackiej stronie i opowiadał, jak to doświadczenie przypłacił niemal życiem, bo ona opuszczona wcale jeszcze nie była, albo z tych ich wycieczek rowerami, czy kajakiem na Augustowskie Jeziora, a potem kajakiem przez nie na Suwalszczyznę i dalej, Wileńszczyznę, i w lasy, i przy ognisku, i potem w ciemności, kiedy te dziwne postacie z opowiedzianych przez ojca legend, przesuwające się we mgle nad brzegiem widział cały czas nim zasnął, a ojciec mówił, że to tylko gra światła i cieni, i z tych poranków, ożywczych, o powietrzu jak ostrze noża, kiedy gdzieś z głębi szuwaru odzywał się pojedynczy perkoz swym kiri-kiri-kra-czącym głosem, bliżej zaś nosowe krótkie trąbki łysek, i gdy myli się w przeświecie trzcin, a potem przy rozpalonym na nowo ognisku gotowali kawę i rozkładając mapę, wytyczali nowy odcinek trasy, albo tej wyprawy jesienią w kamieniste Gorgany, kiedy obsunął się ze ścieżki i złamał nogę i potem ojciec niósł go pół dnia w dolinę... tak mógłby w nieskończoność. Ale tego dnia ojciec wrócił z pracy później niż zwykle i już od progu mówił o wiecu, jaki bez porozumienia wcześniej z załogą urządzono w fornirówce, gdzie pracował, że co słabsi to mdleją przy pracy od wyziewów chemikalii, zabezpieczenia tam żadnego, ludzie grożą, że zastrajkują, dyrekcja zaś gadaniem próbuje zażegnać i straszeniem, a potem przy kolacji o prostackim agitatorze z województwa, więc wszelkie pytania, jakie chciał ojcu zadać, odłożył na później.

Ale zaraz po kolacji Faustyna powtórzyła ojcu ich rozmowę prowadzoną w powrotnej drodze z targowiska. Zapewne chciała dać ojcu do zrozumienia, że między nią a jego synem zgoda, być może nawet miała nadzieję poprawić tym ojca humor, choć osiągnęła coś wręcz przeciwnego. Bo on jej nawet do końca nie wysłuchał, wyładowując całe rozdrażnienie przyniesione do domu z pracy na nim. Z czerwoną, nabiegłą krwią twarzą krzycząc o więzieniach pełnych ludzi, że wywozi się za Bug transport za transportem, że ludzie przepadają z dnia na dzień bez śladu z domów, z ulicy, z miejsc gdzie pracują, a on, jego syn, udziela mu rad, żeby się dobrowolnie w te ręce oddał; wszystko w tym mniej więcej duchu i z gorzką, apodyktyczną ironią, zwracając

się potem już tylko do niej, nie do niego, jakby czekał jej potwierdzenia, a może jeszcze współczucia z powodu nieudanego posyna. Więc po jakimś czasie wstał bez słowa od stołu i zostawił ich samych. I pewnie by później wcale się nie dowiedział, że ojciec swego wybuchu pożałował, gdyby Faustyna nie zajrzała do jego pokoju, prosząc, że ma przyjść, ojcu przykro, chce się z nim pogodzić, i stała niezdecydowana w drzwiach długą chwilę, aż rozmazany, wydłużony cień jej szczupłej postaci podświetlonej od tyłu żarówką nad schodami, padający na ścianę za łóżkiem, wyraźnie odciął się od zniszczonej tapety. Nie odwrócił jednak głowy nawet wtedy, gdy usłyszał głośne, rozżalone westchnienie i oddalające się kroki kobiety, a światło nad schodami zgasło.

Później leżał czas jakiś w łóżku w ubraniu, nie zmieniając pozycji ani nie ruszając się, aż z dołu, jakby przez schody w górę, dotarł doń znienawidzony bełkot zagranicznego radia, nadającego polityczne aktualności, z których, wiedział, nie wynikało nic dla nich ani dla tego kraju, i zaczął powtarzać sobie, jak mu się zdawało, z obojętnością, a może tylko tępo: Niech robią co chcą. Niech będzie co ma być. Co mnie to obchodzi. To sprawy ich, nie moje. Niech robią co chcą. Ale wiedział, że sam siebie okłamuje. Bo obchodziło go to aż do uczucia jakiegoś odrętwienia wewnętrznego, aż do odrętwiającego uczucia grozy, że to co ma się stać, co jest nie do uniknięcia, co stanie się na pewno, jest bliskie, i wydawało mu się, że jeszcze chwila, a nie będzie mógł złapać tchu. Zerwał się wtedy z łóżka, wypadł z pokoju, zszedł po schodach cicho na parter i równie cicho wysunął się z domu do ogrodu.

Mrok dawno przytępił całodzienny upał, od gór jednak (choć była już połowa września), miast orzeźwiającego chłodu, ciągnęły wilgotne, męczące pasma lepkiego ciepła, więc szedł aż do samego końca ogrodu, aż bełkot tamtego radia zanikł i nawet myśl, że mógłby go jeszcze usłyszeć przepadła, choć kilka razy przystawał z twarzą odwróconą w stronę domu i wytężając słuch. Potem przysiadł na stercie zwalonego pod płotem chrustu, mrugając piekącymi boleśnie oczami, jak gdyby rozlewający się w nich mrok był roztopioną smołą. Gdy ujął twarz w dłonie i łokcie oparł o kolana, nieruchomiejąc na dość długo, wydało mu się, że cały czas myśli o ojcu, że ojciec nie tylko nie zrobi nic, żeby się obronić, ale że przeciwnie, sam pomoże zastawić na siebie sidła i w te sidła sam w oczekiwanym przez tamtych momencie wpadnie. I jeszcze, że jeżeli to, co Faustyna mówiła o ich usiłowaniu ujawnienia się, było rzeczywiście prawdą, to ojciec powinien był spróbować wydostać się za granicę, możliwości takie chyba miał; siedząc w sąsiednim pokoju słyszał nieraz, jak ojciec z tymi zjawiającymi się od czasu do czasu w ich

domu obcymi ludźmi te przerzuty przez góry na słowacką stronę omawiał. Mógłby spróbować teraz sam tej drogi. I jeszcze potem myślał, że ojciec tego nie zrobi. Czy coś mu tego zabrania? Czy ktoś go tutaj trzyma? Może to ona go tutaj trzyma?, zastanawiał się. Ale kiedy po jakimś czasie dłonie od twarzy odjął, przekonał się, że spał, jego zaś myśli o ojcu i Faustynie musiały być tylko snem o myślach o nich. Oddech miał już nie płytki, lecz prawie spokojny, w każdym razie wyrównany, uspokojony, a oczy nie piekły.

Myślał, że powinien był już dawno napisać do matki, nie odpowiedział na dwa jej listy, a w tym drugim nakłaniała go, żeby wrócił, że to przesąd, że rok przed maturą nie należy zmieniać szkoły, i że tak będzie dla niego lepiej. I zaraz pomyślał, że ona się o niego boi. A potem pomyślał, że do brata także powinien napisać, nie odpowiedział mu już na więcej niż dwa listy i zaczął te odpowiedzi w głowie układać, pełne słów uspokojenia, po jakimś czasie jednak zaprzestał, bo doszedł do przekonania, że to wcale nie to, co chciałby im napisać, tego zaś, co chciałby im napisać, nie potrafi wyrazić. Wtedy postać matki rozpłynęła się w jego wyobraźni, zostawiając po sobie jakieś niesprecyzowane poczucie żalu zmieszanego z niechęcią, której — nawet gdyby próbował — nie wiedziałby jak wyjaśnić, bo matkę kochał.

Góry oddychały teraz wiatrem rytmicznie i słyszał napierający na dolinę szum świerków, a w przerwach między podmuchami nie zapadała wcale cisza, bo w trawie i w zaroślach za ogrodem dziko grały świerszcze. Potem zupełnie w pobliżu odezwał się puszczyk, a jeszcze potem wydało mu się, że słyszy wyraźnie, a nawet czuje, powiew miękkiego jego lotu. Wciąż nie mógł pozbyć się tego nagłego uczucia żalu, zwłaszcza zaś niechęci, choć już ani jednego, ani drugiego uczucia nie łączył z matką. Kiedy światła w oknach domów miasteczka i nielicznych ulicznych latarń ledwo już mżyły w zaciągającej dno doliny mgle, dźwignął się z chrustu.

Było wciąż parno i duszno, słyszał tylko wiatr i przeciągły szum świerków, a kiedy zacichły — tylko świerszcze, ale w połowie ogrodu zatrzymał się i stał w napięciu, zwrócony w stronę domu, wsłuchując się w dźwięki, które raptem napłynęły stamtąd, i poddawał się przez chwilę nerwowemu rytmowi dixielandu, podnoszącemu się i opadającemu oddalającą się lub przybliżającą falą, jakiś czas w ogóle się nie zastanawiając, kto nastawił jego ulubioną stację, a potem, gdy się nad tym zastanowił, zaraz tę myśl od siebie odepchnął i nie ruszał się z miejsca tak długo, aż muzyka przycichła i wreszcie zupełnie przestała być słyszalna, głowę zaś zaprzątały mu pojedyncze pytania, czy zagłuszył ją wiatr, czy też ktoś wyłączył radio.

Minęło więc kilka dobrych minut, zanim znów ruszył ku domowi na przełaj przez trawnik i zaraz, stwierdziwszy, że drzwi są zamknięte od wewnątrz (ale się nie zdziwił, nikt przecież nie widział go wychodzącego), stanął u progu z dłonią przy klamce, niezdecydowany czy dzwonić, czy nie, wciąż jeszcze zasłuchany w to, co pozostało po tamtym rytmie, a co było zaledwie szmerem jego krwi. W końcu cofnął się do ogrodu i obszedł dookoła dom, aż odkrył, że okno w pokoju, gdzie stało radio, jest uchylone; popchnął je, wspiął się na rękach, przerzucił przez parapet nogi i zsunął się do środka.

Słyszał teraz podrywający się, to zacinający szmer wiatru, który wkradł się do pokoju tuż za nim i nagle uwięziony ścianami i zamkniętym oknem, stał się jeszcze dobitniejszy, jakby pokój był szczelną łupiną orzecha rezonującą dźwięki, ze zdziwieniem znowu odnajdując w nim jakiś muzyczny rytm; na krótko nawet uległ złudzeniu, że istotnie nie przepadł on do końca, bo w głębi pokoju dostrzegł pulsujące w ciemności zielone oko nastawionej jeszcze na skali radia dalekiej fali, stacja jednak już nie nadawała, to tylko to zielone oko spoglądało w ciemność; i wtedy bez trudu od szmeru wiatru udało mu się odłączyć jednostajny szmer rozległej przestrzeni w eterze, poruszanej tysiącami nieznanych głosów.

Potem, gdy zgasił radio, stał hamując oddech, wsłuchując się w nagłą ciszę, w jednej chwili zdrętwiały i zziębnięty, jakby jego ciało zmieniło się w kawał lodu. Uświadomił sobie bowiem, że cały czas się mylił. To, co słyszał, nie było szmerem wiatru ani radiowej fali, która dawno zamilkła, a raczej było szmerem wiatru może, ale we wnętrzu tego szmeru natychmiast bez trudu udało mu się wyodrębnić jeszcze inny dźwięk, też raz narastający, raz opadający rytmicznie i czuł, że zaraz zacznie krzyczeć, choć gardło miał tak zeschnięte, że nie przedostałoby się przez nie żadne słowo. I posłyszał także gorączkowe oddechy dwojga ludzi, mężczyzny i kobiety tak zajętych sobą, że nie usłyszeli jak wskoczył do sąsiedniego pokoju przez okno i jak je od środka zamknął. Ani jego kroków, ani trzasku wyłączonego przez niego radia. I wreszcie, gdy w zdrętwiałe nogi znowu powróciła mu krew, bezwiednie (bo tak, jak nie myślał przedtem, że stoi i nasłuchuje, tak nie pomyślał, że rusza z miejsca), postąpił następnych kilka kroków i już był w drzwiach pokoju następnego, a wtedy wydało mu się, że nie słyszy, ale także, że czuje węchem: był to zapach mężczyzny i kobiety, i ich wznoszące się i opadające oddechy były tak blisko teraz, że go niemal spowijały swym gorącem. A potem ich głosy posłyszał jeszcze bliżej, zdławiony mężczyzny, kobiety zaś śmiejącej się cicho, i gdy ten jej uśmiech umilkł, słyszał, jak głos mężczyzny trwał jeszcze dobrą chwilę w najwyższym uniesieniu, zanim też

się urwał, jak jej śmiech. Wtedy jego płuca zaczęły oddychać jak szalone i wydawało mu się, że chcą one jak najprędzej pozbyć się tego wszystkiego, co wchłonęły przedtem, tej całej obcej woni i że jeżeli im się to zaraz nie uda, pękną. I rozpaczliwie rozkładając ręce, żeby nie zderzyć się w ciemności z jakimś meblem, zaczął się wycofywać, a potem był już w sieni, po omacku trafił do drzwi toalety, wbiegł do środka, nachylił się nad muszlą klozetową i zwymiotował samą śliną.

Więc teraz już wiem, myślał później, znowu stojąc w sieni i opierając się o ścianę, ażeby nie upaść. Wiem, dlaczego on nie ucieka za granicę. I szukał dłonią kontaktu, żeby zapalić światło, ale się cofnął przestraszony, bo przecież zostawił drzwi do pokoju otwarte i te następne drzwi do pokoju drugiego też były otwarte, i uświadomił sobie, że go spostrzegą. Teraz już wiem, teraz już wiem, powtarzała jego myśl w kółko bezwiednie, takie to proste. Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Bo choć, od kiedy tylko zamieszkał z nimi w tym domu, wiedział, co ich łączy, to teraz było tak, jakby dopiero właśnie się dowiedział. I przez chwilę w jego świadomości była zupełna pustka, aż dzwoniąca bolesną ciszą. A gdy wreszcie pojawiły się myśli, to pognały jak szalone z rozpaczą do tyłu ku jego dzieciństwu, kiedy jeszcze ojciec z matką byli razem, i raptem uświadomił sobie z przejmującą jasnością, że nigdy nie słyszał takiego głosu ojca ani takiego głosu matki w sypialni czy gdziekolwiek indziej i, choć sobie natychmiast przypomniał, że ojciec z matką wspólnej sypialni nie mieli, zaraz pomyślał, że mógłby przecież słyszeć w sypialni ojca albo w sypialni matki, ale też nie usłyszał, mimo że często, nie mogąc wieczorem zasnąć albo budząc się w nocy czymś przestraszony, biegł do niego albo do niej; nie, nie usłyszał na pewno. I przez te myśli na krótko przecisnęła się wtedy inna myśl: że gdyby usłyszał, pewnie by był innym człowiekiem, która przeszyła go całego zimnym dreszczem.

Ale zaraz z głębi domu znów dotarły doń głosy ojca i Faustyny, i choć nie miał odwagi, jak przedtem, się zbliżyć, słyszał wyraźnie jak rozmawiali, i słuchał, wprawdzie nie rozumiejąc treści tej ich rozmowy, ale jednak czując, że ich głosy nie są gorączkowe, lecz spokojne, nie ściszone, lecz uspokojone, że rozmawiają spokojnie, nie śpiesząc się, czyniąc przerwy, zawieszając głos tak, by słowa drugiego mogły nabrać zamierzonego znaczenia i odpowiedniej wagi, jak dwoje ludzi od dawna znających się na wylot, odgadujących swe myśli i tylko słowami je potwierdzających, niewzruszonych w swych przekonaniach, umiejących je dopasować do siebie i godzić. Potem nastąpiła długa chwila ciszy, był przekonany, że zasnęli i już chciał iść, ale wtedy jeszcze raz odezwał się ów niegłośny śmiech kobiety (tym razem trwał on może sekundę tylko, może mniej, nie był to też

śmiech taki, jaki już raz słyszał, wcale nie był wesoły, mimo to brzmiała w nim radość) i wprawdzie go nie zrozumiał, ale zapadł weń jak kamień. Więc zaraz szybko odwrócił się, przyciskając uszy dłońmi, aby nie słyszeć niczego więcej, choć już panowała tam znowu cisza. A potem wycofał się z głową pełną zamieszania i zupełnie niezrozumiałego lęku, z sercem zziębniętym, i po chwili był już u siebie na piętrze, znowu rzucił się w ubraniu na łóżko, tym razem jednak z trudem hamując duszący w gardle płacz, wciąż myśląc, że jak się uspokoi, to wstanie, rozbierze się, umyje i jeszcze nawet przygotuje zeszyty i książki, które ma nazajutrz zabrać do szkoły, lecz dalej leżał ogłuszony, osłupiały, z głową pełną zamieszania, z twarzą zwróconą w stronę okna naciskanego dziką furią halnego wiatru, słuchając jego wznoszącego się szumu i ciągle myśląc o nich tam na dole. I nie mogąc znieść tego, że jego myśli nie potrafią się od nich oderwać, odsuwał chwilę, kiedy należałoby podnieść się z łóżka i rozebrać, aż zasnął wreszcie, we śnie jednak wciąż był tam.

4

Potem mógł już Faustynę nienawidzić spokojnie, z pełną świadomością dlaczego, bez tego gniewu, zacietrzewienia nawet, jakie odczuwał przedtem, kiedy jeszcze nie znajdował wyjaśnienia, w jaki sposób ta kobieta zabrała mu ojca i jak zabrała jego matce męża; jak przedtem, kiedy myślał jeszcze, że ona ojca wiąże tylko tą ich kilkuletnią wspólną przeszłością, poniewierką po cudzych kwaterach, w niebezpieczeństwie, w strachu, pamięcią tego wszystkiego, co przeżyli, poczuciem tej zwierzęcej wspólnoty i przynależności, jaka tworzy się między ludźmi, którzy razem musieli zabijać i razem uchodzili kuli; i kiedy z rozpaczą nieustannie myślał, że jest jeszcze coś więcej, czego on nie rozumie, na co w swym osiemnastoletnim doświadczeniu żadnej porównawczej miary nie znajdował. Ta dojrzała nienawiść pozwoliła mu na krótki czas w tym domu oprzeć ich wzajemne stosunki na czymś w rodzaju porozumienia jak gdyby, honorowego kodeksu nakazującego traktować drugą stronę, jakby oddzielała od niej przezroczysta ściana, i Faustyna tę zmianę, jaka w nim zaszła, od razu wyczuła i, jakkolwiek ją sobie tłumaczyła, wiedziała już zapewne, że go dla siebie nie zjedna, on zaś nie próbował z nią walczyć, żeby zepchnąć ją z miejsca zajmowanego przy ojcu, wiedząc, że na wygraną nie ma żadnych szans.

To był najkrótszy okres na przestrzeni tych prawie trzech lat, które w tym domu spędził, najbardziej dlań w doświadczenia ciężki. Niewiele się wtedy do Faustyny odzywał, tyle ile musiał, omijał ją, kiedy zaś się nie dało, traktował ją jak cień

(co ona ojcu, jak się zdaje, tłumaczyła pobłażliwie trudnościami wieku dojrzewania, za co był jej wdzięczny), a ona ze swej strony milczenie to mu ułatwiała, unikając wszelkiego z nim konfliktu, który by jego nienawiść mógł podsycić jeszcze. Więc to był okres nawet dość dobry albo mógłby takim być, gdyby nie wypadki, zagęszczające się z tygodnia na tydzień, które chociaż jego osobiście nie dotyczyły, to jednak wiedział na pewno: one wciągnąć muszą i jego.

Bo najpierw były to te nagłe, zaskakujące wizyty milicjantów z miejscowego posterunku którzy zachodzili o coś zapytać, coś niby sprawdzić, że jakoby uzupełnić coś trzeba w ojca i w Faustyny papierach, ale bez wątpienia już na jakieś tam polecenie przewąchujących kąty, rozglądających się, do czego by się tu przyczepić, czego się złapać, aby znaleźć pretekst do dalszych pytań i węszenia, potem ojciec wezwany został dwa razy na przesłuchanie do komendy w wojewódzkim mieście i z drugiego przesłuchania wrócił dopiero nazajutrz, a później przyszli do szkoły (dyrektor wezwał go do swego gabinetu w czasie pauzy) i pytali, czym zajmuje się jego stryj, a także czym zajmował się w czasie wojny; wciąż jeszcze nie trafili na potrzebny im trop, ojciec wciąż jeszcze był stryjem i mógł odpowiedzieć zgodnie z prawdą że stryj w czasie wojny uczył młodzież na kompletach. Ale nawet to skąpe doświadczenie moich osiemnastu lat podpowiadało mi już, jak potoczą się sprawy dalej, napisał mi w liście. Że oni nie spoczną, zanim osobnika upatrzonego na ofiarę nie powalą na ziemię. Pierwszy raz więc wtedy pomyślałem, że muszę od ojca odejść, napisał mi potem.

Ale jeszcze nie traktował swego postanowienia jako chęci ucieczki. Mówił sobie tylko: dlaczego ma studiować właśnie w sąsiednim wojewódzkim mieście, a nie jak proponuje matka tam, na drugim końcu kraju? Przecież tam nie musiałby mieszkać na stancji, mieszkałby u matki. Lecz już przeczuwał, że właśnie tak będzie, że będzie to ucieczka wprost do obozu wroga (choć jeszcze wtedy nie zapisał się do organizacji), bo tylko taka ucieczka, do obozu wroga, rokowała pewne powodzenie. I nie musiało nawet upłynąć wiele czasu, żeby to przeczucie zmieniło się w pewność.

To stało się zaraz po tym, jak wezwano go w szkole do dyrektora po raz drugi i znowu ci sami dwaj z województwa pytali go o stryja, a tym razem chodziło im także o to, dlaczego on u stryja mieszka, i choć odpowiedział znowu zgodnie z prawdą, że dlatego, bo u matki jest bieda i stryj chce im pomóc, wiedział, że pętla się zaciska. Pierwszy więc raz pomyślał otwarcie już nie, że musi odejść, ale że trzeba uciekać. Że będzie to ucieczka, tak pomyślał. Bo jeszcze wtedy umiałem nazywać pewne rzeczy po imieniu, napisał mi w liście. Jeszcze

swego postępowania nie nauczyłem się tłumaczyć kłamstwem i różnymi wykrętami i nie przywykłem jeszcze do tego, że w ogóle wszystko wytłumaczyć można, jeżeli się chce. Albo, że w odpowiedniej sytuacji pewnych spraw tłumaczyć nie potrzeba wcale, napisał mi dalej w tym samym liście. I wprawdzie już od jakiegoś czasu, wiedząc kim się staje, na jaką drogę wkracza wbrew wszelkim związkom rodzinnym, tradycji swojego domu, wbrew wychowaniu i normom swego środowiska, wbrew samemu sobie, to jednak czuł jeszcze tę odrobinę wstydu (niedługo, bo później i tego się wyzbyłem szybko, napisał mi), i ten wstyd kazał mu wyznać ojcu, że wstąpił do organizacji.

A było to wieczorem, przy stole. Powiedział to tak, jakby wierzył, że ojciec zainteresuje się tym bliżej albo zlekceważy, ale ojciec, choć jeszcze nie skończył jeść, odsunął zaraz talerz i, żeby zyskać na czasie na namysł pewnie, sięgnął po karafkę z wodą, Faustyna zaś wstała i zaczęła nienaturalnie śpiesznie sprzątać ze stołu i wkrótce zostawiła ich samych. Dopiero wtedy ojciec odstawił szklankę, szybkim ruchem wierzchem dłoni musnął usta, jakby zostało tam kilka kropel, choć usta miał suche, bo tej szklanki do ust nawet nie zbliżył, i zapytał: Więc takie są twoje przekonania?, a on odpowiedział pytaniem: Co mają wspólnego z tym przekonania?, a ojciec zapytał: Przecież wstąpiłeś do organizacji, sam mówisz?, a on odpowiedział: tak, wstąpiłem, z uporem, a ojciec: No więc, po co? a on: Przekonania nie mają tu nic do rzeczy. Jeszcze zresztą nie wiem, co znaczą te nowe przekonania, nie miałem czasu ani okazji ich bliżej poznać, i że mu chodzi o to, że bez legitymacji organizacyjnej nie ma większych szans dostania się na uniwersytet. A ojciec, starając się dopaść wzrokiem jego uciekający wzrok, zapytał twardo: Więc o to tylko ci chodzi? A on odpowiedział: Tak, o to mi chodzi, tak. Czy tylko o to, tego nie wiem. Ale o to chodzi na pewno, tak, i aż się zdziwił, bo jego głos brzmiał, jak głos ojca, równie twardo. Nie dam się zepchnąć, mówił potem. Nie pozwolę sobie zablokować dalszej drogi w świat, mówił. Odebrać szansy. Tylko dlatego, że nie mam odpowiedniego pochodzenia. Odpowiedniej przynależności. Ojciec zaś odezwał się znowu, tym razem bardzo cicho. Powiedział, że jest coś znacznie gorszego od tej możliwości. Że samemu można sobie życie fałszywym wyborem zniszczyć. I że zwykle, gdy się postawi jeden krok, trzeba postawić i następny. Tak właśnie wtedy powiedział. Nie tylko nie szukając już jego wzroku, ale nawet w ogóle na niego nie patrząc. I tę napełnioną wcześniej wodą szklankę ze stołu znowu podjął, uniósł do ust i tym razem wychylił całą zawartość jednym haustem, a potem, odstawiwszy ją ostatecznie, dłoń rozpłaszczył na obrusie, bo mu drżała i chciał ją uspokoić, i nie mógł, i widział, że on to widzi.

Kiedy tę rozmowę z nim zacząłem, napisał mi w liście, nie wiedziałem jeszcze, że już kiedy podejmę pewne decyzje, droga do ojca będzie zamknięta. Uświadomiłem to sobie dopiero potem, kiedy patrzyłem na jego dłoń na obrusie. Którą siłą uspokajał, napisał mi jeszcze.

Nie sądził wtedy, żeby ojciec myślał, że może go dalej przekonywać, a już na pewno nie, że może go przekonać. Ani że ojciec uznał go za tchórza. Żyli pod jednym dachem, jedli — jeżeli ojciec wrócił w odpowiednim czasie z pracy albo gdzieś nie wyjeżdżał — przy jednym stole, spotykali się w sieni, na schodach, w ogrodzie, ale rozmawiali niewiele albo tylko o czymś, co nie znaczyło nic, tak że już po chwili nie pamiętał o czym. I pewnie dlatego (chociaż jego uczucia do Faustyny, jak mu się zdawało, nie zmieniły się, pretensje do niej były równie, jak przedtem, zapiekłe, niechęć odrzucająca), spróbował doprowadzić między sobą a nią do czegoś w rodzaju zawieszenia broni, jeżeli ich stosunek w okresie przeszłym i zaprzeszłym mógłby wojną albo walką nazwać; w każdym razie, tak jak ona kiedyś do niego, tak teraz on do niej spróbował się zbliżyć, w tej przezroczystej ścianie, która ich dzieliła, zrobić niewielki chociaż wyłom, wiedząc, że cokolwiek powie, ona go wysłucha, nie przerwie, nie zlekceważy, będzie nawet usiłowała zrozumieć, a co najważniejsze, być może w jej głosie usłyszy głos ojca, który tak bardzo usłyszeć pragnął, złagodzony tylko i bez tego gniewnego, apodyktycznego najczęściej uniesienia, na pewno zaś niczego z ich rozmowy ojcu nie powtórzy. Wtedy już zresztą doszedł do przekonania, że tak jak o związku kobiety z mężczyzną nie może do końca decydować ich wspólna przeszłość, żeby nie wiem jak dramatyczna, ani fakt, że o sobie wiedzą wszystko, tak też nie utrwala go na zawsze owo wybuchające między ich ciałami co czas jakiś, zwykle prędko przecież wygasające, napięcie i że Faustyna w swoim związku z ojcem ma zapewne jakiś inny jeszcze, silniejszy atut w ręce, o którym on nic nie wie albo go dotychczas przeoczył. I ona zaraz tę zmianę, jaka w nim w stosunku do niej zaszła, to zawieszenie broni, obojętne jak to nazwać, zaakceptowała w tak naturalny sposób, jak przedtem akceptowała jego odpychającą niechęć, wrogość. I pierwszy raz wtedy przyszło mu do głowy, że on Faustyny prawie nie zna.

Ale chyba wciąż jeszcze bałby się jej wyznać, do czego doszedł, ona zaś nie przypuszczała jeszcze, że sprawy z nim zaszły tak daleko. A może właśnie wtedy należało powiedzieć jej o tajniakach, którzy przyszli do szkoły i co ze znaczącym naciskiem powiedzieli zarówno po pierwszej jak i drugiej z nim rozmowie: O naszym spotkaniu ani słowa w domu! I może również należało powiedzieć o tym zagonionym, spłoszonym,

uciekającym w bok spojrzeniu dyrektora, kiedy go tylko w czasie pauzy gdzieś spotykał i ściskającej mu wtedy gardło myśli: on też się boi. Ale nie powiedział. A przecież, gdyby powiedział, nie miałoby to pewnie żadnego wpływu na sytuację ojca, lecz może by mogło w przyszłości jego własną sytuację, własne postępowanie w oczach ojca wyjaśnić.

5

Potem zbliżył się koniec listopada: zimno, pierwszy lód w zagłębieniach ziemi w ogrodzie, co rano białe dachy i białe w oknach ukwiecone brzegi szyb; Faustyna z ojcem wrócili z kościoła przed zmierzchem.

Wyszedłszy ze swego pokoju na podest schodów (bo chciał o coś zapytać), widział, jak ojciec, nawet nie zdejmując kożucha, poszedł do kuchni, zaparzył herbatę i dolewając do wrzątku z flaszki chłopskiego samogonu, pił szybko, dmuchając w filiżankę głośno, a Faustyna podeszła do niego bezradnie i z wyrazem bezsilności w twarzy przycisnęła mu do ramienia policzek. Usłyszał jej pełen napięcia, prośby, gorączkowy głos: Nie wychodź, mam dziś złe przeczucia, nie wychodź z domu, ale głosu ojca nie usłyszał, może zresztą ojciec nie powiedział nic, spojrzał tylko na nią krótko jakoś tak z wyrzutem, że ona nie odezwała się już więcej, a potem ją od siebie odsunął i poszedł, zostawiając samotną na środku kuchni; żeby nie iść ulicą, lecz poza płotami ogrodów, gdzie możliwość spotkania o tej porze kogoś równała się zeru, wymknął się z domu bocznym wyjściem.

Patrzył ze swego pokoju za ojcem przez zachodzącą szronem szybę tak długo, aż wyprostowana jego postać zniknęła za parkanem, a po przeciwnej stronie, w głębi uliczki zapaliły się latarnie. Potem cierpliwie czas jakiś słuchał dochodzącego z dołu domu odgłosu nerwowych kroków kobiety, chodzącej w jedną i w drugą stronę po kuchni, dopóki nie urwały się nagle. Pomyślał wtedy, że ona poszła do sypialni i że pewnie położy się niebawem spać. Więc zadawał sobie pytanie, czego albo kogo ona właśnie dziś się lęka, bo w całym jej zachowaniu był lęk, następnie czy ojcu coś teraz konkretnego grozi, i co. Jeszcze potem myślał o lęku w ogóle, który toczy jak robak dookoła wszystko, gdyż zdawał sobie sprawę z tego, że nie potrafiłby zarówno wśród kolegów szkolnych, jak znajomych dorosłych wskazać kogoś, kto by nie nosił w sobie jakiegoś lęku i że nie pamiętał już czasu bez lęku, a w końcu z niewiarą zastanowił się, czy rzeczywiście kiedykolwiek taki czas naprawdę istniał.

Ale Faustyna nie poszła spać. Wkrótce usłyszał jej kroki

znowu i jak zamyka się w łazience, a po pewnym czasie wyszła stamtąd w szlafroku i, nie zapalając lampy, zniknęła w największym pokoju, który tylko w niedzielę, kiedy nie jadali w kuchni, służył im za stołowy, w powszednie dni stał pusty z pootwieranymi drzwiami, nieopalony, wyciągający ciepło z reszty domu. Widział ją potem siedzącą tam nieruchomo przy oknie, jak spoglądała w czarną szybę, która odbijała odrobinę światła przedostającego się z sieni; być może patrzyła w kawałek ogrodu za szybą i w opadającą ku środku miasteczka uliczkę, może jednak nie dostrzegała w niej nic więcej oprócz własnego odbicia, i z niepokojem, w zamieszaniu, popłochu nawet, zastanawiał się o czym ona myśli, co dzieje się w jej głowie, tylko że nie śmiał się zbliżyć, choć wydawało mu się, że właśnie teraz nadeszła ta odpowiednia chwila, kiedy powinien był ją zapytać, czy ojcu coś naprawdę grozi, czy ojciec zajmuje się czymś, za co mu coś grozić może, i czym, ale nie śmiał, wytworzył już bowiem w sobie ten obronny odruch skorupiaka, zamykającego się, zakazującego sobie zadawania pytań o lęk innych. Później jednak ona uniosła ramiona, zaczęła rozplatać włosy i czesać je na przemian to grzebieniem, to szczotką, on zaś wsłuchiwał się w ich trzask elektryczny, raptownie doznając niewiarygodnie uspokajającego poczucia bezpieczeństwa. Wydawało mu się przez chwilę, jak gdyby nic się nigdy nie stało takiego, co czymkolwiek zagrażałoby komuś w tym domu, jakby nie istniały żadne złe przeczucia, żadne lęki, ten zaś zatapiany zimnym mrokiem wieczornym dom był odizolowaną od reszty świata muszlą ciszy. A nawet wydawało mu się, jak gdyby dochodzący doń delikatny trzask, odrywał się spod kobiecej dłoni nie od jej własnych, lecz od jego głosów i od tego skóra wprost na nim cierpła.

Z rozmarzenia wyrwał go dopiero głos Faustyny, kiedy powiedziała: Wiem, że tam jesteś. Jestem ubrana, możesz wejść. Nie musisz się ukrywać. Słyszałeś wszystko? Tak, pewnie słyszałeś. Teraz więc już wiesz, wejdź, a chociaż jej głos był zupełnie spokojny, poruszył w nim coś do głębi, bo natychmiast pojął, że ona udaje tylko spokój. Więc się zbliżył; szedł przez mrok, który gęstniał w miarę, jak oddalał się od źródła światła w sieni, tak że potem był już tak gęsty, że wprost uciskający powieki i bardzo chłodny, a jeszcze potem ziębiącym tchnieniem przenikający go na wskroś, i siadł obok Faustyny, dłonie składając wyprostowane na kolanach jak pilny uczeń, i ze zmieszania zapomniał, co chciał powiedzieć czy też o co chciał zapytać, ona zaś dalej szczotkowała włosy, twarz mając posępną, oczy zmrużone, nawet kiedy na niego patrzyła spod fali włosów spojrzeniem ukośnym, uważnie, z jakąś zamyśloną powagą. I choć nie wiedział, co miał usłyszeć z rozmowy z ojcem, ani co ona sądzi że on usłyszał, powiedział: Co ojciec takiego robi? i poprawił

się zaraz: Dlaczego ojciec wciąż to robi?, a ona powiedziała cicho: Ojciec musi to robić, a on wtedy powiedział: Ale przecież ty tego nie chcesz, a ona, miast odpowiedzi, potrząsnęła głową, tak że te rozczesane, sypkie włosy opadły na chwilę na jej twarz i zanim je odgarnęła, wydawało mu się przez sekundę czy dwie, że płacze, lecz wreszcie odgarnęła je szybkim, zdecydowanym ruchem i spostrzegł, że oczy jej były suche, tylko gniewne, rozszerzone jak gdyby straszliwą jakąś niecierpliwością, gdy powiedziała wreszcie: To nie ma żadnego znaczenia czy ja chcę, czy nie. On to musi robić. Takie jest jego życie. Ktoś w końcu musi to robić. Tak już będzie zawsze.

Więc on najpierw zapytał, dlaczego ojciec nie spróbuje skorzystać z amnestii. Były przecież dwie albo trzy. I żeby jej do siebie z miejsca źle nie usposobić, dodał, że wie, że ojciec nie popełnił żadnego przestępstwa, ale że oni to tak traktują. I że skoro od uznania tego faktu uzależniają powrót do legalności, więc może trzeba się poddać. A wtedy ona powiedziała: No widzisz, sam mówisz, że trzeba się poddać. Poddać albo zginąć, i roześmiała się nagle zbyt głośno z ironią pełną upokorzenia, która i jego na chwilę upokorzyła. Teraz jej dłonie były zaciśnięte na połach szlafroka na piersi kurczowo, jakby i ją przeniknęło zimno, twarz zaś miała poważną, zamkniętą i oczy niepokonane. Zapomniałeś, o co twój ojciec walczył przez całych pięć lat, powiedziała. A on odpowiedział: Nigdy nie zapomnę. To ona skinęła głową: No, właśnie. Więc on powiedział: Ale nie można żyć pod prąd. To jest rewolucja. Nie zapominajmy o tym, że wielu ludziom coś przyniosła. Przecież ojciec też mógłby włączyć się w ten nurt. A ona z tą samą, co przedtem ironią: tak myślisz? A on: Najważniejsze teraz przetrwać. A ona potrząsnęła głową, mówiąc znowu: Tak myślisz?, i w jej głosie, gdzieś na samym jego dnie, ponownie odezwał się tamten śmiech i on tamto upokorzenie poczuł ponownie, lecz zaraz dodała z powagą: Mówisz jak tchórz, a wiem, że tchórzem nie jesteś, i patrzyła na niego wciąż tym twardym, niepokonanym wzrokiem, tak że w pustce głowy nie mógł znaleźć żadnego sensownego argumentu, żeby się jej przeciwstawić i powiedział tylko: Nie każdy, kto się boi, musi od razu być tchórzem, a ona szybko przytaknęła i powiedziała: Lecz, żeby jedni mogli przetrwać i nie spodleć do końca, inni, choć też się boją, muszą to robić, co robią. Ryzykują, że zginą, na to on powiedział cicho. Więc ona, wyciągając rękę i czubkami palców dotykając jego dłoni, powiedziała: Wcale nie żal, gdy ginie się za dobrą sprawę. A jemu zaraz zaczęło się wydawać, że z jej palców wniknął weń gwałtownie i niepowstrzymanie jakiś nieznany prąd, jakiś żar, który podrywa, podnieca, wypala z mózgu te tysięczne wątpliwości kłębiące się tam cały dzień, i na krótko mu się

poddał bezwolnie. Lecz to była tylko chwila, natychmiast się z tego stanu wyzwolił bez trudu. Bo ona znów zaczęła mówić i — choć jej głos, wprawdzie nie podniesiony, nie donośny, lecz brzmiący metalicznie, był jak nóż, który uderza o kamień, prawie go krusząc — już wiedział, że ona go nie zrozumie, mimo że on ją zrozumieć potrafił, będąc nadto pewnym, że rozmawiają jak gdyby wychyleni z dwóch odrębnych światów i że ich głosy rozmijają się, nie mogąc nawiązać ze sobą dialogu. A gdy kończyła, mówiąc, że naród można doprowadzić do paraliżu, wepchnąć w letarg, ale taki stan nie jest wieczny i że ci, co giną, i pamięć o nich, kiedyś go z letargu przebudzą, to był już swymi myślami daleko, myśląc: Tato, co z tobą będzie, gdy przyjdą po ciebie i cię zabiorą, aż jej palce oderwały się od jego dłoni nagle, cofnęły gwałtownie, ona cała też jakby się cofnęła, jej dłoń na kilka sekund zastygła w powietrzu bez ruchu sztywno, a w twarzy pojawił się wyraz palącego, gorzkiego zawodu, i powiedziała, krzyknęła niemal: Ty mnie nie słuchasz!? A on na to powiedział cicho: Słucham. Ale nie słyszysz!? Słyszę, odpowiedział tak samo cicho i patrzył już nie na nią, lecz na ciemną szybę i na ogród za oknem. Ona wtedy, jak gdyby przytomniejąc, opanowując się, podążyła wzrokiem za jego wzrokiem, poderwała się z krzesła i pobiegła ku drzwiom. Jej głos był już zupełnie zmieniony, gdy z sieni wołała jeszcze: Twój ojciec wraca!, mimo że, jak mu się zdawało, w chwili, kiedy przez szybę dostrzegła zbliżającego się ścieżką od furtki ojca, on od razu został przez nią zapomniany.

Widząc potem, jak zarzuca ojcu ramiona na szyję i — kiedy ojciec coś mówi do niej w podnieceniu, w wielkim gniewie i zdenerwowaniu — jak przywiera doń całym ciałem, a on z twarzą w jej włosach uspokaja się natychmiast i łagodnieje, to uświadomił sobie z niezwykłą ostrością i jasnością, jak mało dotychczas o niej wiedział, tak samo o ojcu i o niej razem, przede wszystkim zaś, jak mało wiedział o kobiecie w ogóle, jej największej tajemnicy, której nie odkryła mu ani matka, ani żadna z dziewczyn w szkole, z którymi zdarzało mu się gdzieś tam ukradkiem wymienić czasem kilka pośpiesznych uścisków. I poczuł się pokonany. Więc to właśnie wtedy ostatecznie zrozumiał, że jeżeli ją kiedyś przedtem nienawidził, to była to nienawiść zupełnie czcza, bezsilna i że gdyby tylko zechciał zrobić ten krok, gdyby zrobić go potrafił, to mógłby przez nią do ojca trafić. Ale tego momentu nie wykorzystał. Przeoczył go, zmarnował. Zbyt zajęty był swymi sprawami, tym lękiem, żeby go ojca świat nie przywalił, ale i ciekawością tego innego świata, który się stawał na jego oczach, odpychał, przejmował lękiem i pociągał zarazem. Matka teraz pisała listy częściej, niż przedtem i on na nie tym razem odpowiadał, coraz też częściej myśląc, że

coś z sobą musi począć, tak dalej żyć nie sposób, w tej niepewności i że musi własne sprawy jakoś ułożyć, zwłaszcza, że ojciec nie robił nic, żeby swą sytuację zmienić, czy nawet nieco tylko poprawić, znowu częściej znikając wieczorami; niekiedy już po południu w sobotę albo w niedzielę z rana gdzieś wyjeżdżał z Z., nigdy nie mówił dokąd jedzie, choć zapewne Faustyna wiedziała, bo czekała jego powrotu, jak tamtego wieczora, w straszliwym, niezręcznie ukrywanym napięciu. A to już był grudzień, zbliżały się święta, zbliżało się szkolne półrocze, on zaś wciąż nie potrafił ojcu tego, co trzeba, powiedzieć i rozmówić się z nim otwarcie, a Faustynę o pośrednictwo prosić nie śmiał.

6

To zdarzyło się jednak w jedną z tych niedziel, kiedy razem wracali przez miasteczko do domu. Bo poprosiła go, żeby wyszedł z nią na stację ojcu naprzeciw, ale ojciec nie przyjechał umówionym pociągiem i ona zaraz powiedziała, że jeszcze do nocy będą dwa następne, głosem tylko udającym spokój. Potem błyskotliwie i płynnie zaczęła opowiadać o jakichś nieważnych sprawach domowych, o sezonie narciarskim, że zacznie pracę w jednym z tutejszych klubów jako instruktor, niewiele płacą, ale dobre i to na początek, wreszcie o budującym się w pobliżu nowym sanatorium, że później ma zamiar starać się tam dla siebie o miejsce pielęgniarki, w czasie okupacji ukończyła przecież szkołę sanitariuszek (wiedziałeś? Nie? Wiele razy uczestniczyłam w akcjach), a już był pełny zmierzch, śnieg błyszczał światłem odbitym, sinawym i niebieskim, choć powietrze miało wciąż jeszcze jakiś nieznaczny różowy odcień, zwolna tylko ciemniejący i ona nagle, nie spostrzegłszy nierówności oblodzonego chodnika, potknęła się, on ją podtrzymał pod ramię, i nie puszczał, bo jej usta były zaciśnięte, drżały, cała twarz jej kurczyła się i drżała, i wtedy powiedział szybko, jakby bał się, że już nigdy więcej nie będzie do tego, żeby to powiedzieć, okazji: Wyjeżdżam do matki. Tylko zdam półrocze, to wyjeżdżam do matki, a ona odsunęła się od niego raptownie, niemal odepchnęła, zachwiała jeszcze raz, lecz zaraz wyprostowała sama i powiedziała: Uciekasz?, a on nie odpowiedział i ona po chwili powtórzyła: Uciekasz? Tak? Czemu nic nie mówisz? Uciekasz! Ale ty mu tego nie powiesz? , a on dopiero wtedy zdecydował się odezwać: Nie, nie powiem, boję się, lepiej ty mu to powiedz, a ona powiedziała: Nie, ja też mu nie powiem, że uciekasz, nie potrafię, to niczego nie zmieni, a on powtórzył za nią, jak mechanizm: Nie, nie zmieni, i po chwili: Powiem Ojcu, że matka napisała, że tak chce, powiedział, a ona tego się uczepiła: Tak, tak będzie lepiej. Że twoja matka tak chce. Tak będzie najlepiej, i zostawiła go na środku chodnika i poszła o krok naprzód z twarzą surową, stężałą, a potem, gdy znaleźli się już w domu, jeszcze zanim zrzuciła z siebie kożuszek, stając w głębi sieni i nie ruszając się, choć on w drzwiach wejściowych, odwrócony do ulicy, zobaczywszy zatrzymującą się przed furtką ciężarówkę, powiedział: Ojciec!, i zaraz, widząc go wyskakującego z szoferki, powtórzył jeszcze raz: Ojciec wrócił, to też nie zrobiła nawet kroku, żeby ojcu wyjść na spotkanie, ale z tą twarzą surową, stężałą powtórzyła: Powiedz, że matka napisała, żebyś do niej wrócił. Że ona tak chce. Nic więcej, tylko to. Że ona tak chce, i stała tak w głębi sieni obok wieszaka i lustra nieruchomo, i dopiero, gdy ojciec pojawił się w drzwiach, powolnymi ruchami zaczęła zdejmować z siebie futrzane okrycie.

Lecz potem wszystko stało się inaczej, niż był zamierzył, inaczej też, niż Faustynie obiecał, bo stojąc obok ojca, grzejącego o kafle pieca zmarznięte dłonie, powiedział nagle: Tato..., a już dawno nie mówił doń „tato", chyba nawet zaraz po wojnie, kiedy po długim niewidzeniu pierwszy raz się spotkali, wtedy właśnie powiedział „tato" i potem: Czy wiesz, co z tobą się stanie, gdy oni cię wezmą?, choć przedtem wcale nie przypuszczał, że coś takiego przejdzie mu przez gardło. Tato, przecież ty wiesz, co oni z ludźmi robią, którzy wpadną im w ręce..., a na to ojciec bardzo powoli obrócił się ku niemu twarzą, ale właściwie to już wcześniej twarz ojca była ku niemu zwrócona i ojca oczy patrzyły nań uważnie, niemal drapieżnie, więc wtedy chyba obrócił się w jego stronę całym ciałem i powiedział wtedy: Wiem, co oni robią z ludźmi, których wezmą. Lepiej, dokładniej, więcej niż ty, i, jak gdyby był na jego pytania przygotowany od dawna i ich oczekiwał, powtórzył: Wiem, i potem: Ale jest przecież coś takiego jeszcze, jak wierność własnej drodze. Z tej drogi nie ma odwrotu. Jeżeli nie chcesz sobie samemu splunąć w twarz. Patrzył nań nieubłaganym spojrzeniem człowieka, który był pewien, że ma rację, że racja, słuszność były zawsze po jego stronie i że będą, choćby ta jego racja, ta słuszność miały być przez innych odrzucone i na wieki potępione, i on sam miał być na wieki potępiony też. Więc zrozumiał, że nie ma z ojcem żadnej dyskusji, że cokolwiek powie, ojciec i tak to odepchnie, i dlatego też, gdy powiedział wreszcie, że wyjeżdża, nie musiał wiele tłumaczyć wolą matki, bo ojciec i tak nie miał najmniejszej wątpliwości, że to ucieczka, choć powiedział: Tak, już wiem, twoja matka pisała do mnie, żebyś przyjechał, tak będzie lepiej, oczywiście, a on dobrze wiedział, później zaś jeszcze utwierdził się w swym przekonaniu, że matka nic takiego do ojca nie napisała, bo matka w ogóle do

ojca nie napisała wtedy żadnego listu.

Więc za kilka dni miał opuścić ten dom i nigdy nie wrócić, ale było tak, jakby jechał tylko na święta, o jego wyjeździe w ogóle nie mówiło się, choć kartony, w które spakował swoje książki i różne inne rzeczy, ojciec sam zawiózł — kiedy on był jeszcze w szkole — na stację i nadał je przesyłką kolejową. Potem szkoła się skończyła i nazajutrz miał jechać, wieczorem jednak przed domem znowu zatrzymała się znajoma ciężarówka, ojciec znowu był gdzieś w jakiejś bardzo pilnej sprawie potrzebny, więc się rozstali bez pożegnania prawie, w ogromnym pośpiechu, zapominając nawet życzyć sobie zdrowia i wesołych świąt. A później, już u matki, starał się o ojcu jak najmniej myśleć, koncentrując się cały na tym, co teraz go czeka: że zmieniwszy szkołę, w nowym otoczeniu i z nowymi nauczycielami musi podołać wzmożonemu wysiłkowi, żeby przygotować się do matury. W połowie stycznia dowiedział się, że ojciec został aresztowany dwa dni po świętach, a że wkrótce i Faustynę aresztowano także, to dowiedział się dopiero po roku, kiedy ktoś z Z. przywiózł spóźnioną wiadomość o ich skazaniu na wieloletnie więzienie.

Zanim jednak ta druga wiadomość z Z. nadeszła, już skreślił ojca ze swego życiorysu. Zrobił to zresztą tym łatwiej, że oficjalnie ojciec zginął przecież w czasie wojny, i tak też figurował we wszystkich jego ankietach personalnych, wpierw szkolnych, następnie uniwersyteckich i na licznych formularzach, które musiał, jak każdy obywatel tego kraju, wypełniać przy różnych okazjach. W rubryce „rodzice" wpisywał matkę z jej dokładnym wiekiem, zawodem, adresem (i innymi cechami szczególnymi, których wymagały przepisy), ojca zaś zaledwie imiona i nazwisko, niekiedy nawet opuszczając zawód, jako że zawód ojca mógł okazać się dyskredytujący, miast tych zaś, i wielu innych danych, wpisując słowa „zaginiony w czasie wojny", na wszelki wypadek jednak zaznaczając, że już wcześniej rodzice się rozeszli, że był pod opieką matki i jest na utrzymaniu matki, pocąc się ze strachu, kiedy tylko pomyślał o tym, że w śledztwie mogli się ojcu dogrzebać do jego prawdziwej tożsamości i fakt, że ojciec żył w Z. na papierach swojego nieżyjącego brata i to, jakie może ów fakt mieć dla niego, jego syna, konsekwencje, siłą wyrzucał z głowy. Chciał ukończyć uniwersytet i do czegoś dojść w życiu w ramach warunków i możliwości, jakie stwarzała powojenna rzeczywistość. Nic nie mógł dla ojca zrobić, w żaden sposób mu pomóc, nawet gdyby chciał. Czy jednak chciał? Nie pamiętał. Mogłem chociaż o nim myśleć, napisał mi. Nie myślałem, napisał mi jeszcze.

7

Pociąg wspinał się teraz ciężko pod górę; miał wrażenie, że czuje jego wzmożony wysiłek całym ciałem i jak lokomotywa walczy z naporem wiatru. Ale gdy odsunął na bok połę płaszcza, którą nakrył sobie głowę, kiedy po drodze na jednej z większych stacji przedział się zapełnił, i spojrzał w czarne okno, w ciemność rozciągającą się za szybą (już jednak przerzedzającą się zwolna), to wydało mu się, że przesuwający się tam pejzaż jest płaski i pusty. Uczucie pogłębiającej się pustki było też uczuciem cały czas towarzyszącym mu w tej podróży. A na najgłębszym dnie tej pustki drżał lęk. Ale gdy zastanowił się dłużej nad tym, czego się boi, nie umiał znaleźć precyzyjnej odpowiedzi. Po jakimś czasie dopiero sformułował ją: że pewnie boi się próby pokory. Bo może będzie musiał (nieważne przed kim, przed ojcem, Faustyną, czy przed sobą samym, napisał mi) przyznać, że nie jest tym, za kogo uważał się wtedy w czterdziestym szóstym, siódmym i ósmym roku. Kiedy rozchodził się z ojcem i uznał ojca za człowieka, który przegrał, siebie zaś za nadążającego za pędzącymi naprzód czasami. Albo że może będzie musiał nawet przyznać, że to, co postanowił jeszcze tam w Z. uczynić i co później uczynił, uważając za słuszne, zdeterminowane historycznymi racjami, podparte stuprocentowymi autorytetami, okazało się nie prowadzące do niczego innego, jak zaprzeczenia wszystkiemu, co wyniósł kiedyś z domu, co przekazała mu rodzinna tradycja, przykłady ojca i wielu krewnych, książki i wreszcie wydarzenia, wśród których upłynęło jego dzieciństwo. Że historyczne racje okazały się gołą przemocą, napisał mi. Stuprocentowe zaś autorytety zdemaskował czas jako fałszywych proroków. I że będę w końcu musiał także przyznać, że byłem słabym tchórzem, napisał mi jeszcze. A potem myślał o łatwości, z jaką ludzie zmieniają skórę. Jakkolwiek sześć, siedem lat temu oblekali ją, jakby na zawsze. I myślał z sarkazmem i czuł, że obietnice wielkiej odmiany rzucane z mównicy minionego dopiero co plenum przez wydobytego z więzienia Gomułkę zostawiły go zimnym i nie wróciły mu wiary żadnej. Jeżeli miałbym coś na swe usprawiedliwienie, napisał mi jeszcze w tym samym liście, to tylko to, że dla mnie ta skóra stała się przyciasna już dużo wcześniej.

Gdy podniósł się z siedzenia i, przestępując wyciągnięte nogi śpiących teraz współpasażerów, wyszedł na korytarz, żeby zapalić papierosa, znowu odniósł wrażenie wspinania się, jazdy pod górę pełnej wysiłku i utrudzenia, kiedy jednak opuścił nieco szybę okienną, posłyszał dziki szum, który nie był szumem pędu pociągu, ale dmącego mu naprzeciw wiatru, i jednocześnie trze-

potanie niewidzialnych świerków. Potem jego oczy oswoiły się z ciemnością zwolna, a wtedy przekonał się, że to, co przedtem, kiedy jeszcze przez szybę spoglądał z przedziału na zewnątrz, wydawało mu się pustą płaszczyzną, musiało być tylko ścianą tej ciemności, naprawdę zaś pociąg pędził dnem doliny, której zbocze od jego strony znaczyły ciemne zagajniki i jaśniejsze łąki, poprzerastane warstwami granatowego powietrza. Wysoko nad nimi wyłaniały się teraz z zupełnie czarnego nieba ośnieżone bielą szczyty gór, niewidocznych jeszcze w całości.

Gdy zapalił papierosa, poczuł jak senność przepada i ostre trzeźwienie, choć pełne znużenia. Pomyślał, że za godzinę będzie świtać i czy spał. Był przekonany, że całą noc rozmyślał. I że za godzinę pociąg zatrzyma się w Z., pomyślał jeszcze, zaciągając się mocno i obserwując swą trzymającą papierosa dłoń, czy kulka żaru drży, czy nie; nie drżała. Potem znowu uchylił okno, a wiatr począł wściekle wciskiwać do środka wagonu gorzki zapach świerków i jodeł, i spostrzegł, że dno doliny wypełniało już powietrze nie granatowe, lecz niebieskie i zobaczył zanurzoną w nim głęboką wstęgę rzeki, pieniącej się wśród kamienistych płycizn i łach, dalej zaś telegraficzne słupy, od których czarne druty rozbiegały się w różnych kierunkach, jak odnóża rozkraczonych pająków. Kiedy wrócił do przedziału, znowu wcisnął się w swój kąt, nakrywając głowę płaszczem i wtedy na krótko zasnął naprawdę, i spał tak twardo, że nawet nie słyszał współpasażerów, którzy zbudzili się wcześniej, zbierali swe bagaże i rozmawiali. Obudził się, gdy pociąg zatrzymał się w Z., bo ktoś potrząsnął jego ramieniem, mówiąc mu, że to ostatnia stacja, o czym wiedział, ale zanim otrzeźwiał zupełnie i sobie to uprzytomnił, był w przedziale sam. Gdy więc, dźwigając walizkę, wysiadł z wagonu na pusty już peron, dalej poruszał się jak we śnie. W powietrzu czuł poszarpany wiatrem świt, nasiąknięty lodowatą ni to mgłą, ni mżawką, który rozjaśniał się zwolna i widział wzburzone chmury, a góry wznosiły się zupełnie blisko, oślepiająco błyszczące w odbiciu nieba jeszcze przed słońcem.

Wędrował potem pustym peronem i do pustego przejścia na ulicę; tam czekał jakiś czas marznąc, bez myśli i bez czucia, aż nadjechała taksówka (pewnie w nadziei złapania pasażera następnego pociągu) i usadowiwszy się w środku, powiedział adres, pod który chce być odwieziony. A choć taksówkarz odwrócił wtedy w jego stronę twarz i mu się przyjrzał, i on to od razu spostrzegł, nie zastanawiał się nad tym dłużej niż dwie, trzy sekundy, i kiedy samochód ruszył, prawie natychmiast, jak pod koniec podróży w przedziale, zasnął twardo znowu tak, że obudził go dopiero bezruch i świadomość, że taksówka stoi i jest już prawie dzień.

Więc po chwili stał znowu przed zardzewiałą ogrodową furtką, którą, wydawało mu się, raz na zawsze za sobą kiedyś zatrzasnął i nie żegnany przez nikogo ani nawet odprowadzany przez okno wzrokiem, dźwigając walizkę, poszedł do postoju dorożek, a stamtąd pojechał na dworzec. Teraz była to ta sama furtka. Tak samo zardzewiała, otwierająca się z trudem. nacisnął na dzwonek, natychmiast przypominając sobie, że przecież przy furtce nie działa, i zaraz nacisnął na klamkę. Nacisnąłem na klamkę i pchnąłem furtkę, napisał mi. Z trudem, tak jak dawniej, napisał mi. Wszedł na wyżwirowaną, zagrabioną starannie ścieżkę, przemierzając tych piętnaście kroków do schodów (pamiętał dokładnie, że piętnaście) i po stopniach (pamiętał: było ich siedem), i potem przez krótki podest do drzwi z ciężkiego, spękanego drewna. Był tam nad tabliczką, na której wygrawerowane widniało imię i nazwisko ojca, drugi dzwonek, w tamtym czasie działający, ale kapryśnie, raz tak, raz nie. Nacisnąłem na dzwonek, napisał mi. W głębi domu rozległ się ostry, znajomy mi dźwięk, napisał mi. Stałem przed tymi znajomymi drzwiami, miałem jeszcze w uszach znajomy, ostry dźwięk dzwonka z tamtego czasu; ten dźwięk teraz rozlegał się znowu. I czekałem na odgłos znajomych kroków, napisał mi. Czekał w takim napięciu, jak gdyby je istotnie mógł usłyszeć. I kiedy je wreszcie usłyszał, to do końca nie chciał uwierzyć, że to nie ojciec idzie mu otworzyć, ale ona, i na chwilę zacisnął mocno powieki, żeby jej nie widzieć. Nie chciałem widzieć tego uważnego zastanowienia w jej twarzy, które najbardziej zapamiętałem i które mnie tak drażniło, napisał mi. Więc stał pochylony nad walizką, jakby ją stawiał na stopniu albo chciał właśnie ze stopnia podźwignąć, i zaciskał powieki. Aż posłyszał głos, bo otwarcia drzwi nie posłyszał, ale dopiero głos, i wyprostował się, bo ten głos należał do innej kobiety.

Stała przed nim na progu ze starą, pomarszczoną jak jesienne jabłko twarzą. Z tej starej twarzy, młode jednak i, jak dwa węgle, oczy przyglądały mu się świdrującym, bez śladu życzliwości wzrokiem. Tak mi się wydawało, napisał mi. Była nieduża, lecz z rękami o dłoniach dużych, spękanych, prawie brązowych od nadmiaru słońca, pewnie pracy także. Mówiła, żeby wszedł. Potem, widząc jego zakłopotanie, gdy wszedł i się przedstawił, powiedziała, że na niego czekała, że była pewna, że przyjedzie, jest ciotką Faustyny, Weroniką, zaginęła podczas wojny, może o niej słyszał, ale pewnie zapomniał i że ją wywieźli, a teraz przywieźli, że do Rosji, a teraz z Rosji, i w ciągu kilkunastu czy kilkudziesięciu sekund zdążyła mu powiedzieć co najważniejsze z jej życia, jakby mówieniem o sobie chciała odsunąć to, co powiedzieć naprawdę należało o innych mieszkańcach tego domu. Potem powiedziała: teraz pan się rozbierze. I zaraz pan zje śniadanie. I zobaczył, że jej wzrok nie

był świdrujący, dociekliwy, nieżyczliwy, jak mu się zrazu zdawało, tylko drżał jak płomyk na wietrze. A kiedy postępując za nią przez sień zakłopotany, może nawet zmieszany (oczekiwał, że ktoś inny drzwi mu otworzy), wreszcie o Faustynę spytał, wyjaśniła zdawkowo, że Faustyny nie ma i poprowadziła go przez sień do pokoju na piętrze, przykazując mu zaraz zejść.

Słuchając jej oddalających się kroków i nagłej potem ciszy w domu, pomyślał, że potraktowała go jak obcego (choć był to jego dawny pokój), lecz myśl zaraz przepadła, tak była nieważna, a potem, otwierając torbę podróżną, że nie powiedziała nic o ojcu i dlaczego on nie zapytał, i znowu wsłuchiwał się w napięciu w ciszę domu, już domyśliwszy się, już wiedząc, że ojca tu nie ma, jego zaś ręce poruszały się jak we śnie, gdy z walizki wydobył sweter i zrzuciwszy z siebie marynarkę, założył na jej miejsce. On cały też poruszał się jak we śnie, jakby od tamtej chwili, kiedy zasnął w taksówce, a może jeszcze wcześniej, kiedy zasnął w przedziale z godzinę lub półtora przed przybyciem pociągu do Z., jeszcze się był nie przebudził. I to uczucie towarzyszyło mu także, kiedy zszedł na parter do kuchni i tak, jak ciotka Faustyny chciała, siadł przy stole, usiłując coś zjeść, a ledwo przełknął trochę gorącej kawy, ona zaś, ciotka Faustyny, która ponownie przypomniała, że na imię jej Weronika, mówiła cały czas do niego o sobie, niekiedy do polskich słów mieszając rosyjskie. Aż w pewnej chwili głos jej umilkł i ta cisza kazała mu podnieść znad talerza głowę, a wtedy w drzwiach z sieni do kuchni, lecz bardziej w sieni niż w kuchni, zobaczył stojącą tam w ciemnym płaszczu, przypatrującą mu się uważnie Faustynę. Kiedy jednak poderwał się z krzesła i ku niej zbliżył, cofnęła się o krok albo dwa. Powiedziała: Więc pan przyjechał?, głosem zdziwionym, jakby ona, przeciwnie niż jej ciotka, jego przyjazdu się nie spodziewała, i zaraz zatrzymała go ruchem dłoni, mówiąc: „Niech pan skończy śniadanie, proszę..., on zaś posłusznie powrócił do stołu i, nie siadając, podniósł filiżankę z niedopitą kawą do ust i przez chwilę przy ustach trzymał, nie mogąc przełknąć, a nawet bojąc się, że zastuka w porcelanę zębami. A potem posłyszał powtórnie: A więc pan przyjechał..., ten zdziwiony jej głos, lecz sam już był opanowany i tysiąc myśli przelatywało mu przez głowę, jedna drugą przeganiając. I patrząc na nią, jakby dopiero teraz ją zobaczył, pomyślał, dlaczego ona się dziwi. Kiedyś nie dziwiła się niczemu, napisał mi. Kiedyś też mówiła mi „ty", a wtedy, na progu, powiedziała mi „pan", napisał mi. To „kiedyś" było wprawdzie tylko kilka lat temu, ale i on, i ona zmienili się, mówiła mu pan, i to było dobrze, że tak, bo od razu inaczej określało i ułatwiało ich wzajemne stosunki, taka myśl wyskoczyła raptem spośród innych myśli i nie przepadła od razu, jak

tamte. Tak napisał mi w liście. I uświadomił sobie, że to było już całe ich powitanie, tych niewiele słów jedynie, skoro nie dotknęli się nawet dłońmi. A ona pod jego spojrzeniem odwróciła się, zrobiła kilka kroków w głąb sieni i powiedziała coś, czego nie zrozumiał, bo głosem cichym, jakby do siebie, ale tamtego zdziwienia już w nim nie dosłyszał. A wtedy, idąc za nią (znowu we śnie, i wszystko dookoła było jak we śnie, sień, schody na piętro na prawo, drzwi wyjściowe do ogrodu na lewo, za oknem chwiejące się na wietrze dwa rosłe świerki, i ona, idąca przez sień, niezbyt wysoka, lecz nie niska, smukła, wyprostowana, jak zawsze niegdyś, ale inna, odruchowo teraz poprawiająca na sobie ciemny płaszcz, w którym wyglądała jak młoda dziewczyna, choć nie mogła mieć mniej, niż trzydzieści kilka lat), zapytał o ojca i zaraz zrozumiał, że ona już o nim mówiła od dobrej chwili, tylko że doń nic z tego nie dotarło, że ojciec jest w klinice, że była tam nocą, teraz zaś zrobiła zakupy i jeżeli chce, ona go zaprowadzi i jeszcze raz coś zawile, co pewnie nie znaczyło nic nad zapobiegliwe, uparte wypełnianie ciszy. Więc pierwszy raz spojrzał jej prosto w twarz. I od razu sobie uświadomił, że w jej oczach nie ma żadnej nadziei. A gdy po raz drugi powiedziała, że jeśli chce, to go tam zaraz zaprowadzi, to usta jej drżały i uświadomił sobie również, że w jej słowach nie ma nadziei też. Tak mi napisał w liście. Potem szła obok niego ulicą pochylona w wietrze, zaciskająca w pasie płaszcz dłonią, za szczupłą, bladą twarzą, bardzo młodą, jak już zauważył przedtem (może dlatego że tak szczupłą to prawie że dziewczęcą), milcząc, nie odpowiadając na jego pytania, z twarzą prawie zadumaną, a spojrzeniem niezgłębionym i ciemnym.

Byli w hallu kliniki, kiedy dopiero powiedziała niegłośno: „To tutaj" i podeszła do siedzącej za barierką siostry, a gdy ta rozmawiała z Faustyną krótko, to zauważył, że patrzyła cały czas na niego wzrokiem taksującym. Milczeli, kiedy go po chwili poprowadziła korytarzem (on wciąż jak we śnie, myśląc, że zaraz to musi nastąpić, on się przebudzi), aż pod drzwi tego pokoju. I wtedy przypuszczał, że razem z nim do środka wejdzie, nawet usunął się na stronę, ażeby ją przepuścić pierwszą, ale ona przystanęła, patrząc mu w oczy przenikliwie i prosto, i zaprzeczyła nieznacznym ruchem głowy. Potem nacisnęła klamkę. Potem cofnęła się, robiąc jemu miejsce. On zaś stał jeszcze sekundę albo i dwie, a jej już nie było.

Więc musiał wpierw oswoić się z mrokiem, bo okno było prawie do samego dołu osłonięte żaluzją od zewnątrz. I patrząc na łóżko i leżącego tam mężczyznę, zrazu nie mógł się poruszyć. Tak że minęła minuta albo i więcej, zanim tych kilka kroków postąpił. Byłby pewnie jednak od razu powiedział do niego „tato", jak wtedy, w czasie tej jednej z ich ostatnich rozmów,

może nawet rozmowy ostatniej, gdyby nie świadmość, że ojciec go nie usłyszy; i głos uwiązł mu w krtani, jak kamieniem. Mimo tego po jakimś czasie, kiedy tak stał u skraju jego łóżka, wpatrując się w ściemniałą, porysowaną tysiącami zmarszczek twarz ojca, jakby wydłużoną, ledwie uczepioną cienkiej szyi, i cały, stężały wewnętrznie, nasłuchiwał jego słabego oddechu, to jednak to „tato" powiedział i przypomniał sobie, co powiedział wtedy, przed kilkoma laty, co będzie, gdy go zabiorą, co oni z nim zrobią, i pierwszy raz od poprzedniego dnia, kiedy depeszę Faustyny wręczył mu kierownik nadmorskiego hotelu, poczuł ból, i ten ból był tak gwałtowny, tak szybki, tak dojmujący, że aż się zachwiał i musiał oprzeć się dłonią o brzeg nocnego stolika, żeby nie upaść. Więc to było tak, jakby obudził się właśnie. I zdawało mu się przez chwilę, jakby cała treść wczorajszej depeszy dopiero teraz doń dotarła w pełni. Jakby poprzedniego dnia zaczajona gdzieś na skraju świadomości czekała, ćmiąc jak ból głowy albo zęba, który to ból wprawdzie się odczuwa, lecz o nim się nie myśli ani go nie pamięta wcale. A teraz wdarła się w jej głąb, tak że już wiedział. Jakby przedtem to nie dotyczyło mnie w całości, napisał mi. Albo nawet w ogóle. Dopiero teraz, napisał mi jeszcze. I że już za późno, ażeby nawiązać z nim kontakt, napisał mi w tym liście. I znowu przypomnienie, to pytanie o to, co mówił mu brat, co mówił mu ojciec, kiedy brat go był jeszcze, krótko przed zwolnieniem, w więzieniu odwiedził, przeleciało mu przez głowę szybko. Lecz tym razem odepchnął je ze złością.

Nachylił się. Nachylił się tak nisko, że twarz ojca ujrzał w powiększeniu. Tak że pod czerwono-brązowymi powiekami ojca, błyszczącymi i pociętymi żyłkami (które poruszały się, jakby tam pod nimi poruszały się pełne życia źrenice, wiodące za nim wzrokiem, gdy się nachyla i, jakby ojciec patrzył mu w oczy), dojrzał nagle wyrzut, może nawet pytanie, i cicho powiedział wtedy: „Myliłem się tato. To się już nie powtórzy. Ja się myliłem, tato", cicho, ale dobitnie, „Wybacz, tato" i potem, kiedy znów się wyprostował, poczuł się, jakby w krótkiej chwili przedtem przewaliła się przezeń burza z huraganem, z błyskawicami i deszczem, bo był tam w nim wygasły gniew i niewygasły żal, i rozpacz, łzy i smutek, ale gdy dotknął twarzy dłońmi, była sucha, policzki tylko nieco piekły od wiatru, który osmagał go po drodze do kliniki. A po chwili z tamtych uczuć nie zostało w nim nic, dojmujący smutek jedynie. I uświadomił sobie wtedy nagle, że ojciec jest starym człowiekiem. Jeszcze tak niedawno był to człowiek czynu, popędliwy, despotyczny, skłonny może trochę do rezonerstwa, zbyt niekiedy szorstki może, nieskory do zwierzeń, ale przecież prawy, kierujący się w swym postępowaniu zawsze także sercem, żywo zaangażowany w sprawy świata zewnętrznego, a teraz był starym człowiekiem, był daleko i wszystko od niego było daleko też.

Już teraz stał przy ojca łóżku bez słowa, a jego oswojone z półmrokiem pokoju oczy patrzyły w niewidzące oczy leżącego, bez potrzeby pochylania się; słuchał jego urywającego się oddechu i jeszcze jednego szmeru może. Zrazu nie był go pewny. Ale po jakimś czasie umiejscowił go. Był to szmer wywoływany ruchem ręki ojca, woskowo-żółtej i jakby zupełnie pozbawionej wagi, która lekko drżała na poszwie kołdry w chwili odprężenia, a zaczynała wibrować w chwili paroksyzmu bólu. Słuchając tego równomiernego szmeru powtarzał w myśli z rozpaczą i przejęciem: „Myliłem się, wybacz. Myliłem się, wybacz". A potem już tylko: „Wybacz, wybacz..."

On był już zupełnie starym człowiekiem, napisał mi w liście.

8

Faustyna wywołała go na korytarz, a do pokoju ojca weszły pielęgniarki, by zmienić mu pościel. Wodząc go po korytarzu mówiła potem o różnych sprawach ojca dotyczących, ale tak, jakby to nie on tam za zamkniętymi drzwiami leżał, tylko ktoś zupełnie inny, on zaś był w domu, czekał na nich i jakby zaraz oboje mieli do niego iść. Gdy pielęgniarki stamtąd wyszły, powstrzymała go, mówiąc, żeby wrócił do domu, żeby się przespał, całą noc jechał, jest na pewno senny, jak matka do chłopca, albo jek starsza siostra, ona wie jak to w podróży jest, a czeka go jeszcze niejedno, tym ostatnim zdaniem coś dając do zrozumienia, lecz wzbraniając się powiedzieć głośno. I wtedy pierwszy raz go dotknęła. Jej rozpostarta dłoń dotknęła jego przedramienia krótko, szybko i jak gdyby pchnęła, bo zaraz z uczuciem ulgi szedł ku wyjściu, a ona tam, w tym korytarzu, w pobliżu drzwi do ojca szpitalnego pokoju została sama.

I był już na ulicy. I na chwilę przystanął, bo nagle zderzył się z wiatrem i ostrym słońcem, które jednak nie grzało, oślepiony mrużył oczy, szeroko wciągając w płuca chłodne powietrze przesycone wilgocią wraz z zapachem iglastych drzew, i z wysiłkiem pozbywał się tamtej, szpitalnej woni. Potem szedł przed siebie, nie myśląc, że idzie w niewłaściwym kierunku, że oddala się od domu, z rękami głęboko w kieszeniach płaszcza, z dłońmi zaciśniętymi, wciąż pod wiatr, z twarzą pod słońce, jakby wystawiając się na jego promienie, nie patrząc gdzie idzie i o tym też nie myśląc. A potem wille i letniskowe domki ustąpiły góralskim drewnianym chatom, otwierała się i podnosiła w górę przestrzeń łagodnego stoku, który zawsze zimą służył za

teren zjazdów narciarskich dla początkujących w tym sporcie, teraz zaś pokrywająca go łąka szarzała wyskubanymi aż do nagiej ziemi przez owce liszajami. Od pobliskiej stacji kolejki górskiej oderwał się właśnie wagonik wypełniony turystami i piął się wolno na górujący nad doliną miasta skalny grzbiet.

Wciąż jeszcze o niczym nie myślał, idąc potem w kierunku stacji. I kiedy wykupił bilet, i stał przed stacją oparty o mur, wsłuchując się w szum być może wiatru, może dalekiego strumienia, lecz nie słysząc pobliskich rozmów zbierających się pod stacją turystów, czekających aż wagonik kolejki zjedzie w dół i ich zabierze, to nie myślał też. Ani w wagoniku wspinającym się pod górę i już na górze, gdzie potem wynajął sobie krzesło i siadł na tarasie, skąd widok miał na całą okolicę i jeszcze dalej, aż po przeciwległą ścianę gór. Ale nie patrzył, siedział z zamkniętymi oczami zupełnie bez ruchu (choć chyba wbrew temu, co powiedziała Faustyna, nie był wcale zmęczony, a senny nie był tym bardziej), wystawiając twarz do słońca, jakby próbował się opalić; tak że gdyby ktoś przypatrywał mu się z boku, to pewnie takie właśnie sprawiłby wrażenie: opalającego się turysty. Dopiero po jakimś czasie, gdy kolejką na górę przyjechali nowi ludzie, bo posłyszał wiele głosów naraz, i wkrótce jeszcze głos przewodnika coś im wyjaśniającego, ten głos zaś wydał mu się znajomy skądś od dawna, kiedy w Z. mieszkał, to wtedy w głowie pojawiły się napowrót myśli i pogalopowały. I zaraz żal, także rozpacz i smutek jak tam, w tym pokoju szpitalnym u ojca łóżka, znowu w nim były i przetaczały się za nim falami, jakby nie mogły znaleźć sobie ujścia ani miejsca, i myślał, że w przyszłości, gdy to miejsce sobie znajdą, może ono tylko jak wrzód otorbić się czymś w rodzaju błony czy nawet obrosnąć grubą skórą znieczulającą być może nieco, nie do końca, tak że uczucia te pozostaną tam pod nią na zawsze, nie pozwalając o sobie zapomnieć. Bo zawiodłem, napisał mi. Stchórzyłem. Może nawet zdradziłem, napisał mi jeszcze.

I przypomniał sobie po raz któryś ten sprzed lat wieczór przy stole. Gdy powiedział to ojcu. I gdy ojciec (choć nie skończył jeszcze jeść) odsunął talerz i sięgnął po karafkę. I jak Faustyna zaraz wstała, zebrała ze stołu wszystko i zniknęła w kuchni, jakby od pierwszej chwili uważała, że to sprawa tylko między nimi dwoma. Dopiero wtedy ojciec, odstawiając szklankę z wodą i wycierając usta, choć nie upił z niej ani łyka, zapytał: To takie są twoje przekonania? a on ramionami wzruszył, że co z tym mają wspólnego przekonania, że on nie wie jeszcze dobrze, co te wszystkie nowe przekonania znaczą, jeszcze ich nie poznał, ale świat idzie w jedną stronę i on, jego ojciec, idzie w drugą, a wiadomo już przed którą stroną przyszłość, on chce się dostać na uniwersytet, bez organizacji nie ma wielu szans, nie

chce być odtrącony, nie da się zepchnąć, nie pozwoli zablokować sobie drogi w świat, tak jak on, jego ojciec, który wtedy, powiedział tylko, że się boi, że z jego, ojca, przyczyny jemu, jego synowi, także zawalić się wszystko może, a wtedy ojciec powiedział o wyborze, że jest coś znacznie gorszego od zablokowania sobie drogi w świat, to fałszywy wybór, że fałszywym wyborem można sobie całe życie zniszczyć. I znowu widział szybkie ruchy ojca ręki: do szklanki z wodą, ze szklanką od ust, głośny ruch grdyki, odstawianie szklanki i dłoń ojca rozpłaszczającą się na obrusie, siłą uspokajaną.

Potem nagle trzeźwy, jasny umysł — jakby tam w głowie rozdarła się jakaś zasłona z mgły albo ten górski wiatr, którego dotyk czuł przez płaszcz i ubranie na całym ciele, wymiótł mu z głowy tę gęstą, lepką masę utrudniającą myślenie — zaczął przenikliwie, ale zarazem w panice przyglądać się drodze, jaką za sobą zostawił od tamtego wyjazdu z domu w Z. dorożką na stację i dalej, aż do chwili, kiedu znowu w Z. ze stacji taksówką do tego domu wrócił.

Wiele wydarzeń — o których, w miarę oddalania się od nich, coraz rzadziej myślał, odwracał się od nich z rosnącą niechęcią, tak że sądził: przepadły — teraz wyłaniało się z dna pamięci na jej powierzchnię, jakby miało miejsce dopiero wczoraj, co znaczyło, że wspomnienie o nich wciąż w nim, wbrew temu co sądził, żyło, tylko że w stanie niepamięci. I nie tylko wspomnienie pierwszej organizacji, do której zapobiegliwie zapisał się jeszcze w Z., ażeby zagwarantować sobie miejsce na studiach, ale później i o tej następnej, do której nie musiał się zapisywać, lecz się w niej znalazł po zjednoczeniu wszystkich organizacji w jedną „jedynie słuszną" albo ściślej, w której musiał się znaleźć, jeżeli nie chciał zbyt wiele ryzykować (a nie chciał), a potem o partii, do której musiał wstąpić, ażeby swoją przynależność, może nie tyle do organizacji, co do pewnej kasty, potwierdzić. Dokładnie tak, jak ojciec wtedy przy stole mu powiedział. Że gdy zrobi się krok jeden, to trzeba postawić zwykle i następny, a później jeszcze następny dodatkowo także. I już w ogóle zatrzymać się nie można.

Skończył uniwersytet, napisał swą pierwszą pracę naukową, ogłosił kilkadziesiąt poważnych, naukowych artykułów w fachowej prasie, związał się z kobietą, która szła podobną jak on drogą, w innej dziedzinie robiąc podobną jak on karierę, ogłosił swą drugą i trzecią pracę, i jak mu się wydawało, miał zapewnioną świetną pozycję w Instytucie. I nagle musiał zadawać sobie pytanie, czy tą drogą, którą kiedyś wybrał, naprawdę trzeba było iść, czy nie osiągnąłby wszystkiego, co osiągnął, bez podjętej jeszcze w Z. decyzji, bez tego całego buntu, bez wmawiania sobie, że po to to wszystko, aby uczestniczyć w „kształ-

towaniu rzeczywistości". I znowu nie potrafił sobie na pytanie to odpowiedzieć.

A przecież nigdy nie zapomniał zebrania wtedy przed laty, kiedy przyjmowano go do partii, kiedy w tej ciasnej salce Wydziału, ciemnej od dymu papierosów i pełnej, niby ten dym ciemnej, wiszącej w tym zadymionym powietrzu ciężko, nieufności, przyszła na niego kolej wreszcie. Kiedy mówił swój życiorys. Kiedy wycieniował niektóre szczegóły, jedne wyolbrzymiając, inne zaś pomniejszając lub pomijając zupełnie (miał tę praktykę z organizacji młodzieżowej jeszcze) i potem zadawali mu pytania, niejedne z tych pominiętych przez niego szczegółów wyciągając na światło i drżąc (bo tak było w zwyczaju, widać zresztą, że gdzieś został „prześwietlony"), ale jednak nie za bardzo drżąc, tyle tylko, że powinien był ich zdaniem przyznać, iż pochodzenie miał drobnomieszczańskie, upierał się jednak czas jakiś, że ojciec, skoro był nauczycielem, to należał do inteligencji pracującej (upieranie się pewien czas też należało do rytuału, jak potem to, że należało dać się przekonać), oni zaś wiedzieli lepiej, że drobnomieszczańskie właśnie, skoro nigdzie pozytywnie nie działał, nigdzie nie należał, w żadnych dobrych szeregach nie walczył, tylko złapano go z walizką zahandlowanej świniny z tajnego uboju, więc rację im w końcu przyznał. Bo przecież nie to było najważniejsze. Ważne było tylko to, że w ich mniemaniu jego ojcem był wciąż jeszcze stryj, zagarnięty w tamtej łapance w czasie wojny i zastrzelony potem w ucieczce. Nie zapomniał także uczucia osłabiającej ulgi, tej miękkości w nogach, jakby ciążyły i zapaść się chciały pod podłogę, jakby on cały chciał się gdzieś zapaść, i później tego zwolna mijającego lęku, bo jednak nie wszystko wiedzieli. Ani owej myśli, że tak zostanie na zawsze: ojciec — stryj. A już absolutnie nigdy nie zapomniał swego upokorzenia. Przytłaczającego upokorzenia, które go owładnęło, kiedy lęk wreszcie minął, tego upokorzenia budzącego go jeszcze przez lata ze snu nocą, przypominającego się nieraz w najbardziej nieoczekiwanej porze dnia, w środku jakiejś rozmowy, przy ważnych czy zupełnie błahych czynnościach, podczas czytania gazety, pisania jakiegoś artykułu, przygotowywania odczytu lub wykładu, coraz częściej, coraz silniej go przekonującego swą zimną oczywistością, że wtedy był założył sobie nową na szyję obrożę i już nigdy potem nie był wolny. Pomyślał raptem o kobiecie, którą kochał i równocześnie, co zrobi, gdy wróci do Warszawy, o jej karierze i że ona tego, co on zrobi, nie pochwali, ale nic w nim z tej przyczyny nie drgnęło, jakby wszystko tamto, co z nią go łączyło, było teraz równie dalekie, jak tamta jego dawna droga, kiedy wierzył, że prowadzi go do jakiegoś świetlanego celu, że idąc nią on sam tworzy rzeczywistość, a tylko błądził w krainie utopii.

Odwrócił głowę, gdy posłyszał swoje nazwisko, wypowiedziane głosem, który wcześniej z daleka posłyszał, kiedy wagoniki kolejki przywiozły nową partię turystów. Zobaczył mężczyznę w wiatrówce, narciarskich spodniach, narciarskich butach, lekko pochylającego się nad nim i błyskawicznie usiłował go sobie przypomnieć, pewnie więc miał minę niepewną, bo tamten zapytał: „Pan Bem, prawda? Czy może się mylę?", a gdy kiwnął głową i z krzesła się uniósł, tamten roześmiał się i przeszedł na „ty". „Przyjechałeś odwiedzić chorego stryja, co?", i zaraz: „No wypuścili, słusznie, przecież on też dobrze chciał... teraz, po plenum, to się już takie sprawy rozumie. Gdyby jednak nie był taki uparty, wyszedłby dużo wcześniej", i zmienił temat: „Idziesz w górę, słyszałem. Pewnie przyłożyłeś rękę do tego, żeby go wcześniej stamtąd wyciągnąć. Szychą się stałeś, słyszałem...?", i zaraz: „Dawno wybierałem się do ciebie do stolicy, żeby się przypomnieć po starej przyjaźni. Paszport, myślę, mógłbyś pomóc załatwić. Na przewodnika klubowego do wycieczek zagranicznych się staram... Słyszałem, dużo możesz...", a wtedy on się odezwał wreszcie, że przecież z niczym takim nie ma nic wspólnego, a tamten: „Jak to, Instytut Spraw Międzynarodowych stoi blisko MSZ, MSZ jest blisko MSW, więc ręka w rękę pracujecie", i zaraz rozgadał się o możliwościach wycieczkowego „obsprawienia się", tak to nazwał, i uważając już wszystko za załatwione, po starej przyjaźni, co nie rdzewieje, zapraszał na wódkę, a on kiwnął głową jakoś mechanicznie, że tak, że może kiedyś, wciąż nie mogąc sobie przypomnieć z kim mówi, choć twarz była znajoma, że teraz się spieszy, bo stryj, i żeby tamten to zrozumiał, a gdy tamten, że dobrze, że jego stryja wypuścili, powtarzać zaczął, i że było do przewidzenia, nagle powiedział cicho i zawzięcie: „Wypuścili, żeby im nie umarł w więzieniu. Żeby nie psuł statystyki", a tamten, spojrzawszy wpierw zdumiony, przytaknął z bezmyślną dezaprobatą. Więc wtedy odsunął tego w narciarskim stroju lekko na bok i ze złością poszedł szybko ku kabinie.

Po chwili w wagoniku jechał w dół ku miastu. A potem wracał do domu. I wkrótce był już w domu. I ciotka Faustyny coś mówiła doń o telefonach. Że jego brat. Ale że mu powiedziała, że z ojcem bez większych zmian. Bo gdyby teraz spróbował wrócić, to go na ten sam paszport ponownie nie wypuszczą i ten cały zagraniczny staż mu przepadnie. Tak mówiła. Tak napisał mi w liście. A potem był w pokoju na górze i niebawem leżał w pościeli wciąż chłodnej (choć w pokoju już napalono) i od krochmalu szeleszczącej przy każdym poruszeniu, nie mogąc zasnąć, a nawet nie mając wcale tego zamiaru, i te myśli o drodze, którą przebył od czasu wyjazdu z domu dorożką na stację do czasu przyjazdu do tego domu ze stacji taksówką,

mogły swój szalony galop w jego głowie od nowa zacząć. Tę drogę otwierało dawne, przytłaczające wspomnienie upokorzenia z tamtego zebrania, zamykało ją nowe, za pan brat traktującego go mężczyzny w narciarskim stroju, spotkanego na tarasie kolejki górskiej, liczącego na protekcję. Owe wspomnienia tkwiły w nim jak cierń jeszcze później, gdy siadł na łóżku i, przecierając oczy, patrzył na resztki słońca gasnące za oknem.

9

Właśnie wkładał na siebie płaszcz, ale nie zdążył, ugrzązł ramieniem w pół rękawa, kiedy Faustyna wyłoniła się z tego największego pokoju od frontu i powiedziała, jakby wiedziała, gdzie on się teraz wybiera, że teraz nie, że teraz ciotka Weronika jest przy ojcu, „Niech pan idzie na noc. Albo może jutro rano...", prawie spokojnie, głosem niemalże konwencjonalnym, ale była też w nim jakaś taka nuta, jakby to miało znaczenie, żeby do ojca nocą albo rano dopiero poszedł, jakieś zawieszenie głosu, nie powiedział jednak nic, tylko mu serce podskoczyło do gardła i musiał przytaić oddech, żeby nie był za głośny, gdy wyciągnęła rękę po jego płaszcz i gdy jej płaszcz posłusznie podał, a ona odwiesiła go na wieszak i jednym krótkim ruchem dłoni skierowała go do tego pokoju, skąd przed chwilą wyszła. I znowu ruch jej dłoni, ledwo zauważalny tak krótki, wskazał mu fotel na wprost okien. Potem czekała aż on się usadowi. A potem, nic nie mówiąc, cofnęła się do sieni, na chwilę zniknęła w kuchni, skąd słyszał niegłośne jej krzątanie się i znowu, jak wczoraj, miał wrażenie, że ze zdenerwowania dostanie dreszczy. Wkrótce jednak była z powrotem z herbatą, widać wszystko do jej zaparzenia miała przygotowane wcześniej i, ustawiwszy filiżanki na dwóch krańcach stolika, a także przysunąwszy w jego stronę cukiernicę, dopiero wtedy sama siadła w fotelu naprzeciw.

Więc zrazu myślał, że chce powiedzieć o aktualnym stanie ojca. Jednakże milczała. I siedziała bez ruchu. Swojej herbaty nawet nie osłodziła (choć cukiernicę przysunął w jej stronę), nawet nie tknęła filiżanki i dopiero, kiedy milczenie zaczęło się tak dłużyć, że wydawało mu się, iż to on coś powiedzieć winien, że może ona na to czeka, i już się zastanawiał co, odezwała się. Ale ani słowem o ojcu, o sobie też zresztą nie, tylko że ciotka Weronika przeżyła w jednym z kołchozów w Kazachstanie (jakby to właśnie było to, na co teraz czekał). Że przedtem pracowała w kopalni miedzi i wtedy nie mogła pisać w ogóle, ale później, kiedy już pracowała w kołchozie, to pisała wiele listów, tylko że prawie nic z tego nie przepuścili i że to

prawie cud, że teraz została zwolniona, transporty przychodzą po cichu do Medyki, tam je rozładowują, niektórych ludzi od razu puszczają dalej, innych przetrzymują czas jakiś na miejscu, wiele się o tym nie mówi, tyle że ten czy ów z dawna zaginionych, nieraz już i pogrzebanych na zawsze znajduje się nagle, i jak to dobrze, że się znajduje; aż zamilkła znowu. A wtedy wziął ze stolika wraz ze spodeczkiem filiżankę i, trzymając w powietrzu, drobnymi łykami wypił do połowy, i czekał, aż ona podejmie przerwany wątek. Przypomniał sobie, że ciotka Weronika była krewną, która Faustynę wychowała (może siostra jej matki, może matki kuzynka), że po niej ten dom i że to ją właśnie, tę ciotkę, kiedy on w tym domu mieszkał, uważano za nieżyjącą. I dalej myślał, że ona mu to wszystko mówi, żeby zabić milczenie, i jeszcze, że nawet, gdyby powiedziała dziesięć razy więcej, i tak tego milczenia zabić się nie da, co jest zapewne winą jego, nie jej, bo to on ją kiedyś nienawidził, o czym ona wiedziała, a później nie tylko ją, lecz i ojca z pamięci wypchnął. Potem zastanawiał się jak jej ułatwić przejście do spraw, o których chce mu powiedzieć, bo gdyby nie chciała mu czegoś powiedzieć, nie zatrzymywałaby go, nie przygotowywałaby herbaty, ale głowę miał pustą. Aż poczuł szarpiący głód papierosa, ale wiedział, że w tym domu się nie pali, nie chciał tego obyczaju łamać i z wysiłkiem się opanował.

Wreszcie jednak sięgnęła po filiżankę również i, nie słodząc, wypiła zawartość szybko do dna, jakby przeczuła jego przed chwilą zmagania, powiedziała: „Może pan zapalić. Przecież pan pali, nieprawda?", a on nic nie powiedział na to, nie sięgnął też po papierosa, ona zaś powiedziała wtedy: „Jedenaście dni dziś będzie, jak mi powiedzieli, że muszą zrobić wszystko, aby podtrzymać go przy życiu. To nasz obowiązek, powiedzieli i zaczęli ładować w niego morfinę", i w zmierzchu, który spowijał już pokój szarością coraz głębszą, jej twarz robiła wrażenie zamyślonej, może nawet (pochłaniając resztki światła z zewnątrz) bielszej jeszcze niż za dnia, lśniącej białością i zupełnie nieruchomej; jej ręce też były nieruchome, nieruchomo leżały na udach białe jak dwie zgniecione kulki papieru, bo były zaciśnięte, ona cała była jak posadzona sztywno do oparcia, nie dotykająca go palcami, nieruchoma lalka. I kiedy już myślał, że to jest wszystko, co mu powiedzieć chciała, zaczęła znowu mówić niegłośno, spokojnie, rzeczowo nawet, tak jak mówiła z początku, tyle że jakby z zamyśleniem teraz także i w głosie. Że prawdę, tę całą prawdę, to powiedzieli jej już przed dwoma miesiącami, pod koniec lata. A potem, że jeszcze widzi przed sobą tego lekarza, zmieszanego, wciągającego głowę w ramiona, zasłaniającego się rzucanymi obficie fachowymi wyrażeniami, już nie pamięta dokładnie, co jej powiedział, ale powiedział najogólniej, co jest, i

że napadła na niego jak Furia, nie pamięta też co krzyczała, ale szukała u niego odpowiedzi na wiele pytań, może nadziei, może pocieszenia nawet, a on na to tylko, że zrobią co się da, nic więcej, tyle że da się niewiele, tak powiedział, środki medycyny są ograniczone, ale oczywiście, będzie miał najlepsze warunki, na jakie klinikę stać, gdy się już na nią zdecyduje, tak powiedział i że ona może być pewna, że po tym, co z nim w tamtych latach wyprawiali to teraz tym bardziej im zależy, żeby nie musiał się skarżyć, a przecież jej o to wcale nie chodziło i jeszcze, że tego, czego naprawdę po nim oczekiwała, to nie powiedział jej wcale.

Potem mówiła o tych tygodniach wzajemnego oszukiwania się. Bo ona nie powiedziała jego ojcu, że lekarz jej powiedział, a on jej nie powiedział, że też już wie, że się domyślił, później zaś prawdę na lekarzu wymusił, i mówiła, że on zawsze czuł się żołnierzem, i tak, jak nigdy by nie zniósł, żeby go w jego sprawie oszukiwano, tak tym bardziej nie oszukiwałby się sam. Więc któregoś dnia, a to był taki pierwszy rozdzierający atak choroby, to jej w tym bólu powiedział, że wie i ona też powiedziała mu wtedy, że wie. I potem, gdy już minęło, to rozmawiali o tym długo, siedząc obydwoje na łóżku i wielokrotnie jeszcze w następnych dniach, jakby dotyczyło to kogoś innego zupełnie albo było tak odległe, że niemal nierealne, a przecież rzeczowo, nie oszczędzając się nawzajem. Lecz to się zbliżało nieodwołalnie. Te ataki nasilały się z dnia na dzień, były coraz częstsze. I na nic już zdały się te różne dotychczasowe leki, i na nic alkohol. Aż on sam któregoś dnia powiedział, że to dla niego byłoby lepiej, jeżeli przeniósłby się do kliniki; teraz ona wie, chciał oszczędzić jej widoku, kiedy nie mógł już opanować swego głosu ani wyrazu oczu, ani mięśni twarzy, ani całego ciała skręconego bólem. I ona wtedy powiedziała, że tak, może rzeczywiście będzie lepiej, a on powiedział, że na pewno będzie lepiej, a lekarz, który się nim zajmował, też mówił, że tak będzie lepiej. I mówiła, jak w milczeniu stamtąd wracała do domu sama tego rana, ze skurczonym żołądkiem od nienawiści do całego świata, i że to, że on tam został, nie było lepiej ani dla niego, ani dla niej. Mówiła, że każde z nich musiało potem raz jeszcze i jeszcz raz, i tak bez końca myśleć teraz osobno o tym, co razem przeżyli, co przez lata zostało przytłoczone tym, co się im wtedy wydało ważniejsze, konspiracją, tymi niebezpieczeństwami, tą próbą oporu po wojnie, o tym wszystkim, co zostało tam przytłoczone, niemal zapomniane, a co było może najważniejsze, ich własnym życiem, że się kochali, że kłócili, zgadzali lub nie zgadzali, że byli rozczarowani sobą, że się godzili, gniewali na siebie i się sobą cieszyli, i rozdzieleni więzieniem myśleli o sobie i o siebie się zamartwiali, nawet o tych

małych ukłuciach mówiła, po których rany nie widać, lecz niewidzialne znamię zostaje na zawsze, co było przecież ich życiem, które może można by jeszcze raz przeżyć dużo lepiej, gdyby wiedziało się jak, i że tak prędko się ono skończy. A potem, że z jego ojcem było już nie lepiej, ale gorzej, więc pozwalali jej tam spędzać całe noce. Że w dzień najczęściej ciotka przy nim czuwała, w nocy zaś ona. I że od tego czasu, kiedy i on już wiedział, że nie jest lepiej i lepiej nie będzie, ale gorzej, to rozmawiali często o śmierci. Przynajmniej w tych chwilach, kiedy on jeszcze mógł myśleć, kiedy mógł mówić. Że siedziała u skraju jego łóżka, on trzymał jej dłoń w swojej, mówiła, tak jak siadywali kiedyś, kiedy się poznali, w pierwszym roku wojny i kiedy byli w sobie bardzo zakochani. I mówiła, że wtedy pierwszy raz po długich latach, powiedział coś o Bogu. Mówiła, że on kiedyś, bardzo dawno temu wierzył w Boga i w to, że po wojnie ten kraj, o który tyle walczyli i o który tyle zabiegali, będzie wolny. A potem, jak z tą wolnością wszystko się stało inaczej i zawaliło, to już nigdy o Bogu nie mówił. A wtedy pierwszy raz znowu powiedział. I mówiła, że był u niego ksiądz. Że czuła jego lęk i ten straszliwy wysiłek, żeby ten lęk opanować. I jak walczył, żeby ból go nie pokonał do końca, nie upokorzył. Żeby nie zabrał mu resztek godności. Że może dlatego potrzebny był ten ksiądz. I że jego głowa leżała potem na mokrej od łez poduszce jakaś jak gdyby zagubiona, pomniejszona, a twarz jego była nieobecna i daleka. Ale gdy wzięła jego dłoń w swoją, a on ścisnął jej dłoń i popatrzył na nią, to usta mu się rozchyliły lekko, drżąc i uśmiechnął się; jego spojrzenie było jasne wtedy i zupełnie spokojne. I że wiedziała, że coś się tam w nim stało, coś jak gdyby wewnątrz przełamało, coś dalej dzieje, w czym ona nie ma już udziału. I na koniec powiedziała, że oni mówią, że nie mogą nic więcej dla niego zrobić, jak dać mu przepisaną dawkę morfiny. Ale tylko, gdy jego krzyk nie ustaje długo. I jest i dla nich nie do zniesienia. Ona wtedy może biec do pokoju sióstr i też krzyczeć. I prosić. Wcześniej nie. Oni mówią, że nie można więcej ani częściej, że serce nie wytrzyma. Oni mówią, że serce nie będzie współpracować. Tak mówią. Tak mówiła. Tak mi napisał o tym w liście.

A w pokoju było już ciemno. Nie wstała jednak, żeby zapalić światło i on też nie wstał. Już dawno nie widział jej twarzy, słabe rysy zaledwie. I choć światło od niedalekiej ulicznej latarni, a może od wyłaniającego się od czasu do czasu z chmur księżyca, ledwo muskało po wierzchu i bokach jej głowę, siedziała bowiem tyłem do okien, to jednak wiedział, że jest bardzo blada, skupiona i poważna, jak poważny był jej głos; bez śladu podniecenia, poważny, nawet spokojny i że ona, tak jak nie potrzebowała już od nikogo słowa podsycającego nadzieję,

tak nie czekała żadnego pocieszenia, a nawet odrzuciłaby je jak marną monetę.

Po jakimś czasie poruszyła się jednak. To było tak, jakby ocknęła się ze snu. I uniosła ręce. I obiema rozpostartymi dłońmi dotknęła czoła, następnie zaś od środka czoła przegarnęła nimi włosy na boki i słyszał przez krótką chwilę ich suchy szelest; także jej oddech słyszał. Tylko, że nieco dłużej. Gdy potem jej głos zabrzmiał nagle znowu, był zupełnie inny. „On nigdy nie uwierzył, że pan to zrobił dla zwykłej kariery" powiedziała, a wtedy on cicho, ledwo głos mogąc wydobyć z krtani, z naciskiem jednak: „A według niego dlaczego?" zapytał, a ona powiedziała: „On długo nad tym myślał... W końcu doszedł do przekonania, że w tym, co pan zrobił, musiał być jakiś głębszy zamysł" i jeszcze powiedziała, że on, jego ojciec, później uważał, że ktoś przecież musi ten kraj z ruin dźwigać, ktoś musi uczyć innych co najważniejsze, te różne najczarniejsze roboty zrobić i na nowym zakręcie być w pogotowiu, i że to może nawet ma jakiś sens, żeby nie na zewnątrz, ale w tamtych szeregach właśnie, że w tym biednym, skołatanym kraju trudno o spiż, trudno o zupełnie czyste ręce, że czasem spiż na nic nie jest przydatny, czyste zaś ręce bezużyteczne, a potem jeszcze: „On mówił, że może pan teraz wie, co trzeba lepiej niż on..." mówiła i w jej głosie brzmiała tłumiona nuta niepewności i egzaltacji, i zaraz urwała, i przechyliła się w kierunku stołu, w jego stronę, jakby czekając potwierdzenia.

Więc nagle wtedy właśnie zakrztusił się śmiechem. Ona nic nie spostrzegła, było ciemno, starał się zresztą ten śmiech stłumić w sobie siłą, zdusić w zarodku, tak że to brzmiało tak, jakby tłumił kaszel i się dławił, był to jednak najprawdziwszy śmiech, który bluznął z niego dziko, wprost nie do powstrzymania. Potem rzeczywiście się rozkaszlał, dalej jednak gdzieś w głębi wciąż się śmiejąc, nie mogąc nad tym śmiechem zapanować, nie wiedząc, w każdym razie nie będąc pewny dlaczego się śmieje, oczywiście, z tego co powiedziała, ale dokładnie dlaczego, nie potrafił tego sprecyzować, coś się w nim cofało przed tym, broniło, może wolał nie wiedzieć, a jeszcze potem chusteczkę przycisnął do ust i już tylko oddychał głośno, z utrudzeniem. Nie wiem, czy ona wierzyła, że tak było, napisał mi. Ale wierzyła, że tak może być, napisał mi jeszcze w tym samym liście.

Już nie widział nawet zarysów jej twarzy, nic, bo światło księżyca, który pełniej wydobył się z chmur, spłynęło do wnętrza pokoju mocniej i uderzyło wprost w oczy (tak że przez kilkanaście sekund był zupełnie oślepiony i nie tylko jej twarzy nie widział, ale jej całej też), posłyszał jednak znowu ruch w fotelu naprzeciwko i zrozumiał, że wstała i zaraz zobaczył jak

mija go i, nie mówiąc nic, wychodzi. Usłyszał później w głębi domu słaby trzask zamykających się drzwi.

10

Jeszcze czas jakiś siedział w półciemności bez jednej myśli. I zdawało mu się, że słucha nieznacznych szmerów domu, skrzypienia parkietu gdzieś w sieni, a może i czegoś w rodzaju dźwięków kapiącej wody z kranu, dolatujących przez sień i otwarte drzwi kuchni, ale naprawdę to czekał czy jeszcze raz rozlegną się kroki Faustyny, bo przecież powiedziała, że ona tam u ojca czuwa nocą, ciotka natomiast w dzień, i kilka razy, kiedy księżyc za oknami wyłonił się z pędzących szybko chmur i rozjaśnił wnętrze, przesuwał wzrok skroś pustego pokoju w głąb pustej sieni i dalej, tyle że wciąż bez jednej myśli. W końcu jednak, gdy się pojawiła, nie dotyczyła ani Faustyny, ani ojca, a tylko jego własnych spraw w Warszawie, że powinien był zatelefonować, że jego nieobecność się przeciągnie, i dlaczego dotychczas tego nie zrobił, ale prędko przepadła. Pozostało mu w głowie po niej coś w rodzaju półmyśli, jakiegoś półpytania, dlaczego spędził sam nad morzem urlop i czy tej, na którą czekał coś się stało, albo czy coś się stało między nimi obydwoma, lecz te półmyśli, te półpytania też przepadły nawet jeszcze prędzej, bo pojął nagle, że myśląc o tamtej kobiecie pozostawionej w Warszawie w rzeczywistości myśli o Faustynie i wtedy wstał, poszedł do sieni i włożył na siebie płaszcz. Po chwili szedł już ulicą ku klinice.

Szum wiatru ciągnął gdzieś wysoko w górze jak gdyby, bo idąc śpiesznie, wcale nie czuł jego tchnienia; drzewa przy ulicy stały ciche, w ogóle było cicho, jakby całe miasto dawno spało, tak że spojrzał na zegarek, ale było dopiero kilkanaście minut po jedenastej. Więc zaraz tam był. I siostra w recepcji, gdy zatrzymał się w hallu, to tylko spojrzała na niego raz i od razu spojrzeniem i ruchem głowy wskazała w głąb jednego z korytarzy, nie pytając wcale kim jest, choć nie była to ta sama siostra, która go tu już widziała, lecz zupełnie inna, nieznajoma. A potem, już w tym pokoju, jednocześnie gdy zamknął za sobą drzwi, to ciotka Faustyny szybko podniosła się z fotela, jakby jego przyjścia dawno oczekiwała i jakby się spieszyła, w milczeniu wskazała mu fotel, a on, choć chciał ją o coś zapytać, nie powiedział nic; ona też się nie odezwała, tylko nerwowo zbierała różne drobiazgi ze stolika u wezgłowia łóżka i zanosiła do umywalni.

Więc nie chcąc się zbliżyć do łóżka ojca w jej obecności, podszedł do okna i uchylił je ostrożnie, bo zdawało mu się, że

w pokoju jest zbyt gorąco, specyficzny zaś zapach choroby i rozkładu jest zbyt intensywny, żeby mógł go dłużej znosić, lecz zaraz o nim zapomniał i okno zamknął. Jeszcze raz posłyszał wtedy jej głos i aż drgnął, tak wydał mu się ostry i nieprzyjemny. Choć tylko powiedziała, że wszystkie mechanizmy pracują sprawnie i są w porządku. Chwilę jeszcze słyszał potem szmery jej krzątaniny. Gdy drzwi wreszcie szczęknęły, nie odwrócił się, by sprawdzić, czy poszła, ale stał dalej przy oknie, patrzył na wyłaniający się na chwilę w księżycu i znów w cień zachodzący, gdy księżyc osłoniły chmury, ogródek szpitalny i krótko wydawało mu się, że czuje zakisły, jesienny zapach ziemi i gnijącego igliwia stamtąd, a nawet wiatru pachnącego roztopionym śniegiem. Lecz to było złudzenie. Okno było zamknięte, ciężka zaś, kwaśna woń, unosząca się w przestrzeni pokoju, była mieszaniną woni ciała, potu, lekarstw, moczu i śmiertelnego mozołu. Gdy skroś ciszy posłyszał skradający się powoli, jednocześnie niemal zaraz przyhamowujący oddech ojca, to dopiero się odwrócił. Nic się jednak nie stało.

Ostrożnie zbliżył się do ojca łóżka. Zdawało mu się, że jego głowa przechyliła się na bok i zsunęła nieco z poduszki w dół. Więc podłożył pod nią rękę i czując wilgoć potu przez sklejone włosy, dźwignął głowę ojca na poduszkę z powrotem, a potem trzymał dłoń chwilę w powietrzu, aż obeschła, w piersi zaś przewalały się falami współczucie, litość, bezsilność, gniew. Później dotknął butli z kroplówką i słuchał przez odgłos ojca oddechu miarowego, wybrzmiewającego dźwięku drobin zasilających jego organizm przez plastykową rurkę. Rurka była przejrzysta, zakończona igłą, igłę zaś trzymały w żyle mocne plastry, żeby jej w chwili bólu nie wyrwał i żeby urządzenie funkcjonowało bez zarzutu. Łóżko też było zabezpieczone. Siatką. Żeby nie wypadł. Bez zarzutu. Tak pomyślał. Bo: „Mamy obowiązek zrobić wszystko, aby podtrzymać go przy życiu" powiedzieli Faustynie. Tak mi powiedziała, napisał mi w liście. I bez zarzutu funkcjonowało także urządzenie odprowadzające pod łóżko mocz; przeraźliwie bowiem wyraźnie słyszał i widział krople spływające do szklanego naczynia. Nikt nie mógłby ich oskarżyć, że po tym, co mu zgotowali, teraz się nie starają, napisał mi jeszcze. I zastanawiał się ze zgrozą nad tym, że przecież on do nich należał. On był po innej, niż ojciec stronie barykady. I jeszcze ta wciąż z uporem powracająca myśl, co powiedziałby ojcu, gdyby ten mógłby go usłyszeć. Bo choć po głowie chodziło mu wiele pytań naraz, nie wiedział, które są ważne, a które dużo ważniejsze i prędko wyrzucał z myśli i jedne i drugie; denerwowała go niepewność, robiło mu się gorąco od ich natłoku, ale następne myśli i pytania były jeszcze bardziej zawikłane i zdawał sobie sprawę z tego, że ojciec mu

nie odpowie na nie, to on sam sobie musi odpowiedzi udzielić w najbliższym czasie. A potem pamięć znów przywiodła kilka zdań Faustyny: „Możemy dać mu teraz tylko zastrzyk morfiny. Normalną dawkę. Inaczej serce przestanie współpracować", i później: „Mamy przecież i innych pacjentów, o których musimy się troszczyć". Bo tak jej powiedzieli i ona tak mi powiedziała, napisał jeszcze w tym samym liście.

Gdy do pokoju przeniknął przytłumiony, daleki dźwięk zegarowego dzwonu, odruchowo znowu podszedł do okna, jakby mógł wypatrzeć źródło tamtego dźwięku, ale za oknem, między niewysokimi sosnami, stała gęsta mgła, a dalej — mimo teraz oswobodzonego z chmur jasnego, pełnego księżyca — podnóży gór też nie było widać, dopiero wyżej szczyty wynurzały się z ciemności całe w srebrnej poświacie. Gdy daleki dźwięk kościelnego zegara wybrzmiał, wyraźniej usłyszał ojca. Tylko oddech, żadnego jęku. Jakby naprawdę było to, co mówiła Faustyna, co mówiła także jej ciotka, że ostatnio jest spokojniejszy. Potem z lękiem przypomniał sobie, co kiedyś słyszał. Że ludzie przed śmiercią mają chwile jak gdyby uciszenia i jasności. Że słyszą wszystko wyraźniej, widzą wszystko ostrzej i jak w skupiającej soczewce. Że tym spojrzeniem, czasem tylko jednym jeszcze, potrafią ogarnąć całe połacie życia. Przeniknąć głębiej, zrozumieć łatwiej. I patrząc na twarz ojca, teraz żółto białą masę uformowaną ze zmarszczek i sterczących przez skórę policzkowych kości, próbował, zamykając oczy i silnie zaciskając powieki, przypomnieć sobie jego twarz sprzed lat, najpierw z tych miesięcy i dni przed swoim wyjazdem z Z. do matki, ale wyobraźnia nie poddawała się, nie przywodziła twarzy ojca, tylko z uporem twarz Faustyny, tę twarz, jak gdyby zasłuchaną w coś, co jedynie ona słyszała, pełną ukrywanego niezręcznie lęku, zarazem zdecydowania trwać przy ojcu cokolwiek się zdarzy, wtedy, kiedy on przygotowywał się do ucieczki. I jeszcze przywiodła słowa ojca, że tak, matka napisała, żebyś do niej wrócił. Lecz odepchnął się od tego przypomnienia z bólem, a potem usiłował cofnąć się jeszcze bardziej w głąb pamięci i przez jedną chwilę, jak mu się zdawało, krótką tylko, widział siebie w nocnej półciemności przy ognisku nad jakimś jeziorem i naprzeciw ojca. Ojciec opowiadał starą legendę o wodnych pannach, których się trzeba strzec, jeżeli się bowiem któraś zakocha, potrafi wciągnąć obiekt swego uczucia w głębinę i nigdy nie odda już światu, i zaraz o ruchach wojsk niemieckich w pobliżu granicy w Prusach Wschodnich, o czym pisały właśnie gazety, i znowu o tych pannach wodnych, jak gdyby jednym tchem, jak gdyby to była jedna i ta sama historia, tak że poruszające się tanecznie postacie młodych kobiet w jakichś zwiewnych szatach, lśniących wilgocią, a może ociekających wodą mieszały się wtedy

w jego wyobraźni z tyralierą forsującej bagna obcej piechoty, i na krótko teraz widział tę zaczerwienioną blaskiem bijącym od ognia twarz ojca zupełnie blisko, twarz gładką, młodą, pełną życia, choć już poważną, jakąś zamyśloną, a potem poczuł jeszcze, jak mu się zdawało, wyraźny, gorzki zapach dymu ogniska, moczaru, wody, sosnowego lasu i że był kiedyś przy ojcu bardzo szczęśliwy.

Później, gdy znowu usłyszał mocniejszy oddech ojca, przechylił się w jego stronę i mu się przyjrzał. Twarz chorego była jednak spokojna, nawet rozluźniona nieco, jakby nie odczuwał bólu, albo jakby faza bólu w ogóle minęła. Obnażywszy na przegubie dłoni zegarek, stwierdził, że było pół do drugiej, więc chwilę myślał, dlaczego nie dosłyszał bicia zegara na kościelnej wieży i ta myśl go na krótko przestraszyła, bo może był zasnął i to tylko we śnie widział ognisko i zadumaną, jakby już coś złego, co ma nadejść, przeczuwającą twarz ojca, a także to czarne lustro wody w pobliżu unoszącej się mgle, i może we śnie słyszał cichy szum trących się o siebie ostrych liści trzcin. Ale zaraz powiedział sobie, że nie, że cały czas czuwał, był trzeźwy, tyle że miał zamknięte oczy i kilka razy powtarzał w myślach, że zasnąć mu nie wolno. Więc pewnie dlatego też musiał się zastanowić, dlaczego Faustyna odstąpiła mu tę noc czuwania przy ojcu. A wtedy drgnął, jakby posłyszał jakiś wewnętrzny głos, znowu mu mówiący o tej chwili jasności, jaką miewają ludzie przed śmiercią. I zatrząsł się cały, i szepnął: „Wybacz, wybacz, tato...", jakby to właśnie było najważniejsze, ale natychmiast przyszło mu na myśl pytanie, co właściwie ojciec ma mu wybaczać. Że ta przeszłość, przed której ogarnięciem wzrokiem nieraz się wzdragał to jest sprawa tylko jego już, nie ojca. Że było, minęło, przebrzmiało, że nawet, gdyby mógł się z ojcem porozumieć, nie śmiałby takimi sprawami zaprzątać mu głowy. Że rozchodzili się i rozeszli przed laty, ich życie wypełniło się nieznanymi wzajemnie, innymi treściami i wątpliwe, aby ojciec te treści, które go zajmowały, mógł próbować zrozumieć. Były mu wrogie i kropka. Były dlań błędną drogą i kropka. Były narzuconym siłą z zewnątrz porządkiem i kropka. Nie cieniował swoich sądów i poglądów o rzeczywistości, nie bawił się w niuanse. On nie chciał mieć z tym, co nastało, nic wspólnego i nie miał. Zapłacił za to cenę najwyższą, ale pewnie gdyby go zapytać, czy cofnąłby tamte sprzed lat wybory i decyzje, odpowiedziałby że nie. Myślał teraz, że może historia takim jak jego ojciec przyzna kiedyś rację, może nie. Takich jak on, jego syn, może potępi, może nie. Ale to nie były pytania, które by sobie zadawał, stwierdzał jedynie istnienie różnych możliwości. I pamięć przywoływała znowu ten śmiech, który wzbudziły w nim słowa Faustyny, gdy powiedziała, co powiedział ojciec i myślał

teraz o tym, co w jego ojcu było silniejsze: miłość, ta nie okazywana, szorstka miłość do niego, syna, która wszystko gotowa była wytłumaczyć, czy to myślenie według tradycyjnych polskich kanonów i chęć zastosowania jednego z nich, do jego przypadku. Kochany..., uśmiechnął się w duchu, myśląc o ojcu, dałby Bóg, żeby to było tak skomplikowane, że aż szlachetne, jak myślisz... Nie, chyba nie jestem Wallenrodem, żeby... Ale myśl urwała się jakimś zawstydzeniem i przykrością. Pomyślał, że gdyby mu to nie Faustyna, ale ojciec powiedział, nie śmiałby tej propozycji (gdyż to była propozycja) odepchnąć. Bo przyszło mu do głowy, że ojciec, jakby przeczuł, jaka będzie jego przez tamte lata droga (zwłaszcza po śmierci Stalina, a potem przez etapy „odwilży", przymrozków, rewelacji Chruszczowa, „poznańskich wypadków", procesów, że będzie to droga zatraty wiary, jeżeli istotnie kiedyś wierzył, na pewno zaś droga coraz bardziej trzeźwiejącego spojrzenia na to, co otacza), rzucał mu na linie ratunkowe koło, jak rzuca się je komuś kto wpadł w odmęt rzeki i tonie. I znowu uśmiechnął się w duchu i powiedział w myśli, Kochany, bo wiedział, że wszystko co myślał o ojcu, co ojciec wymyślił, żeby logicznie ująć jego sytuację, nie odpowiada prawdzie, że prawda jest dużo prostsza, i potem, że nawet, jeżeli nie przyłożyło się ręki do zbrodni, do żadnego świństwa, do żadnej ludzkiej krzywdy, jest się winnym za przyzwolenie, za udział, a jeszcze potem to myślał, jak już raz w czasie drogi, w pociągu, o ostatnim plenum partii, o tym całym wybuchu nadziei ludzkich na gruntowną zmianę i że on nic jej nie znajdował w sobie, w końcu zaś o tchórzostwie, podłości, złości, nienawiści i kłamstwie, że nienawiść i kłamstwo zawsze depczą dobro i prawdę.

Wydało mu się, że głowa ojca znowu obsuwa się z poduszki. Podszedł do łóżka i przesunął ją na środek, równocześnie dotknął spoconego czoła ojca i, osuszając je leżącym z boku ręcznikiem, przekonał się, że jest chłodne. Przez chwilę przyglądał się jego drgającym powiekom, raz zaciskającym się, raz rozluźniającym, ale nigdy nie odsłaniającym oczu i ogarnęła go fala żalu tak wielkiego, że chciałby zapłakać, bo wiedział, że przyniosłoby mu to ulgę, ale czuł, że płakać nie potrafi. Wracając na fotel, spojrzał na zegarek i stwierdził, że jest dwadzieścia po trzeciej i znowu się zdziwił, że umknęły jego uwadze odgłosy wydzwanianych na kościelnej wieży godzin, bo przecież wcześniej słyszał bicie dzwonu zegarowego bardzo głośne.

Potem, już siedząc w fotelu, słuchając oddechu ojca, który podnosił się nierówno, skradał się ostrożnie, jakby pokonywując jakieś wzniesienie, i który po pokonaniu tego wzniesienia jak gdyby czasem na chwilę rzeczywiście zanikał zupełnie, albo nagle zachłannie chwytał powietrze pełnym haustem i znowu się skra-

dał i wspinał, i urywał, to te łzy czuł w sobie wewnątrz, obfite, gorące, słone, choć oczy miał suche. I znowu powracała ta natrętna myśl o powrocie do Warszawy, o tym co zrobi i jak zostanie to, co zrobi, przyjęte, i czuł, że jest mu to obojętne. A potem, jak zwykle, kiedy myślał o powrocie i o Warszawie, myślał jednocześnie o niej, o tej kobiecie, z którą łączyło go dotychczas tyle, a teraz już nie wiedział, czy to „tyle" było dostatecznie ważne, zaraz uświadamiając sobie, że myśli już o niej inaczej, niż chociażby wtedy nad morzem, kiedy myślał z taką niecierpliwością, w takim napięciu, i z rosnącą rozpaczą czekał na jej przyjazd. Czuł, że te myśli o niej teraz boi się precyzować, nazywać, że jest sam ze sobą nieszczery, bo jest tak, jakby odeszła tak daleko (albo on od niej odszedł), że stała się prawie obca.

Zbliżała się czwarta, gdy spojrzał na zegarek znowu i czekał czujnie zasłuchany, czy usłyszy bicie zegara na zewnątrz; po chwili usłyszał, blisko i głośno, i na krótko się odprężył. Poczuł ostry, wysuszający głód papierosowy i zastanawiał się, kiedy ostatnio palił, że pewnie nie palił już od wczesnego wieczora, lecz nie odważyłby się wstać i wyjść na korytarz, żeby zapalić. I starał się potem przypomnieć sobie, czy ojciec kiedyś, przed wojną palił, ale — co go zdumiewało — nie potrafił i w końcu powiedział sobie, że chyba nie. Gdy po jakimś czasie prawie mechanicznie odsłonił przegub dłoni z rękawa znowu, to zaraz się rozzłościł, dlaczego tak często patrzy na zegarek (było dopiero w pół do piątej), przecież nie czuł ani senności, ani znużenia, a jego myśli były, jak rzadko, trzeźwe, bez wahań i wątpliwości. Bo dokładnie wiedział, co takiego w najbliższych tygodniach zrobi. I czuł to drażniące uczucie rosnącego w nim zdecydowania.

A potem było piętnaście minut przed piątą. I poczuł nagle niepohamowane pragnienie zaczerpnięcia potężnego haustu świeżego powietrza w piersi. Na całą głębokość i szerokość płuc. I równocześnie gwałtownego uderzenia w twarz podmuchu wiatru, zapachu trawy w nozdrza, i świerków, i jodeł. Miał ochotę zerwać się ze szpitalnego fotela, otworzyć okno, ale nawet się nie poruszył, tak był skamieniały cały, jakby z nóg i potem z reszty ciała odpłynęła wszystka krew. Dopiero po dłuższym zmaganiu się ze sobą udało mu się unieść nieco głowę. Wtedy zaczął nasłuchiwać. W pokoju bowiem coś się zmieniło, tak jakby ktoś obok niego przeszedł bezgłośnie, jakby drzwi właśnie powoli i cicho otworzyły się i zamknęły nagle. Dalej nasłuchiwał, aż wreszcie posłyszał oddech, ale po kilkunastu sekundach zrozumiał, że to jego własny głośny oddech. Potem jeszcze kilkanaście sekund musiało minąć, zanim i to zrozumiał, że jest w pokoju sam. Wtedy uniósł się z fotela, zrobił krok i stanął w

połowie drogi między fotelem, a łóżkiem ojca i patrzył w jego raptem wygładzoną z bruzd i zmarszczek twarz, łagodnie wychylającą się z poduszki. Stał i czuł, że zaraz będzie szarpać sznurek dzwonka, krzyczeć, albo że wybiegnie na korytarz i będzie wołać siostry, krzyczeć, żeby sprowadziły lekarza, wzywać Faustynę, może nawet zanosić się płaczem, ale wciąż stał bez ruchu i patrzył bez zmrużenia powiek w twarz ojca, nie mając odwagi głośniej oddychać. Dopiero po jakimś czasie udało mu się zrobić następny krok, czy nawet dwa i, nachyliwszy się nad wezgłowiem łóżka, zobaczył oczy ojca zwrócone ku sobie. Wtedy rozstawionymi palcami prawej ręki, kciukiem i wskazującym, dotknął równocześnie obu jego powiek, ciepłych jeszcze i je ściągnął w dół i zacisnął, nie mogąc tego zastygłego wzroku ojca znieść, choć nie było tam żadnego wyrzutu, bezgraniczny spokój jedynie.

12

W nim też potem był spokój. Jakby cały żal, litość i rozpacz, wszystko to przedtem przewaliło się przez niego jeszcze przy łóżku ojca do końca, ściskając serce i gardło, i odeszło. I był wolny. I idąc korytarzem szpitalnym ku głównemu hallowi, miał nawet wrażenie, że przypomina sobie wreszcie, co mówił brat, co mówił mu ojciec, kiedy brat przed swym wyjazdem za granicę, odwiedził go w więzieniu, ale to teraz nie miało żadnego znaczenia, bo teraz to było tak, jakby to powiedział mu sam ojciec; i nagle przyszło mu na myśl, że pewnie dlatego właśnie Faustyna kazała mu tę noc przy ojcu spędzić i czuwać. I wydało mu się nawet, że potwierdził to wktótce jej wzrok, że odnalazł to w jej oczach, kiedy wychodząc z korytarza do hallu, tam się z nią spotkał twarzą w twarz i ona na kilka sekund, może pięć, może dziesięć, nie więcej, przystanęła w pół kroku, popatrzyła nań twardo, a jej ramiona drgnęły, jakby się ze sobą zmagały, uniosły się wreszcie nieco, jej dłonie uniosły się potem też i dotknęły go, i doń powiedziała: „Więc byłeś tam do końca, to dobrze..." znowu po imieniu, jak kiedyś przed laty, i na krótko poczuł jej palce zaciskające się na jego ramionach (a jej twarz była uniesiona, blada, ale płonąca zarazem i oczy płonęły jej również), i zaraz oderwała się od niego i bez jednego już słowa więcej wyminęła, kierując się korytarzem w stronę, skąd przyszedł.

Później szedł przez budzącą się ze snu ulicę, której środkiem człapał pod górę zaprzężony w pojedynczego konia wóz mleczarza, w dół zaś schodzili pierwsi robotnicy na ranną zmianę do tartaku. W powietrzu czystym, chłodnym, nasycają-

cym się gdzieś wysoko nad doliną światłem już różowym, ale nie ostrym jeszcze, niżej niebieskim, z pasmami mgły na stokach ku lasom, czuło się zaczynający się pogodny dzień. Więc oddychał tym czystym powietrzem zachłannie głęboko, aż do dna płuc, tak jak pragnął tego w szpitalnym pokoju, przy łóżku ojca, choć wszystko w nim teraz kurczyło się od chłodu, lecz z każdym oddechem to uczucie spokoju było pełniejsze, większe.

A w domu, w sieni, zapłakana ciotka Faustyny, której imienia nie mógł sobie nagle w żaden sposób przypomnieć (ale był przekonany, że sobie przypomni, skoro tylko choć na chwilę złoży gdzieś głowę i zdoła zasnąć), mówiła do niego podnieconym głosem o telefonach. Że w nocy i że teraz, rano. Lecz musiała minąć dobra minuta albo i więcej (zdjął już i powiesił na wieszaku płaszcz), zanim wreszcie w jakichś strzępach to dotarło, zanim pojął, że chodziło jej o telefony do niego z Warszawy i że to był kobiecy głos; zawsze ten sam. Ale wtedy tylko kilka razy skinął głową, że rozumie, że wie. Choć tak naprawdę rozumieć wcale nie chciał i wiedzieć też nie. Coś takiego zresztą musiał mieć w twarzy, skoro ona się cofnęła i jak gdyby cofnęła także jakieś pytanie. Potem już na schodach, odwracając się jeszcze raz, coś powiedział do niej, jakichś kilka słów (ale jakich, co, to zaraz zapomniał, choć gdy to mówił, wydało mu się niezmiernie ważne), a jeszcze potem, już w pokoju, z kąta na środek wydźwignął walizkę nieruszaną od przyjazdu i wciąż zamkniętą na kluczyk, ten kluczyk odnalazł zagrzebany na dnie torby podróżnej, otworzył i zaczął wypakowywać swe rzeczy, wieszać w szafie, rozkładać po szufladach komody, skończywszy zaś, pustą walizkę wsunął pod łóżko. Później się wpół rozebrał. Później nalał z fajansowego dzbana wody do fajansowej miednicy, stojącej na stoliku z kamiennym blatem i się mył. A w nim całym, jak od tamtej chwili, kiedy pojął, że już wie, co powiedział brat, co powiedział bratu ojciec podczas ostatniego spotkania w więzieniu jeszcze, był wciąż zupełny spokój, w głowie zaś nie było żadnej myśli, żadnego słowa, żadnego dźwięku, przelatywały tylko obrazy, jak na niemym, starym filmie. Widziałem ojca, jakim kiedyś ojciec był, napisał mi. Bo wspomnienie zachowuje najczęściej obraz z najlepszych lat, z młodości albo dojrzałości, heroiczny, dumny, radosny, a jeżeli nawet dotknięty smutkiem, to do pokonania, jeżeli z chwili klęski, to do przezwyciężenia. Ale widziałem tam, na tej szybko przelatującej taśmie obrazów w swojej głowie nie tylko ojca, Faustynę też. Jak była i jaka jest. Nie do złamania strażniczka jego myśli, woli, przekazu, przesłania, wciąż dalej idąca drogą przez życie, na jaką weszła kiedyś z ojcem. Nienawidziłem jej, a pewnie tylko za mało znałem, napisał mi. Zapomniała o tym, napisał mi. Albo po prostu nie chciała pamiętać,

napisał mi. Bo ona już wiedziała, co wkrótce zrobię, napisał mi jeszcze w tym samym liście.

Potem na wpół rozebrany, rzucił się na łóżko, nakrył i skulił w tym chłodnym, szybko jednak rozgrzewającym się kokonie pościeli, i zasnął, i we śnie, a właściwie jeszcze wcześniej, w półśnie, czy może nawet ćwierćśnie, schodząc w ten sen, jak po miękkich stopniach niekończących się schodów w dół, coraz niżej i niżej, widział wzrok ojca spokojny, bardzo jasny, właśnie taki, jaki widział, zanim przyciśnięciem palców zamknął mu powieki, lecz we śnie czy w tym półśnie lub ćwierćśnie nie uczynił tego wcale, i patrzyli na siebie bardzo długo bez zmrużenia oczu, i nie powiedział do ojca: „Wybacz mi, tato", jak powiedział już kilkakrotnie, lecz: „Kochałem cię" i zaraz: „Kocham cię", tylko to, i wyciągnął rękę, by dotknąć jego twarzy, lecz dłoń trafiła w powietrze, i wciąż jeszcze go widząc, choć spowijającego się w mglisty opar i oddalającego się szybko, wciąż schodził po tych miękkich stopniach w dół, aż później, na samym już dole, kiedy się zatrzymał, to zapadł w sen prawdziwy, jak w czarną wodę, głęboką, wciągającą i spał tak wiele godzin, nie pamiętając swych snów, albo ich w ogóle może nie miał, gdy jednak zbudził się o pierwszym zmierzchu, twarz miał mokrą od łez i poduszka też była mokra.

Lato — 1979 r.
Jesień — 1991 r.

Włodzimierz ODOJEWSKI

Archiwum polityczne

Program „Japonia"

W połowie kwietnia br. Japońska Rada Badań Gospodarczych w Tokio przedłożyła rządowi do rozpatrzenia obszerny raport, nakreślający zakres pomocy gospodarczej, jakiej Japonia powinna udzielić dla odbudowy gospodarczej Europy Środkowo-Wschodniej, na podobnych zasadach na jakich sama otrzymała pomoc amerykańską po ostatniej wojnie. Głównym, ostentacyjnym celem propozycji nowego pakietu pomocy gospodarczej, ujętego pod nazwą „Program Japonia*", jest przyspieszenie zaangażowania kapitału japońskiego w tej części Europy. Szczegółowa lektura tego raportu nie pozostawia jednak żadnych wątpliwości co do tego, iż chodzi również o zwiększenie wpływów polityczno-gospodarczych Japonii w tym rejonie, co zresztą zostało otwarcie stwierdzone we wstępie do raportu.

●

Teoretycznie Japonia od samego początku przełomowych przemian r. 1989 włączyła się do zachodniego (G-24) programu pomocy gospodarczej dla Europy Środkowej, i to całkiem pokaźnymi sumami. Jesienią 1989 r. ówczesny premier T. Kaifu ogłosił 2-miliardowe pakiety pomocy dla Polski i Węgier, jak dotąd

* *Nihon Kezai Choosa Kyoogi-kai: Too-oo no henka to nihon no taioo/Too-oo saiketsu no tameno yapan puroguramu* (Japońska Rada Badań Gospodarczych: Przemiany w Europie Wschodniej a Reakcja Japonii/Program Japonia dla odbudowy Europy Środkowo-wschodniej, str. 320, Tokio, kwiecień 1992). Program zleceń dla rządu i sektora prywatnego, przygotowany przez Komitet Rady, w skład którego weszli przedstawiciele banków i firm przemysłowo-handlowych Japonii, instytutów badawczych i ministerstw rządowych (MITI/MSZ/Ministerstwo Finansów). Program dotyczy następujących krajów: Polski, Czechosłowacji, Węgier, Bułgarii, Rumunii, obszaru Niemiec Wschodnich, terenu b. Jugosławii i Albanii.

tylko w znikomy sposób wykorzystane. Najbardziej rażący jest minimalny stopień zaangażowania japońskiego kapitału prywatnego. Pomimo częstych deklaracji o długofalowym zainteresowaniu tym rejonem, korporacje japońskie wahają się z większymi inwestycjami, podając niestabilność polityczną oraz złe warunki inwestycyjne jako główne powody wyczekującej taktyki. Powołany przez Komitet przygotowawczy „Programu Japonia", zespół ekspertów przeprowadził rozległe badania sytuacji polityczno-gospodarczej poszczególnych krajów Europy Środkowo-Wschodniej, celem ustalenia odpowiednich kryteriów i wytycznych dla większego zbliżenia polityczno-gospodarczego Japonii z tym rejonem. Autorzy raportu stwierdzają, iż „jako bezpośredni sąsiad kontynentu Euro-Azji Japonia ma wielkie szanse dla rozwinięcia obopólnie korzystnych stosunków gospodarczych z rejonem Europy Środkowo-Wschodniej, lecz musi uważać, by przez zbytnią ostrożność szans tych nie zmarnować". Nowa inicjatywa japońska wychodzi tu z dwu podstawowych założeń. Po pierwsze, powodzenie reform wolnorynkowych w Europie Środkowo-Wschodniej jest nie tylko konieczne dla uzdrowienia gospodarki tych krajów, lecz również niezbędne dla utrzymania stabilności w gospodarce światowej. Bez szybkiej i skutecznej pomocy Zachodu sprawne przeprowadzenie reform jest niemożliwe, grożąc poważną destabilizacją polityczną w tym rejonie. Po drugie, oprócz oczywistej współpracy z innymi krajami Zachodu, w interesie Japonii leży wypracowanie *własnej, niezależnej od G-24* pomocy gospodarczej dla tego rejonu.

●

Podstawowe założenia „Programu Japonia" są wyszczególnione we wstępnym rozdziale raportu, w formie trzech głównych propozycji. Pierwsza dotyczy właściwej *pomocy rządowej* w postaci bezinteresownych kredytów kapitału w wys. 8 bilionów dolarów, rozłożonych na okres 4-5 lat. Fundusze te mają być w znacznej części przeznaczone na usprawnienie procesu urynkowienia gospodarki tych krajów. „Urynkowienie" w pojęciu japońskim nie oznacza tylko prostego „odpaństwowienia" (tak jak się to dość bezmyślnie dzieje w Polsce i innych krajach byłego „bloku"), lecz również wytwarzanie odpowiednich infrastruktur prawnych i socjalnych, dla uniknięcia bałaganu gospodarczego w trudnym okresie przejściowym. W dalszej kolejności powinny być wykorzystane dla usprawnienia istniejących struktur eksportowo-importowych, dla zwiększenie obrotów handlowych i ułatwienia transferu technologii japońskich do tego rejonu już dziś, bez czekania na ostateczny wynik reform.

Druga propozycja dotyczy sprawy zdaniem autorów pro-

jektu najpilniejszej, mianowicie pomocy w stworzeniu odpowiednich warunków makro-gospodarczych dla przyspieszenia *inwestycji japońskich* w tym rejonie. Kapitał i technologie japońskie mają tu wielką rolę do odegrania w modernizacji (od podstaw) zakładów wytwórczych w przemyśle (głównie samochodowym i elektronicznym), w modernizacji produkcji rolnej i przemysłów spożywczo-przetwórczych dla zwiększenia dochodów eksportowych), a przede wszystkim w dziedzinie oczyszczania i ochrony środowiska, w której Japonia dysponuje największym doświadczeniem i najdoskonalszym sprzętem technologicznym. Jednym z głównych zadań „Programu Japonia" będzie pomoc w modernizacji infrastruktury finansowo-bankowej i telekomunikacyjnej, których fatalny poziom jest nadal poważnym hamulcem w przyciąganiu inwestycji japońskich w wyżej wymienionych sektorach.

Trzecia propozycja dotyczy *pomocy naukowo-technicznej*, dla zwiększenia wzajemnego przepływu informacji, wymiany myśli technicznej i współpracy ekspertów w najszerszym tego słowa znaczeniu. W tym celu ma wkrótce powstać w Tokio specjalne centrum promocji wymiany kulturalnej i naukowo-technicznej między Japonią a krajami Europy Środkowo-Wschodniej (pod egidą japońskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych), z szerokim polem działalności, m.in. również na polu propagowania japońskich metod zarządzania gospodarką i organizacji pracy w przemyśle.

●

Naszkicowane tu założenia „Programu Japonia" są szczegółowo przedstawione w poszczególnych rozdziałach raportu, analizujących sposoby jak najskuteczniejszego wykorzystania proponowanego pakietu pomocy gospodarczej. Japończycy dobrze rozumieją, iż pomoc rządowa, chociażby jak największa, sama przez się nie odbuduje podupadłych gospodarek tych krajów. Może natomiast dopomóc w usprawnieniu podstawowych infrastruktur gospodarczych (komunikacje, bankowość, hotele, służby itp.), niezbędnych dla stymulacji prywatnej przedsiębiorczości oraz stopniowej odbudowy *domowej bazy kapitałowej*. Ożywienie aktywności gospodarczej na tej płaszczyźnie stworzy z kolei odpowiedni klimat dla poważnych inwestycji przemysłowych, co jest też głównym zamierzeniem „Programu Japonia". Autorzy projektu widzą tu szczególną rolę dla mniejszych i średnich firm japońskich, w formie spółek mieszanych (tzw. *joint ventures*) z lokalnymi partnerami. Zakładają również większą niż dotychczas współpracę między światem biznesu japońskiego a rządem (MITI) w koordynacji takich przedsięwzięć inwestycyjnych.

Znaczna część raportu zajmuje się również szczegółową analizą sytuacji polityczno-gospodarczej i warunków inwestycyjnych w poszczególnych krajach tego rejonu. W strategicznej hierarchii państw Polska zajmuje czołowe miejsce. Autorzy raportu stwierdzają m.in., iż „wśród państw Europy Środkowej Polska jest jedynym krajem, mogącym wywrzeć wpływ na politykę międzynarodową, zarówno w wymiarze regionalnym (stosunki z Ukrainą, Bałtami), jak europejskim (stosunki z Niemcami, Rosją)". Wyrażają nadzieję, iż pomimo obecnych trudności i zamieszania wewnątrz-politycznego, Polska wciąż może odegrać rolę czynnika stabilizującego w tej części Europy.

Znacznie gorzej wypadła Polska w ocenach sytuacji gospodarczej, gdzie znalazła się na trzecim miejscu, za Czechosłowacją i Węgrami. Należy mieć nadzieję, iż przewlekłe problemy polityczne kraju, hamujące skupienie się na palących problemach gospodarczych, nie osłabią szans Polski na jak najlepszą porcję zarysowującego się japońskiego „Planu Marshalla".

Janusz MONDRY

Jaka złotówka?

Szybkość wprowadzania reform na Wschodzie od lat stanowi kryterium oceny odpowiedzialności przywódców politycznych, rodzi społeczne poparcie lub izoluje od wpływu na wydarzenia. Z końcem lat siedemdziesiątych głoszenie zasad rozsądku gospodarczego uchodziło w lewicowych kręgach opozycji za ekstremizm ponieważ nie można przyspieszać wydarzeń. Powstanie wolnych związków zawodowych zrodziło po obu stronach barykady liczną grupę ojców narodu, którzy zajęli się głównie zwalczaniem programów politycznych, również ocenianych jako przejaw szkodliwego pośpiechu. Wreszcie od trzech lat jesteśmy świadkami dość jałowego — jak i poprzednie — sporu o tempo zmian.

Przyczyniły się do tego pospieszne obietnice nowych władz. Natychmiast po powstaniu rządu Mazowieckiego premier — wraz z Wałęsą i Geremkiem — w zapomnianym już dziś liście zapewniali, że poprawa nastąpi po trzech miesiącach. Wyjątkowo wytrwały jest Jelcyn, który bez wytchnienia rzuca datami, była mowa o roku, potem o pięciuset dniach, a od styczniowego uwolnienia cen słyszymy o sześciu lub ośmiu miesiącach. Jego

pierwszy minister ekonomii Gajdar przewidywał zdrową gospodarkę dla Rosji w ciągu pięciu lat... W dziedzinie gospodarczej jednak fantazja to kiepski walor. Podstawą oceny mogą być jedynie fakty, a ich ignorowanie pozostawia wolne pole dla pobożnych życzeń. Tym sposobem, pogrążeni w namiętnym sporze o szybkość wprowadzanych reform, przywiązujemy wagę do momentu naciśnięcia cyngla, nie troszcząc się o to, czy w ogóle podsypano pod spłonkę.

Ludzie najsilniej odczuwają wzrosty kosztów utrzymania i bezrobocie, stąd przedmiotem szczególnej krytyki jest nazbyt szybkie uwolnienie cen i zniesienie dopłat państwowych. Coraz częściej słyszy się sądy, że z pełnym rozruchem reform należało poczekać. Poczekać, ale na co?

Zgodnie z klasycznymi zasadami rynku uwolnienie cen uważa się za przedwczesne, jeśli nie towarzyszy temu prywatyzacja na wielką skalę. Sytuacja międzynarodowa na rynku finansowym jest taka, że wielkie inwestycje z Zachodu nie wchodzą w grę. Jeśli dorzucić do tego brak rodzimego kapitału, to jasne staje się, że wielka prywatyzacja jest mrzonką. Mimo to szybkie uwolnienie cen trzeba by uznać za krok korzystny — gdyby towarzyszyła mu spójna polityka monetarna, sprzyjająca wzrostowi spożycia i produkcji. Warunek ten, którego ceną byłyby duże koszty społeczne, nie został jednak spełniony, co w szczególności oznacza utratę bezcennego okresu początkowego, kiedy społeczeństwo gotowe było na wiele poświęceń, a ludzie ufali nowym politykom.

BIUROKRACI ŚWIATOWYCH INTERESÓW

Sfery finansowe nie znoszą inflacji, ponieważ oznacza ona spadek wartości towaru, jakim obracają; w rezultacie narzucają na całym świecie politykę rygoru, co stanowi jeden z czynników hamujących rozwój gospodarczy stref zacofanych, takich jak Polska. Natomiast sfery te uwielbiają spekulację, ponieważ rozdęte ponad miarę ceny przedsiębiorstw, nieruchomości i dzieł sztuki nie wchodzą do koszyka obliczeniowego, dzięki czemu nie podnoszą inflacji i nie narzucają dewaluacji waluty. Normalnie, w ramach gospodarki rynkowej, bogaty ma się bogacić, a ubogi — biednieć. Na straży tej prawidłowości stoi fatalizm rachunku finansowego, gdzie stopa procentowa musi być wyższa niż inflacja. Innymi słowy, kto się zadłuża, ten się zuboża, a kto pożycza ten się bogaci. Zasada ta ożywiała jeszcze handel Fenicjan i z pewnością nie my ją zmienimy. Problem leży w tym, że reguły rachunku finansowego podlegają w ostatnim okresie zaostrzonemu kryterium czasowemu. Mianowicie od około dziesięciu lat pieniądz oszalał. Spekulacje silnie powiększyły jego ogólną ilość; rozwój technologii i wzrost spożycia, zwłaszcza towarów o dużej wartości dodanej, wywindowały globalną objętość marży handlowych, czyli pieniądza nieprodukcyjnego, a technika komputerowa i rozwój środków łączności przyspieszyły operacje giełdowe. Dawniej transakcja mogła trwać nawet kilka tygodni, dziś jest to kwestia sekund. W rezultacie aspekt finansowy całkowicie zdominował gospodarkę Zachodu, w następstwie czego firmy, zwłaszcza amerykańskie, rozumują w kategoriach krótkoterminowych. Nie strategia gospodarcza się liczy, lecz szybki zysk. W tych warunkach wspomniany fatalizm rachunku finansowego pozostawia niewiele szans dla ubogich, którzy dla stanięcia na nogi potrzebują przede wszystkim czasu. Ten, kto się zadłuża dla zreformowania swojej gospodarki, nie może na krótką metę oczekiwać dochodów wystarczających zarówno na utrzymanie wysiłku inwestycyjnego, jak i płacenie wysokich odsetek. Nadrzędny charakter kategorii finansowych w stosunku do gospodarczych rodzi nieśmiałe krytyki nawet na Zachodzie. Coraz bardziej staje się bowiem jasne, że międzynarodowa finansjera poprzez upartą politykę wysokiej stopy procentowej i rygoru rozliczeniowego w stosunku do ubogich, czemu towarzyszy aprobata amerykańskiej rozrzutności, sprzyja pogłębianiu się podziału na tych, którzy stale się bogacą i resztę, pogrążającą się w ruinie. Kraje ubogie nie dostaną nowych kredytów, ponieważ nie dają gwarancji ich spłaty. Natomiast najwyższe zadłużenie na głowę mieszkańca Stanów uważane jest za czynnik rozwojowy, ponieważ przez zakupy, częściowo kredytowane za granicą, USA rozkręcają globalną koniunkturę. U podstaw tego absurdu tkwią dwie przyczyny, z których jedna ma charakter strukturalny, a druga obyczajowy. Po pierwsze układ cen faworyzuje technologię w stosunku do surowców, po drugie wspomniana przewaga szybkich finansów nad dalekosiężną wizją uniemożliwia ubogim skuteczne przekształcenia gpspodarcze. W tych warunkach doszło do narzucenia wschodnim społeczeństwom planów o zrozumiałej dla Zachodu dominancie finansowej, które są tyleż bolesne, co nieskuteczne.

ZŁOTÓWKA BALCEROWICZA

Siłą napędową gospodarki może być stabilny i silny pieniądz. Przez stulecia siła monety związana była z zapasami złota i powszechnie uznanymi walorami finansowymi. Od kilkudziesięciu lat jednak wartość waluty określana jest przez bogactwo wynikające z pracy, a ściślej mówiąc — z wartości wyprodukowanych towarów i usług. Polska nie posiada ani zapasów złota

ani wartościowej gospodarki. Ruina dotyczy wszystkich dziedzin życia, czemu towarzyszy pełna bezradność własnych polityków i brak motywacji u polityków zachodnich. Do uporządkowania augiaszowych stajni zatem zabrano się od najprostszej, rachunkowej strony. Pod naciskiem międzynarodowych kół finansowych przyjęto w Polsce program recesyjny, który sprowadzić można do zasady stabilności monetarnej przez ograniczanie ilości pieniądza na rynku. Dla skompensowania ujemnych skutków dla gospodarki i społeczeństwa rozwijany jest proces sztucznego podnoszenia wartości złotówki. Pieniądza bowiem, którego wartość rośnie, można wypuścić mniej. Koszty społeczne i gospodarcze są ogromne, ponieważ produkcja silnie spada, a ograniczenia redystrybucyjnych funkcji państwa dotkliwie uderzają w ubogich. Jak dotąd jednak biurokraci trwają przy powyższych koncepcjach, ponieważ nie znają innej perspektywy, niż okienko bankowe.

Jedną z większych szkód wyrządzonych przez recesyjną politykę monetarną jest demoralizacja krajowych kapitalistów, którzy przywiązali się do spekulacji importowej i z rezerwą podchodzą do spraw produkcji krajowej. Nie bez kozery wielki kapitał polski stanowił najsilniejsze, obok dziennikarskiego, *lobby* Balcerowicza.

PARYTET DOLARA

Sztuczne podnoszenie wartości złotówki odbywa się za pomocą formalnego rachunku monetarnego. Oszczędnościowa stopa procentowa złotówki przekracza 50 %, a dolara wynosi kilka procent, w zależności od okresu, na jaki składamy pieniądz. Utrzymywanie mniej więcej stałego kursu dolara prowadzi w tych warunkach do nadania złotówce charakteru atrakcyjnego środka lokaty. Należy po prostu złożyć polski pieniądz do banku, a po zwiększeniu wkładu o wysoki procent — wyciągnąć go i zakupić dolary. Jest to jeden ze środków, jaki władza stosuje dla odciągnięcia złotówki z rynku. Chodzi tu o proces sztuczny, bowiem kilkakrotny spadek złotówki pozbawia ją realnej wartości i przy założeniu, że pieniądz służy gospodarce, silna inflacja powinna wymusić dewaluację polskiej monety, to znaczy wyraźne podniesienie kursu dolara. Tylko tą drogą możliwe byłoby utrzymanie pewnej konkurencyjności krajowych towarów na zagranicznych rynkach. Tymczasem złotówka leci w dół, w ślad za czym rosną pensje. Mimo, że rosną one wolniej niż inflacja, to jednak wystarczająco, by przy stałym parytecie wewnętrznym dolar ulegał silnej obniżce realnej. Rok temu przeciętna pensja w podstawowych działach przemysłu wynosiła

milion pięćset tysięcy złotych, czyli sto pięćdziesiąt dolarów, a dziś dwa i pół miliona, to jest blisko dwieście dolarów. Praca polska jest więc coraz droższa, bez związku z jej wydajnością, lecz dzięki dogmatyzmowi recesyjnemu. Prowadzi to nie tylko do upadku konkurencyjności krajowych produktów, ale wręcz do dławienia gospodarki, coraz mniej bowiem opłaca się cokolwiek produkować, natomiast wobec taniości waluty atrakcyjny jest import.

Zauważmy przy tym, że w gruncie rzeczy złotówka nie powinna być interesująca jako środek lokaty, bowiem inflacja przewyższa procent bankowy. Zredukowana stopa procentowa złotówki staje się ni stąd ni z owąd wysoką stopą wskutek stabilności przelicznika walutowego. Strategia recesyjna, opracowana przez ekipy amerykańskich ekspertów, z drobnymi retuszami realizowana przez wszystkich ministrów finansów RP i zwana nie wiedzieć czemu planem Balcerowicza, posiada rachunkową spójność i logikę. W warunkach rynkowych doszłoby do szybkiego załamania, ponieważ cała waluta zostałaby wykupiona. Ludzie nie wykupują jednak dolara, ponieważ po prostu nie mają dość złotówek.

POPIWEK

Jest to jedna z przyczyn, dla których władze będą do upadłego bronić popiwku, którego główną zaletą jest właśnie ograniczenie możliwości nabywczych na wewnętrznym rynku walutowym. Mamy tu do czynienia z kolejnym środkiem sztucznego podnoszenia wartości złotówki. Pieniądz bowiem, którego jest mało, staje się pieniądzem poszukiwanym, więc wartościowym. Gospodarcze skutki popiwku są katastrofalne, obniża on bowiem siłę nabywczą konsumentów, zmniejszając jeszcze bardziej motywacje produkcyjne i inwestycyjne. Podobnie jak trwały dolar popiwek wykańcza stopniowo gospodarkę kraju — przy tym niekoniecznie spełniając oczekiwania sfer finansowych. Zrobiono wprawdzie pewien krok w kierunku odejścia od czysto rachunkowego nonsensu, zarzucając naliczanie popiwka od płacy przeciętnej na rzecz kryterium ogólnej puli. W ten sposób dyrektorzy mogą uzyskać dodatkowe środki uzasadniając podwyżkę redukcją personelu na stanowiskach niewydajnych — ale konia z rzędem temu, kto wykaże istnienie takich tendencji. Dyrektor niezagrożony upadkiem firmy nie zrobi niczego, co doprowadziłoby do konfliktu ze związkami zawodowymi.

INFLACJA

Kolejnym filarem ideologii recesyjnej jest walka z inflacją. Można opisać kilka mechanizmów inflacyjnych, z których każdy ujawni głębokie cechy właściwego sobie sytemu. W społeczeństwie konsumpcyjnym inflacja wynika z samej zasady stałego wzrostu spożycia. W komunizmie, przeciwnie, ignorując potrzeby indywidualnego spożycia promocja przemysłu ciężkiego spowodowała niedobór przedmiotów konsumpcji i była jedną z głównych przyczyn pojawienia się inflacji. Wreszcie w krajach pokomunistycznych inflacja rozwija się w ślad za niby-reformami, których połowiczny charakter wystarcza akurat na wywołanie — nieuniknionych skądinąd — bezrobocia i galopującego wzrostu cen.

Sytuacja w tych krajach jest zróżnicowana. Węgry i Czechosłowacja, które weszły w nową epokę z najmniej zrujnowaną gospodarką, z wolna i ostrożnie przestawiają się na gospodarkę rynkową. W rezultacie inflacja jest tam najniższa w obozie, rzędu 80 % za dwa pierwsze lata. Niekoniecznie oznacza to, że te kraje znalazły lepszy sposób na zmianę gospodarki: rosnące bezrobocie, spadek produkcji, deficyt budżetowy i wreszcie inflacja są dokładnie na miarę nieśmiałych reform. Oznacza to jednak, że Czesi, Słowacy i Węgrzy mają wszystko przed sobą.

Podstawowym obciążeniem wschodnich reform jest wliczanie do wskaźnika inflacji koniecznych podwyżek cen. Zachód żąda, by doprowadzić ceny do poziomu światowego i zarazem utrzymywać inflację na niskim poziomie. Imperatyw regulacji cen nakręca spiralę, w rezultacie czego zachodnie źródła podają cyfry odstraszające inwestorów — w marcu *Time* obliczył polską inflację na blisko 700 % od początku roku 1990 — a władze RP szamotają się między sprzecznymi tendencjami, nie kontrolując zupełnie procesu. Miejsce polityki finansowej zajmują działania doraźne. Po prostu kiedy elektrowniom brak gotówki, wówczas dekretuje się podwyżkę cen energii, co zresztą sprawy nie załatwia, ponieważ liczne zakłady zalegają z opłatą. W powstającym chaosie wskaźnik inflacji nie może służyć swojemu celowi, jakim byłaby ocena stanu gospodarki i określanie poziomu dewaluacji złotówki.

Wreszcie sprawa deficytu budżetowego. Bank światowy i MFW określiły ostatnio 5 % jako poziom maksymalnego deficytu, uzależniając od tego dalszą pomoc finansową. Byłby to może warunek do przyjęcia, gdyby rząd dysponował źródłami dochodu odpowiadającymi kosztom społecznym odbudowy gospodarki. Konflikt odnośnie rewaloryzacji płac i emerytur wskazuje, że tak nie jest. Dochody państwa spadają, ponieważ pozostałe założenia programu gospodarczego — a przede wszystkim zarysowana powyżej monetarna polityka recesji gospodarczej — hamują rozwój gospodarki. Skoro dochody z podatków od produkcji i spożycia ograniczane są przez blokadę dla samej produkcji i spożycia, to skąd rząd ma brać pieniądze?

W pierwszym rzędzie konieczne jest zrozumienie zjawisk, kształtujących świat. Pozwoli to w szczególności porzucić iluzję szybkich i cudownych rozwiązań. Rozstrzygnięcia doraźne zmierzać muszą do pobudzenia przedsiębiorczości i inwestycji, co wymaga przede wszystkim prowadzenia stymulującej polityki monetarnej.

MONETA STYMULATOREM PRODUKCJI I SPOŻYCIA

Uważam, że podstawowym błędem jest priorytet budżetu przed monetą. Przejawem tego jest sprowadzenie roli pieniądza do obrony równowagi budżetowej poprzez sztuczne określanie parytetu i ilości złotówki na rynku. Tym sposobem problem postawiony jest na głowie. Przeznaczeniem pieniądza nie jest samoograniczanie się, lecz stymulowanie gospodarki, w następstwie czego możliwe będzie prowadzenie czynnej polityki budżetowej, w tym także zapewnienie państwu funkcji opiekuńczych i redystrybucyjnych. Innymi słowy przy określaniu zasad krążenia złotówki większą rolę powinna pełnić polityczna wola: moneta jest zbyt poważną sprawą, by ją zostawić w rękach finansistów.

Koniunkturę importową należy odwrócić przez silną dewaluację złotówki. W pewnym stopniu jej parytet określony będzie przez strategię eksportową państwa. Kurs złotego powinien bowiem wzmacniać konkurencyjność wybranej grupy towarów na rynkach zagranicznych. Głównym źródłem dochodów gospodarki będzie jednak nie eksport, lecz spożycie wewnętrzne. Waluta zatem powinna mieć taki kurs, by opłacało się nie importowanie towarów użytkowych, lecz wytwarzanie ich w kraju. W warunkach z lata 1992 oba powyższe cele mogłyby prowadzić do kursu pomiędzy 20 a 30 tysięcy złotych za dolara. Dla dokładnego określenia poziomu trzeba przyjąć program sprzyjający produkcji, rozwojowi usług i eksportowi i przedstawić go społeczeństwu, wraz z obliczeniami prowadzącymi do operacyjnego kursu waluty. Zauważmy, że ani pierwszego, ani drugiego poziomu dolara nigdy nie uzasadniono jakimś celem gospodarczym. Zresztą nie tłumaczono niczego.

ZDECENTRALIZOWAĆ KRYTERIA SKUTECZNOŚCI

Dla pobudzenia produkcji należy zwiększyć siłę nabywczą konsumentów. Przez długi jeszcze czas najliczniejszą ich grupę

stanowić będą pracownicy sektora państwowego, powyższemu celowi służyłoby zatem zniesienie popiwka i zastąpienie go systemem odpowiedzialności na szczeblu zakładu. Dyrekcja ma prawo podnosić płace tak, by nie przekraczały one wzrostu wartości produkcji, co w skali ogólnej oznacza, że dynamika wydajności pracy musi przekraczać wzrost płac. W praktyce jest to zgoda na bankructwo w przypadku złych wyników gospodarowania. Polityka odprowadzania pieniądza z rynku musi mieć charakter pozytywny, a nie represyjny. Trzeba stworzyć zachęty dla oszczędzania, poprzez wysoko oprocentowane długoterminowe konta inwestycyjne. Konieczna jest wyobraźnia ustawodawcza sprzyjająca przejmowaniu mniejszych zakładów przez personel. Może to być praktyczny sposób małej prywatyzacji przynoszącej rzeczywiste skutki, w odróżnieniu od abstrakcyjnej operacji dzielenia majątku narodowego pomiędzy obywateli. Jedną z zachęt stanowić będzie anulowanie długu przedsiębiorstwa. Upadłe firmy mogą być przekazane za symbolicznego dolara, pod warunkiem, że nabywca krajowy czy zagraniczny przedstawi plan restrukturyzacji zakładu i zatrudnienia nowej załogi. Dla osłony socjalnej rząd musi negocjować pożyczki za granicą, lecz przede wszystkim winien szukać środków własnych. Na krótką metę możliwe są liczne działania doraźne, na dłuższą chodzi o zwiększenie dochodów państwa poprzez rozwój gospodarki.

RYNEK REGULATOREM INFLACJI

Głównym hamulcem inflacji będzie konkurencyjny rynek. Ponownie oznacza to konieczność odejścia od polityki recesyjnej na rzecz promowania spożycia i inwestycji. Pieniądz recesyjny, mniej więcej kontrolowany lecz pusty, winien ustąpić miejsca monecie ryzykownej lecz realnej. Rzeczą pieniądza nie jest spoczywanie w bankowych rejestrach, lecz pobudzanie przedsiębiorczości i zapewnienie wzrostu spożycia. Lepiej by banki były obciążone zwiększonym ryzykiem utraty zysku, jeśli inflacja przewyższy czynsz pieniądza, niż by przedsiębiorstwa nie miały dostępu do kredytu wobec jego wysokiego kosztu.

TANI KREDYT MOTOREM ROZWOJU

Stworzenie środowiska sprzyjającego powstawaniu nowych przedsiębiorstw wymaga łatwego dostępu do kredytów. Cena kredytu musi ulec obniżce. Jeśli inflacja przewyższy czynsz pieniądza, to z drugiej strony silnie zwiększy się obrót pieniądza

produkcyjnego, co w ogólnym rachunku powinno się bankom bardziej opłacać. Bardzo ożywiłoby sytuację udzielenie któremuś z banków zachodnich, najlepiej niemieckiemu, licencji na otwarcie filii w Polsce. Zachodnie kredyty na prywatną gospodarkę powinny być udzielane z większą elestycznością, może przez banki zachodnie, a może przez któryś z krajowych, pod warunkiem że będzie to bank prywatny. Cztery piąte tych kredytów jest niewykorzystanych, ponieważ banki nie potrafią wypracować skutecznego systemu gwarancji. Jedną z przyczyn jest prosta nieumiejętność formułowania projektu ze strony przedsiębiorców, lecz drugą brak doświadczenia polskich banków w analizie tych projektów. Głównie jednak chodzi o zwiększone ryzyko pożyczkodawcy wobec antyinwestycyjnej polityki monetarnej i podatkowej państwa oraz praktycznego bezprawia, czemu na krótką metę można by zapobiec, gdyby powstał dodatkowy fundusz gwarancyjny, pokrywający to ryzyko.

NIŻSZE PODATKI, WYŻSZE DOCHODY PAŃSTWA

Niemal powszechne jest żądanie likwidacji podatku obrotowego. Od kwoty podlegającej opodatkowaniu trzeba obliczyć zyski reinwestowane. Po zmniejszeniu wysokości opodatkowania zysków reinwestowanych państwo może oczekiwać wzrostu swych dochodów w wyniku rozwoju działalności gospodarczej.

ZACHÓD: NEGOCJACJE, NIE DYREKTYWY

Jeśli do inflacji wliczymy podwyżki wynikające z urealnienia cen, zwłaszcza energii, to otrzymany wskaźnik nie może mieć nic wspólnego z oceną gospodarowania, od jakiej uzależniona jest zachodnia pomoc. Podobnie nie ma zgody na określenie deficytu budżetowego na wyssanym z palca poziomie, na przykład 5%. Przedstawiony plan budżetu musi uwzględniać priorytety społeczne i restrukturacyjne i wynikający stąd ujemny bilans musi uzyskać aprobatę.

W rozmowach trzeba wyraźnie podkreślać, iż zdajemy sobie sprawę z tego, że przy istniejących obyczajach rynku finansowego Zachód nie ma większego interesu w udzielaniu Polsce skutecznej pomocy. Jednakże istotnym uzupełnieniem tego obrazu jest fakt, że Polska również nie odnosi korzyści z posłuszeństwa dyrektywom MFW, Banku Światowego, Klubu Paryskiego, a wkrótce i Londyńskiego. Łatwo bowiem można by obliczyć, że koszty programu recesyjnego przekraczają zyski z zachodniej pomocy. Takie postawienie sprawy powinno albo

nakłonić partnerów do bardziej elastycznej postawy, albo skazać rozmowy na niepowodzenie. Jeśli następstwem będzie chwilowy impas, to przypuszczalnie nie doprowadzi to na Zachodzie do nastrojów izolacyjnych, pod warunkiem nakłonienia zachodnich polityków do zerwania z krótkowzroczną polityką ograniczoną ich terminami wyborczymi. Impulsem do tego powinna się stać uparcie przypominana potrzeba całkowicie nowych mechanizmów międzynarodowej współpracy gospodarczej, zwłaszcza na rynku finansowym. Pewne jej korekty są możliwe już teraz. Zwiększenie pomocy do jednego procenta PNB krajów bogatych potroiłoby jej wartość, pozwalając na stworzenie funduszu gwarancyjnego dla aktywizacji przyznanych już kredytów oraz częściową osłonę społeczną. Jak już o tym pisaliśmy, przykład krajów skandynawskich oraz Planu Marshalla wskazuje na realność takiej podwyżki. Argumentem będzie rzucająca się w oczy nieskuteczność dotychczasowych środków. W warunkach polityki małych kroków większość kredytów jest niewykorzystana a Polska z braku efektów gospodarczych nie będzie w stanie spłacić nawet odsetek części długów, co stanowi warunek anulowania połowy wierzytelności publicznych Zachodu. Oznacza to, że frycowe konserwatyzmu finansowego płaci nie tylko Polska, ale i wierzyciele. Rozumiejąc przyczyny leżące u podstaw praktyki ograniczonych interwencji gospodarczych, zwracamy uwagę na fakt, że to właśnie paroksyzm globalny w postaci kryzysu naftowego lat siedemdziesiątych ostatecznie wywarł zbawienny wpływ na zachodnią gospodarkę. Innymi słowy rozumnie zasymilowany szok o dużym zasięgu może stanowić impuls cywilizacyjny. Dziś chodzi o sprzężenie wysiłków dla zapobieżenia planetarnym plagom: bezrobocia na Zachodzie i ruiny na Wschodzie, zadanie tym pilniejsze, że i jednych i drugich czeka skoordynowana, długofalowa akcja na rzecz Południa bliskiego agonii. W tym celu zamiast straszyć zachodnich partnerów emigracją wschodniej nędzy i zatruciem świata naszym środowiskiem naturalnym — o czym wszyscy wiedzą — należy przedstawić im wizję wspólnych interesów na długie dziesięciolecia. Potrzeba uzupełnienia strategii krótkiego zasięgu o dalekowzroczne planowanie staje się zresztą na Zachodzie coraz bardziej oczywista i takim językiem trzeba mówić.

SKĄD BRAĆ ŚRODKI

Chociaż w pewnym zakresie trzeba liczyć na pomoc zagranicy, to jednak głównie chodzi o wysiłki prowadzące do aktywizacji własnych walorów. Do pokrycia niedoborów służyć mogą pożyczki państwowe i obligacje, gwarantowane wartościami

będącymi jeszcze w posiadaniu państwa, jak ziemia, lasy czy wartościowe budynki. Część tych dóbr należy sprzedać. Innym źródłem będą długoletnie licencje eksploatacyjne, udzielane zachodnim firmom, głównie w dziedzinie infrastruktury: autostrady, łączność.

Prywatyzacja tylko w części może służyć jako źródło jednorazowych dochodów państwa. W większości przypadków chodzić będzie o prywatyzację upadłościową, gdzie nabywca zabezpieczyć ma po prostu dalsze istnienie firmy. Na wpływy liczyć można w przypadku aneksji, a następnie sprzedaży części dochodowych firm, powstałych w wyniku grabieży majątku przez komunistów. Nie chodzi tu bynajmniej o zemstę, lecz o szukanie środków dla podniesienia kraju z ruiny, do jakiej przyczyniła się masowa kradzież narodowych dóbr, w tym gierkowskich kredytów.

Wreszcie nie można zaniedbać środków z jednorazowego podatku od wielkich fortun oraz ograniczenia rozrzutności państwa, co proponował już redaktor Giedroyc.

POLITYCZNE WARUNKI POWODZENIA

Najogólniej mówiąc, skuteczny program rozwojowy przyznaje państwu jedynie rolę inicjatora, nie zaś podmiotu procesu gospodarczego. Wymaga to zgłoszenia politycznego projektu i uzyskania dlań poparcia dużej części społeczeństwa.

Istotą projektu musi być spójność poczynań. Nie chodzi o szybkość wprowadzania reform, lecz ich synchronizację. Najlepszy program straci całą skuteczność, jeśli będzie chaotycznie wprowadzany w życie.

Przykładem braku synchronizacji jest właśnie polityka finansowa, gdzie uruchomiono silne mechanizmy obrony budżetu, zanim stworzono warunki, by cokolwiek do tego budżetu wpływało i nałożono hamulce na spadek wartości monety, nie robiąc nic, by gospodarka rodziła realny pieniądz. Innym przykładem jest totalna walka z inflacją, zanim uregulowane zostały ceny. Jeszcze innym stabilizacja parytetu dolara, zanim zwalczono inflację. Brak koordynacji dotyczy nie tylko pieniądza. W energetyce będzie to danie wolnej ręki przedsiębiorstwom dla negocjacji z zagranicą, zanim opracowano program energetyczny. W polityce zagranicznej ruchliwe zabiegi integracyjne z jednoczesną wrzawą wokół zagrożenia niemieckiego, albo paneuropejskie deklaracje, którym towarzyszy bezwarunkowy wybór amerykańskich opcji politycznych. Przykłady można mnożyć.

Stawianie konia za wozem wynika m.in. z rozproszonego porządku, w jakim politycy maszerują ku nieokreślonym celom.

Spójny i rozległy program jest koniecznym warunkiem rozwoju kraju, a jego urzeczywistnienie zapewnić może tylko większość sejmowa. W innych warunkach mógłby się on skupić wokół programu prezydenckiego, lecz na prezydenta liczyć nie można. Pozostaje więc oczekiwać, że zadziała mechanizm demokratyczny i pojawi się ta większość — w końcu jakakolwiek, byle zwarta. Bowiem tylko ona może wyprowadzić kraj z zaułka względnie w drodze reakcji wywoła rozsądny program opozycji. W każdym wypadku to długa droga, możliwa do przebycia tylko w ramach demokracji — nigdy poprzez „rządy silnej ręki", które głosi prezydent.

Paryż 28 maja 1992

Robert KACZMAREK

ANTY-KULTURA

WYBÓR TEKSTÓW O PARYSKIEJ „KULTURZE"
Ataki i paszkwile peerelowskich i sowieckich autorów

Działy: WYOBCOWANI, EMISARIUSZE, TEORIA I PRAKTYKA, ZMIERZCH BOGÓW, PARTIA, PRL.
Wstęp opracował Leopold UNGER

Str. 261 **Cena F. 70,00**

NAKŁADEM OFICYNY WYDAWNICZEJ „POMOST"
WARSZAWA, ul. Żwirki i Wigury 51 m. 19

Kraj

Widziane z Brukseli i z Warszawy

MIĘDZY UBU A RASPUTINEM

Przypadek, jak ktoś powiedział, jest kochankiem historii. W tym przypadku chodzi o dwa przypadki i o ich związku z historią. Pierwszy sprawił, że spędziłem niedawno kilka dni w Warszawie z okazji 40-lecia polskiej sekcji Wolnej Europy. Z okazji jubileuszu odcelebrowano sporo świątobliwych uroczystości i audiencji (bez mojego udziału). Odbyło się także, już z moim udziałem, w dostojnej sali senatu uniwersyteckiego, spotkanie nazwane pompatycznie sympozjum, w toku którego rozmaici mówcy podzielili się z zebranymi, przeważnie znajomymi, uwagami na temat radia, telewizji i prasy w ogóle, a informacji w szczególe. Chodziło m.in. (mnie przede wszystkim) o delikatne dziś zagadnienie, czy zawsze i wszystko trzeba i można w prasie powiedzieć, lub, wprost przeciwnie, nie powiedzieć.

Drugi przypadek — ciągle amant historii — sprawił, że zostało właśnie, by użyć nowotworu tak modnego w Warszawie, „nagłośnionych" kilka spraw, których bohaterowie (nie zawsze w najlepszym sensie tego słowa), potraktowani (znowu użyję warszawskiej mowomowy), „instrumentalnie", bardzo mi pomogli przeprowadzić mój wywód i mniej lub bardziej precyzyjnie (nieraz z przesadą) sformułować moje spostrzeżenia.

Na zakończenie pobytu w Warszawie zostałem mianowicie zaproszony do udziału w telewizyjnym magazynie „Bez znieczulenia". Ostatnie pytanie (cytuję z pamięci), prowadzącego wywiad redaktora Walendziaka dotyczyło zagrożeń, jakie płyną dla Polski z jej geopolitycznego usytuowania w sercu Europy, na szlaku między wielkimi mocarstwami. Odpowiedziałem wtedy mniej

więcej, że moim zdaniem — nikt ani nic Polsce z zewnątrz nie zagraża, że natomiast odnoszę wrażenie, iż zagrażają Polsce sami Polacy. Zabrzmiało to nieco prowokacyjnie, zabrakło czasu na rozwinięcie tej myśli, tym bardziej, że wywiad został akurat w tej części ostro obcięty. Korzystam z tej okazji, aby to spostrzeżenie, także naturalnie w wielkim skrócie, uzasadnić.

Oczywiście, nie będzie to głębokie studium socjologiczne. Nie zamierzam też przypominać (uprzedzam zastrzeżenia czytelników), że Polska jest już wolnym krajem, że panuje w nim wolność słowa, że poprawiło się zaopatrzenie i że po kraju kursuje ogromna, surrealistyczna liczba samochodów. Pozwolę sobie natomiast na kilka uwag o tym, co niektórzy nazywają „polskim piekłem", a co mnie wydaje się być serią kryzysów, które — mimo, iż mogą się wydać naturalne w okresie dziecięcej choroby demokracji — były albo do uniknięcia w ogóle, albo mogły się pojawić w znacznie łagodniejszej formie. W tej formie, w jakiej je dostrzegłem, stanowią one moim zdaniem luksus, na jaki Polska nie może sobie pozwolić.

I. Państwo, to kto?

Najlepszy opis sytuacji dał Michał Ogórek w *Gazecie Wyborczej*. Pod tytułem „Władza *non grata*" Ogórek napisał, że „władze Rzeczypospolitej są dziś uznawane przez wszystkie państwa na świecie, ale nie są uznawane przez siebie wzajemnie. Jest to sytuacja z punktu widzenia prawa międzynarodowego dużo trudniejsza niż za komunistów, kiedy to tylko świat nie uznawał polskich władz, ale przynajmniej one same — jak najbardziej. Prezydent zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem i jest w trakcie obsadzania stanowiska premiera, w czym nie przeszkadza mu fakt, że jest ono już przez kogoś zajęte... Rząd nie utrzymuje dwustronnych stosunków z prezydentem i przeznaczone dla niego komunikaty przekazuje przez telewizję... Tymczasem zdezorientowana wieś, usłyszawszy, że w Warszawie cała władza jest nie uznawana, zaczęła tworzyć Bataliony Chłopskie..."

W ten sposób Ogórek znalazł się wśród najlepszych polskich politologów, co należałoby gorąco powitać, gdyby Ogórek nie był z zawodu satyrykiem. Mógłby tylko dodać, tak jak to powiedział ktoś inny, kto, odwrotnie, był politologiem, ale zachował się jak satyryk, że „sytuacja jest dobra, ale nie beznadziejna". Oto krótki szkic z natury:

Minister Obrony (wtedy jeszcze był) Jan Parys doszedł do wniosku, że jakieś siły skupione wokół Belwederu zagrażają demokracji w Polsce. Minister bywa na ogół człowiekiem dobrze

poinformowanym i miał zapewne podstawy, aby tak sądzić. Uznał nawet, że państwo polskie jest w takim stanie osłabienia, iż należy powołać specjalne Komitety Obrony Kraju, albowiem — jak prawidłowo odtworzył rozumowanie ministra Dawid Warszawski w *Gazecie Wyborczej* — normalnie powołane do obrony kraju instytucje, to znaczy prezydent, rząd, sejm no i jego własne Ministerstwo Obrony, już tego zapewnić nie mogły. Słusznie więc minister uczynił, ogłaszając alarm nie tylko na miasto Warszawę, ale na cały kraj.

Niestety, informacja była niepełna. Literatura przedmiotu była ogromnie obfita, minister — choć oficjalnie skazany na milczenie — nie przestawał grzmieć, jego zwolennicy przystąpili do mobilizowania obywateli nie tylko w kraju, ale nawet za granicą (m.in. w... redakcji *Kultury* w Maisons-Laffitte), ale ich nie poinformowali, z czyjej strony zamach grozi, jakimi siłami miałby on zostać przeprowadzony, w jakiej mierze wojsko, którym on sam administrował, miało i mogło się stać instrumentem narzucenia dyktatury lub, odwrotnie, obrony demokracji. Obywatel był więc podrażniony i rozżalony. Wiedział już dzięki ministrowi Obrony, że coś mu grozi, ale nie wiedział co, jak, gdzie i kiedy.

W tej sytuacji dylemat był jasny: albo-albo. Albo minister wie wszystko, ale mówi za mało, albowiem sądzi, że społeczeństwo jest wystarczająco głupie, aby pozwolić manipulować sobą nie znając sytuacji. Albo powiedział za mało, bo niewiele miał do powiedzenia, a z jakichś tylko jemu wiadomych przyczyn chciał społeczeństwem manipulować. Wniosek się narzuca: w obu wypadkach duży kraj oscylował na granicy nieodpowiedzialności.

Minister Spraw Wewnętrznych poważnie wzbogacił tę dziedzinę refleksji. On też jest zapewne bardzo dobrze poinformowany, właściwie powinien to być najlepiej poinformowany człowiek w Polsce. Zasługiwało więc na czujną uwagę jego oświadczenie związane z też bardzo delikatną sprawą badania teczek personalnych UB na okoliczność ewentualnych związków, jakie niektórzy, obecnie czynni politycy, mieli rzekomo utrzymywać z policją polityczną reżymu komunistycznego. Minister doszedł do wniosku, że afera jest, to jasne, moralnie nieobojętna: osoby związane z byłym UB nie powinny naturalnie pełnić dziś funkcji publicznych. Ale minister poszedł znacznie dalej. Uznał mianowicie, że chodzi także o względy bezpieczeństwa publicznego. Na poparcie tej tezy minister ujawnił fakt o kolosalnym znaczeniu. Poinformował mianowicie opinię publiczną w Polsce o tym, że niektóre osobistości polskiego życia politycznego są dziś, z powodu ich ubeckiej przeszłości, obiektem szantażu.

Sprawa rzeczywiście niesłychana i osoby takie powinny, to

jasne, być natychmiast usunięte ze sceny politycznej, przestać stanowić groźbę dla bezpieczeństwa państwa. Ale, i tu szkopuł, minister zataił przed obywatelami i wyborcami, kto, kiedy, co i jak. W jakich okolicznościach i w jakim charakterze, jakie to osobistości, obecnie aktywne, współpracowały z UB? No i, co równie ciekawe i ważne, nie mówi kto, skąd (z kraju czy zza granicy) i jak ich szantażuje.

I tu także albo-albo. I tu wybór jest trudny. Albo minister wie o kogo chodzi, ale nie mówi, aby utrzymywać opinię w stanie niepewności i nieufności, rzucić podejrzenie na całą klasę polityczną, albo wszystko wymyślił znowu dla sobie tylko wiadomych celów i nie ma nic więcej do powiedzenia. W obu wersjach, zachowanie władzy balansuje na granicy nieodpowiedzialności.

Byli współpracownicy prezydenta Wałęsy poszli jeszcze dalej. Ujawnili mianowicie obecność w najbliższym otoczeniu prezydenta osób wielostronnie podejrzanych: agentów obcych służb specjalnych, oszustów finansowych, kłamców no i, co nie mniej ważne, dygnitarzy pozbawionych elementarnych kompetencji do sprawowania powierzonych im funkcji. W normalnym kraju demokratycznym byłoby już kilka ostrych interpelacji i debat w parlamencie, nie mówiąc już o sprawach sądowych. W Paryżu, gdzie jedna afera goni drugą, kolejny minister wyskakuje pod ciśnieniem nieporównanie lżejszych oskarżeń niż te, które padły pod adresem ludzi znajdujących się w najczulszych punktach państwa. A w Warszawie ani gromów, ani skruchy.

To nie jest kwestia kilku ministrów. Minister — jak powiedział pewien były dygnitarz francuski — zamyka gębę albo odchodzi. Tutaj stawką jest autorytet państwa, zaufanie obywatela do władzy i do osób, które ją ucieleśniają.

Chodzi, naturalnie, przede wszystkim o zaufanie obywatela polskiego do władzy polskiej, ale także i obywatela — a zatem podatnika — zagranicznego do państwa polskiego. Wystąpienia ministrów z gatunku wyżej przytoczonych, posługiwanie się niedomówieniami, siejącymi nieufność, sugerującymi ogólny kryzys państwa i władzy, są absolutnie nie do pojęcia w żadnym normalnie funkcjonującym państwie demokratycznym, a związane z tym strefy cienia i wątpliwości dotyczące elity politycznej, rządzącej lub pozostającej w opozycji — czyli mogącej rządzić jutro — są instrumentem najbardziej niszczącym tkankę polityczną, substancję demokracji i autorytet państwa, w kraju i za granicą. Każdy rozumny i odpowiedzialny polityk na świecie będzie się przecież wahać, czy powinien wejść w rozmowy i podpisać umowy z polskim partnerem, który albo zmierza do dyktatury i destabilizacji, albo też podejrzany jest o to, że szantażuje albo może stać się obiektem szantażu ze strony niezdefiniowanych sił politycznych w Polsce lub za granicą. Z tego punktu widzenia Ogórek jest optymistą: zagranica także przestanie, w pewnym sensie, uznawać władze w Warszawie.

II. Komu i jak tu wierzyć?

Lenin — a może to był Stalin czy inny wódz proletariatu — uczył, że polityka zagraniczna jest odbiciem i funkcją polityki wewnętrznej. Chciałbym donieść, że na polskim przykładzie, a właściwie dwóch, to się właściwie sprawdza.

Zacznę od — pozornie — drobiazgu. Sejm zdecydował, że obcy kapitał musi opuścić kasyna i domy gry. W ciągu 90-ciu dni. Wydawać by się mogło, że chodzi o zamknięcie kasyn w ogóle, bo to jaskinie zepsucia lub — jak wołał pewien poseł bardzo katolicki — że chodzi o ochronę rodzin „przed żerującymi w kasynach skorpionami". Otóż nie. Chronić rodziny trzeba tylko przed skorpionami zagranicznymi. Polskie skorpiony mogą dalej żerować.

Tak się mianowicie składa, że z 16 kasyn, 12 założyły spółki z udziałem kapitału zagranicznego. Ponieważ w dużym stopniu poszkodowane zostały skorpiony austriackie i ambasador z Wiednia się naturalnie ujął za swoimi skorpionami i ich pieniędzmi, poseł Goryszewski napisał do dyplomaty: „Ekscelencjo, minęły te czasy, kiedy ambasador Austrii razem z Riepinem decydował o tym, co sejm polski uchwalał". Debata miała więc akcenty humorystyczne, powiało wiatrem historii, szkoda, że Ogórka przy tym nie było, ale ma skutki poważne, nie do śmiechu. Minister Finansów Olechowski (jeszcze wtedy nim był) powiedział, że „Polska łamie zobowiązania międzynarodowe, podważa wiarygodność Polski za granicą". Poseł Lewandowski dodał: „Polska staje się krajem niebezpiecznym dla kapitału zagranicznego, krajem, gdzie się nie lubi obcych".

Ale to, jak powiedziałem, znamienny, ale detal. Sprawy wyglądają znacznie gorzej w sferze dyplomatycznej. Tu już można zadąć w prawdziwe surmy. Lech Wałęsa pojechał nareszcie do Moskwy. Sam fakt, że doszło do tej wizyty stanowił ważne wydarzenie polityczne. Nie tylko dlatego, że, jak to zauważyli zwolennicy analogii historycznych (ale nie poseł Goryszewski), nareszcie, po trzystu latach, oba państwa spotykają się właściwie bez złych intencji, ale że doszło do tego po trzech latach zadrażnień, awantur, przetargów, presji, szantażów i gróźb, żeby tylko przypomnieć wywiady gen. Dubinina i innych.

Podpisanie przez dwóch demokratycznie wybranych prezydentów demokratycznej Polski i demokratycznej (albo prawie) Rosji traktatu o dobrosąsiedzkich stosunkach, wycofaniu wojsk

po-sowieckich z Polski i innych jeszcze dokumentów, to poważne wydarzenie. Podobnie jak ważny, nie tylko symbolicznie, jest fakt, iż Polska i Rosja, po raz pierwszy chyba od zawsze nie mają — z wyjątkiem enklawy kaliningradzkiej (będą z nią jeszcze kłopoty, ale to inna sprawa) — wspólnej granicy. Wszystko naturalnie pozostaje do zrobienia, narody się ciągle nie lubią i nie szanują, ale zaczęła się trwała, miejmy nadzieję, normalizacja stosunków w bardzo delikatnym i obciążonym ogromną hipoteką historii miejscu Europy.

Przekonać o tym świat nie było wcale łatwo. W oczach Zachodu do wizyty Wałęsy doszło za późno. Mniejsza o powody opóźnienia, dla świata zewnętrznego są one i tak nieczytelne. Ważne, że gdyby ta wyprawa na Moskwę odbyła się jakiś czas temu, to świat by z niej oka nie spuszczał. Polska mogła uchodzić wtedy za fachowca od tajemnic rosyjskich i posowieckich. Zachód się wtedy zupełnie nie orientował, wystarczy wszak przypomnieć, jak witano Jelcyna w Strasburgu, Paryżu i Waszyngtonie. Polski rekonesans byłby wtedy na wagę złota. Polska miała wtedy pozycję monopolisty i pioniera na scenie reformującego się i mięknącego sowietyzmu.

Dziś Zachód dokonał wyboru. Jelcyn wszędzie już był, ma stosunki wprost, pośredników nie potrzebuje. Świat, naturalnie, rozumie istnienie czegoś w rodzaju polskiej Ost-polityki, powitał np. z zadowoleniem natychmiastowe uznanie Ukrainy, miało ono jakiś „moralny" wpływ na resztę świata w tym akurat epizodzie. Dziś jednak wizyta, dla Polski historyczna, Wałęsy w Moskwie jest już oceniana wyłącznie w kontekście stosunków Zachodu z Rosją i wpływu, jaki dobre lub złe stosunki polsko-rosyjskie mogą wywrzeć na tempo i stopę rozbrojenia obszaru posowieckiego, na jego stabilność strategiczną. Z tego punktu widzenia ważne jest naturalnie porozumienie o wycofaniu wojsk sowieckich z Polski, ale tak naprawdę ważniejsza jest gwarancja niezakłóconego tranzytu przez Polskę wojsk sowieckich, wycofujących się z Niemiec.

Przy tych zastrzeżeniach, podróż Wałęsy do Moskwy mogła jednak mieć poważny rezonans w świecie i przyczynić się do umocnienia prestiżu i pozycji polskiej na scenie międzynarodowej, ale w sporej części zostało to zmarnowane i sfuszerowane. Ten samo-sabotaż, bo tak go trzeba nazwać, szedł dwiema drogami, wzajemnie się uzupełniającymi.

Po pierwsze, w Warszawie zrobiono wszystko, by ewentualny sukces Wałęsy uniemożliwić, zrelatywizować, a co najmniej pomniejszyć. Wałęsa pojechał niewątpliwie osłabiony nie tylko „aferami" Parysa czy Wachowskiego, ale awanturą co do treści samego traktatu. Wszystko wskazywało na to, że rozróby osobiste i partyjne, politykierskie, w znacznym stopniu obciążyły

podróż. Atmosfera była taka, że w Moskwie do ostatniej chwili panowała niepewność co do samego przyjazdu polskiego prezydenta. Wcale nie wykluczone, że ta słabość mogła stać się jednym z elementów usztywnienia wymagań generałów rosyjskich. Być może (nie wiemy), że ponieważ wszyscy byli świadomi, iż Wałęsa nie może wyjechać z Moskwy z pustymi rękoma, to podnieśli cenę kompromisu.

To, co w Warszawie uważa się za „debatę polityczną", nabrało znamion zwyczajnego skandalu i pyskówki. Leon Bójko, korespondent moskiewski *Gazety Wyborczej*, nazwany został przez Jarosława Kaczyńskiego agentem, dla którego interesy obcego mocarstwa są ważniejsze od interesów jego kraju. Poseł Kaczyński stwierdził, że artykuł Bójki „mógł być napisany przez rosyjskiego nacjonalistę". Komplementy w rodzaju „Targowica w akcji", pokazywały się na czołówkach gazet. Ani cienia argumentów, tylko inwektywy.

Można było dojść do wniosku, że prezydent podpisze, a potem, że podpisał traktat czy umowy, z którymi premier i połowa rządu, odpowiedzialnego za ich realizację oraz spora część parlamentu, się nie zgadza.

III. Europa w maglu

Jest to uwaga ważna, albowiem — sądząc z tego co usłyszałem w Warszawie — zachodzi ryzyko, że taki magiel może się powtórzyć w toku debaty na temat stosunków z EWG. Do EWG, jak wiadomo, nikt Polski nie zapraszał, droga do niej robi się coraz trudniejsza. Z jednej strony kolejka do EWG się wydłuża, stanęli w niej lepsi kandydaci, np. Szwajcaria. Z drugiej strony Europa się zamyka. Powstanie korpus wojskowy niemiecko-francuski, zalążek europejskiej siły wojskowej. Oznacza to osłabienie NATO i obecności amerykańskiej w Europie, co nie jest najlepszą perspektywą z polskiego punktu widzenia. Cała sprawa zasługuje więc na poważną debatę i taka się zresztą już przetacza przez Zachód wokół traktatu z Maastricht.

A co dochodzi z Polski? Anachronizm, parafiańszczyzna. Akcenty populizmu i ksenofobii w polskim życiu politycznym i społecznym doprowadziły do znacznego podwyższenia procentu Polaków przeciwnych zachodnim inwestycjom. Według badań instytutu „Pentor", cytowanych przez *Wprost*, we wrześniu ub. roku 25% ankietowanych przeciwnych było zachodnim inwestycjom, w listopadzie — 30%, a w marcu tego roku już 37%.

Łatwe, chwytliwe hasła hodowane są i lansowane przez część klasy politycznej i kleru nie w walce o zasady i poglądy, a o krótkotrwałe cele taktyczne. Nastroje jakie one jednak wytwarza-

ją będą miały długi opad, znacznie podwyższą polską cenę za bilet na europejskie salony. Chyba że — jak pisze *Wprost* — Polska wybierze sobie status skansenu...

Przeglądając moje notatki i wycinki, znajduję głos o „zagrożeniu suwerenności", o „świecie wilków", o wspomnianej już zachodniej „cywilizacji śmierci", o EWG jako wspólnocie... socjalistycznej. Można więc mieć obawy, że także EWG stanie się — już jest — celem taniej, populistycznej propagandy partyjnej i kościelnej, że partykularny interes weźmie górę nad interesem państwa. Padają hasła, które byłyby śmieszne, gdyby nie były tragiczne. Pewien poseł uznał, że lepiej jest budować Europę ojczyzn razem z Irlandią niż Europę wspólną razem z EWG. W tym towarzystwie Polska uratuje może cnotę, ale daleko nie zajedzie.

Po drugie, wizyta zakończyła się całkowitą katastrofą mediatyczną. Wizyta przeszła bez echa na świecie, bo zaczęła się od fatalnego przygotowania prasowego, a skończyła na pogardliwym potraktowaniu opinii, pozostawionej (piszę to cztery dni po podpisaniu traktatu) bez słowa na temat treści dokumentów, ich znaczenia, dalszego ciągu. Świat nie zrozumiał wielkości wydarzenia, albowiem nikt nie starał się go nawet przekonać o tym, że w ów piątek historia się działa w Moskwie, przy udziale Wałęsy i Jelcyna, a nie tylko, tego samego dnia, w La Rochelle z Kohlem i Mitterrandem w rolach głównych.

Po Moskwie nie było komunikatu końcowego. Dlaczego? Zupełna tajemnica. Rezultat? Polska i świat nie dowiedzieli się nie tylko tego, co było w dokumentach i co oznacza ta wizyta dla dwustronnych stosunków polsko-rosyjskich, ale nie dowiedzieli się także, co dwaj prezydenci dwóch wielkich krajów, pierwszy raz razem, myślą na temat sytuacji poza granicami państw. Albo bowiem, albo. Albo obaj prezydenci razem nie mają niczego do powiedzenia na temat tego, co się dzieje np. w Jugosławii, albo są między nimi tak ogromne różnice zdań, że nie mogli się w ogóle dogadać. W każdym razie brak głosów tak ważnych aktorów polityki światowej, jak Jelcyn, czy — z innych względów — Wałęsa, na temat np. Miloszewicza i jego koncepcji etnicznych granic na Bałkanach, zahacza o brak odpowiedzialności. Wystarczy przecież pomyśleć, co by się działo w byłym ZSSR, gdyby te koncepcje zastosować na wschód od Polski. 5 milionów Węgrów mieszka na zewnątrz, ale wzdłuż granic Węgier. Można sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby Węgrzy zechcieli zastosować wariant serbski. Brak międzynarodowych odniesień ze strony Jelcyna i Wałęsy po ich pierwszym spotkaniu jest ogłoszeniem ich absencji i dymisji ze sceny światowej.

Trzeba powiedzieć, że sam Wałęsa nie jest bez winy. Jego

pomysły EWG b czy NATO b wywołały sporo zamieszania. Są pozbawione sensu. Po pierwsze, są nierealne pragmatycznie biorąc, nawet trójkąt wyszegradzki nie funkcjonuje wszak jak należy. Co dopiero prezydenckie bisy? Po drugie, i groźne, jeżeli są możliwe struktury „b", to nie są potrzebne struktury „a". Takie pomysły dodają tylko amunicji przeciwnikom integracji Polski z Zachodem. Podobnie jak — po trzecie — groźne są aluzje do paralelnych struktur bezpieczeństwa na Wschodzie. Przeciw komu? Kto ma interes w wywoływaniu akurat teraz, w pełnej debacie nad Maastricht i nową rolą NATO, upiora Paktu Warszawskiego? Czy rzeczywiście ktoś uważa, że istnieje dla Polski alternatywa do EWG i NATO?

Teraz detal, ale ciekawy. W La Rochelle Mitterrand i Kohl uchwalili nie tylko powołanie wspólnego korpusu wojskowego, ale także rozszerzenie sieci TGV, pociągu o dużej szybkości (300 km na godzinę — prawdziwa rewolucja w dziedzinie transportu kolejowego i nie tylko) na wschód, uznając to, cytuję, „za wielki krok naprzód w budowie Europy". A w komunikacie czytamy: a) Paryż uzyska połączenie z Austrią i Węgrami przez Monachium; b) Paryż uzyska połączenie z Moskwą przez Frankfurt i Berlin. Inaczej mówiąc, przez Polskę TGV przeleci chyba górą? Warszawa jako przystanek nie jest nawet wspomniana. To, naturalnie, pominięcie, ale znamienne.

IV. Na kolanach?

To nieprawda, że jak się niektórzy skarżą, idzie w Polsce jakiś wielki atak na religię, że podważane są zasady najogólniej mówiąc — chrześcijańskie. Nikt rozsądny nie szuka dziś w Polsce alternatywy do zespołu wartości chrześcijańskich. Rodzi się natomiast lub powstał już wielki, coraz większy, drażliwy i drażniący, problem pozycji Kościoła katolickiego w państwie polskim, rozdziału lub nie tych dwóch instytucji, jednym słowem wyraźnie się rysuje problem roli Kościoła i kleru jako instytucji. Punktów spornych jest wiele: obowiązkowe lekcje i stopnie z religii w szkole, rewindykacja dóbr kiedyś skonfiskowanych (głośna jest, zwłaszcza wśród młodzieży, sprawa jednego z budynków Uniwersytetu Warszawskiego, skonfiskowanego jeszcze przez władze... carskie i używanego przez Uniwersytet także przed wojną) ale przede wszystkim aborcja.

Aborcja, to zawsze dramat moralny i życiowy i często sprawa sumienia, ale Kościół uplasował ją na czele politycznej debaty narodowej, nadał jej cechy kryterium odróżniania dobrego Polaka od złego Polaka.

Bez wchodzenia w szczegóły nader skomplikowanej i deli-

katnej natury, trzeba powiedzieć, że nigdzie — a sprawa aborcji była w ciągu ostatnich lat dyskutowana właściwie wszędzie w cywilizowanym świecie — debata na ten temat nie weszła w tak ostry impas prawny, polityczny i ... słowny jak w Polsce. Z jednej strony, w Polsce obowiązuje ustawa, nazwijmy ją liberalną, z 1956 roku, która, pod pewnymi naturalnie warunkami, dopuszcza możliwość aborcji. Z drugiej strony, w grudniu ub. roku uchwalony został na Krajowym Zjeździe Lekarzy Kodeks Etyki Lekarskiej. Obowiązuje on od 3 maja i przynosi bardzo restrykcyjną interpretację pojęcia „obrony życia poczętego".

Otóż, nie mówiąc już o dylemacie kobiet, które pozbawia się swobody decyzji w najbardziej dla nich delikatnej i często dramatycznej sytuacji życiowej (to inny temat), lekarze znaleźli się w konflikcie albo z Kościołem, który narzucił, nazwijmy to, kościelną wykładnię przysięgi Hipokratesa, albo z państwem, którego byt opiera się na poszanowaniu obowiązującego prawa, a w tym także obowiązującej ciągle ustawy o aborcji. Jest to sytuacja moralnie i prawnie niemożliwa do utrzymania.

Argumenty, jak się to mówi, „latają nisko". Kiedy np. rzecznik praw obywatelskich (sam jako senator głosował za „kościelnym" projektem ustawy o aborcji) zaskarżył kodeks do Trybunału Konstytucyjnego jako sprzeczny właśnie z ...konstytucją, został oskarżony o eutanazję, a ci, którzy podzielali jego stanowisko, określeni zostali — w sejmie!!! — jako „hitlerowcy", co w Polsce ma wyjątkowy wydźwięk. Przeciwnicy kodeksu z kolei demaskują próbę przeniesienia Polski do średniowiecza. Kiedy jednak ci ostatni zaproponowali jedyne właściwie rozumne i demokratyczne rozwiązanie, to znaczy referendum, obrońcy kodeksu odmówili, także w imię demokracji naturalnie. Po czym odmówili modlitwę na intencję zachowania płodu przez 14-letnią Irlandkę, ofiarę gwałtu. Niektórzy pytali, jak zachowaliby się posłowie, którzy takie modlitwy odmawiali, gdyby ich własne dziecko znalazło się w takiej samej sytuacji?

Pytanie, naturalnie, retoryczne, ale o znacznie szerszym zasięgu niż mogłoby się wydawać. W istocie chodzi o jeden z ważnych czynników wyboru, przed jakimi stoi dziś Polska. Albo bowiem Polska pójdzie w kierunku Europy demokratycznej i tolerancyjnej, albo upierać się będzie przy parafialnej hipokryzji. Ponad 75 % z 95 % katolików, stanowiących dziś naród polski, popiera przecież ideę referendum w sprawie aborcji. Odrzucają je zaś ci, którzy się mianują tego właśnie społeczeństwa rzecznikami i wychowawcami.

Jak powiedział Krzysztof Pomian w dyskusji miesięcznika *Dialog*, w Polsce nie chodzi dziś o sprawę dzieci nienarodzonych, lecz o decydujący głos w kształtowaniu modelu kultury obyczajowej społeczeństwa. Istotnie, choć dyskusja o aborcji przetoczyła się przez całą Europę, nigdzie nie miała tak paraliżującego wpływu na bieżącą politykę i sposób sprawowania rządów.

Tu chodzi o polskie widzenie Europy. Przy obecnych wpływach Kościoła katolickiego w Polsce nie można bowiem wykluczyć, że „zwycięży", choćby prowizorycznie, opcja Stanisławy Grabskiej, przewodniczącej warszawskiego KIK-u, która określiła Zachód jako „cywilizację śmierci" (*Gazeta Wyborcza*). Naturalnie, jak powiada Pomian, „europeizacja" Polski i tak kiedyś nastąpi, ale zachodzi ryzyko, że przy tak urabianym klimacie niechęci i nieufności wobec Zachodu, kraj straci znowu kilkanaście czy kilkadziesiąt lat.

Zanim Trybunał Konstytucyjny podejmie decyzję, spór trwa i tnie społeczeństwo według jeszcze jednej linii podziału. *Prawo i Życie* ujęło problem, wydaje mi się, prawidłowo. Podczas kiedy jedną z najważniejszych funkcji i największych zasług Kościoła w Polsce była jego funkcja jednoczenia Polaków, w tej chwili, poprzez wywindowanie sprawy aborcji i religii w szkołach oraz poprzez wygórowane rewindykacje materialne, polityka Kościoła stała się elementem podziałów w społeczeństwie i to w momencie, w którym z wielu przyczyn (któż nie pamięta manifestacji Solidarności w Warszawie?) dezintegracja społeczeństwa nabiera niebezpiecznej dynamiki. We wszystkich sondażach instytucji darzonych zaufaniem przez Polaków na pierwszym miejscu jest wojsko, na drugim policja, a dopiero na trzecim Kościół. Dla tych, którzy znają rolę wojska i policji w okresie 45-ciu lat komunizmu w Polsce i ogromną rolę, jaką odegrał w tym czasie Kościół, takie zestawienie to temat do poważnej refleksji. Jak napisało *Prawo i Życie*, Polska będzie miała wiele bogatych, ale pustych kościołów.

V. W desperacji

Honor Polski ratuje część prasy. Cześć jej i chwała za zachowanie jasności umysłu, równowagi ducha i odwagi w nazywaniu rzeczy po imieniu. Gazety nie ukrywają zdumienia, wyrażają zaniepokojenie obywatela. Prasa daje luz wyobraźni i oczytaniu, ma duży wybór analogii, od pomylonego generała ze „Szwejka" aż po amerykańskiego ministra Obrony Forrestala, który wyskoczył przez okno. Gazety mówią, cytuję dokładnie, o braku poczucia miary i odpowiedzialności, o konieczności zachowania elementarnej poczytalności politycznej, o działaniach o charakterze maniakalnym, o fascynacji obrzydzeniem, o urojeniach znerwicowanych ministrów.

Prasa zadaje pytania, przed kim chciał minister Obrony bronić Polski lub kogo i przed kim chce minister Spraw Wewnętrznych strzec przed szantażem, jak uchronić od mgły podejrzeń

te ośrodki władzy, które powinny być jak żona Cezara... ale prasa, a zatem opinia publiczna, daremnie czeka na odpowiedź. Nikt nie woła.

Przepraszam, wołanie dochodzi, ale zamiast odpowiedzi nadchodzą inwektywy. Tak np. jak po rewelacjach ujawnionych przez Jarosława Kurskiego, który zamiast poznać odpowiedź na konkretnie, przez jego rozmówców, sformułowane zarzuty, dowiedział się, że jest osobą moralnie podejrzaną. Czyli, jak drzewiej bywało, reakcje dotyczyły nie tego, co prasa ujawniła, a tego, kto to podpisał.

Dosyć tego lamentu. Zdaniem moich rozmówców w Warszawie, wszystkie te pseudo-debaty, tematy zastępcze, niedomówienia i przemilczenia sprawiają, że polityka jawi się opinii jako gra zwyczajnych i z reguły koniunkturalnych przepychanek osobistych, jako starcie ambicji, a nie idei czy programów. Wyraźny jest znowu podział na „my" i „oni". Rezultat jest groźny: nieufność wobec reformy, demokracji i ludzi, którzy się z nimi identyfikują, przekonanie, że chodzi o cyniczną grę o władzę, o „stołki" i o nic więcej.

W poszukiwaniu definicji zdolnej oddać dzisiejszą sytuację w Polsce, opinia publiczna doszła do prawdziwej desperacji. Najnowszy skrót określał Polskę jako „okręt nawigujący między Rasputinem a Ubu". Nie należy doszukiwać się w tym skrócie jakichś precyzyjnych odniesień osobistych, każdy może sobie podstawić pod obie przytoczone, o bogatej symbolice, postacie, kogo chce i kto mu akurat pasuje. Ale — ktokolwiek wystąpiłby w tej roli — nie można powiedzieć, że są to tytuły do chwały i powody do satysfakcji.

27 maja 1992

Leopold UNGER

P.S. Kaprysy kalendarza i dyktatura drukarni sprawiły, że tekst powyższy musiał być napisany przed 28 maja, a więc prawie miesiąc przed jego oddaniem do druku. Ryzyko korektur wnoszonych przez szybko zmieniającą się rzeczywistość było więc tym razem jeszcze większe niż zwykle. Ale najczarniejsza wyobraźnia nie mogła nasunąć obrazu, jaki polska scena polityczna rysuje trzy tygodnie później. W związku z aferą „teczek" do Ubu i Rasputina trzeba dopisać Pandorę. Z jednym zastrzeżeniem tylko: z jej „teczki" wyfrunęły wszystkie nieszczęścia, ale została w niej Nadzieja, mocno przywarta do dna. Czy i gdzie jest w Polsce dno, do którego nadzieja mogłaby być przywarta?

16 czerwca 1992 *L.U.*

Z ukosa

Gdybym napisał: „słowa straciły jakiekolwiek znaczenie, wydarzenia mówią same za siebie", byłaby to prawda, ale sugeruje ona jakąś tragedię a niczego takiego w Polsce nie ma, są tylko setki bęcwalizmów i niezręczności, jakby stado słoni baraszkowało w domu towarowym pełnym porcelany. Ale najważniejsze, że jest wiosna! I ona pokrywa świeżą zielenią wszystko, nawet dramat ministra Parysa, który krzyczał, że lew jest zły i został oddany lwu na pożarcie, nawet dramat prezesa Zaorskiego, który już nie jest pożerany przez telewizję, bo zabrała się ona za Zbyszka Romaszewskiego. Nie widać prawie Belwederu, bo tonie w zieleni z Prezydentem i z jego adiutantem Wachowskim. Tego ostatniego widziałem w telewizji przebranego za Araba na egipskim wielbłądzie, bo aż tam dotarł z wiernym mu Prezydentem. I w zapachu bzów tonie konanie trzeciego wolnego rządu trzeciej Rzeczypospolitej.

Chodzę po Warszawie, po mojej nie mojej Warszawie. Na Mokotowskiej staję przed budynkiem gdzie był region NSZZ Mazowsze. Szukam na chodniku miejsca, gdzie pamiętam stawiano betonowe płyty przeznaczone do wieszania plakatów, te płyty ustawiał dźwig a całą akcją kierował ze zwykłą sobie pewnością siebie Sławek Bielecki. Bardzo ważne wydawały się wtedy te płyty, wtedy, czyli w przeddzień stanu wojennego. Wyrwano je potem z korzeniami nie wiadomo dlaczego z taką złością i nie ma po nich teraz nawet śladu. A Sławek podał się niedawno do dymisji jako doradca rządowy. Dziwne, że on, taki sceptyk, mógł uwierzyć w konia, który kulał na wszystkie nogi jeszcze przed startem. Na budynku widnieje napis „Uniwersytet, wydział pedagogiki". Jakie pedagogiczne wnioski z przeszłości mogą wyciągać obecni lokatorzy budynku oprócz absurdalnych? Chcę tam wejść chociaż boję się spotkania z czasem. Drzwi są zamknięte. Jestem pewien, że klucz został przekręcony podwójnie. W pobliskiej księgarni już na placu Zbawiciela piętrzy się bestseller, na jego okładce błyszczy generał Jaruzelski poczciwie zamyślony nad tytułem „Stan wojenny, dlaczego". Ta książka też mi się wydaje zamknięta i nie mogę jej otworzyć. Bo czy naprawdę odpowiedź może być inna — dogorywające Imperium w ostatnim skurczu broniło swoich prowincji rękami wiernych namiestników. Mogli oni mieć mniej lub bardziej skomplikowane dusze, zabarwione mniej lub bardziej narodowo czy liberalnie, to nie zmienia istoty rzeczy. I to jest ważne, a nie gaworzenie, że „Solidarność" była nierozsądna, że sowieckie czołgi, i... rzuciłem

jednak okiem na fragmenty drukowane w *Polityce*... generał bije się ze skruchą w swe szczupłe ale stalowe piersi: — „Tego też, niestety, nie dopilnowałem". (Te wzruszające spazmy wyrzutów sumienia dotyczą takich okropieństw, że oto internowano niepotrzebnie zbyt wielu poczciwych intelektualistów). Pan, panie generale, nie dopilnował już dawno czegoś o wiele ważniejszego. Porządny człowiek, za którego pan się uważa, nie robi kariery w armii, która jest armią podbitego narodu; a oprócz zbrodni mordu, istnieje zbrodnia kłamstwa, absurdu, zbrodnia ekonomiczna... Te wszystkie pan uprawiał z właściwą sobie pracowitością siedząc przez lat kilkadziesiąt na szczycie PRLowskiej drabiny. Stan wojenny to była tylko kulminacja.

Ale wracajmy do parteru, w końcu on zwykle w ostatecznym rachunku okazuje się najwyższym piętrem. Sklepy wciągają mnie do środka. Cały ten świat parteru zmienił się bardzo, ale mniej więcej w połowie. Część wnętrz goni zachodnią Europę, co prawda z zadyszką i gubiąc wiele po drodze, gdy druga część, zapyziała, tkwi w przeszłości. Tak samo jest z personelem. Szczególnie młodzi przestawili się, wkładają uśmiech, są zainteresowani klientem, i nawet już widać sprzedawców, którzy potrafią być grzecznie natarczywi. Ale część personelu nadal pojada w pracy, panienki wychylają się do siebie ze swoich stanowisk — „wyobraź sobie, że poszła z nim do łóżka" — a kupujący bardzo im przeszkadzają w ściąganiu kołdry z tego łóżka. Uderza, że ci odmienieni i ci „zabytkowi" jednako nie mają pojęcia co sprzedają, więc lepiej ich się nie radzić bo jest wtedy ambaras. No ale to jednak jest jakiś początek. Koszmarem sowsocjalizmu było, że zrównał z ziemią dokładnie wszystkie wzorce. Teraz nasza dżungla, która tak bujnie rośnie w ruinach dawnego, rodzi czasami wzorowe owoce.

Rosną reklamy, ale rosną na chodniku, który roztrzaskany jest jak był zawsze. To wszystko moje nie moje. Na swojskiej ziemi wyrasta obcy błyszczący świat, na który nie mam wpływu, którego nie rozumiem, który interesuje się nie mną a tylko moją kieszenią, ale ja w tej kieszeni nie mam dosyć pieniędzy abym mógł się czuć temu światu potrzebny i być w nim jak w swoim domu. A więc... moje nie moje miasto. Na każdym rogu ktoś kiedyś na mnie czekał, lub ja na kogoś, ścięto pomniki pod którymi wymienialiśmy jeszcze zielone pocałunki. Nowe nazwy ulic jeszcze nie zapuściły korzeni w mojej pamięci, nowa geografia sklepów nie jest dla mnie jasna, ceny uparcie nie mieszczą się w wyobraźni. Chodzę i zachodzę, przysiadam, podnoszę nogę jak pies, który znaczy swój teren... oj nie wiem, czy to będzie kiedykolwiek moje? Ale chyba najbardziej przerażająca obcość bije od ludzi, kiedyś tak bliskich i kochanych, dzisiaj przez okrutną Kirke zamienionych w wieprze stłoczone przy korycie władzy.

Mordobicie na górze, bo przecież to nie jest wojna, ogromnie niepokoi liczną publiczność. Nie widzą szczegółów, jakby uchem słuchali w radio transmisji bokserskiego meczu, więc głównie docierają do nich stękania a potem można sobie czasami obejrzeć ofiary z podbitymi oczami i rozkwaszonymi nosami. Niepokój czy to nie przerodzi się w coś naprawdę poważnego. I tu podobnie jak w trakcie walki bokserskiej widz zwykle odczuwa konieczność, by się z kimś utożsamić, bo to leży w ludzkiej naturze, a na tej potrzebie wspierają się skrzydła literatury i filmu. I oto nasza publiczność dokonuje wyboru, mimo, że doprawdy wie nie więcej o swoich bohaterach niż ci, którzy śledzą dalekie odgłosy meczu w orientalnym Las Vegas. Ten ma coś sympatycznego w oczach, tamten nosi imię, które się miło kojarzy... więc niech już będzie nasz. W tej sytuacji rośnie jednak grupa widzów, którzy nie zajmują w ogóle niczyjej strony, bo doszli do wniosku, że to wszystko nie warte funta kłaków.

Każde spotkanie towarzyskie, jeśli przez nieuwagę ktoś nastąpi na odcisk polityki, zamienia się szybko w bolesny spór. Wspólne w tym sporze jest, że mówi się okropne rzeczy w zasadzie o wszystkich, którzy zajmują jakiekolwiek miejsce wystające ponad poziom wody. Doprawdy czasami mam wrażenie, że człowiek człowiekowi nie jest u nas wilkiem, a kundlem.

Główny podział jest na zwolenników i przeciwników Wałęsy. Najbardziej zajadłymi przeciwnikami Prezydenta są Ci, którzy na niego jeszcze niedawno stawiali, ale się zawiedli. Czasami ujawni się podział na zwolenników i przeciwników skrobanek, na ludzi broniących Kościoła i zajadłych antyklerykałów. Na porządku dziennym będzie uwaga, że sporo w tym wszystkim namieszali Żydzi, nie żeby ktokolwiek był antysemistą, broń Boże, ale to przecież oczywiste, bo oni niby nasi, ale jak dochodzi co do czego to oni nie nasi i wprowadzają jakiś niepokój w naszym narodowym porządku, który jest im z natury rzeczy niedostępny.

Miałem możność oglądać grupkę rodaków wracających z dwutygodniowej zagranicznej wycieczki. Byli naprawdę szczerze zatrwożeni co zastaną po powrocie: „czy ten rząd już upadł? czy nie było manifestacji? co znowu podrożało?"

Nie są to wielkie lęki, ale mają one w sobie duże napięcia i dają poważną sumę niepokoju. Poczucie niepewności, tymczasowości, prowizorki obecnej sytuacji zdaje się być dotykalne.

Co tak właściwie dzieje się w telewizji? — pytam jednego z byłych szefów. Pytam podstępnie jak to uczynił wywiadowca Breitschneider w gospodzie pod Kielichem. Mój rozmówca nie daje mi jednak materiału i mam przemożne poczucie, że to nie on taki czujny, po prostu naprawdę nie ma nic do powiedzenia.

Oprócz jednej oczywistości. Telewizja jest jak wspaniała wielka kość nasiąknięta szpikiem, więc jak tu się oprzeć by jej nie chwytać. Wszystkie partie polityczne, Belweder, rząd, poszczególni ministrowie, „Solidarność"... i cała ta pozostała drobnica, wszyscy chcą mieć wpływ na telewizję. Ustawa dotycząca telewizji, która dałaby szansę na wielogłos, nie przypadkiem więc nie może się narodzić. I pomyśleć, że wielogłosowej telewizji tak boją się ci, którzy wczoraj daliby się pokroić za śmierć cenzury i wolność słowa!

Telewizja ma swoją niezwykłą specyfikę. Jest wielka i pełna amatorów, którzy kiedyś uwierzyli, że są zawodowcami. Ilekroć mam jakiś krótki romans z ekipą telewizyjną, zastanawiam się dlaczego ci ludzie robią to na czym się kompletnie nie znają. Telewizja przerasta kolejnych szefów, bo jest wielką bryłą ukształtowaną w minionej epoce, a pod wpływem ciśnienia wolności ta bryła odkształciła się przybierając groteskowy kształt. Żaden z nowych szefów nie znał się na telewizji, chociaż poprzedni szef z pewnością bardziej niż nowy. A ktokolwiek zacznie myśleć czym ma ta telewizja właśnie być, zanim się obejrzy szarpany jest za nogawki a potem za włosy przez wszystkich.

Jakiś czas temu wjechałem windą na 9 piętro, by spotkać się z szefem telewizji i z jego następcą. Chociaż ich gabinety są daleko od siebie, oni zawsze byli razem w jednym, na wszelki wypadek. Zastałem dwóch ludzi zagnanych na to wysokie piętro przez okoliczności. Siedzieli w kłębach papierosowego dymu, bardzo skacowani, zerkając nerwowo przez moją głowę na ekran otwartego telewizora jak się zerka na własne nieszczęście. — Ale żeśmy wdepnęli — powiedzieli niemal chórem.

W pewnym nobliwym budynku warszawskim na czwartym piętrze widziałem z kolei studio gotowe do emisji prywatnego programu. Zamierzają ruszyć jeszcze w czerwcu, wbrew prawu, i czekać na skandal. To jednak są wspaniałe czasy, kiedy tak bujne marzenia można podsuwać pod samą granicę rzeczywistości. Patrząc na tych ludzi zakrzątanych wokół swojej wizji, nie mogłem zgadnąć czy oni cierpią na wysoką gorączkę, czy raczej emitują zdrowie.

Osobliwa jest w kraju ta konsternacja finansowa. Wielka ssawka wysysa pieniądze. Narzekają na ich brak wszyscy, ale w moim środowisku to nie groźba ubóstwa, a tylko nieznacznego obniżenia standardu życia przy nieco zwiększonym wysiłku. Nie jest to jakiś horror, ale płacz wielki i wielkie lamentowanie.

Stopień zaabsorbowania pieniędzmi da się wytłumaczyć faktem, że sytuacja jest naprawdę nowa i trudna. Dlatego jeśli uda się uniknąć przy spotkaniu polityki, mówi się o pieniądzach. Kilku

znajomych niby mimochodem pytało się czy nie mam ochoty w to lub owo zainwestować? Brak pieniędzy zmusza czasami do działań dramatycznych i symbolicznych. Znam pewną wdowę, która próbowała sprzedać order Budowniczego Polski Ludowej, odziedziczony po mężu, ale nic z tego, gdyż było w nim za mało złota. Natomiast żartów nie ma w państwowych urzędach. Dyrektor departamentu nie zarabia zwykle 3 milionów, podczas gdy sekretarka w prywatnej firmie 10. Nic dziwnego, że administracja jest wypłukiwana z fachowców. A właśnie dobrej administracji Polska potrzebuje dzisiaj najbardziej.

Pieniądze robi się u nas w najrozmaitsze sposoby, ale z pewnością nie zwykłą rzetelną pracą w zwykłym rzetelnym zakładzie, tam nie zgromadzi się sumy wystarczającej na zakup samochodu, gdy zakup mieszkania jest w ogóle już poza wyobraźnią.

Ludzie, których spotykam po latach... po pierwszym powitaniu zwieszamy głowy nad czasem, który minął i zwykle wymieniamy takie oto słowa... „jest okropnie, kto się spodziewał, że do tego dojdzie, no ale kiedyś... będzie dobrze".

Jak za dawnych czasów obwąchuje się dzisiaj człowieka; z kim przestaje, gdzie należy i gdzie pisze: „Porządny człowiek, a pisze w *Nowym Świecie*" — czyli coś musi być z nim nie tak. Tamta jest zwolenniczką Wałęsy, „a taka wydawała się rozsądna". Ten niezły chłop, „ale czemu na Boga sprzedał się *Gazecie Wyborczej*?" A X? Robi pieniądze, to obrzydliwe, kiedy kraj w takiej potrzebie. Y? Został ministrem! To przerażające, mógłby być najwyżej księgowym w gminie.

W jednym z urzędów wchodzę do pokoju gdzie winien siedzieć mój znajomy, i owszem siedzi, ale inny. Oczom nie wierzę! Toż to G., kumpel ze szkoły podstawowej. Pamiętam smak jego włosów w moich ustach i zapach potu, gdy turlaliśmy się po szkolnym korytarzu. Aż mi dreszcz metafizyczny podreptał po plecach. Kiedyś nieco żartem pisałem, że wszystkie nominacje są z mojego notesu ostatnich lat, a gdy ten notes się kończy, wyfruwają na stanowiska koledzy z notesu młodzieńczo-dziecięcego. Więc po raz któryś z kolei czuję, że „wypełniło się". Od G. dowiaduję się, że nie wygryzł X, gdyż ten powędrował po prostu dużo wyżej. Idę więc o wiele wyżej. X jeszcze nie zakorzeniony w swoim gabinecie, trzyma się na wszelki wypadek poręczy fotela. Gaworzymy sobie a ja się skarżę już trochę rutynowo, że wszystko się rozpada, a w miejscu gdzie jesteśmy dostrzegam jeszcze nie ruinę, ale rozłażenie się. Jakby poszczególne członki urzędu już coraz mniej o sobie wiedziały i wiedzieć chciały. „Nie wie już prawica co robi lewica" — wzdy-

cham. Kiedy to powiedziałem coś zabłysło w jego oku, mówi: „Studiując niedawno Biblię odkryłem, że to Ewangelia jest u źródła tej frazy, ale w pierwotnym biblijnym brzmieniu to znaczy coś przeciwnego niż w potocznym. — Kiedy dajesz jałmużnę niech nie wie lewica twoja, co prawica twoja czyni. — Ewangelia wg Mateusza, czyli — ciągnie znajomy — powinno się tego właściwie używać w pozytywnym sensie. Ale rozumiem co chciałeś powiedzieć i obawiam się, że masz rację".

Popatrzyłem na ściany gabinetu, ileż służalczych rozmów one wchłonęły, ileż karier partyjnych kacyków kołysało tam swoje ukłony, ale daję głowę, żaden z duchów przeszłości nie wysnułby takiej refleksji jak X. Tylko czy w tej refleksyjności jest nasza siła, czy nie drzemie tam pewna słabość?

Wiem, czytelnicy są już zapewne przejedzeni tymi znajomymi na stanowiskach — chwali się, narzeka i nudzi. Co poradzę kiedy to prawda i ja czuję się tą prawdą przygnieciony, bo z niej wynika, że to nie tylko okoliczności załatwiają Polskę, a również niewielka grupka osób. Jest jeszcze gorzej... bo nie wierzę, że istnieją jakieś gotowe zasoby kompetencji, z których można skorzystać. Więc nieuchronny był mechanizm notesowy. Natomiast fatalne jest, że upływ czasu nie uruchomił innego mechanizmu, który poszerzyłby bazę naboru i dał szansę na kształcenie przyszłej administracji. Roztrzaskujemy stare struktury, które w dużej mierze zasłużyły na wyrwanie z korzeniami, ale nowi ludzie rzadko są spoiwem, które zlepia coraz szersze pęknięcia. Część nie nadaje się, a czas i stress tylko pogłębiają ich nerwicę, część się uczy, ale czy zdążą? Chorobą jednak główną jest brak koncepcji reformy administracji, a szerzej, wizji państwa jakie chcemy zbudować.

Już postanowiłem dać spokój z wątkiem kadrowym, ale nie daje się. Bo oto zdychający rząd próbuje się wesprzeć KPNem a KPN stawia warunki, Moczulski ma być ministrem obrony narodowej, bardzo przyjemnie, Ostoja Owsiany sprawiedliwości (nie mogę się oprzeć wrażeniu, że za tym nazwiskiem stoi równie osobliwa postać), zaś ministrem łączności ma być Adaś S. Szkoda, że już mam telefon, zmartwiłem się. Ale, ale, co Adaś na Boga czyni w KPN, a co w łączności? Przepraszam, zapomniałem, że w dzieciństwie połączył nasze mieszkania linią telefoniczną, początkowo waliło się w kaloryfer, ale z czasem został zamontowany prawdziwy brzęczyk. Wtedy bym się nie wahał, że on powinien być tym prezydentem, no ewentualnie sportowcem. Adam natomiast marzył aby zostać kanalarzem, było to czyste i głębokie marzenie. Niestety jesteśmy już zupełnie dorośli, chociaż tacy jeszcze dziecinni. Bardzo go lubię, więc jak ja mogę chcieć by został tym ministrem. Doprawdy szalony kraj, gdzie już wszystko jest możliwe. Ja zostanę arcybiskupem,

Ostoja Owsiany, kiedy już znudzi mu się być Wielkim Sprawiedliwym, zostanie Miss Polski, a czołowym polskim chirurgiem będzie jakiś obywatel po amputacji obu rąk. To wszystko jednak chyba musi się źle skończyć.

Wszyscy nosimy oblicza, które w rzeczywistości są pół maskami ukrywającymi prawdziwe twarze. Jak na maski to za mało ukrywają, twarze są zbyt dalekie od prawdy. Jako że padam czasami ofiarą różnych oficjalnych przyjęć, które łączy jedno, są przeraźliwie jałowe i nieprawdziwe, to znaczy nikt nie jest sobą, gorzej że większość uczestników już nie wie kim są naprawdę, więc by nie oszaleć nauczyłem się łapać spadające w okamgnieniu półmaski. Trzeba mieć refleks jak przy łowieniu spadających gwiazd i tu też czasami nie jest się do końca pewnym — spadła czy nie? I zwykle odkrywa się przerażająco smutne twarze ukryte za uśmiechem, bezgraniczne znudzenie za półmaską zainteresowania. I oto w Wiadomościach ujrzałem premiera Olszewskiego gdy przybył do Belwederu. Powitał go Prezydent z połajanką, że tak zwlekano ze zwolnieniem ministra Parysa. Szli obaj wprost w pyski kamery i nagle premierowi spadła półmaska i zaraz wskoczyła na swoje miejsce, jakby była na elastycznych gumkach zaczepionych na brwiach, a pod nią twarz bezgranicznego znużenia, poniżenia i niechęci.

Poczciwe kłamstwo okrągłego stołu z upływem czasu coraz wyraźniej traci swoją poczciwość. Nie była to zdrada, jak lubią mówić niektórzy, ani narodowe nieszczęście. Kłamano w dobrej wierze i nie jakoś okropnie, tylko trochę. Ograniczenie osób zasłużonych dla sprawy wolności, którym wtedy rozdano karty przy stole, też wydaje się mniej więcej zrozumiałe. Nie przewidziano, że ci którzy czuli, że zasługują a nie byli dopuszczeni, zostaną skaleczeni na całe życie. Ograniczono miejsca przy stole, aby był większy porządek, by wyeliminować tych co nie potrafią się zachować w salonie i rękawem ocierają wilgotne od narodowego sosu usta. Teraz oni sami wywalczyli sobie miejsca przy stole władzy, ale nadal są purpurowi ze złości za dawną zniewagę. To skaleczenie jest ciągle otwartą raną naszej współczesnej polityki.

Ale to nie wszystko; społeczeństwu nie powiedziano, że to nie będzie szybkie wycięcie wyrostka robaczkowego, lecz trepanacja czaszki, a potem operacja żołądka, a potem kto wie, może nawet serca. Że trwać to będzie nie miesiące, jak zapowiadano, a dziesiątki lat. Prowincji jakby mimochodem zapomniano powiedzieć, że dla naszego rolnictwa byłoby najlepiej gdyby większość chłopów wyparowała razem ze swoimi karłowatymi gospodarstwami, bo powinno u nas pracować na roli kilka procent społe-

czeństwa a grzebie w ziemi powyżej 30%. Nie było i nie jest łatwo wysłowić tę prawdę, bo kto wie czy chłopi nie ruszyliby wtedy do miasta, a wtedy trzeba by dla dobra kraju trochę do nich postrzelać.

I jak tu się przyznać, że imaginacja opozycji przeceniła siły zdychającego sowsocjalizmu i niezwykle łaskawie potraktowano jeśli nie morderców to z pewnością zbrodniarzy kłamstwa i przestępców ekonomicznych. I oni mieli czas by spokojnie palić dokumenty i zacierać ślady swoich przestępstw. A dzisiaj czują się coraz lepiej, z wyrozumiałym współczuciem obserwują jak rzucamy się sobie nawzajem do gardeł, publikują książki gdzie wspominają dawne trudne czasy, za te książki dostają spore pieniądze, chociaż i tak powodzi im się znakomicie, bo przecież nikt nie tknął zagrabionych przez nich legalnie dóbr. Niektórzy szczęśliwcy doświadczyli nawet niezwykłej przygody, bo oto weszli im niespodziewanie do łóżka dawni śmiertelni wrogowie, dzisiaj triumfujący i łaskawi i ogromnie ciekawi figur jakich jeszcze nigdy nie przerabiali. I chorzy na przekonanie, że po takich zasługach i po takim zwycięstwie to oni teraz wyznaczają prawa moralne, że w imieniu społeczeństwa i narodu mają prawo wybaczać dawnym oprawcom a motłoch niech się gapi i uczy.

Można by tak wyliczyć różne błędy i niemożności... widać je po latach coraz wyraźniej, ale wtedy tak ostre widzenie przekraczało siły umysłowe i fizyczne naszej politycznej elity, która była i jest raczej... elitką.

Mamy oto nowy dreszczowiec. Sejm w wielkim gwałcie uchwalił, że Wielki Urząd ma ujawnić osoby, które w latach 1945–1990 współpracowały z UB i SB. Ujawnianie judaszów ma być czynione etapami, najpierw ujawni się ich wśród urzędników państwowych od wojewody wzwyż, następnie schodzimy w dół po czyśćcowej drabinie poprzez sędziów do członków zarządu gmin. Bagatelka, pewnie kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Posiedzenie parlamentu było niezwykle burzliwe, znajomy, który znalazł się w oku cyklonu, twierdzi, że gdyby nie był łysawy to z pewnością by wyłysiał. Zaś poseł Małachowski tak o tym zdarzeniu pisał pod tytułem „Kierunek totalizm"; „Kiedy opadła wrzawa, jakże boleśnie przypominająca najgorsze czasy rozbuchanych sejmików szlacheckich kiedy dobro Rzeczypospolitej było wdeptywane w brud bezprawia, co tak się tragicznie skończyło dla naszej ojczyzny..." Oj zawstydza mnie Pan, panie pośle, lamentuje pan już głośniej ode mnie. I doprawdy coraz bliżej Małachowskiemu do Reytana.

Wspomnienia, wspomnienia... Wysiadam z pociągu na bydgoskim dworcu, jest kwiecień 1981 roku. Dworzec oblepiony plakatami „Nigdy więcej nie chcemy wołać 'kobiety do środka'". Ten czas jeszcze gorący po ataku milicji na obradujących w budynku WRN. Niedawny strajk generalny zamienił fabryki w twierdze. Ten orzech był wtedy nie do zgryzienia dla władzy, ale my nie wiedzieliśmy, że tracimy siłę, która będzie potrzebna w grudniu. Mijam gmach gdzie obradują strajkujący chłopi, uderza mnie jędrność i trafność tej chłopskiej mowy, która płynie na plac przez megafony.

Sala w bydgoskim MKZecie wypełniona po brzegi przedstawicielami fabryk i urzędów z całego województwa. Kiedy wpuszczono mnie bez żadnej kontroli, myślałem, tak blisko u nas od wielkiej ufności do wielkiej podejrzliwości. Gorąca dyskusja, czy należy odwołać w regionie pogotowie strajkowe. Jako pierwsi oglądamy wykradziony z telewizji film kręcony podczas najścia WRNu przez milicję. Porusza mnie ten obraz, ale nie potrafię nie dostrzec w nim skrawków groteski — patetycznie przemawiający Rulewski i naprzeciw sztywny jak manekin oficer MO. Obaj prości i wyraźni jak postacie z szopki. Nagle na salę gdzie odbywa się ta przejmująca projekcja wchodzi jakiś mężczyzna z teczuszką, wygląda na osobnika, który szedł mimo i nagle ujrzał, że dają coś ciekawego w telewizji.

— A pan to kim jesteś! — krzyknął niespodziewanie ktoś z sali.

— Ja tu przypadkiem — wystękał spłoszony jegomość i mocniej przycisnął teczkę do brzucha.

— Dowód osobisty!

— Ja, dowód, a to dlaczego...?

No i zaczęło się, Ubek, ubek! — zaryczała jednym głosem sala. Wzięto człowieka pod ramiona i won z sali. W tym czasie na ekranie milicjanci bili pałkami starego rolnika Bartoszcze.

Oj poczułem wtedy jakieś ukłucie w sercu. Jakby szept, który się wwiercał w ten delikatny mięsień — „blisko ofiarom do oprawców".

Nieco później, gdy nasz świat stanął na głowie, w miejscu starannie zamkniętym gdzie prawdziwą rozrywką było obserwowanie przez okratowane okna gawronów, jeden z bohaterów bydgoskiego dramatu szeptał mi na uszko, że: „tak naprawdę to Rulewskiego słabo pobito, potem tylko do fotografii wyjął sztuczną szczękę, a ten budynek WRN wbrew późniejszym zapewnieniom jednak chciano okupować..." i znowu mnie zakłuło. Nie mówmy więc, że nie było od początku znaków, ale wtedy zdawały się tylko skrzypieniem gałęzi w czasie nawałnicy.

Czym dzisiaj jest „wielkie ujawnianie", na ile jest pracą moralną, na ile grą polityczną, a może to ostatnia deska ratunku tonącego rządu? A myślałem, że premier Olszewski potrafi pójść

godnie na dno. Doprawdy nie mogłem uwierzyć, że aż tak uwierzył, że konkurenci chcą zguby kraju, więc on musi... do końca...

A najgorsze, że ta sprawa ujawniania nie jest wcale jednoznaczna i prosta, uprościł ją sposób i forma wcielania jej w życie. Nieujawnianie agentów jest rzeczą fatalną, ale ujawnianie tak po czasie, niechlujnie, bez możliwości obrony, weryfikacji, tak szeroko, w ogniu wielkich konfliktów, to nie tylko wielkie trzęsienie sumień, otwieranie zabliźnionych ran ale i samobójstw, ileż śmierci za życia. I ta wielka gorycz zemsty, bo zemsta jest zawsze gorzka. Czy udźwigniemy tyle goryczy. Ale we mnie też siedzi diablik, który zaciera kosmate rączki — kto, kto, kto? A może ja!! dreszcz nagłego przerażenia, a jak dawni prześladowcy sfabrykowali złośliwie? O, nikt już nie będzie spał spokojnie. Jak długo komunizm będzie mścił się zza grobu? I przecież już od dawna trwa wyciekanie „pewnych nazwisk" spod dłoni kolejnych ministrów, ciekną od samego początku powtarzane w wielkiej dyskrecji od ucha do ucha.

— A minister Skubiszewski jest (...)! wrzasnął nagle Krzyś Wyszkowski, biedak nie wytrzymał. Czy ma jakieś dowody? Po co dowody, skoro ma pewność. A więc już się zaczęło. Będzie pomieszanie prawdziwego czyśćca z maglem. Jaka pokraka z tego się narodzi, strach myśleć.

Ledwie napisałem a już się rodzi, ja niestety tekst już wkładam w pysk maszyny telefaksu, ale kątem oka jeszcze widzę ten poród. Posłowie dostają teczki z nazwiskami agentów, na razie nikt nie popełnia samobójstwa. Moczulski krzyczy, że jest na liście, ale to oszczerstwo (aż się tu prosi przysłowie — kto mieczem wojuje...). Kto następny?... niestety maszyna już ciągnie za nogi czternastą stronę... słyszę tylko krzyk prezydenta — teczki są sfingowane. (Czyżby tam był ktoś mu bliski? Nagła słodycz podejrzeń... kusi dzwonić do znajomych, pytać, obrzydzenie własną słabością.) I krzyczy — rząd do dymisji! I padł. „Wolnym niepodległym państwem nie mogą rządzić ludzie zniewoleni własną przeszłością" — mówi upadły Premier. Na Boga, kogo miał na myśli?... Przykładam ucho do słuchawki telefonicznej i już jest Plotka i rośnie, że... strach pisać. I słyszę rozedrgany głos Kuronia... „posłowie Unii nie otworzą tych teczek na znak protestu... to gra polityczna, która zmierza do rozbicia państwa...".

Lecąc samolotem nad Polską, jeszcze nie rozbitą, a tylko zalaną słońcem, ujrzałem nagle w dole półwysep i zatokę jak na wielkiej mapie. A więc dawne mapy jednak nie kłamały. Tak wygląda helski półwysep z lotu stalowego ptaka. Tyle miesięcy tam spędziłem w dzieciństwie patrząc z falujących złotem plaż

czy nie dostrzegę tamtego brzegu, i czegoś co wydawało się, że ma kształt wolności. Ale wystarczyło wtedy obejrzeć się przez ramię by ujrzeć stalowe wieże rozsiane co kilkaset metrów, gdzie nieustannie obracały się czułki radarów, a ludzie w mundurach gapili się to w morze, to na kobiece plecy i ich okolice, które dzisiaj są o co najmniej 30 lat starsze. To straszne!

Patrzę teraz z tej wielkiej wysokości... tam gdzie jest najwęższa talia muszą być Chałupy, dalej Kuźnice... wszystko jak na dłoni, widać lśniące pasmo szosy i biel plaż. Zapach smażonych ryb, wodorostów, sieci rozwieszonych na wietrze, jej włosów. I krzyk radości mojego małego synka, gdy po raz pierwszy polizała go fala. I nagle ogarnia mnie jakieś wielkie wzruszenie i czułość gdy patrzę w dół w stronę tego ojczystego wyrostka.

5 czerwiec

SMECZ

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Ile, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Sąsiedzi

Od Belwederu do Kamieńca Podolskiego

18 maja na trasie od Okęcia do Belwederu załopotały wiązanki biało-czerwonych i żółto-niebieskich chorągiewek. Zbliżała się chwila podpisania traktatu między Polską i Ukrainą. Po raz pierwszy wprowadzono nowy ceremoniał powitania zagranicznych mężów stanu: przeniesiono go z płyty lotniska na dziedziniec Belwederu. Premiera owego protokołu przypadła w udziale prezydentowi Ukrainy. Zanim Leonid Krawczuk wyszedł razem z Lechem Wałęsą na dziedziniec, na frontonie, po obu stronach kolumnowego wejścia, ustawiły się delegacje złożone z kilku ministrów i współpracowników obydwu prezydentów. Wzdłuż dziedzińca po lewej stronie stanęły oddziały honorowej kompanii wojska, a po prawej korpus dyplomatyczny. Po raz pierwszy w historii tego pałacu orkiestra wojskowa zaintonowała hymn: „Szcze ne wmerła Ukraina", a zaraz potem „Jeszcze Polska nie zginęła". Słowa-symbole nieomalże identyczne.

Przed Belwederem nie ma tłumów. Zebrała się tylko grupa Ukraińców ze sztandarami i transparentami. Żadna organizacja polska nie zdobyła się na publiczną manifestację. Na ulicach, w prasie i w radio obojętność. Ani tak, ani siak. Nikt nie wyraża entuzjazmu i nikt nie protestuje. W gazetach więcej wiadomości o zaproszeniu Wałęsy do Moskwy niż o przyjeździe Krawczuka do Warszawy. Po podpisaniu umowy sytuacja się zmieni. Ale przy tej okazji wystąpią wyraźne różnice w ocenie stosunków polsko-ukraińskich. Za wszechstronną współpracą opowiedzą się trzy dzienniki: *Rzeczpospolita, Życie Warszawy* i *Gazeta Wyborcza*, wykrętne stanowisko zajmie postkomunistyczna *Trybuna*, chłodno przyjmie traktat tygodnik *Polityka* oraz pismo *Nowa Europa*, podobnej pseudoliberalnej orientacji, z takimi samymi nostalgicznymi tęsknotami za panią-matką Moskwą. Wyraźnie zdystansuje się paxowskie *Słowo Powszechne*, a nacjonalistyczny *Nowy Świat* sprawę przemilczy. Wieczorem, po podpisaniu traktatu, współpracownik *Polityki*, Mroziewicz, zamiast rzeczowej rozmowy o treści i znaczeniu układu — w rozmowie z autorem tej relacji przed ekranem polskiej telewizji będzie podgryzał łydki partnera, wykazując przy okazji brak podstawowych wiadomości o współczesnej polityce zagranicznej Ukrainy. Dla zaokrąglenia obrazu jeszcze jeden szczegół: kontaktów i rozmów i ukraińskimi politykami podczas ich pobytu w Warszawie szukali tylko działacze KPN z Moczulskim na czele. W nocnych rodaków rozmowach w rezydencji delegacji ukraińskiej długo rozmyślano o przyczynach takiej postawy. Czyżby taka obstrukcja wynikała tylko z polskiego wewnętrznego rozgardiaszu? A może za tym kryją się znane polskie zachodnie ciągotki i chęć stworzenia nowego „przedmurza", tym razem na Bugu i Sanie? Krawczuk i jego minister Spraw Zagranicznych, Złenko, nie odważyli się w rozmowach warszawskich wyłożyć kawy na ławę. Zastanawiające, że nikt z redaktorów pism polskich nie zdobył się na inicjatywę szukania możliwości dla poufnych rozmów z gośćmi z Kijowa i Lwowa (w otoczeniu Krawczuka był też jego lwowski delegat, Dawymuka).

Stojąc za plecami prezydenta Ukrainy podczas aktu podpisywania w Belwederze i patrząc mimochodem na jego *vis-à-vis* — prezydenta Wałęsę — przyszła mi do głowy myśl, która od tej chwili długo jeszcze mnie nad Wisłą intrygowała: czy ci dwaj panowie zdają sobie sprawę z historycznej doniosłości podpisywanego traktatu, czy zdolni są choćby na chwilę wspomnieć swoich wielkich prekursorów, Piłsudskiego i Petlurę? Pytając siebie i przyjaciół, doszedłem do niewesołych rezultatów. Ci nasi prezydenci to jednak inny wymiar, brakło im przy tym historycznym akcie słów na miarę wydarzenia. Gospodarze nie nadali temu aktowi odpowiedniej oprawy. Wszystko odbyło się bardzo skrupulatnie i sprawnie, a jednocześnie bardzo biurokratycznie. Traktat nie stał się zapłonem do akcji zdobywania serc i umysłów dla nowego partnerstwa. Odczuwało się raczej pewien pośpiech w myśl zasady, żeby wreszcie to „mieć z głowy". Nie ruszyło się też żadne pióro dla rozwinięcia idei współpracy. Tylko Adam Michnik zabłysnął na chwilę historycznymi metaforami, ale i z tej rakiety nie zapłonął ogień entuzjazmu. Wnet nastąpił powrót do normy, czego wyrazem był grzeczny, ale bardzo wymowny w swym sceptycyzmie komentarz w *Tygodniku Powszechnym*.

Słowem brakło temu majowemu wydarzeniu godnego podniesienia nastrojów, wpisania traktatu w pasmo nowych dziejów, zaczerpnięcia długiego oddechu i nakreślenia potrzebnej na dziś i na jutro perspektywy historycznej. Może tak być musiało, bo któż z żyjących aktywnych polityków polskich jest w stanie wykrzesać z siebie tyle charyzmy, twórczej fantazji i talentu na miarę męża stanu, jakiego potrzebowałaby idea nowego przymierza pomiędzy Warszawą a Kijowem? I tak wielki akt utonął w zgiełku polskich przepychanek. Niedobrze się też stało, że podpisanie układu z Ukrainą zbiegło się z podobną uroczystością w Moskwie. Rozu-

miem rosyjskich polityków, którzy postanowili na skalę swych możliwości utrącić choćby część efektu uroczystości paktu polsko-ukraińskiego. Ale czyż politycy polscy nie dostrzegli tej kabały moskiewskiej, czy też może byli radzi z błyskawicznej reakcji Jelcyna na wiadomość o przyjeździe Krawczuka nad Wisłę i dlatego nie ociągając się, z miejsca ruszyli do Moskwy? To zaś ostudziło wnet radosne nastroje propolskie w Kijowie. Tylko Krawczuk uparcie trzyma się wytyczonej linii i oświadcza: „Polska to nasz sąsiad. Polska to państwo europejskie. Polska wreszcie, wcześniej niż Ukraina, zaczęła sobie torować drogę do rynku. Polska też wcześniej niż my zaczęła nawiązywać kontakty z europejskimi strukturami, a będąc również europejskim państwem, pragniemy ze swej strony zadzierzgnięcia integracyjnych związków z tymi strukturami. Doświadczenia Polski są dla nas cenne i skorzystamy z nich. Ale Polska i Ukraina razem to prawie sto milionów ludzi. Jest to ogromny potencjał nie tylko ludnościowy ale i ekonomiczny, naukowo-techniczny, surowcowy. Jest to również duży wspólny rynek. Polska i Ukraina mają wiele wspólnych elementów w historii. Wreszcie, a to też bardzo ważne, na terytorium naszych państw mieszkają liczne mniejszości narodowe, polska na Ukrainie i ukraińska w Polsce. Musimy zrobić wszystko, co leży w naszej mocy, aby im zagwarantować równouprawnienie i dać takie same szanse na rozwój. Chodzi nie tylko o gwarancje praw politycznych, ale i majątkowych. Należy też tym członkom mniejszości, którzy zostali przemocą deportowani, zagwarantować powrót na swe ziemie.

Generalnie rzecz biorąc winniśmy dążyć do wspólnych akcji i to nie tylko w dziele współpracy europejskiej, ale w ogóle we wszystkich sferach polityki światowej. Chodzi o koordynację naszych kroków zarówno w polityce jak i w gospodarce".

Traktat podpisany w Warszawie 18 maja stanowi dobry i rozległy fundament pod taką współpracę. Został starannie i mądrze sformułowany. Pod tym względem jest chyba lepszym układem niż podobne układy, które Polska zawarła najpierw z Niemcami, a potem z Rosją. Ale wiadomo, że nawet najlepsze traktaty zostaną martwą literą, jeśli politycy i społeczeństwa nie tchną w nie konkretnego życia. Układ warszawski potrzebuje żywej tkanki politycznego i ekonomicznego konkretu. Zwolennicy sojuszu polsko-ukraińskiego winni się wziąć za ręce — jak to powiedział Dymytro Pawłyczko na łamach *Kultury* i Jacek Kuroń podczas 5-tego Tygodnia Kultury Ukraińskiej 6 maja w Lublinie — aby nie zmarnować wyjątkowej szansy, którą nam dały współczesne dzieje.

Byłoby przesadą, gdybym usiłował twierdzić, że na Ukrainie sprawa wygląda lepiej. Tam jest więcej dobrej woli i szeroka gotowość do współpracy, ale brakuje fachowców, zaangażowanych polityków, którzy by sprawę współpracy a potem nawet sojuszu z Polską, traktowali jako swoją udzielną działkę, jako polityczne *credo*, jako codzienną żmudną pracę. Bez takiej orki na ugorze nic się nie urodzi, chyba tylko jakieś chuderlawe plony. Wydaje mi się, że

trzeba będzie utworzyć coś w rodzaju — jak powiedział Jacek Kuroń w Lublinie — „wspólnej mafii...". Tylko powstanie zespołów gotowych do stałej, ograniczonej pracy w pokonywaniu powszechnej opieszałości i niewiedzy, w budowaniu mostów nad rumowiskiem uprzedzeń i resentymentów, może napełnić prawne ramy układu warszawskiego prawdziwym, żywym życiem.

Mimo zastoju wśród elit politycznych są jednak wyjątki i to zarówno w środkach przekazu jak w nauce i sztuce. Po stronie polskiej największe zasługi mają takie pisma jak *Znak* i *Więź*. Szczególne miejsce zajmują czasopisma wyspecjalizowane w tematyce wschodniej, *Obóz* i *Przegląd Wschodni*. Na Ukrainie tematykę polską poruszają głównie *Weswit, Dzwin* i *Suczasnist'*, która się przeniosła z emigracji do Kijowa. W prasie codziennej po obydwu stronach dotychczas nie było stałych korespondentów. Teraz sprawa ruszyła. Szkoda tylko, że upadło pismo *Obserwator Codzienny*, które podczas krótkiego żywota postawiło najlepiej systematyczną informację z Ukrainy. Powoli, ale widocznie, poprawia się sytuacja w prasie kijowskiej i lwowskiej. Brakuje jednak takich pism jak ongiś *Widnowa* na Zachodzie i *Zustriczi* w Warszawie.

Przejaśnia się na horyzontach nauki. Ożywiła się działalność Polskiego Towarzystwa Ukrainoznawczego. Podjęło systematyczną pracę Studium Spraw Narodowościowych na Uniwersytecie Warszawskim. Rozwija pożyteczne inicjatywy Ośrodek Naukowy pod kierownictwem Jerzego Kłoczowskiego w Lublinie. Wtóruje im Ukraińska Asocjacja Ukrainoznawcza pod kierunkiem Iwana Dziuby w Kijowie i Centrum we Lwowie pod egidą Jarosława Isajewycza.

Właśnie dzięki tym instytucjom pierwszą poważną i pożyteczną imprezą po podpisaniu traktatu warszawskiego stały się dwie konferencje urządzone w Kamieńcu Podolskim, jakby stworzonym przez wspólną historię do tego rodzaju spotkań.

Pierwsze sympozjum toczyło się w gronie intelektualistów z czterech krajów: Białorusi, Litwy, Polski i Ukrainy. Dotyczyło takich spraw jak zagadnienia wzajemnych stosunków kulturalnych i szans na intergrację procesów odrodzenia narodowego, powstawania społeczeństwa obywatelskiego i, co szczególnie ważne — porównywania podręczników szkolnych z dziedziny historii, geografii i literatury.

Bezpośrednio po tych naradach zaczęła się druga — tym razem już bilateralna — konferencja: „Polska-Ukraina: spuścizna historyczna i społeczna świadomość". Spotkanie to było jakby kontynuacją dzieła podjętego w 70-tych latach na konferencjach emigracyjnych w Kanadzie i w Niemczech. Zgromadziło uczonych zarówno z Polski jak też z Ukrainy i zza granicy, głównie z Kanady, Stanów Zjednoczonych, Francji i Niemiec. Atmosfera Kamieńca Podolskiego i pobliskiego Chocimia wywarła pozytywne piętno na dialogu. Ważne też, że w dysputach o naszych wspólnych, raz tragicznych, raz harmonijnych dziejach wzięli po raz pierwszy udział w tak licznym

gronie naukowcy nie tylko z metropolii, ale także z ośrodków regionalnych, jak Wrocław czy Białystok i Lublin albo Czerniowce, Winnica, Dniepropetrowsk, Czernihów, Płoskórów Chmielnicki, no i oczywiście Kamieniec Podolski.

Właśnie w Kamieńcu stała się bliższa realizacji idea stworzenia wspólnej komisji podręcznikowej, podobnej do powstałej przed dwudziestu laty komisji polsko-niemieckiej. Tam też, na ziemi podolskiej, uczestnicy, przede wszystkim ci z Ukrainy, którzy byli odcięci od rzetelnych informacji, dowiedzieli się w ramach specjalnego wykładu o historycznej roli paryskiej *Kultury* i jej Redaktora w podjęciu na nowo współpracy polsko-ukraińskiej, opartej na nowych realiach geopolitycznych i zwróconej ku przyszłości. A Władysław Serczyk zakończył swą syntezę o zmiennych dziejach pt. „Polska-Ukraina — dziewięć wieków nieporozumienia?" słowami:

„Dzisiaj stosunki sąsiedzkie możemy kształtować inaczej: świadomie, nie dając się powodować przez innych, bowiem znowu obydwa państwa, jak przed wiekami Polska i Ruś Kijowska, znalazły się w podobnej sytuacji i korzystają z równych praw działających samodzielnie podmiotów politycznych. Powinny zdawać sobie sprawę z tego obydwie strony: polska i ukraińska, a także Polacy na Ukrainie oraz Ukraińcy w Polsce".

Spotkanie w Kamieńcu włożyło małą, ale ważną cegiełkę w nasze wspólne dzieło. Niestety organizatorzy zaniedbali sprawę obecności dziennikarzy. A przecież z uwagi na ogromne zaległości i w obliczu wielorakości zadań, a zwłaszcza z obowiązku zwalczania wciąż jeszcze grasujących w naszych społeczeństwach upiorów przeszłości, nie powinniśmy i nie śmiemy zamykać się na rekolekcjach dla wtajemniczonych. Czy chcemy, czy nie chcemy, ale musimy iść w tłum. Tym, którzy tego nie umieją, muszą pomagać ci, którzy to potrafią. Gra jest otwarta i warta stawki.

Lublin-Warszawa-Kijów-Kamieniec Podolski
15 maja — 12 czerwca 1992

Bohdan OSADCZUK

Notatki z Rosji

Redaktor *Kultury* poparł swoje argumenty listami Czytelników i przekonał mnie. Zdejmuję z łamów *Kultury* przymiotnik „sowiecki". Zmieniam tytuł felietonu. Jak mawiał Ostap Bender, życie dyktuje swoje prawa. Jeżeli wszyscy chcą zapomnieć o słowie, które budzi w nich tak straszne skojarzenia, nie będę się opierał, chociaż byłoby o czym podyskutować. Moim zdaniem „sowietyzm" bynajmniej jeszcze

nie zniknął. Trwa w obyczajach, w polityce, wreszcie w systemie gospodarczym. W 1929 roku wszedł na ekrany kin sowieckich film Friedricha Ermlera pt. „Relikt imperium". Film cieszył się dużym powodzeniem. Przedstawiał dzieje petersburskiego robotnika, żołnierza pierwszej wojny światowej, który wskutek rany stracił pamięć. Opuścił rzeczywistość w roku 1916, a wrócił do niej w roku 1929. Ocknąwszy się, spaceruje po mieście: wszystko wydaje się takie samo, domy, kanały, a jednak wszystko się zmieniło. Miasto nie jest Piotrogrodem, tylko Leningradem, fabryką nie rządzi właściciel-kapitalista tylko komitet fabryczny itd. Nawet żona jest nie do poznania. Mało, że znalazła sobie innego męża (to zdarzało się i w kapitalizmie), ale została działaczką, tzw. wyzwoloną kobietą. Od rewolucji upłynęło wszystkiego dwanaście lat, ale zbudowano nowy świat, w którym bohater filmu czuł się jak „relikt imperium".

Od czasów tamtego filmu upłynęło ponad sześćdziesiąt lat. Znowu — jak w 1917 roku — upadło imperium. Znowu wszystko się zmieniło. Czy naprawdę wszystko? Co się zmieniło, a co nie? Zadaję sobie to pytanie w obliczu ostatnich wydarzeń. Jak rzeczywistość na nie odpowie? Na przykład KGB. Jak wiadomo, przestało istnieć, a przecież istnieje. Przede wszystkim żyje w pamięci ludzi. Co krok pojawiają się sensacyjne informacje, które podnoszą nakłady gazet. Na przykład w gazecie *Ściśle tajne* nr 4, 1992, widnieje relacja emerytowanego pułkownika KGB Borysa Iwanowa (pseudonim) o zamachu na Aleksandra Sołżenicyna, dokonanym w 1971 roku. Pułkownik przyszedł do redakcji i chcąc się oczyścić z grzechu, opowiedział, jak w Rostowie, gdzie wówczas służył, pomagał moskiewskim kolegom zabić pisarza. Jeden z rycerzy „tarczy i miecza" znienacka podszedł na ulicy do ofiary i strzelił jej w bok jakąś trucizną. Mniej więcej w tym samym czasie tak właśnie zabijano bułgarskich dziennikarzy (jeden umarł, drugi wyżył). Aleksander Sołżenicyn odchorował swoje, ale przeżył i opisał w książce „Bodło ciele dąb", jak znienacka zachorował w Rostowie, jak ni z tego ni z owego spuchł mu cały bok, jak go długo leczono. Nie podejrzewał, że to był wynik zamachu na jego życie. Teraz dowiedział się tego wraz z czytelnikami.

Spowiedź „B. Iwanowa" jest bardzo typowym przykładem techniki demaskowania działalności KGB. Na ogół podejmują się tego byli jego współpracownicy, którzy się kajają. Akt skruchy to niewątpliwie piękny gest, ale... zawsze opowiadają rzeczy, które i tak są już wiadome, o których pisano na Zachodzie. Nigdy nie mówią całej prawdy („Borys Iwanow" nie wymienia np. nazwisk swych kolegów-morderców). Zawsze winą obarczają przełożonych (Berię, Andropowa), których przesłuchać może dziś tylko Pan Bóg.

Można by powiedzieć, że to już historia, cieszmy się, że KGB przestało istnieć. Ale coraz częściej mówi się o rosyjskiej służbie bezpieczeństwa — Ministerstwie Bezpieczeństwa Rosji (MBR). Uchwalono ustawę o „działaniach operacyjno-śledczych", która daje nowym stróżom porządku ogromne możliwości. Opracowano projekt

reorganizacji „piątego departamentu" Bezpieczeństwa. Cieszący się ponurą sławą „departament V" KGB zajmował się wrogami ideologicznymi (dysydentami i im podobnymi).

Wszystko się zmieniło, oznajmił wiceminister bezpieczeństwa, KGB już nie ma. Komunikat ten ogłoszono na konferencji prasowej dla miejscowej i zagranicznej prasy. Fakt ten sam w sobie świadczy o zmianach. Mowa jednak była o sprawach dobrze znanych, przede wszystkim o ustawie nt. działań operacyjno-śledczych. Sens jej polega na tym, że teraz praca Bezpieczeństwa będzie zgodna z prawem. Konkretnie ustawa pozwala werbować agentów i korzystać z ich usług. Kiedyś agenci nazywali się *seksotami (sekretnyje sotrudniki)* — teraz będą się nazywać „tajnymi pomocnikami". Ustawa co więcej przewiduje, że można z nimi spisywać umowy (dawniej wymagano podpisu, że zgadzają się pracować dla „organów"). Dziennikarze pytali wiceministra, ilu agentów zatrudnia obecnie MBR. Wiceminister nie miał pod ręką danych, ale zapewnił, że jest ich pięć razy mniej niż w latach pięćdziesiątych. Ilu ich wtedy było, nikt nie wie. Niewątpliwie nowymi wydają się patroni, których sobie obrało nowe MBR. Po pierwsze agentów, o których wspomina Stary i Nowy Testament, po drugie Siergieja Zubatowa, słynnego szefa moskiewskiej ochrany, znanego mistrza prowokacji. Podczas konferencji prasowej zacytowano wskazówki Zubatowa dla policjantów, którzy pracowali z *seksotami*: agenta trzeba traktować jak sekretną kochankę, imię jego kryć nawet przed zwierzchnikami, chuchać na niego i dmuchać. Odnoszę wrażenie, że pod wezwaniem Biblii i Zubatowa MBR będzie pracowało jeszcze lepiej niż pod okiem Feliksa Dzierżyńskiego.

Od „organów" myśl sama prowadzi do partii komunistycznej. Tak jak były związane za życia, tak ręka w rękę przechodzą w zaświaty. 26 maja zebrał się w Moskwie Trybunał Konstytucyjny Rosji, aby rozpatrzyć dwie skargi. Pierwszą złożyło 36-ciu deputowanych ludowych, którzy domagają się, aby uchwałę Jelcyna o delegalizacji partii komunistycznej, konfiskacie jej mienia i zakazie działalności uznać za niezgodną z prawem. Drugą skargę złożył deputowany Rumiancew, który żąda, aby uznać KPZS za organizację przestępczą. Trybunał postanowił przyjąć skargi, ale odłożyć ich rozpatrzenie do lipca.

Rosyjska prasa, która cieszy się prawie zupełną swobodą, podzieliła się na dwa obozy. Przede wszystkim różne są zdania co do charakteru partii. Ekspert Trybunału Konstytucyjnego B. Pugaczow w wywiadzie dla *Izwiestii* kategorycznie oświadczył, że „KPZS nie była partią, tylko przestępczą strukturą państwową". Ponieważ nie mam najmniejszej wątpliwości co do przestępczego charakteru działalności komunistów, czytałem wywiad z rosnącym zdziwieniem. Absolutna ignorancja prawnicza „eksperta" nasuwała mi ponure myśli. Co znaczy termin „przestępcza struktura państwowa"? Przypominam, że partia hitlerowska została uznana za „organizację przestępczą". „Ekspert" twierdzi, że „do czasów Breżniewa status

KPZS nie był w ogóle zdefiniowany żadnym aktem prawnym, dopóki nie pojawił się w Konstytucji ZSRR artykuł 6-ty, który nazwał partię kierowniczą siłą społeczeństwa sowieckiego". To nieprawda. Już konstytucja z 1936 r. w artykule 136 nazywała partię „kierowniczą (itd.) siłą".

Byli komuniści (nawiasem mówiąc zarejestrowano w Rosji nie mniej niż pół tuzina partii, w których nazwie widnieje przymiotnik „komunistyczna") powołują się na to, że decyzje Jelcyna nie miały żadnych podstaw prawnych i stroją się w togi niezłomnych obrońców prawa.

Jeśli abstrahować od kruczków prawnych i przyjrzeć się meritum sporu, nasuwa się wniosek, że oglądamy wyreżyserowane przedstawienie. Posłużę się jedyną analogią: NSDAP została uznana za organizację przestępczą przez zwycięskich aliantów, okupantów powalonych Niemiec. Trybunał Norymberski domagał się „denazyfikacji". Przeprowadziły ją — mniejsza o to, jak — wojska okupacyjne z pomocą tubylców. Kto będzie przeprowadzał „dekomunizację" Rosji? Kto będzie sędzią? KPZS liczyła do początku *pieriestrojki* 20 milionów członków. Razem z rodzinami krąg komunistów liczył nie mniej niż 60 milionów ludzi, i to najenergiczniejszych, najbardziej rzutkich, żądnych władzy — elitę narodu. Oni właśnie rządzą dziś krajem, tak jak rządzili nim wczoraj. Przyjmijmy, że rzeczywiście zmienili poglądy. Ale czy gotowi będą sami siebie sądzić? Cytowałem przed chwilą „eksperta" Pugaczowa. Gazeta pisze o nim, że jest doktorem filozofii. Można być stuprocentowo pewnym, że wykładał coś w rodzaju „komunizmu naukowego" i rzecz jasna należał do KPZS. Fiodor Dostojewski stwierdził co prawda, że jeśli Boga nie ma, to wszystko wolno, ale przecież dziś wszyscy twierdzą (nawet chłopcy z KGB), że Bóg jest.

Moim zdaniem istnieją dwie możliwości. Albo będzie się bez końca odwlekać decyzję Trybunału Konstytucyjnego, albo Trybunał uchwali, że partia wprawdzie była organizacją przestępczą, ale jej członkowie (poza Leninem, Trockim i Stalinem) nie mieli z tym nic wspólnego. Innymi słowy, skończy się na przedstawieniu.

Druga kwestia — prawne podstawy ukazów Jelcyna — jest całkiem konkretna. Chodzi o majątek partii. Jeśli uchwała była bezprawna, to spadkobiercom KPZS należy oddać kolosalne bogactwa. Nie wiadomo wprawdzie jeszcze dokładnie, kim są spadkobiercy, ale nikt nie wątpi, że się znajdą. Tymczasem Rosja skonfiskowała już — siłą jelcynowskich ukazów — partyjne pomieszczenia, drukarnie, pozostałe nieruchomości i sumy złożone na rozmaitych kontach. Tu właśnie wchodzimy w najczarowniejszą sferę życia po potopie sowietów: polowania na partyjne pieniądze. Szukają ich wszyscy i wszędzie. Rząd Rosji zwrócił się do amerykańskiego detektywa Krolla, słynnego specjalisty od badania tajnych kont, oraz do włoskiego sędziego Giovanni Falcone. Po zabójstwie sędziego Falcone ukazał się w *Izwiestiach* (27.5) sensacyjny komunikat, że wróg mafii „ostatnimi czasy na prośbę byłego prezydenta

F. Cossigi osobiście zajmował się wyjaśnieniem, w jakich okolicznościach nielegalnie wwieziono do Włoch pieniądze sowieckiej partii komunistycznej". Okazuje się, że pod koniec 1991 r. generalny prokurator Rosji Walentin Stiepniakow spotykał się we Włoszech z sędzią Falcone, który miał przybyć do Moskwy pod koniec maja albo na początku czerwca 1992.

Krótko mówiąc, wszyscy gorączkowo szukają miliardów (ilu, nikt nie wie, ale wszyscy są przekonani, że wielu) za granicą: we Włoszech, w Szwajcarii, na Wyspach Kajmańskich w dalekiej Indonezji. Telewizja rosyjska pokazała 10 maja w programie „Wnioski" „niezależnego dziennikarza" Pawła Woszczanowa, który też szuka. Woszczanow, były sekretarz prasowy Borysa Jelcyna, człowiek, który dobrze zna tajemnice dworu moskiewskiego, zdradził kolejne sekrety. Z zadowoleniem na niego patrzyłem: wielu takich „niezależnych" pojawia się dziś na ekranach telewizji i wszyscy są do siebie podobni: wyglądają jak augurowie. Na ich twarzach, ciężkich od tajemnic niedostępnych zwykłym śmiertelnikom, maluje się lekka pobłażliwość dla niewtajemniczonych, pogarda dla złaknionej igrzysk szarej masy i poczucie siły. „Niezależny dziennikarz" wymachiwał jakimiś papierami, które lekceważąco nazwał „tajnymi dokumentami", i całkiem rozsądnie zwrócił uwagę, że miliardów partii szuka się za granicą, gdy tymczasem główny jej majątek znajduje się pod ręką. Tu zdradził ciekawy szczegół. Głównym zarządcą partyjnych pieniędzy był „niejaki Leszczyński", w swoim czasie wicedyrektor wydziału administracyjnego KPZS. Dziś jest on jednym z głównych współpracowników Jurija Pietrowa, szefa kancelarii prezydenta Rosji, człowieka bardzo bliskiego Jelcynowi. Kiedy Gorbaczow wezwał Jelcyna do Moskwy, Jurij Pietrow zajął jego stanowisko pierwszego sekretarza swierdłowskiego *obkomu* partii. Więc gdzie są „pieniądze partii"?

Dyskusje na temat „organów", partii i pieniędzy, nierozerwalnie ze sobą związanych, były — i są? — esencją życia sowieckiego. Dyskusje na temat Cerkwi też do niego należą. Pod koniec lat 60-tych francuski pisarz Vladimir Volkov, syn rosyjskich emigrantów, napisał i opublikował powieść pod tytułem, który można przetłumaczyć jako „Kapłan i zdrajca". Agent KGB ma zostać popem. Wstępuje do seminarium duchownego, uczy się, donosi, spełnia wszystkie zadania, jakie mu wyznacza kierownictwo, ale w chwili wyświęcenia następuje cud. Agent staje się prawdziwym pasterzem Bożym. Francuscy krytycy przyjęli „fantazje" pisarza z ironią. Niedawno raz jeszcze okazało się, że życie posłusznie bieży za sztuką. Ogłoszono mianowicie znalezione w archiwach KGB dokumenty o kolaboracji hierarchów Cerkwi prawosławnej z „organami". Okazało się, że metropolita wołokołamski Pitirim służył w KGB pod kryptonimem „Abbat", metropolita kijowski Filaret jako „Antonow", metropolita moskiewski Juwenalij jako „Adamant". Patriarcha Aleksy II nosił pseudonim „Drozdow". Niektórzy się przyznali, inni zaprzeczają. Jedni tłumaczą, że musieli kolaborować,

żeby ratować Cerkiew, inni uważają, że duchowni są z definicji bezgrzeszni. Pod naciskiem patriarchy przewodniczący Sądu Najwyższego Rosji, Rusłan Chasbułatow, zgodził się oddać sprawę do zbadania komisji patriarchatu (na razie dokumenty spoczywają w rękach komisji parlamentarnej).

Sprawy Cerkwi nie sprowadzają się oczywiście do skandali. W *Krasnoj zwiezdie*, która sama siebie nazywa „codzienną gazetą sił zbrojnych", ukazała się 15. 5. informacja, na którą należy zwrócić uwagę. Gazeta informuje o wielkich zmianach w uczelni, która niegdyś (do 1991 r.) nazywała się Akademią Wojskowo-Polityczną Armii Sowieckiej. Dziś jest to Humanitarna Akademia Sił Zbrojnych. Całkiem niedawno — co gazeta odnotowuje z zadowoleniem — do programu akademii włączono kurs pt. „Wprowadzenie do prawosławia". Wprowadzać będzie metropolita wołokołamski Pitirim.

Czyż trzeba dodawać, że zmienia się też wojsko? Armia sowiecka przepadła wraz ze Związkiem Sowieckim. Zamiast niej powstały Zjednoczone Siły Zbrojne WNP, złożone z wojsk poszczególnych republik. Do niedawna Borys Jelcyn zapewniał, że stworzenie armii rosyjskiej jest sprawą ostatniego rzędu. Wydaje się, że nadeszła pora. Mianowano ministra obrony, generała Graczewa, który dowodził oddziałami komandosów w czasie sierpniowego „puczu" w 1991 roku i poparł wówczas Jelcyna. Zdaniem specjalistów rdzeniem armii rosyjskiej zostaną oddziały Zachodniego Zgrupowania Wojsk, stacjonującego do niedawna (i częściowo nadal) w Niemczech.

Armia rosyjska potrzebna jest, co z naciskiem podkreśla Moskwa, przede wszystkim do ochrony granic, tzn. do zapewnienia bezpieczeństwa kraju. Dlatego na przykład dowódca Nadbałtyckiego Okręgu Przygranicznego, generał Walentin Gaponienko, uważa, że nie uda się wyprowadzić wojsk z Nadbałtyki w terminie, którego domagają się rządy republik bałtyckich. Najpierw mówiły one o końcu 1992 r., potem o końcu 1993, ale generał Gaponienko uważa, że jego wojska zostaną tam dłużej. W marcu 1992 Nadbałtycki Okręg Przygraniczny przeszedł z rozkazu Borysa Jelcyna pod dowództwo Rosji.

Kwestia sił zbrojnych może przybrać też inny obrót, że się tak wyrażę wewnętrzny. Zwolennicy „przyspieszenia" pełną parą wstecz przemawiają coraz głośniej: chodzi im o takie zmiany, które przywróciłyby stary ład. Najbardziej zaciekłym publicystą, wzywającym Ruś (jak niegdyś Czernyszewski), aby „chwyciła za topory", okazał się niespodziewanie Edward Limonow. Limonow wsławił się (że pozwolę sobie tak to nazwać) powieścią pt. „To ja, Edek", w której barwnie opisał seksualne spotkanie młodych obywateli sowieckich z Zachodem. Potem napisał jeszcze kilka książek o swym stalinowskim dzieciństwie. W sowieckiej prasie pojawił się w ostatnich latach *pieriestrojki*, a dziś jest wiodącym piórem *Sowietskoj Rossiji*, gazety *Dień* i innych publikacji „patriotów". Limonow zgadza się, że „pokojowe demonstracje należy nadal przeprowadzać", ale doda-

je, że „należy jednak stosować i inne metody wpływania na władze". Nie ukrywa, jakie: „Na przykład ciekawe wydają mi się — pisze — najazdy rumuńskich górników na Bukareszt. W kaskach, z kilofami, z żelaznymi drągami, górnicy mogą pomóc zrozumieć chamom, którzy dorwali się do władzy, że nie zamierzamy dalej znosić dokonywanych na nas eksperymentów" (*Sowietskaja Rossija*, 16. 5.). Mało tego: „Doświadczenie Iranu, doświadczenie Bejrutu też może nam się przydać" (j.w.). Czytając zalecenia Edwarda Limonowa, doszedłem do wniosku, że daleko odszedł od Czernyszewskiego. Autor „Co robić" zadowalał się ogólną wskazówką: „Za topory". Limonow udziela konkretnych rad: kilofy, kaski, terror jak w Iranie i Bejrucie. Groźna rzecz pisarze...

11. 6. 1992

Adam KRUCZEK

Kronika niemiecka

SPRAWY GOSPODARCZE I SOCJALNE: W roku 1991 z terenu starych landów RFN na rzecz nowych landów przekazano 170 miliardów marek. Większa część przekazanych środków przeznaczona jest na konsumpcję, tj. głównie na wydatki socjalne, a tylko 1/4 na inwestycje. ■ Rozwój wymiany towarowej między wschodnią i zachodnią częścią Niemiec wykazuje dalszy wzrost przewagi starych landów RFN, których dostawy na teren byłej NRD za marzec br. wzrosły o 94% w porównaniu do analogicznego okresu ub. r., podczas kiedy dostawy z terenu nowych landów zmalały o 13%. ■ Około 2/3 obywateli Niemiec wyraża niezgodę na zastąpienie marki (*Deutsche Mark*) przez walutę EWG (*Ecu*). ■ W urzędach ds. roszczeń majątkowych na terenie byłej NRD zgłosiło się ponad milion byłych właścicieli majątków i nieruchomości. Liczba ich roszczeń zamyka się sumą 2,6 miliona podań o zwrot lub odszkodowanie. Dotychczas rozpatrzono tylko 3,2% zgłoszeń. W tej kwestii obowiązuje zasada: „zwrot przed odszkodowaniem". ■ 16 ton wysoko trujących odpadów produkcyjnych zostało zatrzymanych i odesłanych przez polskich celników, po bezproblemowym minięciu już kontroli celnej po stronie niemieckiej. „Importerem" tych toksycznych odpadów po stronie polskiej miała być warszawska firma PPUH „Mawo", która za przyjęcie przesyłki otrzymać miała 1000 marek. Zneutralizowanie 1 tony tej trucizny kosztuje w Niemczech 7000 marek. Przyniosłoby to firmie niemieckiej oszczędności ponad 100000 marek. ■ Według szacunków Monachijskiego Instytutu Badań Gospodarki (Ifo) z maja br. deficyt w budżecie RFN ma wzrosnąć do końca roku 1995 o 70% do sumy 2,5 biliona marek. ■ Przeciwko szybkiemu wyrównaniu poziomu życia na terenie starych i nowych landów Republiki ze względu na niemożliwość jego sfinansowania wypowiedział się w pierwszej połowie maja br. minister finansów RFN, Theo Waigel. ■ Bilans w handlu zagranicznym RFN za rok 1991 był nadspodziewanie korzystny i wyniósł 21 miliardów marek nadwyżki eksportowej. ■ Ze względów finansowych w RFN rozważa się możliwość rezygnacji Niemiec z udziału w dalszym rozwoju i budowie nowoczesnego samolotu myśliwsko-przechwytującego „Jäger 90". Jako jeden z powodów podaje się jego zbyt wysoką cenę jednostkową, szacowaną na ok. 135 milionów marek. Jako rozwiązanie zastępcze rozważa się możliwość zakupu sowieckiego myśliwca „Mig 29" za dumpingową obecnie cenę 20 milionów marek za sztukę. Kilkadziesiąt tego rodzaju samolotów używanych jest obecnie w lotnictwie RFN jako pozostałość ze stanu byłej armii NRD, NVA. Walory techniczne tych maszyn zostały bardzo wysoko ocenione przez pilotów niemieckich. Inną alternatywą jest francuski myśliwiec „Raphael". ■ Ofiarą planu oszczędnościowego w Niemczech paść ma fundusz przeznaczony na ułatwienie integracji i kursy językowe dla przesiedleńców w wysokości 3,1 miliarda marek rocznie. ■ 30 maja br. oddane zostało do użytku nowe przejście graniczne dla ruchu kolejowego w miejscowości Küstrin-Kietz po stronie niemieckiej, czyli przedmieścia znajdującego się po stronie polskiej miasta Kostrzynia (Küstrin). Według słów premiera Brandenburgii, Manfreda Stolpe, stanowić ma to jeden z pierwszych praktycznych kroków na drodze do utworzenia tzw. „nadodrzańskiego regionu intensywnego rozwoju gospodarczego". W najbliższym czasie planuje się uruchomienie dalszych dróg i połączeń kolejowych na tym terenie, istniejących tu przed II wojną światową. ■ Na terenie starych landów RFN ilość matek samotnie wychowujących swe dzieci wzrosła z 88.000 w roku 1975 do 220.000 w roku 1990. ■ Mimo w miarę liberalnego prawa o usuwaniu ciąży na terenie starych landów RFN w roku 1991 zanotowano spadek tego rodzaju zabiegów o 5%. Jako powód dokonania zabiegu 88% kobiet podało „szczególnie trudną sytuację osobistą". ■ Pierwszym biskupem-kobietą w Niemczech i pierwszą kobietą na świecie w randze biskupa luterańskiego jest 47-letnia Maria Jepsen, wybrana na początku kwietnia na stanowisko biskupa Hamburga. ■ POLITYKA: — Rząd RFN wypowiedział się w marcu przeciw wprowadzeniu prawa o imigracji na podobieństwo USA jako środka zapobiegawczego przeciwko nadużywaniu prawa azylu politycznego. ■ Wzrasta liczba osób nielegalnie przedostających się do Niemiec z Polski i Czechosłowacji. W kwietniu niemieccy wopiści schwytali na granicy z Polską 1256 osób, którym udało się pokonać Odrę. Od stycznia do kwietnia br. liczba ta wynosi 2669 osób. Większość z nich to obywatele Rumunii oraz byłych republik sowieckich. ■ Według słów Heinricha Machowskiego

z Niemieckiego Instytutu Badań Gospodarczych (*Deutsches Institut für Wirtschaftsforschung*) w Rosji panuje „super-chaos". Nie ma tam ponoć ani koncepcji na stosunki gospodarcze z zagranicą ani niezbędnej bazy danych, a korupcja zagrażać ma uzdrowieniu ekonomicznemu. Według jego słów, Rosja nigdy nie będzie krajem europejskim, a rynek gospodarczy i demokracja w sensie zachodnim nie są tam możliwe. ■ Z danych uzyskanych z dokumentów byłej armii NRD wynika, że Układ Warszawski w przypadku konfliktu z Zachodem planował utworzenie drogi do Atlantyku za pomocą 500 bomb atomowych. W NRD przygotowane były już ordery za udział w tej „zwycięskiej batalii". Ponadto zaplanowana była również co do najmniejszego szczegółu inwazja na Berlin zachodni, włącznie z listami osób przeznaczonych do aresztowania, izolacji i internowania. ■ Federalna Służba Wywiadowcza (BND) zmniejsza swój stan osobowy o 10% w związku z likwidacją zagrożenia ze Wschodu. Jednym z najbliższych planów BND ma być nawiązanie współpracy z wywiadami Rosji i Polski w celu zakończenia wzajemnego szpiegowania się. ■ Najwięcej głosów w pierwszych od 1946 roku wyborach do władz gminnych w całym Berlinie zdobyli socjaldemokraci (SPD) — 31,8%, przed chrześcijańską demokracją (CDU) — 27%, partią „Zielonych" — 13,3% oraz partią byłych komunistów wschodnioberlińskich (PDS) — 11,3%. Podobnie jak po niedawnych wyborach w Badenii-Wirtembergii i Szlezwiku-Holsztynie do berlińskich władz komunalnych weszli też przedstawiciele skrajnie prawicowej partii „Republikanów". Do punktów programowych Republikanów należą m.in.: opuszczenie Niemiec przez 50% cudzoziemców w ciągu 5 lat, szybka deportacja w przypadku naruszenia prawa, wprowadzenie wiz dla Polaków, wprowadzenie „obowiązkowego roku pracy na cele socjalne" oraz obowiązku wykonywania pracy zawodowej, zatrudnianie wyłącznie obywateli niemieckich i ułatwione zwalnianie cudzoziemców, skreślenie pomocy socjalnej dla osób, którym odmówiono azylu politycznego oraz dla Polaków, obywateli innych państw wschodnioeuropejskich i osób poniżej 40 lat uchylających się od pracy. ■ Szef Urzędu Ochrony Konstytucji w Hamburgu Ernst Uhrlau oświadczył, że partia DVU (patrz *Kultura*, nr 1-2/92 r.) obserwowana jest aktualnie na terenie całych Niemiec przez służby ochrony konstytucji (*Verfassungsschutz*) jako organizacja skrajnie prawicowa. ■ W maju prezydent policji w Berlinie zakazał urządzenia tzw. warty ostrzegawczej przed siedzibą gminy żydowskiej w Berlinie przez członków radykalnie nacjonalistycznego zjednoczenia wyborców („Die Nationalen"), którzy chcieli w ten sposób demonstrować przeciwko, ich zdaniem, zbyt dużemu wpływowi Żydów na politykę w Niemczech. ■ Na terenie byłej NRD odkryto dalsze groby masowe więźniów niemieckich 10 obozów sowieckich w okupowanej części Niemiec. Utworzono je w roku 45 i zamknięto w roku 1950. Według danych sowieckich więziono w nich ponad 122.000 osób. Spośród nich prawie 43.000 utraciło życie, około 13.000 wywieziono do Rosji. 756 więźniów skazanych zostało na śmierć. ■ Według danych opublikowanych przez autorki filmu dokumentalnego „Be-Freier und Befreite" (Wy-Zwoliciele i wyzwolone" — brzmienie niemieckie zawiera dwa znaczenia: Befreier — wyzwoliciel, Freier — „seksualny klient" kobiety) podczas zdobywania i po zdobyciu terenów Niemiec przez Armię Czerwoną zgwałconych zostało przez Sowietów 1,9 miliona Niemek, w tym 1,4 miliona na terenach należących przed wojną do Niemiec, a 500.000 w późniejszej sowieckiej strefie okupacyjnej Niemiec. Niektóre z ofiar zgwałcone zostały stukrotnie. Szacuje się, że w wyniku tych masowych gwałtów w Niemczech narodziło się 300.000 dzieci. Autorki, Helke Sander i Barbara Johr, podają również przykłady gwałtów i bestialstwa na tle seksualnym ze strony członków armii niemieckiej popełnianych na kobietach okupowanych terenów Europy wschodniej. Przytaczają też liczby udowodnionych gwałtów na Niemkach dokonanych przez Amerykanów (ok. 1198) oraz przez Francuzów (ok. 487). ■ 30% stanu osobowego armii sowieckiej w Niemczech Wschodnich opuściło Niemcy. ■ W miejscowości Karlshorst w byłej NRD 22 oficerów rosyjskich bierze udział w kursach szkolenia zawodowego w dziedzinie gospodarki i marketingu, urządzanych i opłacanych przez władze niemieckie. Aktualnie prowadzi się cały szereg tego rodzaju kursów dla kadry wojsk sowieckich. ■ W roku 1991 aż 150.000 młodych Niemców odmówiło pełnienia służby wojskowej, przedkładając nad to służbę w jednostkach cywilnych. ■ Według słów nowego ministra obrony Niemiec, Volkera Rühe, Niemcy i Bundeswehra nie są przygotowani ani psychicznie ani materiałowo do tego, żeby w ciągu najbliższych 10 lat brać udział w akcjach militarnych z ramienia ONZ. ■ Mimo sprzeciwu ze strony kilku posłów z ramienia bawarskiej CDU parlament niemiecki ratyfikował w maju układy bilateralne z Czechosłowacją i Węgrami. ■ KULTURA: — W tym roku Medal im. Goethego przyznany został przez monachijski Instytut im. Goethego angielskiemu filozofowi Karlowi Popperowi. Oprócz niego medal ten otrzymali w tym roku holenderska pisarka Elisabeth Augustin oraz historyk sztuki z Czechosłowacji Hugo Rokyta. ■ Laureatem niemieckiej Nagrody im. Petrarki za rok 1992 został poeta angielski Michael Hamburger. ■ „W uznaniu zasług dla literatury niemieckiej i osiągnięć jako krytyka" tytuł doktora honorowego Uniwersytetu w Augsburgu otrzymał najbardziej ceniony w Niemczech krytyk literacki Marcel Reich-Ranicki, zwany też „papieżem literatury". Pochodzący z polskiej rodziny żydowskiej Ranicki przyczynił się również do spopularyzowania w Niemczech niektórych pozycji literatury polskiej, m.in. książki „Piękna Pani Seidenmann" Andrzeja Szczypiorskiego. Prowadzone przezeń telewizyjne programy literackie poświęcone poszczególnym pisarzom i ich książkom stanowią najważniejszy tego rodzaju cykl w telewizji niemieckiej. ■ Tegoroczne Międzynarodowe Targi Książki w Lipsku otworzyli wspólnie polski pisarz Andrzej Szczypiorski i były pisarz enerdowski Günter de Bruyn. ■ Pierwszą nagrodę na festiwalu filmowym w mieście Schwerin

otrzymał reżyser Rolf Schübbel za film „Heimweh des Walerjan Wróbel" (Tęsknota Waleriana Wróbla), w którym przedstawił losy 16-letniego polskiego robotnika przymusowego w III Rzeszy. ■ O profesury na uniwersytecie w Cottbus w Niemczech Wschodnich ubiega się ponad 700 kandydatów z terenu starych landów. ■ Z krytyką braku wystarczających subwencji rządowych dla inwestycji wydawnictw niemieckich na terenie krajów byłego bloku wschodniego wystąpili przedstawiciele dwóch dużych wydawnictw niemieckich „Bertelsmann" i „Heinrich Bauer". Jako wzór do naśladowania podali subwencjonowanie przez rząd Francji inwestycji wydawnictw francuskich w Polsce i w Czechosłowacji. ■ W Berlinie powołano do życia grupę doradczą ds. kultury złożoną z cudzoziemców. Ze strony polskiej w skład tego gremium wszedł Witold Kamiński, kierujący założoną przez siebie „Polską Radą Społeczną". ■ Według danych niemieckich około 400 szkół w Polsce szuka partnerskich szkół w Niemczech. Powstałe w ten sposób kontakty mają intensyfikować wymianę młodzieży obu krajów. W roku 1991 w programie wymiany wzięło udział 18.000 uczniów, a na rok bieżący przewiduje się wymianę 22.000 uczniów. Dotychczas istnieje 250 polsko-niemieckich partnerstw między szkołami. ■ W roku 1993 z okazji 30-ej rocznicy podpisania niemiecko-francuskiej umowy o przyjaźni wydany ma zostać przez Niemiecko-Francuską Radę Kultury wspólny podręcznik historii w formie eseistycznej pracy zbiorowej. Ukazać się on ma równolegle w obu językach. ■ Na Uniwersytecie im. Łomonosowa w Moskwie powstać ma centrum niemieckie zajmujące się językiem, literaturą i historią Niemiec. ■ Nakładem wydawnictwa Nicolai-Verlag ukazała się biografia „Ich war Hitlerjunge Salomon" (Hitlerjunge Salomon to ja). Ukazuje ona perypetie żydowskiego chłopca, którego tak tragiczne jak niezwyczajne koleje losu zaprowadziły m.in. w szeregi tej młodzieżowej organizacji hitlerowskiej. Nakręcony przez Agnieszkę Holland w oparciu o tę autentyczną historię film wywołał w Niemczech duży rezonans ze względu na pominięcie go przez niemiecką komisję kwalifikacyjną przy wyznaczaniu kandydatów do nagrody „Oskara". ■ Suhrkamp Verlag wydał eseje o poezji polskiej od roku 1945 autorstwa Karla Dedeciusa pt.: „Poetik der Polen. Frankfurter Vorlesungen" oraz książkę „Lyrisches Quintet. Fünf Themen der polnischen Dichtung" opracowaną przez Karla Dedeciusa. ■ Wśród trzech oficjalnie nominowanych teatrów berlińskich do wzięcia udziału w 29 Spotkaniach Teatralnych w Berlinie znalazł się „Teatr Kreatur" założony i prowadzony przez polskiego artystę Andrzeja Worońca ze sztuką według Izaaka Babla „Koniec domu ubogich". Jest to pierwszy przypadek, aby w tej renomowanej imprezie wziął udział teatr z grupy tzw. *off-theatre*, tj. tzw. teatrów otwartych wspieranych czasami przez subwencje władz kulturalnych.

Berlin 4.6.92

Andrzej STACH

Kronika kulturalna

Pisarze niedocenieni — pisarze przecenieni

ANKIETA „KULTURY"

W dodatku literackim do francuskiego dziennika *Le Figaro* z 16 marca 1992 r. została opublikowana ankieta poświęcona pisarzom współcześnie „przecenianym" (*surévalués*) i „niedocenianym" (*sousévalués*). Autorzy ankiety wyszli z założenia — którego oczywistości trudno nie uznać — że notowania na tzw. giełdzie literackiej stale się zmieniają, a książki i nazwiska, które kiedyś były wydarzeniami i fascynowały czytelników, po pewnym czasie tracą swych wyznawców. Bywa też odwrotnie — książki i autorzy niegdyś nie zauważani stają się obiektem fascynacji dla generacji późniejszych czytelników.

Redaktor Jerzy Giedroyc zaproponował mi przeprowadzenie identycznej ankiety dotyczącej współczesnej literatury polskiej.

Ponieważ czas przeznaczony na odpowiedź był krótki, zwróciłem się tylko do osób mieszkających lub przebywających w Polsce. Czterdziestu trzem osobom, krytykom i historykom literatury, zadałem więc następujące pytanie:

Które z dzieł współczesnej literatury polskiej lub którzy pisarze są Pani/Pana zdaniem niedoceniani — i dlaczego, a którzy przeceniani — i z jakiego powodu?

Otrzymałem dwadzieścia sześć odpowiedzi — w tym jedną anonimową i jedną uzasadniającą, dlaczego pytany nie może wziąć udziału w ankiecie. Ostatecznie więc w ankiecie *Kultury* wypowiadają się dwadzieścia trzy osoby, czyli około 50% indagowanych. Dokładnie takie same proporcje odnotowali organizatorzy ankiety w *Le Figaro*. Może nie jest to dużo, ale w obu an-

kietach frekwencja okazała się wyższa, niż podczas ostatnich wyborów parlamentarnych w Polsce...

Wszystkie odpowiedzi podaję poniżej *in extenso*.

Mój komentarz do tej ankiety dołączam na końcu.

Włodzimierz BOLECKI

HENRYK BEREZA (*Twórczość*, Warszawa)

Pisarze niedoceniani

Jest ich legion, wymienię kilka przykładów:

Jarosław Iwaszkiewicz (zaszczyty nie zastępują zrozumienia wartości, Iwaszkiewicz nadrobił stuletnie zaległości polskiej literatury),

Lepold Buczkowski (wielki poeta losu mężczyzn na wojnie, wojennej zagłady, pisarz co najmniej tak ważny jak Witold Gombrowicz),

Tadeusz Różewicz (pisarz duchowego okaleczenia przez wojnę, wielki artysta o duchowych kulach),

Miron Białoszewski (pisarz i filozof wiarygodności ludzkiego doświadczenia),

Wiesław Myśliwski (pisarz i filozof podstaw kultury i koegzystencji kultur),

Andrzej Łuczeńczyk (pisarski analityk przykazania „Nie zabijaj", drastyczny oskarżyciel moralny),

Ryszard Schubert (medium absolutnego słuchu językowego), diagnosta wewnętrznych przestrzeni w polszczyźnie).

Pisarze przeceniani

Tych musi być siedmiokroć więcej niż niedocenianych, odpustowe imitacje z plastyku grają rolę wielkich ryb literatury, uchodzą za łososie, szczupaki, okonie, do sztucznych karasków nie ma co się dobierać, tego i owego wydmuchanego szczupaka warto wskazać palcem:

Czesław Miłosz (sporadyczny poeta, mierny prozaik, biegły eseista, na Nobla może wystarczyć, na prawdziwą wielkość za mało),

Kazimierz Brandys (beletryzujący publicysta, artysta eleganckich pozorów, literat na potrzeby magazynów kulturalnych),

Tadeusz Konwicki (autor kilku ważnych książek po roku 1956, później konfesje czułych serc męskich dla dusz niewieścich, postsentymentalizm polski),

Marek Nowakowski (świetny nowelista lat sześćdziesiątych, później tytan udawania, że pisze jak dawniej, niestety, tylko na ilość),

Nicościami literackimi skazanymi na wielkość przez stare i nowe reżymy nie warto się zajmować.

JAN BŁOŃSKI (UJ, Kraków)

Pisarze niedoceniani:

Proza polska jest uboga i nie widzę powieściopisarzy, których opinia naprawdę dzisiaj krzywdzi. Może Kaden? Tak myślał Gombrowicz, chociaż Kaden potraktował go kiedyś niezbyt mądrze... Wśród liryków Leśmian, najwybitniejszy polski poeta między Norwidem a Miłoszem. Jakość polskiej poezji wydaje mi się i wysoka i wyrównana, ale czytelnicy też umieli doceniać talenty.

Pisarze przeceniani:

Nałkowska i Dąbrowska, na równi, chociaż Nałkowska ma dzisiaj gorsze notowania. Za bardzo literacka, wysilona... A talent Dąbrowskiej był bardziej pamiętnikarski niż powieściowy. Z tym wszystkim — jeszcze długo będą pamiętane. Wśród nieco młodszych: Andrzejewski i Mackiewicz. Za bardzo — chociaż zupełnie inaczej? — poddani presji polityki. Wreszcie Hłasko, niestety. Zupełnie bez dystansu do siebie samego, a jak pisać dobrą prozę bez dystansu?

Paradoksalnie, w jakiś sposób niedoceniony jest najpopularniejszy polski pisarz, Stanisław Lem, ponieważ najlepsze książki, jakie napisał, cieszą się najmniejszym powodzeniem... Ale to może być dobry znak na przyszłość.

ANNA BOJARSKA (Warszawa)

Niedocenieni:

Pisarze, którzy nie obracali się we właściwym towarzystwie, całkiem po prostu i naprawdę. Należenie do właściwego towarzystwa było jedynym kryterium wielkości przez 45 lat PRL. A jeśli

dodamy do tego (=odejmiemy od normalności) 6 lat okupacji, 20 lat międzywojnia (albo było się w koterii *Wiadomości Literackich* albo było się niczym; Gałczyński przebił się cudem dzięki faszystom i talentowi tak populistycznemu, że podbijał masy, o ile tylko przedarł się przez barierę druku; do tej pory jest w ciągle opiniotwórczych kręgach spadkobierców linii *Wiadomości Literackich* znienawidzony), no i oczywiście zabory — w sumie dwa wieki z górą... Czy ja wiem, kogo przez ten czas zniszczono? Rynek — jeżeli istnieje — działa (z nader rzadkimi wyjątkami) tylko w teraźniejszości; o renomie, a więc i trwaniu dzieła, decydują jednak zawsze „koła opiniotwórcze", „towarzystwo", „nasza sitwa"... Może szalenie popularny swego czasu Michał Czajkowski (Sadyk Pasza, muzułmanin i zdrajca) był pisarzem większym od Sienkiewicza, a może nie; skąd mamy to wiedzieć, kto miał szansę czytania go kiedykowiek?

Konkretnie: Wielkim Niedocenionym literatury polskiej jest (spośród tych, których miałam szczęście czytać) Józef Mackiewicz, do dziś tępiony i nie dopuszczany na powierzchnię „oficjalnej" kultury. Do dziś rządząca tą kulturą koteria rozdmuchuje wokół niego spory zastępcze: a może kolaborował? A może sąd pierwszej instancji miał rację? A jak to było z apelacją? — obrońcy natomiast dają się wplątywać w te bzdury, zamiast zapytać raz na zawsze: a jakiż to ma związek z wartością jego powieści? Ciekawy problem dla biografa, nic więcej.

To nieprawda, że „notowania na tzw. giełdzie literackiej stale się zmieniają". Koteria, o której mówię, rządzi — przekazując rzetelnie spadek dzieciom z prawego łoża — od dawna. Jest to krąg „postępowców", „rozsądnych liberałów", „lewicy laickiej" czy lekko lewicującego „laickiego centrum", a może „postępowego centrum ceniącego nieśmiertelne wartości chrześcijaństwa": nazwy się zmieniają, skład osobowy nie bardzo. „Wielkim niedocenionym" polskiej literatury (i kultury *en gros*) jest dla mnie np. Stanisław Przybyszewski, ośmieszony i zniszczony przez Boya, odtrąconego kochanka jego żony, przegranego rywala, a potem wyroczni w sprawach Postępu, Wielkości i Nieśmiertelności Piękna. (Zresztą cenię Boya nad wyraz, był wielkim erudytą, pisarzem i publicystą ogromnego talentu, może kolejnym Wielkim Niedocenionym — tyle że w tym wypadku chodzi o człowieka odtrąconego i wyklętego przez własną sitwę z powodów koniunkturalnych).

Największy Niedoceniony? Dla mnie — Michał Choromański. Emigrant, który wrócił do Polski i niemal rok w rok zaczął sypać arcydziełami, na które rzucali się czytelnicy, które znikały w ciągu paru minut z antykwariatów (widziałam to), ale których nie dostrzegały uparcie nasze wyrocznie. Po jego śmierci ukazał się w *Nowych Książkach* kuriozalny komentarz jednego z peerelowskich luminarzy: tak, wielki to był pisarz, a wszystkie *mass media* o nim ani mru-mru, ale sam był sobie winien: nie działał w ZLP, nie bywał, publikował książki w Wydawnictwie Poznańskim (Chryste Panie!), był tylko pisarzem: czy może się spodziewać dostrzeżenia przez krytykę, uznania, zasłużonego rozgłosu pisarz, który jest t y l k o pisarzem? Który się nie określa politycznie, który NIE BYWA?

Genialny prozaik. Największy w całym tym wojenno-powojennym półwieczu, jeden z największych w całej literaturze polskiej; równie bliski Dostojewskiemu co Gombrowiczowi; kto z twórców całego świata mógłby się czymś podobnym pochwalić? O ile mi wiadomo, jeden Natanson użył w związku z jego powieściami słowa „arcydzieła". Niechże będę drugą po Natansonie. Bo albo pomyłką było całe moje wykształcenie podstawowe, średnie, wyższe i ponad-wyższe; albo wszystkie lektury pożerane przeze mnie w tempie trzystu stron dziennie od mego dziesiątego roku życia padały na grunt ugorowaty i spaczony; albo mój mózg, dusza i serce nadają się tylko do wyrzucenia na śmietnik; albo całe moje istnienie jest jedną wielką pomyłką — albo Choromański był niedocenionym, nierozpoznanym, zaszczutym geniuszem. I nie ma się co oszukiwać, że winni byli komuniści. Biura Polityczne krótko i z niechęcią rządziły kulturą; dość szybko ster wracał w te same, wypróbowane ręce.

Przecenieni:

Tych nie widzę. Nie teraz. Kultura polska schowała się w mysią dziurę. Kilka osób zdobyło rozgłos dzięki życzliwości tak czy inaczej pozyskanych *mass mediów* — ale istnieją w nich na wariackich papierach, w tychże *mass mediach* wyśmiewane jako szmirusy. Oczywiście, rozgłos to już coś. Według czcicieli kapitalizmu jako Idei Mającej Zbawić Ludzkość (atrybuty wzięte żywcem z komunizmu) — niemal wszystko. Ale jakiekolwiek oceny i hierarchie pojawią się dopiero za kilka lat. Na razie nie ma o czym mówić. Świat wyszedł z wiązań, wszystko się rozleciało.

TOMASZ BUREK (Warszawa)

Z perspektywy ostatniej dekady stulecia, która wręcz zachęca do generalnych obrachunków, podsumowań i przetasowań w obowiązujących dotychczas hierarchiach wartości — bez-

dyskusyjne pozycje klasyków polskiej literatury współczesnej zdołało sobie zapewnić niewielu, pięciu, może sześciu, pisarzy. Są nimi: Gombrowicz, Miłosz, Herling-Grudziński, Białoszewski, Herbert, Różewicz. Wśród pisarzy, których pozycja jeszcze nie została definitywnie ustalona i podlega mniej lub bardziej burzliwym fluktuacjom, najwięksi niedocenieni to, moim zdaniem, Iwaszkiewicz i Wierzyński.

W dorobku i biografii publicznej Iwaszkiewicza można bez większego trudu znaleźć skazy i pęknięcia, i tym gorliwiej się ich obecnie szuka, im płytszą wiedzą o całokształcie sprawy się dysponuje. Nieodległa jednak jest chwila, pragnę wierzyć, gdy odda się pełną sprawiedliwość Iwaszkiewiczowi: i jako twórcy niedościgłych arcydzieł nowelistycznych, że przypomnę chociażby *Młyn nad Utratą*, i jako poecie, wrażliwemu z jednej strony na uroki doczesności, z drugiej — na zagadkę przemijania i śmierci, i wreszcie jako temu, w czyim pisarstwie — synkretycznym, jak mawiano, zmagającym się z pokusą szerokich syntez duchowych i kulturowych — źródłem najszczęśliwszych natchnień był moderujący sprzeczności wiatr od Morza Śródziemnego.

Iwaszkiewiczowi zawdzięczamy literacką fenomenologię uczucia metafizycznego. Wierzyńskiemu — poetycki pomnik tragedii dziejowej Polaków między wrześniem 1939 a majem 1945 roku i po tej ostatniej dacie. Mam na myśli przede wszystkim książkę *Krzyże i miecze*, a w niej m.in. takie wiersze, do szpiku kości przejmujące, jak *Msza żałobna w katedrze nowojorskiej, Litania ziemi lwowskiej, Do Żydów*, lub wiersze dające nadzwyczaj klarowną moralnie i politycznie dalekowzroczną wykładnię moralnie-dyplomatyczną bieżących wydarzeń (*Na zajęcie Warszawy przez Rosjan, Na rozwiązanie Armii Krajowej, Na proces moskiewski, Na dzień zwycięstwa, Krzyknęli wolność, Polska, którą przezwano*). Skazane przez komunistyczną cenzurę na byt nielegalny bądź połowiczny, *Krzyże i miecze* nie wróciły dzisiaj, jak mogłoby się wydawać, w chwale im należnej do obiegu powszechnego w kraju. Czemuż to? Odnoszę zresztą wrażenie, iż wiersze z późniejszych tomów tego najprawdziwszego Orfeusza polskiego, bezsennie przemierzającego piekło XX wieku, aż po wiersz ostatni: *Na śmierć Jana Palacha* — nie są ogółowi czytelników ani nawet koneserom dostatecznie znane i bliskie.

W stopniu zbyt skromnym zna się i ceni wybitne osiągnięcia sztuki powieściopisarskiej, za które uważam *Zasypie wszystko zawieje...* Odojewskiego i niedawno opublikowaną książkę Janusza Krasińskiego *Na stracenie*. Lecz, ostatecznie, nikły rezonans nie dziwi, gdyż obydwa wymienione utwory pozostają w niezgodzie z pewnego rodzaju prostactwem estetycznym, jakie narzucił krytyce duch lat osiemdziesiątych, co zaś więcej, rozmijają się swoim zakrojem tematyczno-problemowym z przyciszoną optyką inteligenta oświeconego na Michnikową modłę.

Do pisarzy z różnych powodów niedocenionych zaliczyłbym na pewno Stanisław Czycza i, po namyśle, Jarosława Marka Rymkiewicza oraz Jana Józefa Szczepańskiego.

W moim natomiast przekonaniu stanowczo przecenia się znaczenie epigonów (jak Mrożek), kompilatorów (jak Kuśniewicz), deklamatorów o krótkim oddechu (jak Szczypiorski), wirtuozów jednej struny (jak Tyrmand), kolekcjonerów pięknostek (jak Zagajewski), prestidigitatorów (jak Barańczak), tudzież płonących ogniem zimnym sawantek (jak Anna Bojarska).

GRAŻYNA BORKOWSKA (*Ex Libris*, Warszawa)

Ankieta francuska to wspaniała zabawa. Wszystko jest tu w miarę jasne. Długa lista autorów przecenianych składa się z uznanych nazwisk, z klasyków. Nie brakuje tu nikogo naprawdę ważnego dla kultury francuskiej ostatnich trzydziestu lat. Wymienia się zatem takich pisarzy i myślicieli jak Céline, Breton, Gide, Malraux, Claudel, Mauriac, Sartre, Foucault, Deleuze, Barthes. Listę otwierają trzy nazwiska kobiece — Duras, Beauvoir, Yourcenar.

Tym zestawieniem rządzi wyraźna logika. Dewaluacja pisarstwa kobiecego wiąże się z powolnym odpływem feministycznej fali, a krytyczny stosunek do czołówki autorów to przejaw ducha przekory. Dla krytyka głowiącego się nad literaturą polską podobna ankieta nie jest zabawą, ale ciężką pracą. W Polsce nie funkcjonuje obiektywna i sprawdzona w czasie hierarchia pisarska, od której można by się „odbić". Mamy do czynienia co najwyżej z ocenami szczątkowymi, poddanymi presji okoliczności, z naporem argumentów politycznych i moralnych. Kto się chce przekornie bawić i „przewartościowywać", musi najpierw solidnie popracować.

W ankiecie francuskiej najciekawsza była lista autorów przecenianych. W ankiecie polskiej wielcy pisarze tworzą listę niedocenianych. To się nazywa specyfiką narodową. Wymienię dwa nazwiska. Pierwsze — Maria Dąbrowska, najwybitniejsza pisarka polska, deprecjonowana i infantylizowana przez tych, którzy nie chcieli lub nie potrafili jej zrozumieć. Osobowość i talent. Gdyby urodziła się na Zachodzie, wściekli ale i dociekliwi krytycy wdarliby się przynajmniej w jej życie prywatne. W Polsce poza Tadeuszem Drewnowskim nikogo nie interesuje, nawet

dzieci w szkole. Uchodzi za kogoś, kto faktycznie stanowił jej zaprzeczenie. Przykład Dąbrowskiej pokazuje, że krytyka u nas jest rozrzutna, ślepa i niezdolna do autokorekty.

Drugi przypadek — Tadeusz Różewicz. Tak jak Dąbrowskiej, najbardziej zaszkodziły mu zalety. Niezależność, niekoteryjność, niespotykana wszechstronność. Wieczny prowincjusz, który nigdy nie aspirował do życia na świeczniku. Jedyny wielki poeta polski, który konsekwentnie opierał się wszelkim pokusom charyzmatycznym. Czczony tu i ówdzie, np. na Bałkanach. Wpływowi krytycy powinni wysuwać jego kandydaturę do nagrody Noba, tymczasem uparcie milczą.

Skoro nie szanujemy wielkich artystów, siłą rzeczy skazujemy się na kult podrzędności. Lista pisarzy przecenianych jest długa. Dowartościowany został ponad wszelką miarę Józef Mackiewicz, przechwalono emgiracyjną twórczość Kazimierza Brandysa. Przecenia się na ogół poezję Stanisława Barańczaka i eseistykę Wojciecha Karpińskiego.

Dla kultury polskiej ważna jest jeszcze jedna kategoria, Francuzom nieznana, kategoria pisarzy nietykalnych. Kiedyś ustalono ją odgórnie. Dziś ustala „się", sama. O pisarzach nietykalnych krytyka pisze, owszem, ale bez cienia podejrzliwości. Nie wyobrażam sobie, aby ktoś na serio, nie dla hecy, „zaatakował" Miłosza. *Rok myśliwego*, ekshibicjonistyczny dziennik poety, zachęcał do takiej bebechowatej analizy. Nic, cisza. Wielki Herling-Grudziński jest czasami bardzo niesprawiedliwy w swym *Dzienniku pisanym nocą*. Nic, cisza. Poza Zdzisławem Łapińskim nikt nie myśli o trzeźwym odczytaniu poezji Herberta.

We wszystkim jesteśmy dziwnie „letni". I w budowaniu, i w burzeniu.

MAŁGORZATA CZERMIŃSKA (Uniwersytet Gdański)

Niedoceniona wydaje mi się powieść Wilhelma Macha *Góry nad Czarnym Morzem*. Swego czasu cieszyła się wielką estymą krytyków, a nawet akademickich badaczy, którym świetnie pasowała do różnych idei kryzysu powieści. Autotematyczne refleksje Macha w wielu miejscach pozostały trafne, ale zbanalizowały się i straciły na aktualności. Natomiast wymowa fabuły i postaci zyskała bardzo na wydłużeniu się historycznego dystansu. Czytana dziś — i może trochę obok bezpośrednich wynurzeń autora w partiach teoretycznych dygresji — książka ta okazuje

się przejmującym świadectwem samooskarżenia (może mimowolnego) pewnej formacji, pewnego pokolenia, które po przełomie październikowym miało szanse spojrzeć w twarz swojej przeszłości, jak powieściowy Aleksander w twarz swego syna, spotkanego po latach. Dziś jest to powieść o zmarnowaniu szansy, lęku przed odpowiedzialnością, uchyleniu się od przyznania się do udziału w tym, co się stało. Niektóre partie fabuły i opisy fascynują mnie swoją dramatyczności i urodą stylu.

Z innych powodów niedoceniony wydaje mi się Kornel Filipowicz, maestro zwięzłej formy, rysujący swoje małe narracje cienkim piórkiem, opierającym się niezłomnie wielkim pokusom wielkiego gadulstwa.

Przeceniany, już coraz mniej, ale wciąż jeszcze za bardzo, jest według mnie Jerzy Andrzejewski. Jego zasługi dla opozycji w ostatnich latach życia nie mogą przesłaniać faktu, że zawsze mówił drewnianym językiem, pożerany przez jakieś straszliwe filozoficzne aberracje, wysilony na „najwyższy diapazon", snobistyczny i koturnowy nawet tam, gdzie brutalizował i próbował pokazywać tzw. mięso życia.

MICHAŁ GŁOWIŃSKI (IBL PAN, Warszawa)

Na tak sformułowane pytanie trudno odpowiedzieć, choćby dlatego że pisarz, nawet bardzo mało znany, gdy go się określa publicznie jako niedocenionego, przestaje być niedoceniony, stwierdzenie niedocenienia staje się przejawem docenienia (sytuacja Norwida byłaby całkiem niezła, gdyby jego współcześni wiedzieli, że jest poetą niedocenionym). Wydaje mi się, że na ogół dzieje się tak: przecenia się najchętniej autorów, którzy odpowiadają aspiracjom swoich współczesnych, respektują reguły ich kultury literackiej, zaspokajają żywione przez nich wyobrażenia i wyznawane poglądy — i wszystko to czynią w atrakcyjnej literacko formie, nigdy jednak nie naruszającej tego, co uchodzi za stosowne. Domyślam się, że z tych względów, które wymieniłem, poetą przecenianym jest obecnie Zbigniew Herbert, skądinąd autor kilku wierszy o niekwestionowanej wielkości.

KRZYSZTOF KOEHLER (*brulion*, pismo nosem, Kraków)

W polskiej literaturze współczesnej zdecydowanie przecenia się twórczość: Adama Zagajewskiego, Andrzeja Szczypiorskiego, Wojciecha Karpińskiego i Adama Michnika. Wszystkich tych artystów łączy zamiłowanie do okrągłych zdań i intelektualnej łatwizny. To, że przecenia się pisarzy łatwych i pięknosłowych, jest dla mnie symptomem choroby polskiego życia intelektualnego.

Nie docenia się, między innymi z tego samego powodu, twórczości niektórych poetów skupionych swego czasu wokół *Kontynentów*: Buszy, Czaykowskiego, Darowskiego. Wciąż nie potrafi się docenić pisarstwa Zygmunta Haupta.

W polskiej kulturze współczesnej docenia się bowiem to, co było już kiedyś docenione. Ogólny marazm życia literackiego nie jest wynikiem braku wartościowych dzieł, lecz efektem zamierającej aktywności intelektualnej krytyków zajętych sporządzaniem kolejnych wersji konkordancji do pism Czesława Miłosza czy Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.

ANDRZEJ ST. KOWALCZYK (UW, Warszawa)

Każda giełda, bez względu na to, czy sprzedaje się na niej obrazy Rembrandta, weksle Balzaca, akcje browaru Żywiec bądź kurkurydzę, kieruje się podobnymi regułami. Wahania cen zależą od zbyt wielu czynników i tylko w niewielkim stopniu dają się ująć w jakieś ogólne formuły. Podobnie jest z oceną powieści i poematów. Co prawda literaturoznawcy wolą się posługiwać słowem „wartościowanie", by uniknąć skojarzeń rynkowych i ekonomicznych, ale istota pozostaje ta sama. Nie znaczy to oczywiście, bym, widząc z jakim zapałem publiczność wykupuje książkę pani X czy pana Y, nie zadawał sobie pytania, dlaczego tak niewielu amatorów znajduje dobry pisarz Z. Ale tak toczy się światek: jeden z dnia na dzień zdobywa sławę, drugiego mielą młyny w papierni.

Dlatego wolę nie mówić o autorach „przecenianych". Myślę, że nie ma takich; jedni znajdują więcej czytelników, inni mniej. Problem zaczyna się wtedy, gdy ani książkom, ani czytelnikom nie daje się w ogóle szansy. W wypadku takich pisarzy jak Janina z Puttkamerów Żółtowska (*Inne czasy, inni ludzie*),

Michał K. Pawlikowski (np. *Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego*), Wacław Lednicki (*Pamiętniki*) trudno mówić o „niedocenieniu", nie wspominają o nich nawet słowniki literackie i leksykony pisarzy emigracyjnych. Gdyby ich nazwisk nie odnotowała Maria Danilewiczowa w swych *Szkicach o literaturze emigracyjnej*, znaliby je tylko bibliotekarze. Autorzy ci stronili od polityki, nie byli ani katoliccy, ani laiccy, nie użalali się na prześladowania, nie stali się bohaterami skandali. Jedyną racją ich bytu w literaturze jest świetne pióro, własny styl, dar obserwacji, niechęć do banału, dystans wobec losu. Jak się okazuje, dziś to za mało. Nie wątpię jednak, że prędzej czy później książki te trafią do czytelników.

ANTONI LIBERA (Warszawa)

I. Pisarze niedoceniani

a) pisarze niedoceniani w sensie „zapoznani" — mało znani, nie czytani, niedostatecznie rozpoznani przez krytykę:

Bernard Sztajnert, lat 65, głównie prozaik, mieszkający w Łodzi, autor siedmiu powieści, wielu opowiadań i wierszy. Pisarz o wielkiej erudycji i zacięciu filozoficznym. Samodzielny (nieumyślny) kontynuator tradycji Kafki, Schulza, Canettiego. Jego największe osiągnięcia to opowiadania z tomu *Obwód północny* oraz trzy krótkie powieści, składające się na Trylogię pt. *Trzy Księgi (Księga zdarzeń, Księga ojca, Księga czasu)*. Szczególnie udana, godna wznowienia i upowszechnienia jest *Księga ojca*.

Julian Wołoszynowski (1898–1977), autor świetnych „legend historycznych": *Rok 1863* (wznowiony ostatnio w kraju) i *Było tak* (w latach 70-tych wznowione przez Instytut Literacki) oraz wspaniałych *Opowiadań podolskich*, będących doskonałą lekcją polskiej prozy, wzorem, na którym młode pokolenie winno uczyć się pisać, a adepci literatury — ćwiczyć formę noweli.

b) pisarze niedoceniani w sensie „nie oceniani właściwie" — znani i uznani, ale nie rozumiani lub rozumiani powierzchownie; mający odzew, ale nie na ich miarę:

Stanisław Barańczak — wciąż funkcjonujący w potocznej świadomości jako „bard pokolenia '68", „przedstawiciel Nowej Fali lat 70-tych", „poeta opozycyjny — członek KOR-u", w najlepszym razie: „wybitny tłumacz". Obecny, powszechnie znany, a nawet podziwiany i wielokrotnie nagradzany, ale rozu-

miany i chwalony powierzchownie, krytykowany zaś głupio i — w widoczny sposób — z zawiści. Nie doczekał się jak dotąd ciekawych, głębszych lub polemicznych (lecz na jego miarę) krytyk, nie mówiąc już o monografii, która mu się od dawna należy. Wciąż pozostaje najlepszym recenzentem własnej twórczości. Nie ma godnych siebie partnerów literackich ani krytyków, którzy w toku dialogu z nim bądź wspomagaliby go w jego twórczym rozwoju, bądź przynajmniej sensownie go prezentowali i wyjaśniali. Jest to pisarz na miarę największych w literaturze polskiej, kontynuujący linię rozpoczętą przez Kochanowskiego, rozwijaną następnie i kontynuowaną przez Mickiewicza i Miłosza, a więc linię budowniczych samej materii języka. Jest to poeta, który wznosi polszczyznę na wyższy poziom, „dostosowuje ją do standardów zachodnich", przezwycięża jej zacofanie, zapóźnienie, prowincjonalność, oczyszcza z mętności i niezborności. Artysta-„logopeda", który ustawia polszczyźnie głos (zwrócił na to uwagę Zbigniew Herbert). A zarazem, który przyswaja tej udoskonalonej mowie wprost kolosalne obszary literatury obcej, zwłaszcza anglosaskiej, i to tej najwyższego lotu. Jego przekłady dramatów Szekspira są na miarę tego, co w niemczyźnie zrobił Schlegel w XIX wieku.

Leszek Kołakowski — oczywiście, powszechnie uznany jako najwybitniejszy polski filozof, a nawet cała instytucja: wielki moralny autorytet, wszechstronny uczony, traktowany nieraz jako wyrocznia w wielu dziedzinach: wyróżniony najbardziej prestiżowymi europejskimi nagrodami, profesor Oxfordu, doktor *honoris causa* różnych uczelni. A przy tym — jako autor, jako myśliciel i twórca — bardzo samotny. Mający przyjaciół i wyznawców, ale nie partnerów. Prace poświęcone jego twórczości i osobie — w najlepszym razie — są pełnymi uznania i szacunku prezentacjami i portretami. Polemiki są na ogół chybione lub płytkie. Brak w nich głębszych, problematyzujących analiz, brak zasadniczego sporu, dialogu. Mało dostrzega się i docenia walory językowe jego pisarstwa — precyzję i jasność, wspaniałą, pełną humoru stylizację na staropolszczyznę. Kołakowski jest gigantem zarówno intelektualnym, jak — artystycznym. Tom z jego zebranymi *Bajkami różnymi*, *Opowieściami biblijnymi* i *Rozmowami z diabłem* ma zapewnione stałe miejsce w panteonie literatury polskiej.

II. Pisarze przeceniani:

Tadeusz Konwicki, na pewno zręczny beletrysta, w dodatku wychodzący naprzeciw potrzebom, tęsknotom i gustom zarówno części polskiej inteligencji (lewicującej), jak ogólniejszej polskiej mentalności (szlachecko-romatycznej). Stąd szalenie poczytny i chwalony przez krytykę. Niestety, płytki, powierzchowny, „salonowy" (przy czym chodzi tu o salon peerelowski, będący osobliwą mieszanką romantycznego patriotyzmu, postkomunistycznego rewizjonizmu i warszawskiego knajactwa) i gdzieś w głębi — nieautentyczny, kabotyński. Kontynuator linii „emocjonalno-moralistycznej", którą tak czy inaczej tworzyli również Andrzejewski, Rudnicki (poza problematyką czysto żydowską) i Hłasko. Ingrediencje, z których lepi swoje utwory to: liryzm, egotyzm, element patosu, idiom sezonowej ironii. Brak natomiast głębszego ujęcia problemów, brak głębszych myśli. Nieprzekonujące też rozliczenie się z komunizmem. Jest to ulotna literatura „dnia dzisiejszego", przekładająca szybko na język prozy lub eseistycznej gawędy to, czym społeczeństwo (a raczej pewna część jego elity) w danym momencie żyje. Pisarstwo nietrwałe, niegłębokie, z wyraźnym piętnem pozy — a więc tego, co tak niestrudzenie tropił i obnażał w polskiej kulturze i literaturze Gombrowicz.

Zrozumiała jest jego popularność wśród szerszych rzeszy czytelników, niezrozumiała — w miarę wysoka ocena krytyki.

Jerzy Kosiński — zwykły hochsztapler, pół-grafoman. Sprężyną jego kariery w Ameryce był przebojowy, bezwstydny arrywizm, gotowość na skandal, błazenadę, dwuznaczne gwiazdorstwo. Epatował ekscentryzmem, tanim demonizmem, własną wyrazistą twarzą, której niewątpliwie z premedytacją używał dla osiągnięcia założonych celów. Demagog, „farmazon", potrafiący sugestywnie mówić nie na temat i udawać, że odpowiada na zadane mu pytania, w rzeczywistości zaś nawet o nie nie zahaczając. Źródłem jego rozgłosu w Polsce był snobizm na człowieka stąd, który zrobił karierę w Ameryce i cielęca otwartość szerokiej polskiej publiczności na czary i bałamuctwo (byle by było efektowne). Wartości literackie i myślowe jego twórczości bliskie zeru.

Zdziwienie budzi w miarę poważny stosunek do niego niektórych krytyków (np. Marii Janion) i wybitnych tłumaczy.

Hanna Krall — zżerana straszliwą ambicją autorka reportaży, która złapawszy raz Pana Boga za nogi w osobie Marka Edelmana (głośny wywiad *Zdążyć przed Panem Bogiem*) i wyniesiona dzięki temu na wyższą orbitę (nagrody, tłumaczenia, stypendia), uwierzyła, że jest pisarką z prawdziwego zdarzenia i zaczęła płodzić wysoce pretensjonalne opowieści auto- lub parabiograficzne. Ujawniają one natrętne wzorowanie się autorki na języku i stylu Izaaka Babla. Te próby naśladownictwa prowadzą ją, niestety, do opłakanych skutków. Wychodzi z tego bowiem raczej mimowolna parodia niż twórcza kontynuacja lub choćby neutralne stosowanie czyjeś metody; efekt jest farsowy. Zamiast chłodu, cierpkiej ironii i wyrafinowanego humoru mamy sentymentalizm, minoderię i rzewne ponuractwo. Do tego dochodzą jeszcze własne cechy autorki: fałszywa pokora idąca w parze z

pychą i wielką miłością własną. Niezwykle trafna była wyrażona swego czasu opinia Gustawa Herlinga-Grudzińskiego o książce *Zdążyć przed Panem Bogiem* (będąca jakby jej najkrótszą recenzją): „O jednego interlokutora za dużo". Rola sprawnego opowiadacza cudzych losów lub ciekawie zadającego pytania absolutnie autorce nie wystarcza. W jej tekstach — będących, formalnie rzecz biorąc, literaturą faktu — na pierwszy plan wybija się jej własna osoba — ukazywana jako uosobienie gorzkiej mądrości i metafizycznej głębi. W istocie, ani to mądrość, ani metafizyka, tylko mistyfikacja. W dodatku niezbyt zręczna. Do uduchowienia autorki nie przekonuje, na przykład, jej zwracanie się do Istoty Wyższej w sposób: „Hej, słyszysz mnie?!" czy też „Hej, jesteś tam?!".

Dziwi, że tylu ludzi, czasem nawet całkiem sensownych, daje się na to nabrać.

JANUSZ MACIEJEWSKI (IBL PAN, Warszawa)

Wśród autorów współczesnych niedocenionych, więcej — prawie zupełnie zapoznanych, widziałbym dwóch moim zdaniem wybitnych twórców: Stanisława Swena Czachorowskiego i Christiana Skrzyposzka. Pierwszy przechodził literacki „staż" razem z Białoszewskim, jako równorzędny mu twórca, tak rozpoznawany przez najbliższych im przyjaciół artystycznych (m.in. Jana Józefa Lipskiego). Debiutował — nie z własnej winy — dwa lata później od autora „Obrotów rzeczy". Dlatego ominęła go gloria towarzysząca twórcom tomów wydanych w 1956 r. Niemniej w latach sześćdziesiątych był traktowany przez krytykę jako jeden z czołowych przedstawicieli tego pokolenia, któremu przełom październikowy umożliwił wejście do literatury. W następnych jednak dziesięcioleciach w niezrozumiały dla mnie sposób wypadł całkowicie z obiegu literackiego. Przestał być wydawany, omawiany w prasie. A był przecież autorem wielu wierszy wybitnych, nie ustępujących utworom innych czołowych poetów współczesnych. Wydał także znakomity tom opowiadań „Pejzaż Gnojnej Góry" — świetnie napisanych, nowatorskich formalnie, przynoszących odkrywczą a zaskakująco prawdziwą wizję polskiej dwudziestowiecznej kultury peryferyjnej.

Chrisian Skrzyposzek debiutował w latach sześćdziesiątych jako krytyk (zdobywając spore uznanie) i dramaturg — w *Dialogu* w 1969 r. W tymże roku wyjechał za granicę i poprosił tam o azyl polityczny, co od razu wykreśliło go z oficjalnej

„giełdy literackiej". Niestety nie udało mu się związać także z żadnym ośrodkiem emigracyjnym. Skazało to na zapomnienie jego wczesną twórczość oraz na prawie całkowite niedostrzeżenie głównego dzieła, wydanej w 1985 r. powieści „Wolna trybuna" — jednego z najoryginalniejszych i najwybitniejszych utworów, jakie ukazały się w ostatnim dziesięcioleciu.

Wśród autorów przecenionych wymieniłbym głośnego zeszłorocznego debiutanta Andrzeja Barta, autora powieści „Rien ne va plus". Rozgłos swój w dużym stopniu zawdzięcza ona konceptowi: oglądaniu losów ludzkich z punktu widzenia obdarzonego świadomością przedmiotu (którym u Barta jest zmieniający właścicieli portret). Ale wbrew pozorom koncept ten nie jest nowy. Stosował go już Kraszewski w „Historii kołka w płocie". Z kolei pomysł objęcia akcją dziejów wielu pokoleń Polaków ze znacznie większym talentem realizował już Kazimierz Brandys w „Wariacjach pocztowych".

Nie odmawiam utworowi Barta w ogóle wartości. (Najlepszy *nb.* jest początek — później niestety przechodzi w dość banalnie opowiedzianą historię Polski). Uważam jednak, że ton krytyki i lansowanie „Rien ne va plus" jako dzieła wyjątkowo wybitnego jest zdecydowanie ponad autentyczną wartość powieści.

PIOTR MATYWIECKI (Warszawa)

1. Niedoceniani? — Jan Śpiewak i Arnold Słucki, poeci osobni, w swoim czasie chwaleni przez krytyków, ale odesłani na peryferie. A przecież wytropili ukryte w polszczyźnie drogi o b r a z o w e g o myślenia, dotąd nieznane, które poprowadziły ku zaskakującym widokom na centralne miejsca tegowiecznej kultury.

Jan Śpiewak to, zdawałoby się, prorok poetyckiego irracjonalizmu: osobny przez podjęte tradycje rosyjskiej awangardy spod szalonego znaku Chlebnikowa, autor prozy „Narodziny sławy", w której stepy nad Dnieprem były historyczno-geograficznymi kresami Rzeczypospolitej i kresami zmysłowej rimbaudowskiej wyobraźni. I to jemu udały się poematowe syntezy wieku! Trzeba przeczytać tom „Zstąpienie do krateru" (wiersze z lat 1961–1963), żeby u tego zapomnianego poety odnaleźć zamierzony i zrealizowany epicki cykl przygód wyobraźni, myślicielstwa, historii, etyki — wypowiedziany językiem otwartym na obrazy, filozofie, konkrety historyczne, cierpienia indywidualne i masowe.

Arnold Słucki był mistykiem najczystszym. Kiedy poeta jest

mistykiem, to nie znaczy, że czyni sobie niebo ze słów. Przeciwnie, jego słowa są głodne „ziemskich pokarmów" — żeby ofiarować ziemię Logosowi. W swoich tomach najdojrzalszych („Eklogi i psalmodie" — 1966 r., „Biografia anioła" — wiersze z po-marcowego wygnania, wydane w 1982 r.) Słucki na nowo nauczył polską poezję — w sto lat po Norwidzie i w dystansie od Miłosza — myślenia liryką. Ekstatyczna wyobraźnia, porywcza emocja, w każdym z jego drobnych wierszy rozdzierają gęste tkaniny kultur, żeby ujawnić i wypreparować najcieńsze włókna i splątania. I wszystko to jest dysonansowo lub harmonijnie muzyczne. On miał swoje melodie!

2. Przecenieni? — Nikt z pisarzy (jeśli jest pisarzem...) nie jest przeceniony.

CEZARY MICHALSKI (*brulion*, pismo nosem, Kraków)

Przecenieni:

45 lat publicystyki *Tygodnika Powszechnego*, pisma prowadzonego przez postępowych katolików, od 1947 roku szermujących hasłem „reformy katolicyzmu" (po 1960 roku „reformy posoborowej"). Jednocześnie pismo zmuszone do zachowywania lojalności zarówno wobec Kościoła (brak krytyki polityki prymasów Wyszyńskiego i Glempa), jak też wobec komunizmu (przychylny stosunek do „przemian ustrojowych" w publicystyce Stommy czy Mazowieckiego przed 1980 rokiem). Pismo przetrwało za tę cenę okres istnienia PRLu, ale stało się jednocześnie charakterystycznym peerelowskim tworem; płytką polityczną aluzją do nie wiadomo czego.

Niedocenieni:

Marian Zdziechowski — (jako eseista polityczno-religijny, szczególnie *W obliczu końca*, Wilno 1939).

Jeden z ostatnich, przed pięćdziesięcioletnią przerwą, polskich intelektualistów niezależnych; potrafiący zachować obiektywizm niezależnie od instytucjonalnych lojalności. Autor błyskotliwych analiz Europy rozdzieranej przez dwa totalitaryzmy: nacjonalistyczny i uniwersalny. Konserwatywny katolik, spod którego pióra wyszły najbardziej dramatyczne opisy okrucieństwa inkwizycji oraz krytyka katolickiego stosunku do zwierząt-podludzi.

Przecenieni:

Stanisław Barańczak, polityczny poeta drugiej połowy lat 70-tych, powielający poetyckie pomysły ze swej wczesnej twórczości, a także Barańczak — autor *Widokówki z tamtego świata*, rozumiejący już wyczerpanie stworzonej przez siebie wcześniej konwencji poetyckiej, nie potrafiący jednak stworzyć nowego, konsekwentnego języka. Efekt tego: eklektyczna mieszanka „dawnych chwytów" i cytatów z poezji anglojęzycznej + kongenialne tłumaczenia poezji anglojęzycznej na język polski.

Niedocenieni:

Stanisław Barańczak, autor *Dziennika porannego*. Twórczy kontynuator tradycji polskiej poezji lingwistycznej. Praktyk i teoretyk oksymoronu rozumianego jako figura języka poetyckiego, a także jako narzędzie poznania dualistycznego świata — „papier i popiół / dwa sprzeczne zeznania".

Leo Lipski, autor *Piotrusia* a także opowiadania *Dzień i noc*.

W latach 60-tych, 70-tych i 80-tych jego proza była politycznie nie do zaakceptowania przez obieg oficjalny. Później natomiast nie zrozumiana przez większość animatorów drugiego obiegu (nie dostarczała szybkiego politycznego wzmocnienia).

Debiutujący w drugiej połowie lat 80-tych w alternatywnym trzecim obiegu Jacek Podsiadło. Przełamywanie eklektyzmu właściwego jego wczesnej twórczości i żmudna praca nad tworzeniem oryginalnego języka afirmacji wartości estetycznych i etycznych. Podsiadło potrafi „usłyszeć", zacytować i wkomponować w strukturę swojego wiersza elementy świata realnego, przybierające postać rozmaitych stylów mówienia i głosów.

Przecenieni:

Poeci nowo i postnowofalowi: Zagajewski, Krynicki, Kornhauser, Bierezin, Szaruga. Wtórność estetyczna, swoją intensywnością przekraczająca intensywność etycznego zaangażowania autorów. Kluczem do tego przecenienia jest stworzenie lansującej ich poezję machiny pokoleniowo-środowiskowej.

ANDRZEJ NOWAK (*Arka*, Kraków)

I. Pisarze przecenieni — na przykład Andrzej Szczypiorski.

Na granicy literatury i polityki plenią się książki najgorsze (zwłaszcza kiedy literatura nie najlepsza, a polityka nikczemna). Chodząc jednak wytrwale wokół owej granicy, zbudować można wcale świetną literacką (i polityczną) karierę. Trzeba tylko: 1. trzymać się konsekwentnie roli moralisty; 2. brać uważnie wszystkie „zakręty" i „przełomy" historii; 3. liczyć, że i krytycy nadążą za nimi, a czytelnicy mieć będą krótką pamięć.

Niedoścignionym i bodaj najwyżej na dzisiejszym targowisku notowanym *exemplum* tej literackiej strategii jest twórczość Andrzeja Szczypiorskiego. Nic w niej nie ma poza realizacją (za pomocą warsztatu sprawnego autora powieści kryminalnych) kolejnych politycznych zamówień — od wydziałów KC ekip Bieruta, Gomułki i Gierka, aż po zapotrzebowania literackiego salonu niemieckiej lewicy oraz obozu Rozumu i Postępu w polsce (ortografia konsekwentna).

II. Autor niedoceniony — Stanisław Cat-Mackiewicz.

Ten jest dziś ofiarą polityczno-literackiego pogranicza. Nie pozostał do końca na emigracji — nie korzysta więc z tego wydawniczego renesansu, jaki spotyka teraz niezłomnych (wśród nich jego brata — najniezłomniejszego, sztandarowego antykomunisty). Za mało był europejski, a za bardzo sarmacki, by poważnie dziś potraktowano jego eseistykę, choć przecież esej emigracyjny w dużym dziś — i jak najbardziej zasłużonym — poważaniu, tak na naukowych sesjach jak i u wydawców. Chcę się więc upomnieć bodaj o wartość jego stylu, języka, literackiej wyobraźni i gawędziarskiego mistrzostwa, godnie kontynuującego najlepsze tradycje Henryków — Rzewuskiego i Sienkiewicza. Także intelektualna przekora jego tekstów i zasadnicza niezgoda ich autora na stadne niemyślenie to teraz — i zawsze — cnoty literackie wielkiej rzadkości. Więc nie lubią autorytety Mackiewicza i śmieją się z wileńskiego żubra. A nam *Muchy chodzą po mózgu...*

TADEUSZ NYCZEK (Kraków)

Przecenieni:

1. Przepraszam: GOMBROWICZ. Upupiony, ugębiony, spimkowany. Idol i arcymistrz na skutek chorych okoliczności, a

przecież po prostu, *normalny dobry pisarz*, autor lepszych i gorszych książek. Umysł niepospolity (*Dzienniki*), ale jako artysta prozy — z wyjątkiem *Trans-Atlantyku* — co najmniej do dyskusji o arcydzielności. Mit zresztą przesłonił pisarza, a niesłusznie, bo teraz mało czyta się Gombrowicza. Czyżby... przeceniony w micie, niedoceniony w pisarstwie?

2. ANDRZEJEWSKI. Mistrz — ale tylko literackiej i intelektualnej mimikry. Z czasem każda jego książka traci na atrakcyjności, zyskuje na pretensjonalności. Nie jest dobrze, kiedy najlepszą książką pisarza okazuje się debiut, a potem jest coraz gorzej.

3. STACHURA. Wylansował go znowu mit, choć przecież był naprawdę niezgorszym pisarzem. Lepszy zresztą prozaik niż poeta. Wszędzie chciał widzieć poezję, co mu nie wyszło na zdrowie. *Fabula rasa* jest największym, najprawdziwszym i najbardziej przejmującym w całej chyba polskiej literaturze świadectwem twórczego szaleństwa. Reszta to Hłasko na wakacjach.

4. HUELLE. Przyznaję: nie rozumiem, dlaczego *Weiser Dawidek* miałby być książką dziesięciolecia*". Ale może na nic innego nie zasłużyliśmy. Nasza wina.

Niedoceniani:

1. IWASZKIEWICZ. To będzie chyba teraz jakiś czas modne: docenić Iwaszkiewicza. Choć miał skłonności do szargania sobie życiorysu, pisarzem był (bywał) nienagannym. Wspaniałość opowiadań, nowel i późnych wierszy rekompensuje wszystko, łącznie z nudziarstwem powieści.

2. ODOJEWSKI. Jemu może zaszkodzić tylko przechwalanie ze względów polityczno-martyrologicznych, nigdy literackich. Ale na szczęście nie grozi mu popularność Konwickiego. Nawet gdyby miał zostać tylko najzdolniejsznym uczniem Faulknera, jest to rekomendacja, że daj Boże zdrowie. Tym bardziej, że nie mieliśmy Faulknera.

3. KRYSTYNA MIŁOBĘDZKA. Jak widać, jedyna osoba, przy której jestem zmuszony podać imię. Niewiele o niej wiem (mieszka chyba we Wrocławiu?), ale mam do jej poezji — bo jest przede wszystkim poetką — ogromny sentyment i szacunek. Autentyczna *outsiderka* o żywiołowym talencie językowym i nadzwyczaj ciekawym, zupełnie oryginalnym sposobie myślenia. Zbiorki: *Pokrewne* (1970) i *Wykaz treści* (1984) mam za literackie rewelacje godne lepszego losu niż te kilka zdań świadczących o nieczystym sumieniu krytyka.

---

* Takim określeniem na okładce książki wydawca (Puls) reklamuje drugie wydanie tej powieści (przyp. W.B.).

4. LEM. Niby ceniony, doceniony, niby wielki. Ale jednak nie traktowany zbyt poważnie. Naukowa strona Lema zdaje się wystawać daleko poza konwencje literackie. Wywołuje brechtowski efekt obcości. Tematyka przesuwa *sztukę* tej prozy na margines rozważań o literaturze. Wobec najsilniejszej strony Lema — fenomenalnego intelektu stanowiącego zjawisko samo w sobie — bezradni są wszyscy. Lem śmieszy, tumani, przestrasza. Nie nadaje się na słowiańską, przaśną kulturę. Jak każdy diabeł, powinien być Niemcem.

MIECZYSŁAW ORSKI (*Odra*, Wrocław)

Trudno o racjonalną odpowiedź na pytania ankiety w sytuacji, kiedy narastający w końcówce Peerelu kryzys kultury — a zwłaszcza demontaż życia literackiego, zanik odpowiedzialnej krytyki, degradacja i likwidacja czasopism itp. itd. — jeszcze się pogłębił, miast powoli ustępować. Niesprawiedliwe, a może i szkodliwe z wielu względów byłoby dziś zwłaszcza ustalanie listy książek oraz pisarzy „przecenionych". Przecież jeżeli ten niezwykły i nieopanowany chaos, z jakim mamy do czynienia na rynku wydawniczo-czytelniczym — spotęgowany przez niewydolność krytyki — utrzyma się jeszcze przez jakiś czas, będziemy mieli w kraju do czynienia chyba wyłącznie z dziełami literackimi „niedocenionymi", może z małymi wyjątkami, którym będzie sprzyjać przypadek i kaprys wydawców.

Sądzę natomiast, że należy dziś upominać się gromkim głosem o rzetelną dyskusję nad literaturą schyłkowego Peerelu, przywracając jej porządek właściwych proporcji i hierarchii artystycznych; nie unosząc się więc z jednej strony sztucznym zachwytem nad wszystkim, co firmowały wydawnictwa drugoobiegowe, i nie potępiając z drugiej strony wszystkiego, co pisano w pierwszym obiegu w czambuł, opieczętowując to etykietką „czarnej dziury lat osiemdziesiątych". W licznych wypadkach „niedocenianie" wynikało z różnorakich przymusowych nieobecności bądź powszechnej niewiedzy (nawet specjalistów). I tak np. mało kto wie o dwóch — moim zdaniem ważnych i świetnych — powieściach Zyty Oryszyn „Czarna iluminacja" i „Historia choroby, historia żałoby", w nowy i twórczy sposób podchodzących do tematu epoki stalinowskiej; bo po prostu wyszły w małych nakładach w podziemiu. Podobnie mikroskopijny nakład odebrał czytelników interesującej „Ciemni" Bogusławy Latawiec. Słabo rozpowszechniana, zbyt mało namaszczona przez krytyków, szybkiemu zapomnieniu uległa „Zagłada" Piotra Szewca — przecież jeden z najlepszych debiutów w prozie (obok Pawła Huellego) ostatniego dziesięciolecia. Polityczny rozgardiasz po stanie wojennym zaciążył ujemnie na recepcji takich znaczących książek uznanych pisarzy jak „Obłęd" Krzysztonia, „Krzywe drogi" Wojdowskiego czy „Zabezpieczanie śladów" Odojewskiego; w emigracyjnym panteonie na wyższą pozycję zasługuje z pewnością Andrzej Bobkowski ze swymi „Szkicami piórkiem". To oczywiście tylko kilka nazwisk i utworów „źle obecnych" (więc nie dosłownie niedocenionych). Najwyższy czas żeby zająć się uczciwie i z uwagą schyłkowym okresem literatury Peerelu, zwłaszcza że znów wracają na scenę środków przekazu widma tzw. „rewolucji artystycznej" czy tzw. „nowej prozy". A kysz.

RYSZARD K. PRZYBYLSKI
(Uniwersytet im. A. Mickiewicza, Poznań)

Niedocenieni:

Zapoznana wręcz wydaje mi się dziś twórczość Leopolda Buczkowskiego. Ten rodzaj poszukiwań literackich wyparty został niemal całkowicie w latach osiemdziesiątych. Z wielką szkodą, w moim przekonaniu, dla literatury. Potrzeba deklarowania wartości, a raczej nazw wartości, likwidowała zainteresowania innym pojmowaniem sztuki narracyjnej.

Nadużywanie nazw wartości doprowadziło zresztą do stanu, w którym okazywały się one nazwami coraz bardziej pustymi. Nie wiązały bowiem pożądanych idei z rzeczywistością, ale wyrastały ponad nią w jakiejś abstrakcyjnej przestrzeni. W ten sposób zachowywano może nawet systemową spójność kultury, przydatną w czasie istnienia określonego i łatwo definiowalnego przeciwnika, nieużyteczną natomiast wtedy, gdy go zabrakło.

Walka ze złem nie różnicuje zła. Likwidacja jednej z jego postaci nie uwalnia wszakże od innych jego wcieleń. Nie wystarcza już jednak tylko deklarowanie pożądanych stanów rzeczy. Manifestowanie oburzenia. Niezbędne jest także poznawcze podejście do problemu. Próba jego pisania. Również, a może przede wszystkim, wszystkich jego negatywnych zjawisk.

Literatura polska nie podjęła prawie wcale wyzwania, jakie niesie z sobą nihilizm. Najchętniej odwracała się od niego plecami. Nie jest to jednak najlepszy sposób rozwiązania problemu. Prędzej czy później da on bowiem o sobie znać. A wtedy puste

nazwy niczemu nie zaradzą. Dlatego sądzę, że zbyt słabo obecni są w polskiej świadomości ci, którzy, lepiej czy gorzej, podjęli wyzwanie, jakie z sobą nihilizm niesie. Myślę o Tadeuszu Borowskim (mówi się o nim z innych powodów), Leo Lipskim, Tadeuszu Różewiczu.

Ponadto zadziwia mnie nieobecność w Polsce książek Józefa Mackiewicza. Wiele o nim dyskusji, ale z innych niż literackie powodów. Dlaczego, obok tej wielości pozycji na księgarskich ladach, nie znajdzie się „Drogi donikąd" albo „Kontry", doprawdy nie pojmuję.

Przecenieni:

Mam wrażenie, że w panującym chaosie sądów, opinii i rynkowych preferencji trudno mówić o przecenianiu kogokolwiek. Raczej wszyscy stracili.

KRZYSZTOF RUTKOWSKI (Paryż)

Pisarze przecenieni:

Aleksander Wat i Paulina Wat. Wynoszenie tego ciekawego poety na ołtarze wydaje mi się zabiegiem niebezpiecznym, który może zaciemnić rzeczywistą wartość artystyczną „Ciemnego świecidła". Wizja świata i historii w „Moim wieku" starzeje się w dość szybkim tempie. Książka ta ma przede wszystkim wartość jako zapis wewnętrznych napięć pomiędzy rozmówcami: Miłoszem i Watem.

Archetyp żony poety, matki i wdowy zbudowany w książce „Wszystko co najważniejsze" to konstrukcja, która powinna zainteresować krytyka pasjonującego się mitologią w barthesowskim sensie tego słowa. Należy się dziwić, że chyba nikt z recenzentów nie zauważył zniknięcia z krajowego wydania tej książki nazwiska Jacka Trznadla, który jest rzeczywistym współautorem tomu.

Józef Mackiewicz. Zdaję sobie sprawę, że jest to pisarz ogromnie w dzisiejszych czasach „słuszny". Wiele jego tekstów — to świetna proza, ale sporo śmiertelnie mnie wynudziło. Teksty poświęcone Mackiewiczowi, z których można ułożyć niezłą bibliotekę, są nieraz bardziej zajmujące, niż przedmiot opisu.

Tadeusz Konwicki. Po ciekawej wprawce stylistycznej, którą był „Bohiń", plotkarskie książeczki o „warszawce" i okolicach

nużą do tego stopnia, że zapomina się o dobrych wspomnieniach na przykład z „Sennika". Poza tym nie mogę wybaczyć Konwickiemu Mai Komorowskiej w roli Guślarza w tych filmowych niby-„Dziadach".

Pisarze niedocenieni:

Zygmunt Haupt. Jeden z największych artystów polskiej prozy. Jego uznanie przychodzi z trudem, bo on sam jest „za trudny" na współczesne gusta. Ponadto dobre słowo o Haupcie wymknęło się z zagrody zębów Prawdziwych Autorytetów późno i niezbyt donośnie.

Andrzej Bobkowski. Niby już obecny i wznowiony. Niby sporo o nim pisano — najciekawiej w *Kresach* — a jednak nadal niezadomowiony w polskiej świadomości. Może dlatego, że o Polakach nie miał najlepszej opinii.

Tadeusz Różewicz. Wystarczy przeczytać „Płaskorzeźbę".

JANUSZ SŁAWIŃSKI (Warszawa)

Przecenieni:

Lechoń: pustosłowie ułożone do paru znajomych melodii wierszowych.

Gałczyński: dziś jego poezja cieszy się jeszcze wzięciem wśród jednej formacji wielbicieli — panów w okolicach sześćdziesiątki, którzy w uczuciowości i gustach na zawsze pozostali sentymentalnymi zetempowcami z lat swojej młodości. Kogo po ich wymarciu będzie w stanie skłonić ku sobie ta stara kokota — tandetnie wysztafirowana?

Wat: złomowisko, na którym walają się bryły szlachetnego kruszcu. W tej twórczości nie ma bodaj nic poza nie-dokonaniami.

Zagajewski: za dużo w nim nabzdyczenia — koturnowości, olimpijskich póz, pompowania się wzniosłością, wysilonej powagi mędrca. W jego poezji sztuczność uparcie pozostaje sztuczna — nie dopracowała się naturalności jako sztuczność, brak jej więc zadowalających uprawomocnień.

Krynicki: uwierzył, że poezja to „najmniej słów". Czytelnikom nie potrafił jednak udowodnić, że jest to wystarczający warunek poezji.

Szczypiorski: moralista pochylający się z troską nad powikłaniami ludzkich losów. To byłaby formuła w jego stylu — wszystko bowiem potrafi spłaszczyć i sprowadzić do postaci retorycznego banału.

Karpiński (Wojciech): salonowe egzaltacje — oto co nieodmienie psuje jego styl.

Huelle („Wieser Dawidek"): za dużo w tym ćwiczenia na zadany temat — „napisz coś w tylu Grassa".

Niedocenieni:

Przyboś: poeta, którego dorobek jest teraz metodycznie ignorowany. Ale to jeden z trzech-czterech największych u nas w tym stuleciu — i z pewnością nie będzie zapomniany. Na sprawiedliwe odczytanie oczekuje jego późna twórczość: wielka „poezja metafizyczna".

Bieńkowski (Zbigniew): nie mam wątpliwości, że jego „Sprawa wyobraźni", a zwłaszcza „Trzy poematy" będą zaliczone kiedyś do najważniejszych książek poetyckich, jakie powstały u nas w dziesięcioleciach powojennych.

Wirpsza: zupełnie dziś zapoznany sztukmistrz poetycki. Próbował wielu dróg i niemal na każdej dokonał własnych odkryć. Gdyby jego twórczość była znana młodym poetom współczesnym — mogliby z powodzeniem wielu rzeczy nie robić po raz wtóry.

Parnicki: nikt teraz nie ma cierpliwości, by go czytać i roztrząsać. A przecież to najbardziej chyba „postmodernistyczny" pisarz w naszej literaturze!

JERZY ŚWIĘCH (Uniwersytet Lubelski)

W sytuacji, gdy notowania poszczególnych pisarzy na giełdzie podlegają nieustannej zmianie, gdy jedni ganią to, co drugim się podoba, trudno mówić o jakichś jednoznacznie czytelnych zasadach takiego postępowania, poza gestem i naciskiem bieżących okoliczności. Niemniej jako konsument dzieł literackich, a także z czysto zawodowej ciekawości (jestem historykiem literatury) przyglądam się wydarzeniom życia literackiego w kraju i na emigracji, dziwiąc się pewnym faktom, częściej jednak starając się je zrozumieć. Często bez skutku, bo niby dlaczego premiuje się średnie osiągnięcia pisarzy młodych (niedawny szum

wokół powieści P. Huelle „Weiser Dawidek"), a otacza milczeniem jedno z najwybitniejszych dzieł powieści powojennej. „Obłęd" Krzysztonia? Ograniczam się do ostatniej dekady. Otóż dokonała się w niej przede wszystkim rewindykacja dla literatury narodowej dzieł powstałych na emigracji, co miało także i ten skutek, że pewnych autorów i dzieła obdarzano nadmiernym kredytem zaufania, pragnąc niejako zrekompensować fakt ich dotyczasowej a wieloletniej nieobecności w kraju. Wina tego stanu rzeczy, który wciąż obowiązuje, tkwi w podziale literatury na krajową i emigracyjną, za co oczywiście żaden pisarz ani krytyk nie ponosi odpowiedzialności. Ponoszą ją ci, którzy zadecydowali o powojennym kształcie Europy środkowej, oni zaś, jak wiadomo, literaturą się nie zajmowali. Niemniej konstatując ten fakt, wypada oczekiwać, że z czasem, może już w najbliższej przyszłości, będą obowiązywały kryteria oddające sprawiedliwość dziełom z uwagi na ich rzeczywiste walory artystyczne i myślowe. Jak dotąd panuje tu duża wolność. Np. „Szkice piórkiem" Bobkowskiego uważam za książkę, którą każdy kulturalny człowiek w Polsce znać powinien, niemniej rozgłos jaki otacza tego pisarza, włącznie z innymi jego książkami, uważam za przesadzony. Nie rozumiem też, dlaczego w imię odrabiania zaległości udostępnia się czytelnikom w kraju wszystkie (!) dzieła Sergiusza Piaseckiego, o mocno wątpliwej wartości, a zapomina o książkach Danuty Mostwinowej, pozostających wciąż, mimo swej tradycyjnej formy, najbardziej rozległą panoramą życia Polaków na emigracji i w diasporze, dlaczego tzw. sprawa Józefa Mackiewicza wciąż przesłania jego dzieło, a należy ono z pewnością do najbardziej oryginalnych w literaturze powojennej, dlaczego „emigracyjne" powieści Stalińskiego *vel* Kisiela wzbudzają tylko dorywcze zainteresowanie, a zasługują niewątpliwie na więcej, dlaczego tak mało mówi się o dorobku emigracji w zakresie tłumaczeń, a Barańczak, rzeczywiście niezwykły, miał tu przecież grono znakomitych poprzedników w osobach Wieniewskiego, Wittlina, by nie wspomnieć o Miłoszu, który w tej dziedzinie, prawda, że wymagającej pewnych kompetencji, należy do pisarzy „niedocenianych" (jak dotąd np. jego przekłady Biblii oceniali wyłącznie specjaliści). Dlaczego...

Są to oczywiście tylko przykłady, sygnalizujące wagę zjawiska, które może niepokoić. W środowisku moich młodszych kolegów o pewnych pismach, np. „Zeszytach Literackich", nie wypada wręcz mówić źle, to samo dotyczy autorów i mocno się tu naraziłem nie podzielając zachwytów nad poezją Zagajewskiego, którego zresztą cenię. Z kolei powieści Zofii Romanowiczowej wciąż nie znalazły właściwego „przebicia" do czytelnika krajowego, niedoceniane też zresztą i poza krajem. Są to wszystko skutki wejścia na rynek dzieł *non-évalués*, z powodów

o których była mowa wyżej. Przechodząc zaś na teren krajowy wypada odnotować z uznaniem coraz częstszy fakt posługiwania się normalnymi kryteriami w ocenie dzieł, których jedynym tytułem do chwały była dotąd walka z reżimem komunistycznym. Z tych samych, politycznych powodów, dla których dzieła jednych są zdecydowanie przeceniane, np. Konwickiego, choć jego stanowisko w tej materii jest dla mnie wysoce dwuznaczne, drudzy są zepchnięci na margines, który otacza atmosfera niechęci, ba, odrazy nawet (Różewicz!, w czym upatruję jeden z bardziej uporczywych absurdów naszego życia literackiego). Jednocześnie nikt z rzekomych weredyków nie odczuwa potrzeby przypomnienia na szerszy użytek cennego dorobku pisarskiego z lat ostatniej wojny. Myślę tu o publicystyce konspiracyjnej, znanej wycinkowo, o dziennikach intelektualnych prowadzonych w tym czasie przez ludzi tak różnych, jak Wyka i Koniński, Bolesław Miciński i Elzenberg, o publicystyce i eseistyce uprawianej na wychodźstwie (Wańkowicz, A. Bocheński, W. Weintraub, Z. Broncell), o wielkim — jako całość — dorobku kulturalnym 2-go Korpusu i APW. Nawet o największych poetach tego czasu, jak Baczyński, pisze się albo rocznicowo albo w sposób jawnie akademicki.

Na koniec chciałbym się zabawić w przewidywanie. Ranga dzieł, które dziś cieszą się popularnością, np. dzienników, rzeczywistych lub urojonych (Andrzejewski, Tyrmand, Konwicki, A. Rudnicki, K. Brandys) będzie, podejrzewam, spadać. W to miejsce wejdzie publicystyka i eseistyka historyczna (J.M. Rymkiewicz, A. Kijowki, T. Łubieński) oraz socjologiczna (J. Strzelecki), esej na tematy kultury i sztuki (Z. Kubiak, M. Jastrun), słowem pisarstwo nie mieszczące się w kategoriach autobiografii (wyłączam przypadek Miłosza: „Rodzinna Europa", „Ziemia Ulro", „Rok myśliwego" jako klasę dla siebie). W ogóle z literatury b. PRL-u zostanie więcej, niż się nam często wydaje, Przede wszystkim literatura z ambicjami realistycznymi, mimo wiadomych ograniczeń zdradzająca ambitny zamysł zrozumienia tego fenomenu życia społecznego po wojnie i często właśnie ten zamiar maskująca. Nie były to jednak pozory i przyszły historiograf będzie miał do dyspozycji materiał ogromnie ciekawy, oby tylko umiał zeń skorzystać. Nie odważam się tu nawet na dawanie przykładów, powiem tylko, że w ów realistyczny zamiar włączam także reportaż (skrótowo: od Kuśmierka do Krall). Dalej pisarstwo „kresowe", ważne jako poszukiwanie zbiorowej tożsamości. Jeśli fantastyka, to albo w typie Parnickiego, albo *science fiction* Lema, włącznie z jego eseistyką, wysokiej doprawdy próby. Z literatury emigracyjnej pozostanie na czele hierarchii literackiej przede wszystkim to, co w konieczny sposób uzupełnia horyzont literatury krajowej (jak „Inny świat" Herlinga

— opowiadania oświęcimskie Borowskiego, Czarnyszewicz — „nurt wiejski" itd.). Odpadnie zaś ta część dorobku pozakrajowego, która wyrastała z postaw programowo opozycyjnych wobec Kraju, stawiając na izolację tych dwu układów.

LESZEK SZARUGA (Berlin)

I. Pisarze przeceniani, dzieła nadwartościowane:

1. Czesław MIŁOSZ, przede wszystkim jako poeta, gdyż bez wątpienia jego eseistyka zasługuje na szczególną uwagę. Spowodowane jest to przez splot czynników, z których najważniejsze to w kolejności chronologicznej: smak „zakazanego owocu" i „opozycyjność" (nadwartościowanie polityczne), zaspokojenie potrzeb polskiego sukcesu literackiego (Nagroda Nobla) oraz wyrosły na tej pożywce kult pisarza. Jest to bez wątpienia poeta — w skali światowej — wybitny, ale nierówny. W szczególności przeceniana jest jego powieść „Zdobycie władzy" — schematyczna, „z tezą", publicystyczna.

2. Zbigniew HERBERT, którego dzieło czytane jest „przez życiorys" i kontekst międzynarodowego sukcesu w pewnej mierze warunkowanego czynnikami pozaliterackimi. I tu należy podkreślić, że mamy do czynienia z pisarzem wybitnym, lecz jego poetycka ranga z pewnością nie dorównuje dokonaniom Wata, Mieczysława Jastruna, Ważyka, Twardowskiego, Różewicza czy Szymborskiej.

3. Józef MACKIEWICZ, prozaik z pewnością świetny (w szczególności jako autor „Drogi donikąd" i „Nie trzeba głośno mówić"), lecz nie wybitny, często przegadany, nasycony publicystyką. I znów: głos decydujący w wysokiej ocenie ma postawa polityczna i fama pisarza, którego komuniści bez dyskusji skazywali na niebyt.

4. Cały mit „pisarzy przeklętych", przede wszystkim pisarstwo Marka HŁASKI i Edwarda STACHURY — sentymentalna, często formalnie niezborna proza. Utwory nierzadko wtórne wobec propozycji literatury światowej, epatujące swą „egzotyką", w istocie intelektualnie miałkie.

II. Pisarze niedocenieni, dzieła nie dowartościowane:

1. Czesław MIŁOSZ, z uporem pomija się te jego rozważania, które są najistotniejsze w jego dziele — krytykę polszczyzny jako

materii lirycznej (najdobitniej wyrażona w tomie „Nieobjęta ziemia", także w „Prywatnych obowiązkach" oraz w „Świadectwie poezji"). Postulat „odnowienia" czy „przebudowy" języka polskiej poezji wracający w dziele Miłosza umyka bezkrytycznym wielbicielom jego twórczości.

2. Piotr WOJCIECHOWSKI, tworzący od lat świat prozy porównywalny z dokonaniem Faulknera, świetnie zbudowany, doskonale prowadzony narracyjnie, zaludniony rzeczywistymi bohaterami. Pisarz nie pasujący do dominujących w ostatnich latach w Polsce sporów wokół literatury (sporów o literaturę w zasadzie nie było), a tym samym skazany na „życie utajone".

3. „Obłęd" Jerzego KRZYSZTONIA — powieść , która co prawda wywołała żywy oddźwięk, ten jednak został stłumiony przez falę wydarzeń lat osiemdziesiątych. Utwór trafił w „zły czas", należy mu się przypomnienie tym bardziej, że jest to utwór — chyba jedyny — w pełni opisujący świat „Peerelu". Krytycy właściwie nie zrozumieli tej powieści.

5. Poezja Aleksandra WATA — dzieło właściwie wciąż jeszcze nie rozpoznane, czekające na interpretatorów. Interesujące zwłaszcza wydaje się jego zakorzenienie w nurtach awangardowych, także jego wielokulturowość, polifoniczność.

III. Uwaga ogólna:

Sądzę, że podobne ankiety są konieczne, jednakże w tym wypadku — w odniesieniu do współczesnej literatury polskiej — skazane są na płytkość. Nasza literatura wymaga zasadniczej przebudowy hierarchii, oczyszczenia z nalotów „polityki". Przewartościowania muszą sięgnąć bardzo głęboko, dotyczyć muszą właściwie całości pisarstwa tego stulecia. Kilka pokoleń nie miało szansy określenia swego stosunku do krajanej i przystosowywanej do doraźnych potrzeb tradycji. Przez pół wieku nie powstawały kolejne generacyjne przewartościowania całości dziejów, w tym także dziejów literatury. W szumie politycznych i ideologicznych sporów znikają z pola widzenia dzieła tak ważne, jak „Pałuba" Karola IRZYKOWSKIEGO. Czyta się literaturę przez postawy autorów, często eliminując tym samym szanse zrozumienia tekstu. W naszej krytyce poszczególni autorzy i poszczególne teksty istnieją osobno. Już dawno rozbite zostało pole znaczeniowe literatury narodowej. Bez wątpienia podobne rozpoznania, jakie proponuje *Kultura*, są pomocne, jednakże nie zastąpią spójnych i całościowych syntez autorskich. Statystyka nie może triumfować tam, gdzie głos decydujący winna mieć osobowość badacza czy krytyka.

ROBERT TEKIELI (*brulion*, pismo nosem, Kraków)

Nie będzie o dziełach i pisarzach, bardziej o zjawiskach:

Zdecydowanie przeceniona jest tak zwana literatura wysoka. Wielu piszącym wydaje się, iż wystarczy słowa ubrać w „wysoki kostium" (co zwykle oznacza zawężenie tematyczne do „poważnych", „wysokich", „kulturalnych" tematów oraz użycie którejś z klisz estetycznych). Niestety okazuje się, że nie wszystkie „kulturalne" teksty rozbite na wersy to wiersze, a co gorsza, operujących fikcją opowiadań-opowiadań (to tylko przykład), po prostu nie da się czytać. Niczego to nie wnosi i nie interesuje nikogo poza tysiącosobową grupką piszących.

(Oczywiście istnieją wartościowe teksty odbierane jako „literatura wysoka", Myślę np. o Haupcie, Leo Lipskim, może Idzie Fink, może trochę z Józefa Mackiewicza).

Niedoceniana za to jest poezja ulicy (graffiti), w której znajduję więcej prawdy o emocjach i umysłach mieszkających w tym kraju ludzi niż w nieomal całej poezji i prozie ostatnich lat. Graffiti (*pars pro toto* alternatywnych aktywności) wypełnia podstawową dla kultury funkcję oswajania rzeczywistości.

Zdecydowanie przeceniona, z powodów pozaartystycznych, jest cała praktycznie twórczość oryginalna Nowej Fali (poza wczesnymi Barańczakiem i Krynickim z końca lat 70-tych), jak i reszta *literatury politycznie użytecznej* (najpierw pro-, później „antykomunistycznie"). Myślę o takich nurtach literatury politycznie użytecznej, które reprezentowane są przez np. Herberta, Szczypiorskiego czy Polkowskiego.

Niedoceniona jest zaś (to również przykład) twórczość oraz inspirująca rola gdańskiej grupy poetyckiej „Zlali mi się do środka". Przynajmniej jeden z tych poetów nosi znamiona genialności (Lopez Mausere).

Uznanym twórcom kultury trudno się przyznać (zrozumieć), że twórczość przeniosła się w inne niż „literatura wysoka" rejony. Pytanie dokąd. Kto szuka, ten znajdzie.

JAN TOMKOWSKI (IBL PAN, Warszawa)

Minione trzy lata wprowadziły do obrazu polskiej literatury XX wieku pewne korekty — w moim przekonaniu zresztą nie dość głębokie. Ciągle „do odzyskania" pozostaje proza okresu mię-

dzywojennego, oceniana zwykle przez pryzmat utworów takich jak „Przedwiośnie" czy „Granica". Odkryliśmy już Gombrowicza, Schulza, Witkacego. Gdyby postawić obok nich choćby rewelacyjnego „Adama Grywałda" czy zapomnianą kompletnie „Przeklętą Wenecję" Straszewicza, powstałby może nieco inny wizerunek polskiej powieści — mniej zaściankowy, bardziej europejski, zbieżny z poszukiwaniami literatury współczesnej.

Wśród utworów powojennych przewartościowań mamy znacznie więcej. Sądzę, że oberwujemy dewaluację znaczenia formacji, której twórczość związana była ściśle z dziejami PRL. Mam na myśli pisarzy takich jak choćby Jerzy Andrzejewski, Kazimierz Brandys, Tadeusz Różewicz. W mniejszym stopniu dotyczy to Iwaszkiewicza, który kiedyś mocno przeceniany, jest obecnie autorem wręcz niedocenianym. Jego książki wyrzuca się po prostu z bibliotek, co wydaje mi się faktem godnym pożałowania. Pewni głośni dzięki *mass mediom* autorzy dziś przestali się liczyć jako pisarze, ale tego akurat nie żałuję. Czas usuwa zwykle w cień sezonowe i koniunkturalne sławy.

Niepokoi natomiast coraz silniejszy rozdźwięk między wysokimi ocenami krytyków czy historyków literatury a kompletnym brakiem zainteresowania ze strony czytelników. Klasycznym tego przykładem jest rynkowa klęska eseistyki Jerzego Stempowskiego, czy powieści Leopolda Buczkowskiego. Martwi mnie, że z lektur szkolnych i akademickich znika Grochowiak, wypierany przez falangę poślednich wierszopisów. Hańbą dla polskiego księgarstwa jest nieobecność na rynku poezji Herberta oraz „Rozmów" i „Ulicy Mandelsztama" Jarosława Marka Rymkiewicza. Niedoceniona pozostaje znakomita proza Haupta i Bobkowskiego, Leo Lipskiego odczytuje się wyłącznie w kontekście „literatury łagrowej", co jest nieporozumieniem.

W ostatnim okresie zrobiono więcej dla zapełnienia „białych plam" niż oceny dorobku literatury polskiej ostatniej dekady. Majaczenie o „czarnych dziurach" nie zastąpi, niestety, lektur, studiów, przyczynków, a zwłaszcza syntez. I to też jest zadanie dla ambitnego krytyka, o ile taki by się narodził.

JAN WALC (IBL PAN, Warszawa)

Hierarchia literckich wartości, podobnie zresztą jak i inne hierarchie, leży w gruzach. Dawnej już nie ma, bądź nie można jej traktować serio, w budowaniu nowej nie ma co liczyć na przyspieszenie. To musi potrwać.

Na skutek tego wszystkiego mamy dwie różne zupełnie grupy pisarzy przecenianych: z jednej strony jest to literatura emigracyjna, którą się wszyscy zachłystują ponad miarę, ciągle nie mogąc do końca odreagować lat szmuglowania książek czy wydawania ich na podziemnych powielaczach. Druga strona tego samego medalu to kłopoty z powiedzeniem sobie prawdy o literaturze PRLu, obstawanie przy przekonaniu o wielkości Iwaszkiewicza, Różewicza czy Kazimierza Brandysa.

Najbardziej zaś niedoceniana jest dobra literatura posługująca się tradycyjnymi środkami wyrazu, czy to w poezji czy w prozie, literatura tak niegdyś dla polskiej inteligencji ważna: Tuwim, Berent, Strug i — oczywiście — Stefan Żeromski.

KOMENTARZ DO ANKIETY „KULTURY"

Ankiety poświęcone pisarzom i ich dziełom mają długą tradycję. Przed wojną można je było odnaleźć niemal w każdym tygodniku w postaci pytań o najciekawszą książkę roku, czy o kandydatów do Polskiej Akademii Literatury. Także po wojnie niemal każde pismo literackie organizowało co pewien czas ankiety — z najbardziej znanych dość wymienić te, które publikował londyński tygodnik *Wiadomości*.

Ale rodzajem ankiet są także wszystkie konkursy, nagrody, plebiscyty, a nawet zwykłe redakcyjne i wydawnicze decyzje dotyczące publikacji lub odrzucenia konkretnych utworów. We wszystkich tych przypadkach chodzi wszak o ocenę, o określenie wartości pojedynczych dzieł i dorobku pisarzy.

Rzecz jasna, w państwach totalitarnych cała ta kolekcja premii literackich jest częścią propagandy i ideologii, ale szczęśliwie Polska ma ten etap za sobą i nie ma potrzeby go tu analizować.

Jednakże niezależnie od sposobów formułowania ocen jest oczywiste, że w wartościowaniu literatury (a raczej sztuki) niekwestionowalna jest tylko jedna zasada: *de gustibus et coloribus non est disputandum*. Paradoksalnie jednak, im bardziej zgadzamy się na powszechność tej zasady, tym chętniej i tym częściej wydajemy sądy wartościujące. Bez wartościowania komunikacja ludzka byłaby tylko nudną — i na szczęście niemożliwą do zrealizowania — wymianą informacji.

Ankieta jest szczególnym rodzajem wartościowania literatury. Nie krępują jej bowiem żadne racje nadrzędne (np. wydanie

utworu, napisanie dysertacji, przyznanie nagrody, etc.), jest bowiem wyłącznie bezinteresownym wyrazem subiektywnych gustów, ocen, preferencji. Jednak zbiorem choćby najbardziej subiektywnych wypowiedzi rządzi też statystyka: powtarzają się tytuły, nazwiska, argumenty. Z indywidualnych fobii, uprzedzeń, pasji lub fascynacji wyłania się niespodziewanie ich społeczne zakorzenienie.

Szczególność ankiety polega także na tym, że stawia jej uczestników wobec konieczności najprostszych i najbardziej elementarnych pytań: „lubisz — nie lubisz?", „cenisz — nie cenisz?", „polecasz — nie polecasz?". Ankieta przywraca więc wartościowaniu jego wymiar najbardziej osobisty i bezpośredni — konwersacyjny i, by tak rzecz, powszechny i powszedni.

Tego, co wprost napisali uczestnicy tej ankiety, nie ma potrzeby komentować. Kilka słów zatem o trudnościach, z jakimi przychodzi im się zmierzyć.

Mówiąc o dziełach i nazwiskach w naszej literaturze „przecenianych" lub „niedocenianych", uczestnicy ankiety mogą posługiwać się różnymi kryteriami.

Najbardziej chwytne zdają się być kryteria empiryczne: liczba wydań, ilość miejsca poświęconego pisarzowi w podręcznikach szkolnych i uniwersyteckich, encyklopediach i słownikach, a wreszcie ilość publikacji krytycznych: dysertacji, książek, artykułów, recenzji — niekiedy nawet audycji radiowych, filmów oświatowych, czy po prostu nagród. Pisarz „doceniony", to po prostu ten, którego książki stale istnieją na rynku czytelniczym. Ale jest oczywiste, że kryterium to, naturalne np. we Francji, w Polsce okazuje się zawodne.

Bliskie temu stanowisku jest przekonanie, że pisarz „doceniony" to tyle, co pisarz powszechnie znany, a „niedoceniony" to pisarz nieznany, czyli autor dzieł nie zauważanych — już lub jeszcze.

Kryteria te mają wszak swoich przeciwników — nie o ilość publikacji chodzi, mówią niektórzy krytycy, lecz o jakość recepcji. „Doceniony" jest nie ten pisarz, którego książki ukazują się w milionowych nakładach i tłumaczeniach na wiele języków, lecz ten, który jest najgłębiej i najwłaściwiej zrozumiany. Wybitny pisarz — taki jest sens tego poglądu — może być wszak samotny i zapoznany w tłumie wypowiedzi na temat swoich utworów.

Ale i to kryterium ma swoich przeciwników; „przeceniani" pisarze — mówi się w tej ankiecie — to właśnie ci, którzy mają swoich dogłębnych znawców, poświęcających cały swój czas, wiedzę i inteligencję na odkrywanie kolejnych tajemnic twórczości swego ulubionego pisarza. Albowiem krytycy właściwie „doceniając" osiągnięcia pisarza, tym samym je... „przeceniają".

Paradoksalnie więc żaden pisarz nigdy nie może być ani „doceniony", ani „przeceniony". Logika bardzo gombrowiczowska.

Na koniec kilka słów o kontekście historycznym, zapewne najważniejszym w całej tej ankiecie. Pytania o rzeczywiste wartości współczesnej literatury polskiej są nie tylko naturalnym aktem przewartościowań w kulturze. Jest w nich także niepokój i próba diagnozy: na ile podział literatury na krajową i emigracyjną (i wieloletni brak dostępu czytelników krajowych do tej ostatniej), na ile wieloletnie fałszowanie przez komunistów przeszłości oraz nienormalne — we wszystkich wymiarach — mechanizmy życia społecznego w kraju zdeformowały zdolność naszego krytycznego sądzenia? Czy rzeczywiście nasze hierarchie artystyczne były budowane na solidnych podstawach?, czy nie grozi im taki sam los, jak i całej rzeczywistości PRLu?, czy uciekając od manipulacji państwa komunistycznego, sami — czytelnicy i pisarze — nie wmanipulowali się w jakąś inną formę nieautentycznych ocen i wartości? Jednym słowem, chciałoby się powtórzyć za Norwidem (ale tylko za Norwidem):

Czy popiół tylko zostanie i zamęt,
Co idzie w przepaść z burzą? — czy zostanie
Na dnie popiołu gwiaździsty dyjament.

Jakakolwiek będzie odpowiedź, ankieta jest tylko ankietą: jedni powiedzą, że nareszcie pomaga odróżnić „dyjamenty" od „popiołów", inni — że sama jest najlepszym dowodem fałszywego przeceniania i niedoceniania. I o to właśnie chodzi: nie ma wartości bez rozmowy o wartościach.

Włodzimierz BOLECKI

Powrót „Śród Literackich"

Trzeciego czerwca, po dokładnie pięćdziesięciu trzech latach przerwy, odbyła się w Wilnie trzysta siedemdziesiąta druga „Środa Literacka".

O historii tych spotkań, będących ważnym zjawiskiem w codziennym życiu kulturalnym przedwojennego Wilna, można było przeczytać w lipcowo-sierpniowym numerze *Kultury* z 1991 r. Redakcja opatrzyła artykuł na temat „Śród" dopiskiem: „A może pomyśleć o ich wznowieniu?".

Kilka osób w kraju — autorka tekstu, Jagoda Hernik-Spalińska, Jerzy Timoszewicz — redaktor *Pamiętnika Teatralnego*, Jacek Borkowicz — publicysta i Marek Karp — dyrektor warszawskiego Ośrodka Studiów Wschodnich, uznało te słowa za obligujące. Zapadła decyzja o próbie reaktywowania wileńskich „Śród Literackich" dokładnie w tym samym miejscu, w którym odbywały się one przed wojną, czyli w tzw. „celi Konrada", w murach pobazyliańskich, obok Ostrej Bramy.

Na jesieni roku ubiegłego udało się tą ideą zainteresować przedstawicieli środowisk kulturalnych Wilna: ministra kultury — Dariusa Kuolysa, historyka, przewodniczącego „Sajudisu" — Juozasa Tumelisa, prezesa Związku Literatów Litewskich — Vytautasa Martinkusa, reżysera Jonasa Vaikusa (znanego w Polsce m.in. z inscenizacji „Dziadów"). Udało się też zdobyć poparcie i obietnicę finansowego wsparcia od Fundacji im. Stefana Batorego. Pierwszą osobą, która przekazała pieniądze na organizację „Śród", był redaktor Jerzy Giedroyc.

Idea wznowienia „Śród" uzyskała też poparcie Czesława Miłosza. Termin jego przyjazdu na Litwę, który przypadkowo zbiegł się z rocznicą ostatniej „Środy", wyznaczył moment inauguracji tych spotkań.

Zasadniczy problem stanowiło uzyskanie dostępu do samej „celi Konrada", w której mieścił się magazyn biblioteki Politechniki Wileńskiej. Rektor uczelni, Edmundas Zavadskas, przychylnie nastawiony do pomysłu reaktywowania „Śród", miał wielkie trudności ze znalezieniem nowego pomieszczenia dla biblioteki, którego organizatorzy „Śród" ze zrozumiałych względów nie byli w stanie zapewnić. Rozwiązanie problemu utrudniała dodatkowo zbliżająca się sesja, w czasie której studenci szczególnie chętnie korzystają z książek. Pomocy udzielił wówczas prezydent Landsbergis. Do zakurzonego magazynu wkroczyły ekipy malarzy i sprzątaczek, przy przygotowaniu „celi" na środowe spotkanie bardzo pomogły pracownice biblioteki.

Od 21 maja przebywał w Wilnie Jacek Borkowicz, który koordynował prace i uzgadniał z Litwinami formułę spotkania. Było to poruszanie się po dość cienkiej granicy: z jednej strony rola pomysłodawców narzucała konieczność inicjatywy, z drugiej strony należało pamiętać o statusie gościa. Jak zwykle w takich sytuacjach, kończyło się na przekraczaniu tej granicy w obie strony, czyli albo ingerowaniu w sprawy zastrzeżone dla strony litewskiej, albo zaniedbywaniu własnych możliwości.

Przyjęto zasadę, że na spotkania środowe gości z Litwy zapraszają Litwini, gości z Polski — Polacy z kraju. Wśród tych drugich, obok innych wybitnych gości, znaleźli się uczestnicy „Śród" przedwojennych: Irena Byrska, która mimo przekroczonych

90-ciu lat postanowiła odwiedzić miasto nie widziane od 1937 r., prof. Irena Sławińska, która występowała na „Środach" zarówno jako słuchacz jak i jako gość, Stanisław Stomma oraz Agnieszka Hulewicz Feill, córka Witolda Hulewicza, twórcy środowych spotkań.

Wreszcie w pierwszą czerwcową środę, wieczorem, odnowioną „celę Konrada" wypełnili goście: pisarze, krytycy, poeci, ludzie kultury, nauki i polityki z obydwu krajów.

Spotkanie otworzył minister Kuolys razem z przedstawicielem polskiej części Komitetu oraz przewodniczącym Martinkusem. Głos zabrał również Juozas Tumelis i pani Halina Kobeckaite, przewodnicząca parlamentarnej komisji ds. mniejszości narodowych.

Czesław Miłosz, gość honorowy, który w tym miejscu ongiś buntowniczo występował przeciwko skostniałej „tradycji narodowej", sprzeciwił się tym razem, już w pierwszym zdaniu, rozpowszechnionemu wśród Polaków stosunkowi do Wilna, od którego „Litwinom robi się niedobrze". Rodzaj związku jaki łączy Czesława Miłosza z Wilnem wynika z jego pojmowania czasu. Nie jest to romantyczno-nostalgiczna eksploatacja mitu „polskiego Wilna", lecz poszukiwanie czasu młodości, miejsca i ludzi, którzy z tym miastem się łączą. Kulminacją tych rozważań był wiersz, który poeta odczytał. Czesław Miłosz wspomniał również obszernie o bogatym życiu literackim Żydów w Wilnie przedwojennym (nb. na wieczorze obecni byli dwaj wileńscy pisarze żydowscy). W dyskusji zabrzmiały ciekawe głosy, między innymi posłanki Józefy Hennelowej i Ireny Byrskiej.

Oficjalna atmosfera (która rozluźniła się trochę podczas dyskusji), obecność ekip filmowych i telewizyjnych mało przypominała familiarne spotkania przedwojenne. Trudno jednak było w tym wypadku uciec od pompy, bowiem to inauguracyjne spotkanie zawierało jeszcze jeden, bardzo ważny element. Prezydent Vytautas Landsbergis dokonał w „celi Konrada", w obecności gości środowych, uroczystego wręczenia aktu honorowego obywatelstwa Litwy Czesławowi Miłoszowi.

Przykrym zgrzytem i niewątpliwym brakiem tego spotkania była nieobecność polskich literatów mieszkających w Wilnie. Do niektórych osób, jak np. pani Alicji Rybałko, nie dotarły zaproszenia. Z tymi przedstawicielami Polaków litewskich, których zabrakło na „Środzie", była okazja spotkać się w ambasadzie polskiej (położonej w tym samym kompleksie budynków), do której ambasador Jan Widacki zaprosił środowych gości na lampkę wina.

Już następnego dnia rano, przed odjazdem autokaru z polskimi gośćmi, w siedzibie Związku Literatów Litewskich zebrał

się Komitet Organizacyjny „Śród Literackich". Wchodzą do niego — poza polską czwórką — minister Kuolys, pan Juozas Tumelis, pan Martinkus oraz jego zastępca Petras Dirgela. Zaproszenie do udziału w pracach tej grupy przyjął też, obecny na inauguracyjnej „Środzie", prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Andrzej Braun.

Ustalono plany najbliższych spotkań w lipcu i we wrześniu. W ten sposób, bez podpisywania dwustronnych deklaracji, rozpoczęły się wspólne działania. Oby jak najwięcej osób chciało się do nich przyłączyć.

Jagoda HERNIK-SPALIŃSKA
Jacek BORKOWICZ

Festiwal Europy Środkowej w Paryżu

18 DO 25 MAJA 1992

Na jaką skalę było to wydarzenie? W każdym razie nie na taką, by codziennie pisały o nim gazety. Zaproszenia rozsyłano szeroko. Ładnie wydrukowane, z mapkami pokazującymi, gdzie leży owa Europa Środkowa; z informacjami i innymi mapkami precyzyjnie informującymi, gdzie, co i kiedy się odbędzie. Pod tymi barwnymi zaproszeniami podpisywała się *Association Le Pont Neuf* — główny organizator „tygodnia naszej obecności" nad Sekwaną.

Stowarzyszenie powstało w maju 1990 roku. Założyła je pani Bernadette Chirac (żona mera Paryża) po to, by „tworzyć i podtrzymywać więzy przyjaźni pomiędzy młodzieżą krajów Europy Środkowej i młodzieżą francuską". Z tego założenia wynika konkretne działanie Stowarzyszenia. Organizuje ono wymianę młodzieży: bądź między rodzinami i szkołami, bądź na płaszczyźnie zawodowej. Także staże studenckie i kulturalne dla tysiąca młodych. *Le Pont Neuf* przyznaje ponadto stypendia medyczne i językowe osobom władającym trochę językiem francuskim. Mnożenie staży i stypendiów mieści się w ramach tak promowanej przez władze francuskie „frankofonii" — chodzi w skrócie o ochronę języka fancuskiego i rozpowszechnianie go, tak jak i nowoczesnego obrazu Francji. Na miejscu, czyli we Francji, głównie w Paryżu, Stowarzyszenie organizuje wiele imprez i spotkań kulturalnych, by „uwrażliwić Francuzów, szczególnie zaś młodzież, na kulturę tej innej Europy".

Festiwal Europy Środkowej był bodaj największą manifestacją kultury Czecho-Słowacji, Polski i Węgier. W zorganizowaniu go współpracowały ze Stowarzyszeniem ambasady, Instytut Polski i Węgierski (Czesi nie mają w Paryżu takiej placówki), Księgarnia Polska, spółka Gaumont, Videoteka miasta Paryż, Auditorium des Halles, Dom Poezji, teatr Mouffetard itd. itd. Jak widzimy, zaangażowanie było spore.

Otwarcie odbyło się w poniedziałek 18 maja w Videotece miasta Paryża w Hallach. Sala ładna, obstawiona policją — oczekują mer Paryża i ambasadorzy. Przychodzimy wcześniej, bo dyrektor Instytutu Polskiego, Bogusław Sonik, życzliwie informował, że będą tłumy i może być kiepsko z miejscami. Popularność Festiwalu jeszcze przed rozpoczęciem była spora, stąd wyścig o otrzymanie zaproszenia. Zajmujemy grupowo trzeci rząd. Z przodu ekran, z tyłu dwa rzędy (piąty i szósty) zarezerwowane — dla „najważniejszych" tego spotkania DWU EUROP... Wychodzimy na papierosa. Wracamy i widzimy: wielcy są. Jacques Chirac z małżonką, ambasador Łukaszewski i jego odpowiednicy z innych państw Europy Środkowej. Nieco dalej kilku paryskich merów i podpora Rozgłośni Wolna Europa, Maciej Morawski... Wreszcie gaśnie światło. Festiwal się zaczyna. Mój sąsiad (francuski dziennikarz) szepcze mi do ucha, że musi kiedyś napisać esej na temat gaśnięcia światła w zbliżeniach międzynarodowych, bo do tej pory właściwie światło grało tylko przy zbliżeniach personalnych dwojga płci. Wątku nie rozwijamy, bo na ekranie pojawia się rubaszna twarz naszego Prezydenta. Prezydent wypytywany jest okolicznościowo, czyli na temat oceny i wsparcia rozpoczynającego się Festiwalu. Po swojemu podkreśla zasługi mera Paryża i jego Małżonki oraz aby podnieść je do rangi zaiste najwyższej oświadcza, że pan Jacques Chirac jest tak samo znany w Polsce „jak ON SAM". Przy okazji wspomina, jak mile przyjmowany był w paryskim merostwie. Po czym oklaski i widzimy na ekranie twarz węgierskiego przywódcy Antala. W tle piękne zdjęcie urokliwych budapesztańskich mostów. Prezydent opowiada o więzach historycznych łączących Francję i Węgry.

W tym kontekście nasza łączność z nadsekwańską stolicą datowała się zaiste od obiadu pana Wałęsy z panem Chirac'iem. Potem zapaliło się światło. Prezydent Havel nie pojawił się na ekranie. Za to przed ekranem; przy mikrofonie, Jacques Chirac, który przeprosił w imieniu prezydenta Havla za to, że był nieobecny na ekranie (spowodowały to zbliżające się wybory), po czym mówił o więzach nas łączących, o znaczeniu tego typu spotkań dla przyszłości Europy i wzajemnych relacji między starą i nową odzyskaną Europą.

Po raz kolejny zgasło światło — zaczął się film Krzysztofa Talczewskiego (wyprodukowany dzięki Gaumont), z serii „Mittel-Europa". Dokument pokazujący przemiany, które dokonały się na

wschód od berlińskiego muru w latach 1953-1990: Czecho-Słowacja, Bułgaria, Rumunia, Niemcy, Jugosławia, Polska. Spokojny dokument, bez histerii, o czołgach i rodzącej się nadziei. Jej spełnianiu...

— A wiesz, że czołgi w Pradze były o wiele lepiej pokazane w filmie „Nieznośna lekkość bytu" (według Kundery)...

— Może...

— Wiesz, ten Talczewski za słabo uwydatnił znaczenie Solidarności w tym co się stało. Za mało emocjonalnie...

— Może...

— Przecież nasza rola i to co zrobiliśmy obaliło berliński mur i komunizm.

Takie rozmowy towarzyszyły nam na koktajlu kończącym tę część otwarcia Festiwalu. Po kanapeczkach i szampanie (wybornym), kiedy to mieszały się języki słowiańskie z francuskim oraz łączyły w jeden francuski, przy przedstawianiu się merowi Paryża; potem rozpoczęła się druga część wieczoru. Projekcja filmów krótkometrażowych: czeskich, słowackich, węgierskich i polskich. Wielu wybierało salę węgierską, bo były tylko dwa krótkie filmy. Inni polską, wabieni takimi nazwiskami jak Wajda, Kieślowski, Zanussi, Skolimowski, Polański (Dwoje ludzi z szafą).

We wtorek, w paryskim Domu Poezji, wiersze poetów czeskich, słowackich, węgierskich i polskich — w tłumaczeniu na język francuski. Recytował je Michael Lonsdale. W jego to wydaniu słuchaliśmy Miłosza, Herberta i Różewicza.

W dzień później w Maison du Geste et l'Image projekcja filmu o Witoldzie Gombrowiczu, zrealizowanego przez Andrzeja Wolskiego. Równocześnie otwarcie Targów Książki Europy Środkowej, przy Bd. St. Germain. Gościnna Księgarnia rozproszyła polskie dzieła po obrzeżach ustępując pierwszeństwa gościom. Nade wszystko Kunderze i Hrabalowi. Niezależnie od Księgarni moda na Czechów od pewnego czasu opanowała Paryż. W pięciu bodaj muzeach i galeriach (liczących się) triumfuje czeski kubizm.

Nasz polski udział w Festiwalu Europy Środkowej najbardziej, chyba, naznaczył udział JAZZU znad Wisły. Jakby zbiegły się dwa festiwale, ten europejski i II Festiwal Jazzu Polskiego nad Sekwaną. Pierwszy odbył się rok temu, z inicjatywy Instytutu Polskiego. Wtedy to nowy jeszcze wówczas dyrektor, Sonik, zauważył że polski znakomity jazz, znany w Skandynawii, Niemczech i Stanach Zjednoczonych — we Francji jest praktycznie nieznany. Rok temu koncerty odbywały się tylko w Instytucie Polskim. Teraz, dzięki *Le Pont Neuf*, polski jazz wszedł głęboko w Paryż. Koncert inauguracyjny, w ramach Festiwalu odbył się w jednej z ważniejszych sal, w Audytorium des Halles. Grali Artur Dutkiewicz, Tomasz Szukalski, Krzesimir Dębski, Wojciech Karolak, Janusz Stefański, Beale Street Band (grupa Dixiland). Na drugi koncert, poza Instytutem, w Passage Nord-Quest przybyli Zbigniew Namysłowski, Witold Rek, Kuba Stankiewicz. Oba koncerty poświęcone były pamięci Krzysztofa Komedy.

Tydzień Europy Środkowej zakończył „wielki bal cygański" w merostwie trzynastej dzielnicy Paryża. Skończyło się koło drugiej w nocy. Część uczestników balu udała się do wspomnianego już Passage Nord-Quest, na trwający koncert jazzowy. Grali tam polscy jazzmani oraz zakochany od roku w polskim jazzie i jego wykonawcach Alain Brunet, dyrektor gabinetu ministra edukacji narodowej i kultury Jacka Langa. Prywatnie, poza ministerialnymi zajęciami Alain Brunet jest także jazzmanem.

Na pewno nie opisałam wszystkich imprez Festiwalu, choćby z tego powodu, że nie we wszystkich mogłam wziąć udział. Niewiele mogę na przykład powiedzieć o tak ważnym spotkaniu 550-set młodych przybyłych z Polski, Czecho-Słowacji i Węgier z dwoma tysiącami ich równolatków z tej strony Europy. Wspólnie brali udział w III Spotkaniach Artystycznych Młodzieży Europejskiej. Wspólnie debatowali wokół tematu: „Bajki (opowieści), mity i legendy". Ponad wszelką wątpliwość mogę jednak stwierdzić, że wszystkie imprezy, spotkania, na których byłam, bądź o których mi opowiadano, cieszyły się, nazwijmy to, „wielką frekwencją".

Jak ocenia ten festiwalowy tydzień dyrektor polskiego Instytutu Bogusław Sonik? Rozmawialiśmy na ten temat dość długo, w kontekście pracy i znaczenia oraz możliwości Instytutu Polskiego, czy w ogóle instytutów tego typu na Zachodzie.

Na początku — opowiada Sonik — szukaliśmy wspólnej formuły. Czegoś, co może pogodzić wszystkie trzy kraje. Francuscy organizatorzy chcieli, żeby to był jakiś film przedpremierowy. Dość trudno jednak było znaleźć taki, który podobałby się wszystkim.

W końcu Sonik wpadł na pomysł, żeby pokazać film Talczewskiego o Europie Środkowej, „który każdemu oddawał co jego". Gaumont udostępniło kopię.

— Generalnie — podkreśla Sonik — chodziło w tym Festiwalu o to, żeby wyjść z naszych tradycyjnie nam przypisanych miejsc. Każde wyjście poza nasze mury, przyciągnięcie nowej publiczności, jest ożywieniem, koniecznym w naszej pracy. Przecież ci ludzie, potem, trafiają do naszych ośrodków, bo zainteresowali się takim czy innym aspektem „tego" kulturalnego życia. W sumie, Festiwal był dużym wydarzeniem w życiu Paryża.

Maria de HERNANDEZ-PALUCH

Ci, co odeszli

Juliana Krzyżanowskiego żywot i sprawy

1.

Podejmując próbę pisania o Julianie Krzyżanowskim, gdy oto mija stulecie jego urodzin, aż się prosi, by — co właśnie czynię — sparafrazować tytuł jego prześlicznej książki o Sienkiewiczu, książki może najlepiej oddającej cechy osobowości jej autora, który nigdy nie uległ modzie lekceważenia biografii pisarza, chociaż był historykiem nade wszystko, jak to zwał, *sztuki słowa*, toteż książki wysoce charakterystycznej pośród niespełna piętnastu centurii bibliograficznie uchwytnych jednostek puścizny tego niepożytego badacza literatury, słusznie z racji wszechstronności porównywanego wyłącznie z Aleksandrem Brücknerem.

Umyślnie posłużyłem się okresem retorycznym, tylko bowiem za pomocą tej sztuczki mogę w przybliżeniu dać tu wyobrażenie, jaką miały intonację wykłady autora *Dziejów literatury od początków do czasów najnowszych* i *Nauki o literaturze*; nie bez kozery też użyłem kilku jego ulubionych wyrażeń wziętych ze staropolszczyzny i o wiele poprawniejszych niż ich unowocześnienia: „spuścizna" lub „niespożyty"!

Synem był Rzeszowszczyzny i w sposobie mówienia zachował lekki akcent tamtych stron. Od klasy czwartej, czyli od roku 1906, uczył się w Sanoku, miasteczku — jak opowiada Franciszek Bielak, za mało znany polonista i pamiętnikarz — mającym podówczas „siedem tysięcy mieszkańców i ośmiuset uczniów w klasycznym gimnazjum". Julian Krzyżanowski już wtedy przeczytał był wszystkie dostępne mu podręczniki historii literatury polskiej i — piętnastolatek — rozpoczął (ku rozbawieniu kolegów) opracowywanie tejże historii po swojemu. Tak też w największym skrócie można rzec o całym osiemdziesięcioczteroletnim życiu: solidne podstawy klasycznego wykształcenia i namiętne, jedyne w swoim rodzaju, oddanie się literaturze ojczystej — pisanej i ustnej. Gdy się wczytać w jego wspominkarskie dygresje, nawet niepodległościowe organizacje młodzieżowe bywały mu podnietą nie do polityki, którą dość mało chciał rozumieć, lecz jedynie do pożyczania i wchłaniania książek z gromadzonych tu księgozbiorów. Czytał zawsze nie jednostronnie zapewne, lecz do pewnego stopnia stronniczo: stąd obycie z filozofią na przykład miał uderzająco powierzchowne. Polskie to i głęboko osadzone w naszej kulturze ziemiańskiej: zdrowy rozsądek, poparty życzliwą obserwacją natury, też prowadzi ostatecznie do umiłowania mądrości. Cóż dopiero gdy się szaleńczo jest zakochanym: oczywiście w literaturze, „która — staje się sumieniem życia." (Cytat ten powtarzam za jedną z doskonałych pochwał Zdzisława Libery). Różne znów — wyrażając się językiem baroku polskiego — „naturalne inklinacye, pobudki i okazye rozkosznych błędów i obłędliwych rozkoszy" także znał, rozumiał i doceniał lepiej, bo nieobce mu były i średniowieczne *cantilenae inhonestae*, i cały późniejszy europejski folklor, i z młodzieńczych lat zapamiętane dowcipy plebańskie, których się dowoli nasłuchał od gości swego rodzonego stryja, kanonika Juliana Krzyżanowskiego z Kosiny pod Łańcutem. Pani Zofia Krzyżanowska, trzecia żona profesora, raz nawet specjalnie przybyła na odczyt swego męża w Towarzystwie im. Mickiewicza, by publicznie go w dyskusji o Joannie-papieżycy zapytać, czemu się takimi „świństwami" zajmuje?!

2.

Studiował w Uniwersytecie Jagiellońskim w okresie wyjątkowego urodzaju polonistyki: równolatkiem był Franciszka Bielaka, Jana Stanisława Bystronia, Leona Płoszewskiego; trochę młodszym kolegą Wacława Borowego, nieco starszym Zofii Gąsiorowskiej (późniejszej Szmydtowej). Uważał się za ucznia Stanisława Windakiewicza, ale żyłkę miał i do językoznawstwa: rozważał możliwość doktoryzowania się pod ferulą Jana Łosia. Mniej niż inni wtedy jego rówieśnicy odwracał się od książek Stanisława Tarnowskiego — i miał słuszność. Zdążył jeszcze zaczepić o ostatnie lata wykładów germanistów Wilhelma Creizenacha: wielki ten uczony i przesympatyczny człowiek nie mógł nań nie oddziałać. Swego rodzaju nowością uniwersytecką był Roman Dyboski, profesor tak niewiele tymi czasy starszy od swych słuchaczy, że chociaż mentor, to głównie kompan; jego oddziaływanie sprawiło, iż w pokoleniu rozpoczynającym swoje studia w Krakowie po roku 1908 obok oczywistych związków z

niemczyzną, obok nieodzownej romańszczyzny przyszła chęć i moda nie na samo czytanie, lecz i mówienie po angielsku.

Julian Krzyżanowski podczas uniwersyteckich seminariów dał poznać swoją nieprzeciętność, ale i naukową zaczepliwość; może właśnie z tej drugiej przyczyny w Kraków się ani trochę nie wżył. Towarzysko był nie tylko układny, lecz naprawdę miły i z wielkim poczuciem humoru; atoli diaszek nieznany, wiadomo tylko, że bardzo polski, któremu niechybnie podpisał był jakiś cyrograf, tak mu się cudze książki same otwierały na błędach czy głupotach — otóż diaszek ten skutecznie kusił go, by w naukowych sporach dokuczać mocno. Że sprawa to czarcia, dowód w tym, że był kochany nasz profesor człowiekiem z natury szlachetnym, zdecydowanie dobrym i ujmująco, bo dyskretnie, uczynnym; a chociaż pamiętliwiec wielki (na to już rady nie ma!) urazy po jakimś czasie z serca darowywał — jak to pokazało zakończenie długotrwałej nieprzyjaźni z Konradem Górskim.

Dość więc, że gród podwawelski widział przez *Nowe Ateny, satyrę na wielki Kraków* (1913) Adolfa Nowaczyńskiego — pisarza, któremu po latach poświęci szkic mistrzowski. Uciekł do Lublina — miasta z dobrym szkolnictwem średnim, w każdej generacji umiejącego stworzyć własne życie literackie, mającego w miejscowym duchowieństwie oparcie bibliofilskie. Zaprawa nauczycielska w zawodzie historycznoliterackim jest bezcenna: ci, co przez nią przeszli, dużo lepiej pamiętają kanon lektur szkolnych, toteż w pracach swych już naukowych są sprawniejsi.

Pomysłowy, rzutki, ruchliwy — miał sobie Julian Krzyżanowski sądzone przez lat dwadzieścia (1914-1934) życie wędrowne: Wybuch pierwszej wojny światowej zastał go poza austriackim zaborem — stąd internowanie w głąb Rosji. Czasu nigdy nie marnował: na Syberii między innymi tłumaczył *Silviludia* (nie mogąc oczywiście wtedy wiedzieć, że Sarbiewski był tu plagiatorem!). Powrót do Polski odbył dość zwykłą naonczas drogą przez Charbin (który dzisiaj każą nam pisać przez „H"). Z roku 1920 podkochujące się w nim uczennice lubelskiego gimnazjum żeńskiego Wacławy Arciszowej — zapamiętały go, przystojnego, w mundurze wojskowym. Był wykładowcą Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (prowadził zajęcia także z gramatyki). Po habilitacji (jednak w Krakowie) — przez kilka lat wykładał w uniwersytecie londyńskim, wieńcząc swój pobyt zarysem *Polish Romantic Literature* (1930, wznowione w 1968), książką trochę ponoć jak na wytrzymałość anglosaską zanadto rozwodzącą się nad uciemiężeniem Polaków, z czego podkpiwa profesor Czesław Miłosz. Po Londynie (gdzie na swego cudownego następcę wciągnął Borowego) — czterolecie spędził na profesurze uniwersyteckiej w Rydze: tu, na skrzyżowaniu północnowschodnich i zachodnioeuropejskich dróg naukowego badania folkloru, do końca umocnił swoje przeświadczenie — wyniesione ze studiowania literatury staropolskiej — że trzeba rozbudować prace nad polską literaturą tradycyjną.

Na katedrę w Uniwersytecie Warszawskim zaproszony został w roku 1934, w rok po śmierci Bronisława Gubrynowicza. Wytworny i kochany przez swych uczniów Józef Ujejski — dopiero co Rektor, niebawem wice-minister WRiOP — również niewiele już miał, okazało się wkrótce, życia przed sobą. Czterdziestodwuletni przybysz z Łotwy został nieomal samowładnym panem warszawskiej polonistyki, dziedzicem spadku — lub zastępstwa — wobec kończących prace dyplomowe studentów, którzy go dopiero mieli poznać (i z upływem czasu — polubić). Bo na początku była reorganizacja seminarium, biblioteki, wszystkiego; a także chyba lamenty i płacze, gdyż zapisanych na uniwersytet jedynie dla zabawy panientuszek nowy profesor szczerze nie znosił.

Gdy Ujejskiego na zawsze zabrakło (1937), otworzył się wakans, dwie bowiem polonistyczne katedry w Warszawie to było niezbędne minimum. Krzyżanowski — urodzony organizator — chciał więcej, widział potrzebę trzech. Działał zwykle z całą otwartością, wtedy wiele osiągał; taktykiem był raczej mizernym. Tu raptem, w przewidywaniu trudności, zdobył się na projekt w swoim mniemaniu chytry: wakującą katedrę obsadzić Zygmuntem Szweykowskim, kandydatem o niewielkich szansach, mimo że ze wszech miar zaszczytu godnym, a ponadto (na co Krzyżanowski myśląc o zdolnych kolegach czy uczniach był czuły) wyraźnie mu się nie przelewało; tymczasem Wacław Borowy, kandydat do uniwersyteckiej katedry bezkonkurencyjny, świetnie się spisywał na stanowisku dyrektora Biblioteki Uniwersyteckiej; niech tedy (planował Krzyżanowski) przyjaciel troszeczkę poczeka, a dla Borowego nie może być, ażeby Senat nowej katedry nie ustanowił! I stało się, co się — nie wśród aniołów przebywając — stać musiało: katedrę otrzymał jednak Borowy, a już tak zwani życzliwi zadbali, by przy sposobności najrozmaitsze powstały komeraże towarzyskie. Opowiadam ten do teraz złośliwie czasami przedstawiany epizod, nic bo absurdalniejszego niż gadać, że Borowemu Krzyżanowski czegokolwiek zazdrościł. Znali się jak łyse konie (do drobnych śmieszności włącznie) i tak w zaletach bywali sobie przeciwstawni, że się najdoskonalej uzupełniali; chyba też o tym wiedzieli.

W przededniu wybuchu drugiej wojny światowej, dochodząc zaledwie pięćdziesiątki, miał Julian Krzyżanowski za sobą dokonań ze trzy razy więcej niż niejednemu wystarczy na całą naukową karierę: m.in. książki o powieści staropolskiej, o Wła-

dysławie Orkanie, monografię Reymonta (napisaną błyskawicznie — na konkurs!), ważne studia o poezji polskiej XVI i XVII w., rozprawę o rosyjskich Bylinach, kilkaset artykułów i wstępów do naukowych opracowań ze wszystkich epok (literatura polska za mała jest — mawiał — by się specjalizować w jakichś jej okresach!); nareszcie prekursorskie *Paralele* (1935), zbiór szkiców *Od średniowiecza do baroku* (1938) i pierwszy tom *Historii literatury polskiej* (od alegoryzmu do preromantyzmu), 1939.

3.

Nawet mniej mu życzliwi, to znaczy ci, których jego niemiłosierny język raził (czy może dotknął), gdy mówić o Uniwersytecie pod kulami we wrześniu 1939 r. oraz o podziemnym nauczaniu — milkną. Zdobył sobie najwyższe uszanowanie żołnierską, choć cywilną, odwagą, zimną krwią w sytuacjach niebezpiecznych, gotowością do wszelkich rozsądnych poświęceń, pracowitością bez pamięci wśród najtrudniejszych okoliczności życia w okupowanej Warszaawie. Nie bez zdziwienia czytał po latach różne z okresu konspiracji wspomnienia, jaki to był nadzwyczajny. Do tchórzów odnosił się zawsze wzgardliwie, ot i wszystko. Myślę — o, paradoksie! — że w jakiejś mierze za tamtych czasów ciemnej i chłodnej Warszawy czuł się jak może nigdy przedtem potrzebny: oto kultura polska znalazła się w śmiertelnym naprawdę niebezpieczeństwie, on zaś walczył o nią, ramię w ramię z młodymi dóbr jej strażnikami — i walka ta (przynajmniej do wybuchu Powstania) nie była bezowocna. Za dnia — kształtował studentów-akowców; długimi wieczorami, żartobliwie chwaląc godzinę policyjną, zakutany w coś ciepłego, czasem i w rękawiczkach, przy karbidówce — pisał. Ten panował duch wśród najlepszych powszechny; nieźle już w szóstym krzyżyku osadzony Stanisław Pigoń tak się odzywał do Krzyżanowskiego, listem z Krakowa, 13. III. 1940:

> Myślę jednak, Panie drogi, że my wszyscy na tyle jeszcze jesteśmy młodzi (bez względu na lata), że stać nas na pociechę: zaczniemy na nowo! I lepiej! Ileż bo przez te miesiące się nauczyliśmy!

Prorocze słowa. Pigoń (zmarły w roku 1968) dorobił się bibliografii przekraczającej tysiąc pozycji; Krzyżanowski razem z wojną wszedł w drugie z trzech dwudziestoleci swej nieustannej pracy naukowej. Podczas okupacji powstały między innymi: *Nauka o literaturze*, pyszny wykład tytana praktyki i wielkiego zdroworozsądkowca, który chwilami sądzi, że przedstawia teorię badania literackiego; dalszy ciąg historii naszej literatury *Neoromantyzm polski (1890-1918)*, książki, do której tu jeszcze wypadnie powrócić; nieukończony słownik literatury polskiej, uwzględniający szczegółowo jej historyków; różne studia z pogranicza literatury i folkloru, czyli wciąż rozrastające się *Paralele*: no i oczywiście *Polska bajka ludowa w układzie systematycznym*, dostosowanym do katalogów międzynarodowych: dzieło, którym ojczystą twórczość z tego okresu Krzyżanowski wprowadził do zasobu światowego.

4.

Zaraz po wojnie tym bardziej znalazł się Julian Krzyżanowski w swoim żywiole. W Bibliotece Jagiellońskiej wyjednał przekazanie stołecznemu seminarium potrzebnych książek — i osobiście doglądał ich wyboru spomiędzy dubletów. Obrany sekretarzem generalnym Towarzystwa Naukowego Warszawskiego — miał organizacyjny udział w odbudowie Pałacu Staszica (i do końca swego życia z nutą zadowolenia wspominał tę robotę). Ale na drugą kadencję obrany nie został! Znów powodem się stała jego bezwzględna szczerość: uważał, że należy zmienić... prezesa TNW, bo nie zbywało nam zwłaszcza wtedy na światowej sławy uczonych — przykładem chociażby Tatarkiewicz — którzy nie aż tak od realiów życia oderwani byli jak Wacław Sierpiński.

Opozycja polityczna nie była w jego guście. Wynikało to z przeświadczenia o wiecznotrwałej głupocie ludzkiej, a już na pewno ludzi pchających się do władzy. Dla schyłku uniwersyteckiej polonistyki warszawskiej datą pamiętną stała się śmierć Wacława Borowego, początek roku akademickiego 1950/51. Wszelako i z czymś w rodzaju komisarycznego zarządu jakiś *modus vivendi* trzeba sobie ułożyć, więc też przeciw wtargnięciu Stefana Żółkiewskiego nie protestował. Jednak to machnięcie ręką, ta rezygnacja z próby ratowania swojej katedry dowodzi, że i osoby kiedy indziej nieustraszone przechodziły wtedy swoisty kryzys nadziei.

Ale Krzyżanowski nie był chyba zdolny — także i w życiu osobistym — do dłuższego okresu załamania. Swój kapitański mostek przeniósł na drugie piętro Pałacu Staszica, do Korbutianum, którego był kuratorem (nim kolekcja weszła do biblioteki Instytutu Badań Literackich). Tam wtedy pracowały — prawie bezgranicznie mu oddane — trzy Marie: Bokszczaninówna, Grabowska, Wantowska; a także Edmund Jankowski, przyjaciel zaginionego podczas wojny Ludwika Świderskiego, też odkomenderowany do Archiwum Orzeszkowej (jeden z dowodów, jak się Krzyżanowski znał na przydatności naukowej każdego, kogo do współpracy dopuszczał).

Obłuda okresu zwanego stalinowskim i w tym się przejawiała, że pod pewnymi warunkami były pieniądze, nadzwyczaj dużo pieniędzy na cele wydawnicze. Bo i klasycy literatury nie do końca wyjęci byli spod prawa cenzury do ich okrawania; na zewnątrz jednak prawie wszystko wyglądało jak trzeba. Zwolennik robienia, co należy, szybko i sprawnie — Krzyżanowski leciutko drwił z ambicji filologów (chociażby to był sam Pigoń) chcących dokonać jakiegokolwiek wydania *ne varietur*; nie dziwota, że się o drobiazgi (jak sądził) nie spierał, mając za rodzaj wytłumaczenia powiedzonko: Uzupełnimy to w następnym wydaniu.

Można tu poteoretyzować, a już na pewno wytknąć zbyt łatwe (do pewnych granic) ustępstwa; diatryba Pigonia ze zjazdu polonistów w roku 1958 pozostaje w mocy. Ale pozostaje też faktem, że wszystkie ośrodki polonistyczne dokonały po ostatniej wojnie wydawniczego dzieła bez miary. W tej masie pracy zespołowej osobisty wkład Juliana Krzyżanowskiego idzie w setki tomów przezeń opracowanych lub przygotowanych pod jego okiem czy patronatem. Własne rozprawy czy szkice naukowe towarzyszą reedycjom: Rej, Kochanowski, ukochany Słowacki, Mickiewicz, Kraszewski, do pewnego stopnia Orzeszkowa, Sienkiewicz-Sienkiewicz-i-wielekroć-Sienkiewicz, Tetmajer i iluż innych, jak ceniony Walery Łoziński; czemu nigdy Kaczkowski, piewca Sanocczyzny, odpowiedzi szukać trzeba (jak u Tarnowskiego) we względach nie literackich, lecz obywatelskich: szpiedzy niechaj będą zapomniani. — No i oczywiście książki folklorystyczne — te, które pisał sam, które inspirował, redagował. Literacki talent w łączności z zacięciem urodzonego facecjonisty dał o sobie szczególnie znać, gdy się Krzyżanowski zajął paremiologią: obok *Sztuki słowa* (nie: alchemii — jak te sprawy ujmował Parandowski) wielką poczytność zdobyły sobie szkice o przysłowiach, zawarte w *Mądrej głowie dość dwie słowie*.

Prac tych wyczerpywania się jeszcze nie widać. Kończą je (gromadząc pozostawione materiały, dodając przypisy, uzupełniając bibliografię) najwierniejsze z wiernych uczennic: Helena Kapełuś i Maria Bokszczanin. Bez ich trudu i miarodajnych ustaleń nikt już nie siądzie do pisania o Krzyżanowskim! Niech i moje przyjąć tu zechcą podziękowanie.

5.

„Mnie to kadzą" — rzekł hardzie do swego rodzeństwa
Siedząc szczur na ołtarzu podczas nabożeństwa...

Dokładnie tak, początkiem znanej bajki Krasickiego, rozpoczął profesor Krzyżanowski przemówienie dziękczynne podczas

uroczystości jubileuszowych, związanych z dwudziestopięcioleciem swej pracy w Uniwersytecie Warszawskim. O ile dobrze pamiętam, nikt o tym w ówczesnych sprawozdaniach nie napomknął. Drobiazg warty chyba odnotowania, gdyż autor *W wieku Reja i Stańczyka* uchodził (ale tylko bardzo z dala) za kogoś o wygórowanej pewności siebie. I owszem, miał świadomość, że wiele napisał i że zagadnienia, które podejmował, starał się rozwiązać — ulubione słówko — „poprawnie". Za młodu i w wieku średnim sporo polemizował — nie oszczędzając i Brücknera. Potem już mało kto się poważał go zaczepiać, bo potrafił odpowiedzieć dosadnie (jak Wiktorowi Dodzie). Jednak ze zdaniem poważnego recenzenta, bynajmniej nie uniżonego (jak Juliusz Wiktor Gomulicki), liczył się i pomyłki naprawiał; w rzeczowej dyskusji, byle dowód był przeprowadzony należycie, ustępował — i to z uznaniem (na przykład o dwa pokolenia młodszemu Jerzemu Axerowi).

Myślę, starając się wywołać wspomnienie dawnych rozmów oraz nieprzerwanie ponawianych lektur, że u podłoża wielu nieznacznych w końcu potknięć Krzyżanowskiego (prócz chwil zabawnego roztargnienia: w *Słowniku folkloru polskiego* brak hasła... Reymont!) legły dwa jego wielkie talenty: dar syntezy — stąd nieraz brak wycieniowania szczegółu; fenomenalna pamięć, na której zbytnio polegał — stąd nieoczekiwane wpadki (jak gdy przeoczył przy Sienkiewiczu, że w warszawskiej Szkole Głównej wykładał przecież Plebański). Ale trzeba nie zapominać, że gdy się już wdawał w analizę tekstu, dostrzegał więcej niż poprzednicy. A pamięć: kiedy ją pod sam koniec życia zaczął gwałtownie tracić — natychmiast wynajdowała stosowną peryfrazę, wspaniała jego literacka inteligencja broniła się zwycięsko.

Od studentów wymagał pracy tudzież pracowitości, oczekiwał inteligencji — w tym właśnie porządku. Ileż to razy dowiadywałem się o sobie, żem cymbał i leniuch; a to z racji moich wahań przy pisaniu (zwłaszcza przy pisaniu „na stopień"). Skoro wszakże wydrukowano mi pewien większy artykuł (w książce skądinąd pod jego współredakcją) i artykuł ten miał o sobie korzystne wzmianki najpierw w recenzji wewnętrznej (Wyki), później w felietonie Przybosia — wezwał mnie. Ze swym charakterystycznym wykrzywianiem szczęki, z miną srogą i tylko oka błyskiem filuternym — rzekł nie kryjąc przekąsu: Niestety, zna się swoich uczniów, uznaję to panu za pracę magisterską. Taki był — wobec każdego. Żółkiewskiemu (którego czasem zwał serio ministrem, równie dobrze jak Cata Mackiewicza — premierem) palnął przy obchodzie jego sześćdziesięciolecia, w IBL przy wszystkich: P-e-roszę Państwa, życie humanisty zaczyna się dopiero po kopie! I jak go było nie lubić?

Za tymi grymasami kryła się zawsze wiedza solidna i na ogół zupełnie sprawiedliwa, czego kto i kiedy dokonał, co jest wart. Był pożeraczem piśmiennictwa fachowego, przez lata sprawozdawcą w „Roczniku Literackim", z dobrej woli — gdy mu się coś spodobało — autorem artykułów popularnych, z obowiązku recenzentem niezliczonych dysertacji uczonych i egzaminatorem a to przy doktoratach, a to habilitacyjnych kolokwiach (gdzie przepadał zadawać pytania proste i kłopotliwe: dla tradycji — że przed przyznaniem komuś *veniam legendi* wolno go wybadać dokładnie; badał więc, ale nie ścinał). Jeżeli nowopromowanego cenił to mu dokładał pracy odpowiedzialnej. I właściwie dopiero w nekrologach pisał całą prawdę — o zasługach oczywiście, lecz także o okolicznościach łagodzących czyjeś niedopełnienia. Przy niektórych, jeśli na przykład nieporozumień narosło zbyt wiele, przez delikatność używał pseudonimu (J.K. Dębowski): mam tu na myśli chociażby wspomnienie o poległym w czasie obrony Warszawy Józefie Birkenmajerze.

Dziś my zapytujemy siebie — jaki on był? Stulecie urodzin jest porą w sam raz: Postać już dawno temu przeszła do historii, żywa pamięć o niej wciąż trwa. Pamięć porządkująca mniemania o dziele życia i o samym człowieku.

Najprzód więc dzieło. Będzie się ono starzało raczej powoli. W swej części dokumentarnej zbudowane jest zazwyczaj mocno, w części interpretacyjnej — zajmująco. Sam się otrząsając z wszelkiego typu nudziarzy — też nie nudził, tego po prostu nie umiał. Czyta się go dobrze, nawet gdy nie całą przyznajemy słuszność temu, co twierdzi.

Z większości jego prac nie przestaję się douczać; wyjątkiem studium poświęconemu Orkanowi: tu Pigoń pobił go na głowę. Jedną książkę lubię ponad inne: *Neoromantyzm*. Oto czemu:

W polskiej historiografii literackiej z czasów młodości naszego autora można łatwo wyśledzić wątek latami się ciągnącego sporu kompetencyjnego: Co robi historyk, co krytyk — i który z nich ważniejszy? Krzyżanowski w pytania źle postawione się nie wdawał, a jeżeli już — to odpowiadając tym po prostu, co robił. Książka tedy o literaturze polskiej lat 1890-1918 jest dziełem zupełnie szczególnym: pamiętnikiem wdzięcznego czytelnika-studenta, samodzielną krytyką (rzut oka na literacką krytykę okresu także jest wnikliwy) oraz opisem literackim zjawisk, których był świadkiem, opisem podjętym przez zawodowego historyka literatury. Wartość swą praca ta powinna zachować długo, przynajmniej jako dokument swoich czasów, autor bowiem — nieraz po dziennikarsku złośliwy — sądy utrzymał ani myśląc o ich dostrajaniu do gustów następnego pokolenia krytyków (które na przykład w „Pionie" uczciło *Pałubę*).

Nie zaszkodzi po *Neoromantyzmie* przeczytać *Modernizm polski* Wyki, ale koniecznie — w należytej kolejności.

Znamiona interpretacji krytycznoliterackich mają też końcowe rozdziały *Dziejów literatury polskiej* — te, które traktują o dwudziestoleciu międzywojnia. Tu znowu — jak przy Kaczkowskim — nad odczuciem literackim, nad upodobaniem w przekorze góruje niekiedy odruch czysto ludzki. Wcale nie odosobniony przykład:

Świat Pawlikowskiej odstręcza swoim lodowatym chłodem, swą okrutną obojętnością wobec wszystkiego, czym żyją nie należący do niego ludzie. Poetka, która — jako młoda kobieta — przeżyła pierwszą wojnę światową, okupioną cierpieniami i zagładą milionów, wprowadzała, jako zjawisko normalne, wytworną damę, która „za lat pięćdziesiąt" wspominać będzie, że „przeżyła wielką wojnę, nudną niesłychanie"!

Zestawmy to z fragmentem osobistego wspomnienia o jego duchowym w Uniwersytecie Jagiellońskim przewodniku:

Gdy po wielu latach tułaczki odwiedziłem go w roku 1920 i nie szczędziłem dotkliwych uwag na temat ówczesnej rzeczywistości, Windakiewicz wysłuchał mnie z całą powagą, wyszedł do drugiego pokoju i za chwilę wrócił z całym stosem książek. Były to: rozkład pociągów, jakiś spis urzędów państwowych i kilka innych podobnych publikacyj. I z entuzjazmem, jak gdyby interpretował teksty arcydzieł, jął mi wskazywać, ile mamy i jakich pociągów, ile odmian władz najrozmaitszych od ministerstw po urzędy powiatowe. Tabele zapełnione cyframi mówiły mu o stałej, systematycznej i imponującej rozbudowie życia zbiorowego, życia wolnej Polski na gruzach przezwyciężonej niewoli.

Istotna to cząstka odpowiedzi, co Krzyżanowski u innych zapamiętywał i jak spostrzeżenia odnotowywał. Ale jeszcze nie ustaje nękać pokusa krótkiej jakiejś formułki, kim był, jak to się stało, że ten wcale nie samotnik i odludek tyle zdążył zdziałać?

Homo faber? — zapewne, był wszak w swoim rzemiośle mistrzem niepoślednim. *Homo ludens*? — czemuż by nie. Starczy zerknąć do starego Knapskiego, by odczytać pod hasłem „*ludo*": igram, kosteruję, piszę, obszukiwam. Nie ulega dla nikogo wątpliwości, że Krzyżanowski przy pracy sam się niezgorzej zabawiał. Obydwa te wszakże określenia, gdyby je nawet połączyć spójnikiem, nie wyjawiają sekretu tak owocnego życia.

Może poprzestać tedy na rozwiązaniu pozornie najprostszym, bo właśnie osiągnięcie prostoty wymaga wiele i trudu i czasu.

Sięgam po raz dzisiaj ostatni po dwustustronicową bibliogra-

fię *Dzieło Juliana Krzyżanowskiego*, ale teraz sprawdzam nie daty i tytuły, lecz zdjęcie. Zrobił je Andrzej Szypowski, widoczny jest skromny salonik państwa Krzyżanowskich na Fortach Mokotowskich. Profesor pogodnie się uśmiecha do jakiejś właśnie rozkładanej książki, nieodłącznego papierosa z lewej ręki nie wypuścił. W pobliżu ręki prawej, na stoliku z lampą, czeka napełniony pucharek wina — boć przecież *homines vinum bibunt, caetera animalia fontes*! I odnajduje się odwieczne określenie serdeczne: *homo humanus*.

Andrzej BIERNACKI

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOSZ

ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłosza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególny dziennik zbliża się do autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczery, jest „Rok myśliwego" bodaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

Str. 288 **Cena F. 145,00**

TOM 464 — AGATA TUSZYŃSKA

ROSJANIE W WARSZAWIE

Migawki spod zaboru rosyjskiego w okresie Powstania Styczniowego

Str. 128 **Cena F. 70,00**

Polemiki

Niegodziwość

Godło Państwa. Pod nim odrażające zdjęcie premiera Olszewskiego, który przemawia do licznych mikrofonów: Twarz zohydzona przeczernieniem drukarskim. Niżej — dużą czcionką — słowo NIENAWIŚĆ, tytuł wiersza Wisławy Szymborskiej. Redaktor naczelny, Adam Michnik, anonsuje ten nowy wiersz, zwąc jego autorkę „Wielką Damą polskiej literatury". I osiem strof *Nienawiści*. Tak wygląda pierwsza strona *Gazety Wyborczej* z 5 czerwca, wydanej w kilka godzin po odwołaniu przez sejm rządu.

Za starym jestem wyjadaczem, by nie wiedzieć, ile w czasopiśmie zależy od redaktora technicznego. Sposobem złamania kolumny do druku można powiedzieć o wiele więcej, aniżeli wyrazić zamierzał Naczelny, fotograf, sam wreszcie literat, który nie może przewidzieć, w jakiej otoczce zostanie czytelnikom przekazany jego utwór. O tym zadecyduje w drukarni redaktor prowadzący numer. Przy piątkowej *Gazecie Wyborczej* był nim pan Wojciech Mazowiecki. Pozwolił, aby poetycka alegoria, mająca piętnować Nienawiść, wypadła jako polityczna imaginacja nienawiści.

Kilka wersów Szymborskiej podatne jest rzeczywiście takiej właśnie za uszy ciągniętej interpretacji:

Religia nie religia —
byle przyklęknąć przy starcie.
Ojczyzna nie ojczyzna —
byle się zerwać do biegu.
Niezła i sprawiedliwość na początek.

Wplątanie tego wiersza w kontekst polityczny, zamieszczenie go akurat pod fotografią Jana Olszewskiego, jest dziełem złej woli. Można, jeśli ktoś ma ochotę, nie być zwolennikiem premiera Olszewskiego; nie można, gdyż byłoby to zwykłym łajdactwem, podważać najlepszej wiary i odwagi, z jakimi adwokat Olszewski przez kilkadziesiąt lat występował w imię sprawiedliwości. Wie o

tym przede wszystkim pan Michnik, także człowiek odważny, więc nie wątpię, iż się w *Gazecie Wyborczej* usprawiedliwi z czynu, który popełniono — jak mniemam — za jego plecami w numerze z 5 czerwca tego roku. Umieszczenie wiersza Wisławy Szymborskiej w sposób wyżej opisany jest sprzeczne z elementarzem zawodowej etyki dziennikarza i historyka.

Bo historykiem pan Adam Michnik jest też, i gdy tego chce — świetnym. Niechaj więc pozwoli na mały ekskurs historyczno-literacki.

Motyw nienawiści nurtuje poezję Szymborskiej od dość dawna: od czterdziestu lat, od czasów, kiedy przedstawiała Lenina jako „nowego społeczeństwa Adama". W tym samym zbiorze jej wierszy *Dlatego żyjemy* (1952) można czytać liryczne wyznanie:

W maju, w roku czterdziestym piątym
nazbyt wcześnie pożegnałam nienawiść
umieszczając ją pośród pamiątek
czasu grozy, gwałtu, niesławy.
Dzisiaj znowu się do niej sposobię.
Jest i będzie mi jej żar potrzebny.

Pointa wiersza: „A zawdzięczam ją także i tobie — pułkowniku, wesołku haniebny" nie odnosi się wszakże do pułkownika Józefa Różańskiego (1907-1981), dyrektora departamentu śledczego w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Nie, chodzi po prostu o jakiegoś okrutnego Amerykanina, utwór potępia bowiem ekscesy wojny koreańskiej.

Teraźniejszy wiersz *Nienawiść* w tym właśnie kontekście trzeba czytać: i albo go do kwadratu upolitycznimy, co prowadziłoby chyba na manowce, albo zechcemy zrozumieć, że jest zamaskowaną, bardzo cząstkową, ale jednak — próbą ekspiacji. Poetka od nienawiści odwraca się z ironią i pogardą. Od uczucia, którym sama syciła kiedyś swoje nie tak znów młodzieńcze utwory; kiedy to jej rówieśnicy z Armii Krajowej byli prześladowani, ona zaś nawoływała, by „wzmocnić warty" pod sztandarami rewolucji, gdzie widnieje „profil czwarty" — Stalina.

Wydrukowanie w *Gazecie Wyborczej* wiersza *Nienawiść*, zawierającego zwrot „Niezła i sprawiedliwość na początek", zbiegło się w czasie z wiadomością prasową o wyroku, który właśnie zapadł w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie: Leszek Pękala, jeden z oprawców księdza Popiełuszki, został uwolniony od powinności odbycia reszty kary w więzieniu. Uzasadnienie tego wspaniałomyślnego wyroku przedstawił sędzia Józef Klimek, dawniej latami odsuwany od możności pełnienia swego zawodu za sprawą dokładnie tych samych ponurych sił, którym z własnej woli służył Pękala.

Takie są zachowania polskich godnych tego miana prawników. Sprawiedliwość nie żywi się nienawiścią — ani na początek, ani nigdy: byłaby to *contradictio in adiecto*.

I dlatego umieszczenie *Nienawiści* Wisławy Szymborskiej pod emblematem Orła Białego i pod fotografią premiera Rządu R.P. uważam za postępek nacechowany niegodziwością.

5. VI. 1992.

Andrzej BIERNACKI

Odpowiedź na listy

Redaktor prosił mnie o napisanie „zbiorczej" odpowiedzi na kilka listów do redakcji, dotyczących mojego artykułu w kwietniowym numerze pt. *Jedna ludzkość wystarczy*. Dr Zygmunt Stankiewicz ze Sztokholmu pisze, że ukazanie się tego artykułu:

budzi nadzieję, że ta tematyka będzie kontynuowana na łamach pisma. Bowiem rozwój fizyki, szczególnie kwantowej, i postępy kosmologii w drugiej połowie XX wieku stanowią jedną z największych intelektualnych przygód ludzkości. Zapowiadają zmierzch dominacji materializmu w nauce.

Do niedawna tradycyjnie materialistyczna nauka konsekwentnie odrzucała metafizyczną stronę natury ludzkiej i przeczyła obecności istoty boskiej we wszechświecie, godząc tym w podstawy wiary i będąc — mimo głoszonej bezstronności — naturalnym sprzymierzeńcem przeciwników idealizmu i religii. Nowoczesna nauka obala materialistyczny i mechanistyczny obraz świata oraz niesie idee podważające dotychczas panujący światopogląd, którego odbicie niejednokrotnie dawało pożywkę dla współczesnego obskurantyzmu i nietolerancji, a nawet totalitaryzmu. Starczy tu wymienić marksizm, u którego podstaw leżała karykaturalnie uproszczona doktryna diamatu.

Autor pisze dalej, że obecny przewrót naukowy dokonał się prawie niedostrzegalnie, wskutek czego większość ludzi nie nadąża za szybkim postępem kosmologii i teorii kwantów i nadal myśli kategoriami przestarzałego kanonu sięgającego czasów Newtona. Tymczasem dyscypliny te

doszły (teraz) do obszaru, gdzie wiedza nie może odrzucać działania i obecności istoty boskiej. Co znamienne, nowa nauka głosi, że Bóg jest koniecznością, bo był nieodzownym warunkiem początku wszechświata i kreacji świata materii. Teoria kwantów formułuje tezę, że w momencie Big Bang'u (...) kosmos nie zaistniałby bez obecności tak zwanego zewnętrznego obserwatora. Kim był ów OBSERWATOR pra-eksplozji kosmicznej przed miliardami lat, pozostawiam indywidualnej ocenie (pisze dr Stankiewicz).

Mamy widocznie odpowiedzieć, że tym obserwatorem był Bóg.

Jakkolwiek moje sympatie są całkowicie po stronie autora listu, to jednak trudno mi się zgodzić, by Bóg stał się „koniecznością" dla nowoczesnej nauki. Gdyby tak było, to nie pozostałby już na placu ani jeden uczony-ateista, a przecież sam autor za zadowoleniem podkreśla fakt „aktywnego i licznego udziału badaczy-ateistów" w omawianym przewrocie. Nowoczesna nauka nikogo nie może zmusić do uznania istnienia Boga, tak jak klasyczna newtonowska nauka nikogo nie mogła zmusić do zanegowania Boga. Sam Newton był przecież głęboko wierzącym człowiekiem, a wymienieni przez autora współcześni uczeni reprezentują całą gamę postaw wiary i niewiary: od absolutnie niewierzącego Stephena Hawkinga (zob. moją recenzję z jego książki w *Kulturze* Nr 10, 1988) aż po wierzącego (tak przypuszczam, nie czytałem jego książki) autora *Genesis and Big Bang* (1990) Geralda L. Schroedera. Gdzieś pośrodku stoi, również cytowany przez dr. Stankiewicza, Paul Davies, autor *God ant the New Physics* (1983). Davies istotnie twierdzi, że „nowoczesna nauka otwiera pewniejszą drogę do Boga aniżeli religia", ale właśnie dlatego nie może być uważana za rzecznika religii. Bóg traktowany jako przedmiot myśli, jako element teorii naukowej, ma stosunkowo niewiele wspólnego z dynamicznym Bogiem chrześcijaństwa (i każdej wielkiej religii). Istnienia Boga nie można naukowo udowodnić (właśnie dlatego, że stoi poza nauką). W Boga można wierzyć (albo nie wierzyć) czyli pozostawać w pewnego rodzaju osobowym stosunku z Nim. Natomiast można zasadnie twierdzić, że nowoczesna nauka wytworzyła klimat intelektualny bardziej sprzyjający wierze w Boga aniżeli manicheistyczna klasyczna fizyka i kosmologia. W tym, jak się rzekło, jestem w całkowitej zgodzie z dr. Stankiewiczem.

Drugą reakcją na mój kwietniowy artykuł jest tekst pt. *Jedna ludzkość, ale czy jedno życie?* Tekst jest niepodpisany, chyba przez przeoczenie, bo stanowi on nie tyle polemikę, co uzupełnienie tez mojego artykułu. Zawiera mnóstwo cennych szczegółów, m.in. danych dotyczących literatury przedmiotu. Może dlatego redaktor nie przyjął tego artykułu do druku, jako że *Kultura* nie jest pismem naukowym. Ze swej strony mogę tylko wyrazić Nieznajomemu Autorowi (będę go w skrócie nazywał N-A) wdzięczność za tak poważne potraktowanie moich wywodów i ograniczyć się do odpowiedzi na polemiczne elementy jego tekstu.

N-A jest skłonny bronić zasadności SETI (*Search for Extra-Terrestial Intelligence*), który ja potraktowałem z pewną dozą sceptycyzmu. Koncentruje się przy tym nie tyle na kwestii ewentualnego istnienia poza-ziemskich inteligencji, co na teoriach podbudowujących prawdopodobieństwo powstania życie nie tylko na Ziemi, ale gdziekolwiek w Kosmosie. Cytuje niemieckiego chemika, laureata nagrody Nobla Manfreda Eigena, według którego w pewnym stadium samo-organizacji materii powstanie życia jest wprost fizyczną koniecznością. Z kolei mój korespondent relacjonuje cały szereg teorii

tzw. *pan-spermii*, czyli poza-ziemskiego pochodzenia życia (Svante Arhenius, Fred Hoyle, odkrywca DNA Francis Crick). A zatem N-A, jakkolwiek nie wychodzi poza relacjonowanie teorii jako teorii, najwidoczniej rokuje programowi SETI większe szanse powodzenia niż ja skłonny byłem przyjąć. Wykazuje w tym postawę, którą ja określiłem jako charakterystyczną dla zapatrzonego w naukę człowieka XX wieku. Pewien metafizyczny niepokój, któremu dawałem wyraz w moim artykule, co do tego jaka byłaby nasza sytuacja, gdyby się okazało, że poza naszą ludzkością są we wszechświecie jeszcze inne ludzkości — taki niepokój jest korespondentowi N-A obcy. (Sądziłbym, że nie będzie obcy wrażliwemu na tematykę metafizyczną Stankiewiczowi, ale i on nic na ten temat nie mówi). N-A broni nawet nauki przed zarzutem (jak gdyby to był zarzut), że wystrzega się wartościowania moralnego, by nie wykrzywiać obrazu rzeczywistości. Powołuje się tu na protesty uczonych przeciw rasizmowi i łysenkizmowi. Jest to nieporozumienie. Uczeni jako ludzie mogli być moralnie zaangażowani w swych protestach, ale reprezentowana przez nich nauka nie mówiła nic więcej niż to, że rasizm i łysenkizm są błędne.

Trzeci list, p. Stanisława Dudzińskiego z USA, jest stosunkowo krótką medytacją na temat sytuacji człowieka we wszechświecie i sensu ludzkiego poznania. List kończy się pytaniem: „Czy poznanie całokształtu wszechświata... jest równoznaczne z poznaniem Stwórzyciela?" Ciekawe, że jeden z najsławniejszych współczesnych kosmologów na to pytanie odpowiedział „tak".

Antoni POSPIESZALSKI

Polnische Buchhandlung
KSIĘGARNIA POLSKA
Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
Tel. i fax: (1) 52 63 114
Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
Książki w jezyku polskim, polonica w jezykach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie

KRAJ — BLOK WSCHODNI

5.4.92
Zmarł w Krakowie w wieku 84 lat prof. Marian Mięsowicz, wybitny uczony, wykładowca na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Światowy rozgłos uzyskał jeszcze przed wojną dzięki badaniom ciekłych kryształów, a następnie — po wojnie — zajmował się promieniowaniem kosmicznym.

23.4.92
W siedzibie ZAIKSu w Warszawie zgromadzili się przedstawiciele związków twórczych i środowiska naukowego. Założono klub „23 Kwietnia" celem wznowienia tradycji zespołowych raportów o rzeczywistym stanie gospodarki i kultury, zagrożonych ograniczeniami budżetowymi i lekceważeniem szkolnictwa, nauki i badań przez sfery rządzące. Przemawiali m.in. Stefan Bratkowski, Urszula Kozioł, Jerzy Pomianowski, Andrzej Szczypiorski.

1.5.92
Bardzo udany, 125-stronnicowy numer 2 (1992) *Polonistyki*, miesięcznika wydawanego przez Ministerstwo Edukacji Narodowej i redagowanego przez Bożenę Chrząstowską (w asyście kolegium), poświęcony jest prawie w całości Gustawowi Herlingowi-Grudzińskiemu.

5.5.92
W Łodzi, w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece im. J. Piłsudskiego, została otwarta wystawa „45 lat paryskiej *Kultury*", przygotowana wspólnie z Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie. Wystawa prezentuje materiały dotyczące dziejów Instytutu Literackiego w Paryżu, jego działalności wydawniczej oraz ludzi związanych z *Kulturą*. Wystawa będzie czynna do końca czerwca br.

12.5.92
Izba Wojskowa Sądu Najwyższego uchyliła postanowienie Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego, oskarżające Marka Nowakowskiego o działanie na rzecz obcych organizacji — Instytutu Literackiego w Paryżu Jerzego Giedroycia i Andrzeja Chileckiego.

20.5.92
Św. Andrzej Bobola, jezuita, zamordowany przez Kozaków w 1657 roku w Janowie Podlaskim, został ogłoszony patronem Metropolii Warszawskiej. (A może byłoby lepiej znaleźć innego patrona?). ■ Do 10 maja br. zarejestrowano w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie 136 partii politycznych. Na rejestrację czekają jeszcze Konfederacja Odrodzenia Społeczeństwa i Partia Przeciwników Niszczenia Ojczyzny. Zawieszono wydawanie dziennika *Obserwator Codzienny*, zagrożony jest dziennik *Nowy Świat*. Łódzki dziennik *Głos Poranny* został sprzedany przez komisję likwidacyjną RSW Ludowemu Towarzystwu Gospodarczemu, za którym stoi PSL. ■ Minister Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, A. Glapiński, udał się w podróż do USA, Hong Kongu, Singapuru i Malezji z zamiarem poprawienia opinii o Polsce. Jeszcze jeden przykład bezcelowej, a przy tym kosztownej turystyki. ■ Lech Wałęsa nie ustaje w rozwiązywaniu krzyżówek. Ostatnio prawidłowe rozwiązanie z Belwederu otrzymała *Kobieta i Życie*. Prezydent nie wygrał książki „Hafty Honoraty", ponieważ wysłał rozwiązanie nie na kartce pocztowej, ale na papierze urzędowym Belwederu.

29.5.92
Dyplomy ministra Spraw Zagranicznych przyznane zasłużonym dla kultury polskiej otrzymali: Gerard Jürgen Blum-Kwiatkowski (artysta plastyk z Niemiec), Romuald Brazis (twórca i rektor Uniwersytetu Polskiego w Wilnie), Wiesław S. Kuniczak (pisarz, autor przekładu „Trylogii" z USA), Igor Mitoraj (artysta rzeźbiarz z Włoch), Zenon Modzelewski (Centre du Dialogue OO Pallotynów w Paryżu), Zbigniew Preisner (kompozytor), Bolesław Wierzbiański (wydawca i redaktor naczelny *Nowego Dziennika* w Nowym Jorku), Vera i Jan Michalscy (wydawcy ze Szwajcarii), Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego im. prof. K. Michałowskiego — Stacja w Kairze, Fundacja Kościuszkowska (z siedzibą w Nowym Jorku) oraz Towarzystwo Śpiewacze „Harfa".

20.6.92
Senat Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych przyznał Józefowi Czapskiemu godność honorowego profesora Akademii.

21.6.92
W Klubie Porozumienie Ponad Podziałami 5.6.92 Maria Gintowt-Jankowicz, dyrektor Krajowej Szkoły Administracji Publicznej, mówiła na temat „Jak przeciąć pętlę legalizmu? — kilka doświadczeń amerykańskich". 12.06.br. miał miejsce odczyt Czesława Bieleckiego pt. „Dlaczego młodzież jest naszą jedyną nadzieją". Ponadto 19.06.br. prof. Jadwiga Staniszkis mówiła na temat „Największe zagrożenie dla Polski".

1.7.92
Studium Spraw Narodowościowych Europy Wschodniej przy Uniwersytecie Warszawskim organizuje wschodnią szkołę letnią, która ma być stażem naukowym dla młodych badaczy naukowych, specjalnie z Europy Wschodniej i Środkowej, zajmujących się historią współczesności tego rejonu. Zaproszeni wykładowcy: prof. Aleksander Gieysztor, prof. Zbigniew Wójcik oraz Piotr Wandycz, publicysta Dominik Morawski z Rzymu, prof. Bohdan Osadczuk z Berlina, prof. historii sztuki KUL Tadeusz Chrzanowski i prof. Andrzej Drawicz z UJ.

7.7.92
Prezydent Bush przybędzie na kilka godzin do Warszawy, gdzie będzie asystował w złożeniu prochów J.I. Paderewskiego, z inicjatywy prezydenta Wałęsy sprowadzonych ze Stanów Zjednoczonych, gdzie spoczywały na cmentarzu w Arlington. Jednocześnie ustalono pięcioletnie obchody rocznicy powstania Mazurka Dąbrowskiego. Ile te zabawy będą kosztowały?

ZACHÓD — EMIGRACJA

24.4.92
Tegoroczna nagroda pisarska Związku Dziennikarzy R.P. w Londynie została jednogłośnie przyznana b. naczelnemu redaktorowi australijskiego *Tygod-*

nika Polskiego, Jerzemu Grot-Kwaśniewskiemu, który redagował *Tygodnik* od 1977 r.

6. 5. 92
Prof. Daniel Beauvois zakończył pracę nad drugim tomem swej książki „Polacy na Ukrainie" (tom pierwszy ukazał się kilka lat temu w Bibliotece „Kultury"). II tom będzie miał tytuł „La bataille de la terre en Ukraine: les Polonais et les conflicts socio-ethniques". Książka prof. Beauvois ukaże się w przyszłym roku w przekładzie na język ukraiński. ■ Według *Notes d'Information* francuskiego Ministerstwa Edukacji Narodowej z marca 1992 r. język polski w roku szkolnym 1990/1991 był na ostatnim miejscu wśród języków nauczanych w szkolnictwie średnim (publicznym i prywatnym). 277 uczniów uczyło się polskiego. Zostało zamknięte liceum w Argenteuil, jeden z rzadkich punktów nauczania języka polskiego.

10. 5. 92
Zmarł w Madrycie w wieku 82 lat na skutek nieszczęśliwego wypadku Eduardo Roditi. Wszechstronnie utalentowany, pisał w 7-miu językach (głównie po angielsku i po francusku), współpracował z dziesiątkiem periodyków. Uprawiał wszystkie gatunki — od eseju, poezji, satyry, rozważań filozoficznych do opowiadań i krytyki literackiej. Był zaprzyjaźniony z Redakcją *Kultury*, z którą współpracował przez szereg lat.

23. 5. 92
Zmarła w Wiedniu w wieku 80 lat Edda Werfel, znana tłumaczka i eseistka.

26. 5. 92
Nagroda Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie im. przew. Edwarda Raczyńskiego za rok 1991 została przyznana Rafałowi Habielskiemu za książkę „Niezłomni, nieprzejednani. Emigracyjne *Wiadomości* i ich krąg (1940-1981)", wydaną przez PIW, oraz Mikołajowi Iwanowowi za „Pierwszy naród ukarany. Polacy w Związku Radzieckim 1921-1939", PWN. ■ W mediolańskim Domu Kultury odbyła się prezentacja włoskiego wydania *Dziennika pisanego nocą* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Przewodniczył Francesco Cataluccio z wydawnictwa Feltrinelli, o książce mówili Sergio Romano, b. ambasador włoski w Moskwie i Vittorio Strada, profesor rusycystyki na Uniwersytecie Weneckim, a obecnie dyrektor Instytutu Włoskiego w Moskwie, oraz autor dziennika.

30. 5. 92
Zmarł w Chicago (USA) w wieku 91 lat Antoni Zygmund, matematyk o światowej sławie.

1. 6. 92
W Editions Balland w Paryżu ukazała się książka Markusa Wolfa, b. szefa wywiadu wschodnioniemieckiego. Wśród nielicznych poloników Wolf pisze: „Był również dom wydawniczy *Kultura* w Paryżu, który bardzo interesował naszych polskich kolegów. Prosili oni o naszą pomoc w obserwowaniu tego centrum dysydenckiego, lecz nie mieliśmy środków by spełnić ich życzenia". ■ Za pontyfikatu Jana Pawła II odbyły się 72 uroczystości beatyfikacyjne — beatyfikowano 390 osób, oraz 24 uroczystości kanonizacyjne — kanonizowano 263 świętych, a w tym Polaków: 11 błogosławionych i 3 świętych.

10. 6. 92
Stowarzyszenie Polskie w Genewie zorganizowało spotkanie z Jerzym Kropiwnickim, ministrem Pracy i Opieki Socjalnej, na temat „sytuacja społeczna w Polsce". ■ W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbył się odczyt prof. Jerzego Kołodziejczaka pt. „Przeobrażenia w nauce polskiej w okresie transformacji polityczno-gospodarczej kraju". 15 czerwca br. odbył się odczyt prof. Józefa Wrzyszcza pt. „Epuration catalytique des gaz en Pologne"; zebraniu przewodniczył prof. Raymond Maurel z Uniwersytetu w Poitiers. Zaś 24 czerwca br prof. Marian Mikołajczyk z Akademii Nauk w Łodzi mówił o „Organic phosphorus, sulphur and silicon chemistery. Why in Lodź?" — zebraniu przewodniczył p. Henri Kagan, profesor na Uniwersytecie Paris-Sud w Orsay. Wreszcie 2 lipca br. odbyła się sesja francusko-polska z okazji 100-lecia Stefana Banacha, zorganizowana pod patronatem Société Mathématique de France i Polskiego Towarzystwa Matematycznego, przy współpracy z Instytutem Matematycznym PAN w Warszawie i Centre International Mathématique Andrzej Banach w Warszawie.

12. 6. 92
W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się wieczór poetycki zorganizowany przez Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej (KSMP). ■ Towarzystwo Polsko-Ukraińskie w Paryżu wybrało nowy zarząd: ze strony ukraińskiej wybrani zostali inż. Wołodymyr Malynowytch (prezes), Mychajło Gomola (skarbnik) i Bohdan Mytrowytch. Ze strony polskiej: dr Krzysztof Rutkowski (wiceprezes), Beatrice Deryng (sekretarz) i Agnieszka Szumańska. Nowoobrany prezes podzielił się wrażeniami z podróży do Kijowa, Lwowa i Warszawy.

16. 6. 92
W Instytucie Polskim w Paryżu odbył się wieczór literacki Krzysztofa Rutkowskiego z okazji ukazania się jego nowej książki pt. „Męczennice z Saint-Denis".

20. 6. 92
W Księgarni Polskiej w Paryżu odbyło się spotkanie połączone z podpisywaniem przez autorów książek wydanych ostatnio przez wydawnictwo „Noir sur Blanc" (Szwajcaria), a mianowicie: „Ma vigne a moi" — Miriam Akavia, „Les auteurs du printemps russe" — Hélène Blanc i „Ces livres de grand chemin" — Wojciecha Karpińskiego.

21. 6. 92
POLCUL Foundation przyznała 25 wyróżnień osobom zaangażowanym w ruchu kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego. Wyróżnienia otrzymali:

Jerzy ARMATA — za ratowanie dzieci chorych na raka krwi; Stanisław BRAŃSKI — za pracę nad ochroną środowiska naturalnego; Barbara CHOLEWA — za działalność na rzecz samopomocy osób niepełnosprawnych; Krzysztof CZYŻEWSKI — za rozwój Fundacji „POGRANICZE"; Jerzy FEDOROWICZ — za rozwój Teatru Ludowego w Nowej Hucie; Romuald GIECZEWSKI — za działalność na rzecz współpracy polsko-litewskiej oraz zesłańców różnych narodowości; Mirosława HARCZUK — za rozwój twórczości plastycznej wśród chorych dzieci; Tomasz KASPRZYCKI — za pracę na rzecz wydawnictw i bibliotek; Piotr KOBIERECKI — za pracę na rzecz wydawnictw i bibliotek; Władysław KORKUĆ — za krzewienie kultury polskiej na Wileńszczyźnie; Sławomir KOWA-

LEWSKI — za rozwój Towarzystwa im. Edyty Stein; Dominik KUZINIEWICZ — za krzewienie kultury polskiej na Wileńszczyźnie; Marzena LISOWSKA — za organizację i rozwój ruchu PRZYMIERZA RODZIN; Agata MAMOŃ-PROKOP — za ochronę kościołów niemieckich i ukraińskich na terenie Polski; Bogdan MARTYNIUK — za ochronę zabytków sztuki cerkiewnej w Polsce; ks. Adrian NOWAK — za pomoc dla ofiar *AIDS*; Andrzej SOCHAŃSKI — za pracę nad ochroną środowiska naturalnego; Wanda SROGA — za organizację i rozwój ruchu PRZYMIERZA RODZIN; Wojciech SZROEDER — za rozwój Fundacji „POGRANICZE"; Barbara THIEME — za rozwój dziecięcego teatru form plastycznych „MAGAPAR" w Lubaczowie; Marian WITCZAK — za rozwój niezależnej telewizji lokalnej w Lubaniu; Leszek ZAJĄCZKIEWICZ — za działalność na rzecz samopomocy chorych dializowanych w okręgu Gdańska; Andrzej ZARĘBSKI — za działalność kulturalno-społeczną na Kielecczyźnie; Anna ZECHENTER — za działalność na rzecz współpracy polsko-niemieckiej; Marek ZIELIŃSKI — za publicystykę na rzecz współpracy z sąsiadami i ochrony mniejszości.

22. 6. 92

Zmarł w Paryżu w wieku 76 lat Virgil Gheorghiu, autor głośnej książki „Dwudziesta piąta godzina", która stała się światowym bestsellerem. Opuścił Rumunię w 44 r. po wkroczeniu wojsk sowieckich i od 1948 r. osiedlił się we Francji. W 1963 r. został wyświęcony na księdza rumuńskiego Kościoła prawosławnego, a w 1971 został jego patriarchą.

7. 7. 92

Grupa studiów czeskich i słowackich w Centre de Recherches sur les Littératures et Civilisations Slaves de l'Université Paris-Sorbonne zorganizowała odczyt Dagmar Hobzová na temat „Opowiadanie fantastyczne w literaturze czeskiej końca XIX i początku XX wieku". Przypominamy, że 18. 3. br. odbyło się międzynarodowe kolokwium na temat „La visualisation des choses et la conception philosophique du monde dans l'oeuvre de Comenius".

KRONIKA AUSTRALIJSKA I NOWOZELANDZKA

Premier Australii Paul Keating zapowiedział dalsze rozluźnienie tradycyjnych powiązań z Wielką Brytanią i nawiązanie bliższej współpracy z Azją (z którą Australia geograficznie sąsiaduje). Premier Keating wypowiedział się również za zmianą flagi australijskiej (widnieje na niej obecnie brytyjski Union Jack) i zmianą ustroju Australii na republikański. Obecnie Australia, licząca 17 milionów ludności (obszar ponad siedem milionów kilometrów kwadratowych), jest członkiem brytyjskiej Wspólnoty Narodów a królowa Elżbieta II jest także królową Australii (ale ma to znaczenie raczej symboliczne). W planach rządu australijskiego jest większe uniezależnienie się od polityki zarówno Londynu, jak i Waszyngtonu i większe zbliżenie się do państw azjatyckich jak Indonezja (najbliższe sąsiedztwo), Japonia, Chiny, Południowa Korea, Tajwan, Indie, Pakistan, a także Wietnam (gdzie jest duża szansa australijskiego eksportu). ■ Federalny rząd Australii udzielił prawa stałego pobytu dla 25 tys. Chińczyków, którzy znajdowali się w Australii podczas masakry na Placu Tien-An-Men w Pekinie, w roku 1989. Są to przeważnie absolwenci i studenci uniwersytetów i kursów języka angielskiego. W roku 1989 udzielono im prawa czasowego pobytu. ■ W Australii nadal nie ma polskiego ambasadora, co ujemnie wpływa na stosunki polsko-australijskie (urzęduje *chargé d'affaires*). Jako powody takiego stanu wymieniane są: brak kandydata i brak pieniędzy. Bardzo bliską współpracę ze 160-tysięczną australijską Polonią nawiązał generalny konsulat RP w Sydney. ■ W Australii działają trzy Polskie Izby Handlowe (Sydney, Melbourne, Adelaide). W Melbourne od szeregu lat istnieje Australian-Polish Chamber of Commerce Inc.; na ostatnim walnym zebraniu prezesem został właściciel i generalny dyrektor dużego i znanego polonijnego przedsiębiorstwa Contal Co., Henryk Syriatowicz. W stolicy Południowej Australii, Adelaide, powstała niedawno Polska Izba Handlowa, pod nazwą Polish Chamber of Commerce. ■ W stolicy Australii, Canberze, utworzona została w marcu br. Australijsko-Polska Rada Biznesu (Australia-Poland Business Council) o zasięgu australijskim. Patronem jest Sir William Keyes, były przewodniczący związku australijskich weteranów wojennych, bardzo znana osoba w Australii. Przewodniczącym Rady został C. A. Binkowski, generalny dyrektor Export and Commercial Research Services, członek dyrekcji wpływowej australijskiej Izby Przemysłowej w Nowej Południowej Walii. ■ Australijska Polonia urządza dwie różne wielkie imprezy, jedyne tego rodzaju w polonijnym świecie. Co trzy lata, pod egidą Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, Festiwal Polskiej Kultury i Sztuki, prezentujący — oprócz występów folklorystycznych — polską literaturę, muzykę, sztuki plastyczne, z udziałem osób spośród australijskiej Polonii. Ostatni, piąty z kolei, odbył się w Sydney, następny ma odbyć się w stolicy stanu Południowa Australia, Adelaide. W festiwale te zaangażowanych jest kilkaset osób, w większości z młodzieży polskiej urodzonej w Australii, a ogląda je kilka tysięcy osób. Drugą wielką imprezą australijskiej Polonii jest sportowa olimpiada polonijna pod nazwą Święta Sportowego, urządzana przez Federację Polskich Organizacji w Wiktorii. Tegoroczne Święto Sportowe, zorganizowane już po raz trzeci na terenie Polskiego Centralnego Ośrodka Sportowego w Albion (Melbourne) zgromadziło 350 zawodników i cztery tysiące widzów. ■ Dużą ruchliwość przejawia powstały w końcu ub. r. Australijski Instytut Spraw Polskich. Na przewodniczącego Instytutu został wybrany prof. Jerzy Zubrzycki (jest on najbardziej znaną osobą z polskiej społeczności australijskiej, przez swoją działalność naukową a także publiczną, jako inspirator, pionier i architekt wielokulturowości w Australii; przez szereg lat pełnił funkcję doradcy kolejnych federalnych rządów australijskich w sprawach etnicznych i imigracyjnych). Dalszymi osobami w zarządzie Instytutu są: wiceprzewodniczący Adam

Warzel (z emigracji tzw. solidarnościowej, z lat osiemdziesiątych) i sekretarz Barbara Zagała (z tej samej emigracji). Instytut ten ma służyć upowszechnianiu na terenie Australii informacji o Polsce i przyczynić się do wzmacniania stosunków polsko-australijskich. Od maja br. Australijski Instytut Spraw Polskich wydaje miesięczny biuletyn w języku angielskim. Obecnie biuletyn wysyłany jest do federalnych posłów i senatorów, ministrów, prasy, kół biznesowych i naukowych. Wydawnictwo to będzie stopniowo docierało do wszystkich stanowych stolic Australii. Biuletyn redagują: Eugeniusz Bajkowski i Aleksander Gancarz. ■ Na zaproszenie Australijskiego Instytutu Spraw Polskich przebywał w Australii były dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, obecnie wiceprezes Kongresu Polonii Amerykańskiej i konsultant Amerykańskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego, Jan Nowak-Jeziorański. Podczas 11-dniowego pobytu odwiedził Melbourne, Sydney i Canberrę. Jak podał Instytut w swoim komunikacie, celem wizyty było zaznajomienie australijskich czynników politycznych i opiniotwórczych z obecną sytuacją polityczną i gospodarczą Polski, jak również spotkania ze środowiskami żydowskimi dla wzmocnienia, prowadzonego od pewnego czasu na terenie Australii, dialogu polsko-żydowskiego. Wizycie Jana Nowaka towarzyszyło bezprecedensowe zainteresowanie australijskich środków masowego przekazu. W czasie swojego pobytu Jan Nowak udzielił wywiadów większości poważniejszych gazet australijskich oraz stacjom radiowym i telewizyjnym, a także żydowskim środkom masowego przekazu, w tym *Australian Jewish News* (Melbourne), *Australian Jewish Times* (Syndey) oraz żydowskiemu programowi radiowemu 3 EA. Wygłosił prelekcje w kilku prestiżowych klubach prasowych oraz spotkał się z politykami australijskimi. Osobne miejsce w programie wizyty Jana Nowaka zajęły spotkania z Polonią w Melbourne, Sydney i Canberra. ■ Także na zaproszenie Australijskiego Instytutu Spraw Polskich przyjechał do Australii redaktor naczelny *Gazety Wyborczej* Adam Michnik i jego zastępczyni, była redaktorka *Tygodnika Mazowsze*, Helena Łuczywo. Przebywali w Australii dwa tygodnie i odwiedzili Melbourne, Sydney i Canberrę. ■ W roku 1892 zaczęło ukazywać się w Sydney pismo w języku francuskim *Le Courrier Australien*. W tym roku obchodzone jest uroczyście 100-lecie tego pisma (które nadal wychodzi) najstarszego wydawanego w Australii w języku nie angielskim. *Le Courrier Australien* został założony przez Polaka Karola Wróblewskiego, urodzonego w Grodnie, w roku 1855. ■ Przy końcu roku 1990 ukazał się dwunasty tom *Australian Dictionary of Biography* (Australijski Słownik Biograficzny), wydany luksusowo przez Melbourne University Press, zamykając 150 lat historii Australii, 1788-1939. Wykonanie projektu, zaczętego w roku 1966, zajęło 24 lata wytężonej pracy. Redaktorzy słownika, najwybitniejsi historycy, przy Wydziale Historii Australijskiego Uniwersytetu Narodowego w Canberze, dobierają do opracowania poszczególnych życiorysów najlepszych specjalistów, jakich można znaleźć

na tym kontynencie. Wśród tych 12 tomów jest pięć artykułów o wybitnych Polakach w Australii, opracowanych przez Lecha Paszkowskiego, pisarza i historyka australijskiej Polonii. ■ Na zaproszenie australijskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Handlu złożył wizytę w Australii były wiceminister Obrony Narodowej, były członek władz krajowych i rzecznik prasowy NSZZ Solidarność, poseł na sejm, dr Janusz Onyszkiewicz. ■ Z okazji święta narodowego Australii (Australia Day) odznaczeni zostali spośród polskiej grupy etnicznej: Stanisław Ostoja-Kotkowski, artysta metaloplastyk, twórca obrazów laserowych, pionier widowisk typu „dźwięk i światło" oraz Alojzy Dziendziel, polonijny działacz w stanie Tasmania. ■ W Melbourne zmarł Stefan Nowicki, znany i zasłużony działacz polityczny i społeczny. ■ Fundacja Studiów Polskich na Uniwersytecie Macquarie (w Sydney) sprowadziła na występy dla Polonii w Australii i Nowej Zelandii Jacka Fedorowicza, z wykształcenia artystę malarza, rysownika, karykaturzystę, z zamiłowania publicystę i satyryka. ■ Do 13-osobowego prezydium Zjazdu Polonii i Polaków z Zagranicy, który odbędzie się w Krakowie w sierpniu br., powołany został prezes Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, Krzysztof Łańcucki. ■ Na terenie melbourneńskiej metropolii działa 18 klubów polskich seniorów. Zrzeszają one ponad tysiąc członków. ■ Staraniem Federacji Polskich Organizacji w Południowej Australii wybudowany został w Adelaide dom dla polskich seniorów (40 mieszkań). Dzięki Federacji uzyskana została od rządu pomoc finansowa na jego budowę, bez obciążania kosztami polskiego społeczeństwa. ■ W Sydney, w specjalnym pomieszczeniu w Klubie Polskim w Ashfield mieści się jedyne w Australii Muzeum Wojska Polskiego. W muzeum znajduje się 850 eksponatów, pokaźna biblioteka i albumy fotograficzne. ■ Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii (siedziba zarządu w Wellingtonie), którego prezesem jest obecnie Michał Mendruń, ma w planach rozwinięcie szerszej działalności kulturalnej. Zarząd Stowarzyszenia zorganizował już recital skrzypcowy dwojga młodych skrzypków, Małgorzaty Michalik i Kazimierza Skowronka (brali udział w Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym w Wellingtonie) oraz udziela pomocy i poparcia dla chóru „Polonez", zorganizowanego przez Koło Polskiego Video. Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii jest centralną organizacją trzy i pół tysięcznej Polonii nowozelandzkiej. W skład Stowarzyszenia wchodzą: Sekcja Charytatywna, Polska Szkoła Sobotnia, Komitet do Spraw Administracji Domu Polskiego, Koło Polek, Komitet Rodzicielski, Sekcja radiowa Radia „Acces" (polskie audycje nadawane są raz w tygodniu), Koło Miłośników Polskiego Video, Chór „Polonez", Klub Szachowy „Polonum", Biblioteka Polska. Oprócz Stowarzyszenia działa, jako niezależna organizacja, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów (zarząd krajowy) oraz grupa polonijna w Auckland.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

KOMUNIKATY

ZWIĄZEK POLAKÓW W ROSJI

Na odbytym ostatnio I Kongresie Polaków w Rosji utworzona została pierwsza ogólnorosyjska organizacja polonijna pod nazwą Związek Polaków w Rosji.

Na zjeździe było 75 delegatów m.in. z Samary, Moskwy, St. Petersburga, Tomska, Irkucka, Ułan Ude, a także z wielu wiejskich ośrodków Syberii. Oblicza się, że reprezentowali oni ok. 100.000 Polaków z Rosji, to znaczy tych, którzy już działają w organizacjach regionalnych. Ale w istocie rzeczy Polonia rosyjska musi być o wiele liczniejsza, z pewnością liczy ponad milion osób.

Związek Polaków w Rosji — według złożonego oświadczenia — stawia sobie za jeden z głównych celów integrację wszystkich środowisk polskich w państwie rosyjskim.

Pierwszym prezesem Związku Polaków w Rosji została Halina Romanowa, przewodnicząca „Domu Polskiego" w Moskwie.

POLONIA AID FOUNDATION TRUST

W dniu 1 czerwca br. odbyło się w Londynie kwartalne posiedzenie Rady Powierników Polonia Aid Foundation Trust (PAFT). W zebraniu tym wziął udział Podsekretarz Stanu w Kancelarii Prezydenta RP, dr Andrzej Zakrzewski. W swoim wstępnym przemówieniu stwierdził on, że za zgodą Prezydenta RP Lecha Wałęsy, PAFT (jako instytucja prawa brytyjskiego) odziedziczył przekazany przez Komisję Likwidacyjną Rządu RP na Uchodźstwie majątek, z którego dochody mają służyć polskim celom oświatowym, naukowym i kulturalnym na obczyźnie. Zdaniem dr. Zakrzewskiego, prace, dotyczące historii niepodległościowego uchodźstwa winny otrzymywać pierwszeństwo.

Temat ten rozwinął przedstawiciel Prezydenta RP w Komitecie Wykonawczym Rady Powierników, dr Andrzej Ciechanowiecki. W jego opinii, pomoc finansowa PAFT-u winna iść przede wszystkim do ośrodków prowadzących działalność badawczą, archiwalną i wydawniczą, oraz popierać najważniejsze instytucje tego rodzaju na obczyźnie, jak np. Instytut Polski i muzeum im. Gen. Sikorskiego czy Instytut Piłsudskiego. Indywidualne stypendia na prace badawcze w Kraju i za granicą należy przyznawać w drodze otwartego konkursu. Całą działalność PAFT-u należy prowadzić w porozumieniu z podobnymi fundacjami polskimi i obcymi, zainteresowanymi Europą Środkowo-Wschodnią.

Rada Powierników rozpatrzyła kilkanaście próśb o subwencję. Upoważniono Komitet Wykonawczy do udzielenia poważnej pomocy finansowej na prace archiwalne Instytutu Sikorskiego w Londynie po ustaleniu z jego Zarządem potrzeb na ten cel. Ponadto przyznano subwencję w wysokości £5.000 na działalność wydawniczą Instytutu Studiów Polsko-Żydowskich w Oksfordzie. Część próśb przekazano Komitetowi Wykonawczemu do zebrania dodatkowych informacji i dalszej analizy. Na kilka podań Rada Powierników postanowiła odpowiedzieć odmownie, ponieważ nie leżały one w zakresie ustalonego statutowo działania PAFT-u.

Działalność Polonia Aid Foundation Trust omówimy w najbliższym czasie (Red.).

Z ostatniej chwili

Teczki...

W momencie oddawania do druku bieżącego numeru *Kultury* w Kraju rozeszły się pogłoski, że agent o ubeckim pseudonimie „Zapalniczka", którego akta prezydent Wałęsa przekazał w celu przeprowadzenia śledztwa mianowanemu przez desygnowanego premiera Pawlaka kierownikowi MSW Andrzejowi Milczanowskiemu, to dr Zdzisław Najder, b. dyrektor sekcji polskiej RWE, b. przewodniczący Komitetu Obywatelskiego oraz szef Zespołu Doradców premiera Jana Olszewskiego.

Zdzisław Najder w momencie, gdy pogłoski te zaczęły się rozpowszechniać, przebywał w swoim domu w Burgundii. Udzielił stamtąd wywiadu Rozgłośni Polskiej RWE. W wywiadzie powiedział m.in.: „We wtorek rano (4 dni po odwołaniu premiera Olszewskiego i 5 dni po przekazaniu posłom tzw. „teczek Macierewicza" — przyp. Red.) wyjechałem z Warszawy, by załatwić kilka spraw osobistych i poświęcić kilka spokojnych dni na pisanie nowego wstępu do 'Lorda Jima'... Nie wiem, co ma na myśli pan prezydent... Moje kontakty ze Służbą Bezpieczeństwa miały charakter przesłuchań... a także śledzenia mnie i zakładania podsłuchów, szykanowania, wchodzenia do mieszkania itp... Dłuższe rozmowy z tym Urzędem, na które się zupełnie samodzielnie zgodziłem w r. 1958 (34 lata temu) miały na celu wprowadzenie SB w błąd i ukrywanie tego, co rzeczywiście robili moi przyjaciele, tacy jak Leopold Tyrmand (już nieżyjący), Zbigniew Herbert, ludzie z Klubu Krzywego Koła, ZLP i tego, co robiłem ja sam".

W wywiadzie dla *Gazety Wyborczej* z 17 czerwca Zdzisław Najder tak odpowiedział na pytanie: „Czy wiedział Pan, że w kartotekach jest Pan Zapalniczką?" — „Nie wiedziałem. Może zresztą te 34 lata temu, kiedy miałem kontakty z SB oni mi powiedzieli, a ja zapomniałem".

Rzecznik prezydenta Wałęsy oświadczył, że „Zapalniczka był agentem obcego wywiadu, który wywierał znaczny wpływ na życie polityczne w Polsce i na emgiracji".

(A)

Listy do Redakcji

Sydney, 25. 5. 1992

Drogi Panie Redaktorze,

Z zainteresowaniem przeczytałem ciekawy — jak zawsze — artykuł Roberta Kaczmarka w majowej *Kulturze* (Nr 5/536), pt.: „Czy nowy Plan Marshalla jest możliwy?". Gotów jestem zgodzić się z konkluzją autora, że masowa pomoc z Zachodu dla krajów postkomunistycznych nie jest w chwili obecnej widoczna na horyzoncie. Mam jednak wątpliwości co do pewnych ocen Kaczmarka, jeśli idzie o przyczyny tego stanu rzeczy i chciałbym je tu poruszyć, tym bardziej, że w jego wywodzie istnieją pewne logiczne sprzeczności.

1. Kaczmarek wysuwa tezę, iż jedną z przyczyn niechęci Zachodu do podjęcia masowej pomocy gospodarczej dla krajów i satelitów byłego imperium jest obawa przed „wyhodowaniem przyszłego konkurenta". Nie ulega wątpliwości, że podniesienie z upadku tych krajów równałoby się stworzeniu potencjału przemysłowego i eksportowego, który stałby się nowym elementem konkurencji na międzynarodowym rynku zbytu. Ale przecież to samo niebezpieczeństwo istniało w momencie wprowadzenia Planu Marshalla w 1947 roku i Europa Zachodnia stała się w istocie takim potężnym konkurentem Stanów Zjednoczonych. A jednak nie stanowiło to przeszkody w samej koncepcji i realizacji tego planu. Co więcej, przyczyniło się znacznie do rozwoju handlu światowego.

2. W gospodarce kapitalistycznej celem działalności jest wytworzenie zysku, a to z kolei wymaga: a) stałego rozszerzania rynków zbytu, oraz b) stałego obniżania kosztów. Ekspansja kapitału zachodniego na rynki krajów postkomunistycznych rokuje wyraźne nadzieje na spełnienie obu tych warunków, a jest to ogromny rynek ponad 300 milionów ludzi. I mimo, iż postępuje ona na razie bardzo powoli, inwestycje już dokonane wyraźnie wskazują na tego rodzaju motywację i ocenę potencjału nowego rynku ze strony Zachodu. Tak np. zachodnio-europejski przemysł samochodowy (VOLKSWAGEN, OPEL, FIAT) ocenia, iż w kosztach wyprodukowania samochodu w krajach Europy Środkowo-Wschodniej robocizna wynosi mniej niż 2%, podczas gdy na Zachodzie sięga ona 25%. Jednocześnie szacuje on, iż zapotrzebowanie na samochody w tym rejonie Europy podwoi się w ciągu następnych 10-ciu lat. Nie ulega kwestii, że oba te momenty stanowiły motywy inwestycji VOLKSWAGENA'a w fabryce czeskiej SKODA, a także FIAT'a i GENERAL MOTORS w ich *join ventures* z F.S.M. w Bielsku-Białej i F.S.O. na Żeraniu. Celem tych inwestycji jest z jednej strony przygotowanie do wzrostu rynku wewnętrznego, a z drugiej do rozwoju eksportu opartego o tanią siłę roboczą.

3. Warto zauważyć, iż przytoczony przykład inwestycji zachodniego przemysłu motoryzacyjnego w Czecho-Słowacji i w Polsce podważa tezę Kaczmarka co do rzekomych obaw Zachodu, że stworzy sobie w ten sposób przyszłego konkurenta. Wprost przeciwnie: wskazuje on na korzystny dla obu stron sposób integrowania gospodarki krajów postkomunistycznych z rynkiem światowym, kontrolowanym przez wielkie koncerny międzynarodowe. Można sobie tylko życzyć dalszej tego rodzaju ekspansji zachodniego kapitału.

4. Słusznie podkreśla Kaczmarek, iż głównym zmartwieniem Zachodu jest to, by w krajach byłego imperium nie wybuchały wojny, mogące spowodować masowe ruchy uchodźców i inne groźne następstwa. Fakt przyznania przez siedem najbogatszych państw 24 miliardów dolarów dla Rosji jest wskaźnikiem, że za spokój i utrwalenie (choćby powolnego) przechodzenia byłego imperium na gospodarkę rynkową Zachód gotów jest zapłacić znaczną cenę. Jaką — tego na razie nie wiadomo. Dramatyczny apel byłego prezydenta U.S.A. Nixona, a także głosy innych polityków i mężów stanu zarówno w Ameryce jak i w Europie Zachodniej zwracają uwagę na fakt, iż powodzenie reform i bezpieczeństwo Zachodu zależne są od wielkiej pomocy gospodarczej dla krajów postkomunistycznych.

5. Faktem jest jednak, iż taka masowa pomoc, taki drugi Plan Marshalla na razie nie powstaje. Zachodzi więc pytanie, jakie są tego główne przyczyny? Czy podkreślany przez Kaczmarka światowy brak kapitału? Czy oczekiwanie na stabilizację polityczną krajów Europy Środkowo-Wschodniej? Czy po prostu brak w tych krajach podstawowych warunków prawnych i finansowych, niezbędnych dla zainteresowania i napływu kapitału zagranicznego? Trudno jest z dużym stopniem pewności odpowiedzieć na te pytania. Nie wydaje się jednak, że nieistnienie jak dotąd nowego Planu Marshalla dla krajów postkomunistycznych jest wynikiem świadomej polityki Zachodu i że ma ona służyć jego rzekomym interesom. Wydaje się raczej, iż stopień i szybkość rozkładu imperium stanowiły dla całego świata takie zaskoczenie, iż zabrakło nie tylko gotowych scenariuszy strategii politycznej i gospodarczej na taką ewentualność, ale po prostu wyobraźni i wizji co do długofalowych kroków, jakie należałoby podjąć.

Dlatego, choć taka masowa pomoc Zachodu nie jawi się niestety dotąd na horyzoncie, sam projekt drugiego Planu Marshalla jak najbardziej zasługuje na postulowanie. W zakończeniu swego artykułu słusznie podkreśla Kaczmarek współzależność rozwoju Wschodu i Zachodu. Nie sposób przypuszczać, aby decydenci zachodni nie mieli świadomości tego stanu rzeczy.

Serdeczne pozdrowienia,

Jerzy BONIECKI

●

Warszawa, dn. 3 maja 1992 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W kwietniowym numerze krajowego wydania *Kultury* (Paryż nr 4/535) pomieścił Pan artykuł p. Leszka Szarugi, zatytułowany *Głupota całkowicie niezależna.*

Pragniemy wyjaśnić wprowadzonym w błąd czytelnikom i Panu Redaktorowi nieścisłości i przeinaczenia zawarte w w/w tekście.

1. Koszty wydania jednego egz. *Antologia Poezji Polskiej 1971–1991 Po Wojaczku* wyniosły ponad 20.000 zł. (przy nakładzie 3.000 egz.), cena zbytu wynosiła 18.000 zł i nie ponosimy odpowiedzialności za detaliczną cenę księgarzy: 24.000 — 28.000 zł.

(Upada więc problem „nabicia sobie kabzy przez wydawców").

2. Zgodnie z obowiązującym w RP prawem autorskim nie potrzeba uzyskiwać zgody od autorów na pomieszczenie w antologii wcześniej ogłoszonych drukiem wierszy (celowo też nie uzgadnialiśmy wyboru wierszy do naszej antologii, gdyż powstałaby jeszcze jedna „uczesana", autocenzurowana antologia, zgodna z konwenansem literackim i zasadami z czasów PRL).

3. Lechoń i Wierzyński zmarli przed rokiem 1971, a Józef Łobodowski jest ujęty w antologii.

4. Trzy wiersze Herberta i Miłosza powstałe przed 1971 wyprzedzają epokę i integralnie łączą się z okresem 1971–1991. [...]

Pragniemy zaznaczyć, iż celowo pominęliśmy w antologii wszystkich pierwszorzędnych-drugorzędnych poetów, którzy od niepamiętnych czasów pozostają niezmiennie etatowymi, zawodowymi „rymopisami" nawzajem się „upupiającymi" na łamach swych subsydiowanych ze skarbu państwa literackich „organów".

Nasza antologia o bardzo umiarkowanie patriotyczno-narodowym zabarwieniu i zdecydowanie antykomunistycznym, chrześcijańskim przesłaniu, wywołała prawdziwą furię monopolistycznej „warszawskiej kanapy" i „stołówki Czytelnika", obchodzących niebawem trzydziestolecie działalności. Pragniemy uczcić ten jubileusz wydaniem drugiego tomu antologii *Po Wojaczku.*

Z wyrazami szacunku

Robert DZIERŻYKRAJ MORAWSKI
Remigiusz Włast MATUSIAK

List zamieszczamy z dużymi skrótami (Red.).

●

Walia, 15.06.92 r.

Mam wrażenie, że artykuł Buzykina, otwierający numer kwietniowy, został przez Pana zamieszczony, aby zobaczyć rodzaj i liczbę sprowokowanych nim wypowiedzi czytelników. Moim zdaniem opiniowanie o demokracji jako ustroju jest bałamutnym pustosłowiem. Różnorodnie formułowane krytyki, podobne do sentencji Herzena, czytaliśmy u różnych autorów. Może jeszcze ostrzejszą krytykę znajdziemy u Platona. Zaś Arystoteles wprowadził w tym celu termin „ochlokracji". Przecież demokracja to nie jest doktryna polityczno-społeczna, ale po prostu system, w którym mogą działać społecznie wszyscy obywatele. Jeżeli, jak u nas, większość obywateli nie brała udziału w wyborach, to albo nie sądzą, że demokracja została istotnie wprowadzona albo nie uważają się za obywateli.

Wszystkie sławione nowoczesne „demokracje" są w istocie pseudodemokracjami. Są to ustroje tak podszyte elementami systemów autorytatywnych, jak grupy gospodarczo-finansowe lub filozoficzno-społeczne (np. teokratyczne), że w istocie obserwujemy działania tych właśnie grup pod niby demokratycznym pokryciem. A cały system sprowadza się do możliwości zmiany zespołu rządzącego bez rewolucji oraz do oporu przeciwko systemom dyktatorskim. Te zaś przecież zawsze, prędzej czy później, prowadzą do bankructwa albo rewolucji (albo obu).

Patrząc na wypowiedzi i zalecenia różnych publicystów i polityków znacznie ode mnie młodszych, a więc nie znających z własnych przeżyć dziejów — w istocie niedawnych — sięgam myślą wstecz. Lata 1918, 1919 wydają mi się w zakresie gospodarczym, społecznym i politycznym podobne do lat 1988, 1989 (które to daty dzieli zresztą zaledwie siedemdziesiąt lat). To prawda, że w ówczesnych zespołach polityków nawet „wójt z Wierzchosławic" miał parę lat praktyki parlamentarnej (z Wiednia), a wielu innych miało lata praktyki na innych, wyższych i niższych szczeblach administracji państwowych. A mimo to możemy dziś dostrzec, jak niemądre i nieuzasadnione były różne ich poczynania krajowe i międzynarodowe, w dodatku wykonane po „amatorsku", chaotycznie, często wręcz idiotycznie. Ale w środowisku 16-20-latków (do których wtedy należałem, tak samo chyba jak Pan, Redaktorze) panował powszechnie nastrój „mierzenia sił na zamiary", co prowadziło do wielu interesujących i społecznie wartościowych wyników.

Jak się natomiast przedstawia podobna generacja dziś, grupa ludzi, którzy sięgną po władzę polityczną, gospodarczą i intelektualną w następnej dekadzie? Nie wiem, czy byłoby łatwo uzyskać odpowiedź na takie pytanie.

Proszę, Panie Redaktorze, przyjąć wyrazy wysokiego poważania.

Jerzy HORZELSKI

●

Warszawa, 15.05.1992 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

artykuł p. M. Brońskiego zamieszczony w numerze 4/1992 *Kultury* zaczyna się zdaniem: „Wśród felietonów Sławomira Mrożka ogłaszanych w *Twórczości* pt. 'Małe listy' znajduje się świetny tekst..." W tym zdaniu jest błąd. Sławomir Mrożek „Małe listy" ogłaszał w *Dialogu*.

W artykule p. Brońskiego jest to oczywiście sprawa marginalna, prosiłbym jednak o jej sprostowanie. Jesteśmy bardzo dumni z tego, że „Małe listy" zebrane potem w książce uznanej za jedną z najważniejszych w dorobku Mrożka, swoją premierę miały na naszych łamach.

Z głębokim szacunkiem

Jacek SIERADZKI
Redaktor Naczelny

●

2 czerwca 1992

Szanowny Panie Redaktorze!

W wywiadzie udzielonym p. Marii de Hernandez-Paluch (*Przekrój* 24 maja 1992 r.) wypowiedział się Pan jasno i wyraźnie przeciw przeniesieniu z angielskiego cmentarza zwłok Ignacego Paderewskiego do Polski. Położył Pan nacisk na niepotrzebne wydawanie wielkich pieniędzy i zwrócił uwagę na niespotykany na taką skalę „urodzaj na pogrzeby". Sprawa ekshumacji zwłok Paderewskiego ma i inny aspekt. Grupy etniczne i narodowościowe w Stanach szczycą się tym, że ich przedstawiciele dostąpili zaszczytu znalezienia

się na prestiżowym cmentarzu amerykańskim. Jedynie Polacy usiłują zubożyć nasz stan o połowę.

Nie wiem, czy jakiekolwiek argumenty będą mogły przekonać inicjatorów do zaniechania tego projektu. Weźmy pod uwagę bezpłatne przeloty „Lotem", goszczenie w Wilanowie, obchody, przemówienia, bankiety, no i nazwiska i fotografie w prasie. Tego tak łatwo nie można się wyrzec.

Obawiam się, że ten pogrzeb się odbędzie i tu chciałbym zwrócić Panu uwagę na nieostrożność, którą Pan w tym wywiadzie popełnił. Mianowicie wymienił Pan nazwisko generała Andersa. Nieostrożność polega na tym, że po „udanym" pogrzebie Paderewskiego wszyscy, którzy się do tego przyczynią, zostaną bezrobotnymi. I wtedy gotowi będą, po tej „próbie generalnej", przypomnieć Pana wywiad i zadecydować powrót zwłok Andersa do Polski. Ale nie tylko jego, a przeniesienie całego cmentarza Monte Cassino. Odpowiednie wzgórze się znajdzie, bo się je usypie, i Anders znów będzie, jak Pan powiedział, pochowany „wśród swoich żołnierzy". Wtedy byłaby to chyba największa, gigantyczna narodowa chryja (ostatniego słowa używam w znaczeniu staropolskim, a nie późniejszym). Zbledną wobec niej takie drobne sprawy jak uroczyste przemianowania ulic, na przykład w Rzeszowie: Marcelego Nowotki (sekretarz KC PPR) na Wincentego Witosa (premier w czasie „cudu nad Wisłą" w 1920 r.) i, wkrótce potem, na Leopolda Okulickiego (ostatni komendant Armii Krajowej), lub obrady Sejmu Rzeczypospolitej nad tym, jak ma wyglądać godło Polski. Nie wiem, czy te obrady już się skończyły; jeżeli tak, to przeoczyłem, jaki był ich wynik. Z podanych w prasie informacji trudno się było dowiedzieć, o co w tych obradach chodziło, czy o kolor upierzenia orła, czy o wkomponowanie nowych elementów.

Przy okazji warto, jak się wydaje, przytoczyć historię, która miała miejsce na dorocznym balu ziemian w Kijowie w 1914 roku. Hr. Anna Branicka z Białej Cerkwi wpięła sobie broszę przerobioną z orderu Orła Białego. Na balu tym miał być car Mikołaj II, który się też zjawił. Podszedł do Branickiej i zapytał:

— A co to za wynaturzony ptak, którego ma Pani Hrabina? Branicka spojrzała na broszę i spytała:

— Wynaturzony? Dlaczego? Przecież ma tylko jedną głowę.

Łączę wyrazy poważania

Jerzy SZWEDE

ODPOWIEDZI REDAKCJI

T.Z. w Kraju. Ma Pan prawdopodonie sporo racji, ale przebija się ona ledwie, ledwie w potoku zdań pisanych z pianą na ustach.

K.M. w Kraju. Z wierszy nie skorzystamy.

Redakcja kwartalnika „Brulion", Warszawa-Kraków. Nie wydrukujemy listu Panów do *Polityki*. Jest tromtadracki, a należałoby się raczej poważnie i spokojnie zastanowić nad tym, jak i dlaczego pismo komunistyczne zamieniło się po upadku komunizmu w najżywszy i najciekawszy tygodnik w Polsce. Czy przypadkiem nie jest to świadectwo ubóstwa naszej myśli niepodległościowej?

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 3e trimestre 1992.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France.
N° d'imprimeur 511-1992

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1992		
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	$A. 12,00	$A. 70,00	$A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Flh 20,00	Flh 100,00	Flh 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D.M. Malinowski,** 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	$can. 12,00	$can. 65,00	$can. 122,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermillod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: Alma Shipping Co., Inc., Christina Szala 9 East 48th Str., Bayonne, N.J. 07002; **Ada Dziewanowska,** 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; **Halina Kościuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wójcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»,** 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	$US 10,00	$US 55,00	$US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.
***Przesyłka* pojedynczego numeru — F. 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (*z Francji*)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 472 — WACŁAW A. ZBYSZEWSKI

ZAGUBIENI ROMANTYCY I INNI

Wybór esejów jednego z najwybitniejszych publicystów polskich, zamieszczanych w *Kulturze* i londyńskich *Wiadomościach*. Oto ich tytuły: CZ. I. SPRAWY I TROSKI: Zmartwienia pesymisty; Dwa okresy powojenne; Polska a świat katolicki; Bilans emigracji w Anglii; Francja i Polska; Kto był prorokiem: Malthus czy Marx. CZ. II. ZAGUBIENI ROMANTYCY: Polscy pisarze są bez szans; O pisarzach i redaktorach; Zagubieni romantycy. CZ. III. LUDZIE KTÓRYCH ZNAŁEM: Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim; Stroński; Stanisław Mackiewicz; Sceptyk i arystokrata; 100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego; Sikorski; Melchior Wańkowicz; Profesorowie U.J. w latach dwudziestych; Prof. Kot i ludowcy; Juliusz Mieroszewski; O Józefie Czapskim.

Wybór poprzedza wstęp Stefanii Kossowskiej.

Str. 335 **Cena F. 100,00**

●

TOM 473 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SETNY

zawiera opracowania: Edward Możejko: *Wierność i cierpienie: o Polakach w Związku Sowieckim przed 1939 r.;* Adam W. Kulik: *Prawosławie w Polsce. Rozmowa z bp. Ablem;* Bp Szczepan Wesoły: *Podwójna jurysdykcja dla Polaków w Anglii;* Andrzej Paczkowski (opr.): *Nastroje przed bitwą;* Piotr Wandycz: *List Jana Masaryka do Stalina;* Józef Rybicki: *Wspomnienia o organizowaniu „NIE";* Ołeh Puszkar: *Spotkania Ukraińca z Polakami w łagrze stalinogorskim;* Dora Kacnelson: *Ossolineum we Lwowie w latach 1961-1991;* Zygmunt Wenda: *Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia, cz. III.;* Andrzej Grzywacz, Grzegorz Mazur: *„Polska i świat" w krzywym zwierciadle;* Piotr Wandycz: *O polskiej dyplomacji;* Józef Lewandowski: *Powstanie, kryzys i rozpad bloku sowieckiego w Europie;* Janet Zmroczek: *Ruch wydawniczy w Polsce po 1945 r.;* Tadeusz Wyrwa: *Żydzi polscy we Francji; List z Krakowa z 26 marca 1794 r.*

Str. 240 **Cena F. 90,00**

I.N. 93400 St-Ouen - 511-1992

Cena 80 F